



ELIZABETH COOKE

Brammy
RUTHERFORD
PARK



Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Epilog

Karta redakcyjna

ELIZABETH COOKE

Bramy
RUTHERFORD
PARK

PRZEŁOŻYŁA AGATA ŻBIKOWSKA

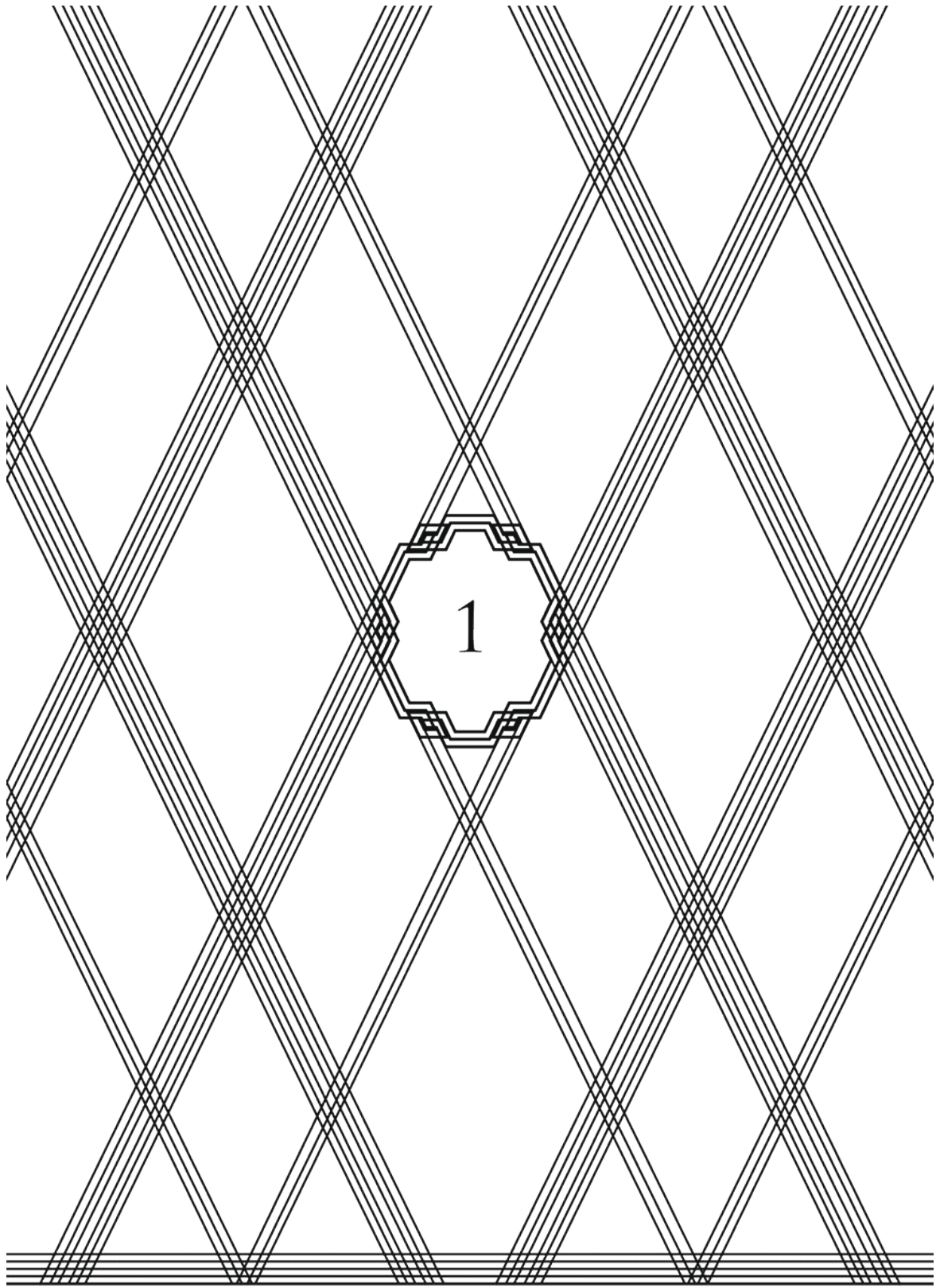
WYDAWNICTWO MARGINESY

The Gates of Rutherford

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.
This edition published by arrangement with Berkley, an imprint of Penguin Publishing Group, a
division of Penguin Random House LLC.

COPYRIGHT © 2015 by Elizabeth Cooke

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Żbikowska
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2016



W dniu jej ślubu padał deszcz.

Charlotte przez całą noc śniła o dawnym domu w Rutherford Park. Wydawało jej się, że dźwięk ulewy za oknem to woda pędząca korytem rzeki po czerwonych kamieniach przy mostku. Dopiero kiedy się obudziła, zrozumiała, że jest w Londynie, w domu w Chelsea, należącym do Amerykanina Johna Goulda.

O wpół do szóstej rano wyszła na dwór. Cheyne Walk dopiero zaczynała się budzić. Ulicą niesło się tylko echo pospiesznych kroków dziewczyny. Kilka chwil później stała przy murku na nabrzeżu. Oparła się i spojrzała na szarą, żywą wstęgę Tamizy. „Za kilka godzin zostanę mężatką” – pomyślała. Wystawiła twarz na deszcz.

Był kwiecień 1917 roku, miała dziewiętnaście lat, a wokół nic już nie wyglądało tak samo. Na polach Flandrii historię ludzkości pisało cierpienie. Matka Charlotte grzeszyła, przynajmniej zdaniem niektórych, mieszkając z ukochanym w pięknym osiemnastowiecznym domu. Ale jej córka uważała to za właściwe zachowanie, sposób na przeżycie. Jej niegdyś szczęśliwy ojciec po utracie Octavii zanurzył się w zgorzknieniu. Świat toczył się i zmieniał.

Opierała się o dzielący ją od nabrzeża murek i czuła jego granitową siłę. Słyszała, że kamienie, z których go zbudowano, przywieziono z Lamorna Cove w Kornwalii. Podobno to przepiękne miejsce, choć nigdy tam nie była. Nie pojechała również do Francji, mimo że pracowała w St Dunstan's jako pielęgniarka. Jej brat Harry szkolił tam teraz oddziały lotnicze. Nigdy nie pojechała też do Ameryki, jak pan Gould, ani do Włoch. Marzyła, by wyruszyć w wielką podróż, jak jej męscy przodkowie. Teraz nie będzie mogła tego zrobić. Zostanie mężatką.

Odwróciła się, aby powstrzymać idiotyczne pragnienie rzucenia się do wody. Powtarzała sobie, że nie ma się czym martwić. To tylko głupi

niepokój, ostatnia fala przedślubnej paniki. Musi dorosnąć, porzucić romantyczne wyobrażenia o niezależności. Bądź co bądź, czym tu się martwić? Michael Preston to wspaniały, odważny mężczyzna. Jego ślepotą nie była przeszkodą. Żartował, że są zgranym zespołem, i miał rację. Jej rodzice cieszyli się, że wejdzie do jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin w kraju. W dodatku bardzo bogatej, mogącej zapewnić Charlotte bezpieczeństwo i opiekę. Zamieszkają o krok od jej rodzinnego domu przy Grosvenor Square w Londynie, w uroczym małym domku przerobionym z dawnych stajni. Dostali go w prezencie od rodziców Michaela. Jej ojciec wspominał nawet mimochodem o wnukach... Tak bardzo pragnęła znów zobaczyć szczęście na jego twarzy. Bardzo nie chciała przysparzać mu zmartwień.

A jednak ogarniało ją dawne poczucie, że się dusi.

Pomiędzy drzewami widziała domy na Cheyne Walk. John Gould kupił Octavii jeden z najładniejszych. Mieszkali w nim niczym para nowożeńców. W ciągu minionych sześciu miesięcy Charlotte często ich odwiedzała, wchłaniając zarówno atmosferę skandalu, jak i szczęścia. Do kościoła miała pojechać stąd, nie z domu na Grosvenor Square, gdzie wśród zakurzonych wspomnień po swoim małżeństwie mieszkał jej ojciec – w luksusie, lecz samotnie. Oczekiwał, że żona w końcu do niego wróci, tak wynikało z rozmów z nim. Niektórzy uważali go za starego głupca, córka o tym wiedziała. To Louisa, jej starsza siostra, częściej zajmowała się ojcem. Charlotte czuła się bardziej związana z matką. Ale czasem nawet ona tęskniła za dawnymi, dobrymi czasami w Rutherford, gdy wszyscy naiwnie wierzyli, że Anglia nigdy się nie zmieni. Rodzinna posiadłość Cavendishów oraz ten uroczy, pełen przepychu styl życia miały trwać wiecznie.

Charlotte uśmiechnęła się do siebie. Cóż, teraz wybito im to z głowy.

Wspomniała inne tragedie, które przez wieki rozegrały się na tej londyńskiej ulicy. Pod numerem szesnastym Dante Gabriel Rossetti przeżył z Fanny Cornforth ostatnie lata życia. Dom numer cztery był ostatnim miejscem zamieszkania George Eliot. Kawalek dalej znajdowały się szpital i Chelsea Physic Garden. To właśnie tam, w oazie zieleni stworzonej przy Tamizie jeszcze w XVII wieku, Charlotte oznajmiła matce w październiku zeszłego roku, że Michael jej się oświadczył. Sądziła, że Octavia zdecydowanie sprzeciwi się małżeństwu ze względu na młody wiek córki. Kiedy później dziewczyna wróciła myślami do tamtej chwili, zrozumiała, że

właściwie na to liczyła. Mogłaby powiedzieć Michaelowi, że nie może za niego wyjść bez zgody matki, choć oświadczyły ogromnie jej schlebiają. Ale ku jej zdumieniu Octavia w ogóle nie protestowała. Była tak otumaniona i rozanielona, że po prostu chwyciła dłonie córki i uśmiechnęła się, po czym dała jej błogosławieństwo. Nie o to chodziło Charlotte! Pragnęła dezaprobaty i pretekstu, by nie musieć wychodzić za męża.

W ciągu tych miesięcy jedynie John Gould, kochanek jej matki, ostrożnie i subtelnie podważył jej decyzję. Pomyślała, że to bardzo dziwne.

– Będiesz szczęśliwa jako żoneczka? – spytał w żartach na dzień przed Wigilią.

Spojrzała na niego z powagą. W dłoni trzymała kieliszek szampana. Goście siadali właśnie do świątecznej kolacji w jadalni.

– Sądysz, że nie?

John przyjrzał się jej, jak zwykle swobodny i uroczy.

– Zawsze uważałem cię za dzikiego ptaka, który tylko czeka, żeby odlecieć.

– Cóż, po ślubie też można latać. – Zarumieniła się. – Mam na myśli, jako para. Możemy polecieć, dokądkolwiek zechcemy.

Nawet jeśli zauważył jej zakłopotanie, nie naciskał.

– Kiedy skończy się ta okropna wojna, jedź do Ameryki. Zobaczysz dom, który zbudowałem dla twojej matki na Cape Cod. Spodoba ci się. Ameryka też.

Serce jej urosło. Och, była pewna, że zakocha się w plaży, domu, kraju. Każde z tych słów oznaczało wolność i przestrzeń. Oczywiście wyruszy tam z Michaeliem. Przyjadą z przyjemnością, zapewniła Johna. Potem odwróciła się, chcąc uniknąć jego świdrującego, oceniającego spojrzenia. Zaczęła wesoło rozmawiać z kobietą siedzącą po drugiej stronie stołu, sama nie wiedząc o czym.

Od tamtej pory czuła, że porwał ją prąd wydarzeń. Rodzice Michaela okazali się czarujący, ich wielki dom i wspaniałe ogrody w pobliżu Sevenoaks – również. Czarujący był oczywiście także Michael. To doprowadzało ją do rozpacz! Wszystko, co czarujące, potwornie ją irytowało. Niedorzeczne, że dała się zapędzić do tego gniazdka miłości. W dojrzałość, poczucie bezpieczeństwa i inne rzeczy, które tak bardzo cenił jej ojciec. Jej się zdawało, że od nich umrze.

– Przestań – nakazała sobie na głos. – Ty nierozsądna, egoistyczna

idiotko.

Minęła furtę i podeszła do domu. Za sześć godzin, w południe, ojciec przyjedzie po nią niedawno kupionym rolls-royce'em. Szofer zawiezie ich do parafialnego kościoła Świętej Małgorzaty w opactwie westminsterskim, w pobliżu samego Westminsteru i słynnego zegara poufale nazywanego Big Benem, na wieży Pałacu Westminsterskiego.

W kościele pojawią się tłumy, ponieważ śluby wśród śmietanki towarzyskiej stały się wytchnieniem dla zmęczonego wojną Londynu, a także z tego powodu, że związek niewidomego bohatera wojennego i najmłodszej córki lojalnego sługi Korony uważano za nadzwyczaj romantyczny. Od mas gapiów oddzieli ich konna policja. Kiedy Charlotte będzie wysiadać z samochodu ubrana w białą jedwabną suknię i długą woalkę z tiulu, które – w głębi duszy, w olbrzymiej tajemnicy – uważała za skrajnie idiotyczne, rozlegną się wiwaty. Jej siostra, Louisa, będzie stała w drzwiach kościoła, uśmiechając się promiennie i rozrzucając płatki róż. A po ceremonii dźwięk kościelnych organów, wygrywających marsz weselny, stopi się z biciem dzwonów w Świętej Małgorzacie. Ona i Michael staną ramię w ramię w kruchcie, uśmiechnięci.

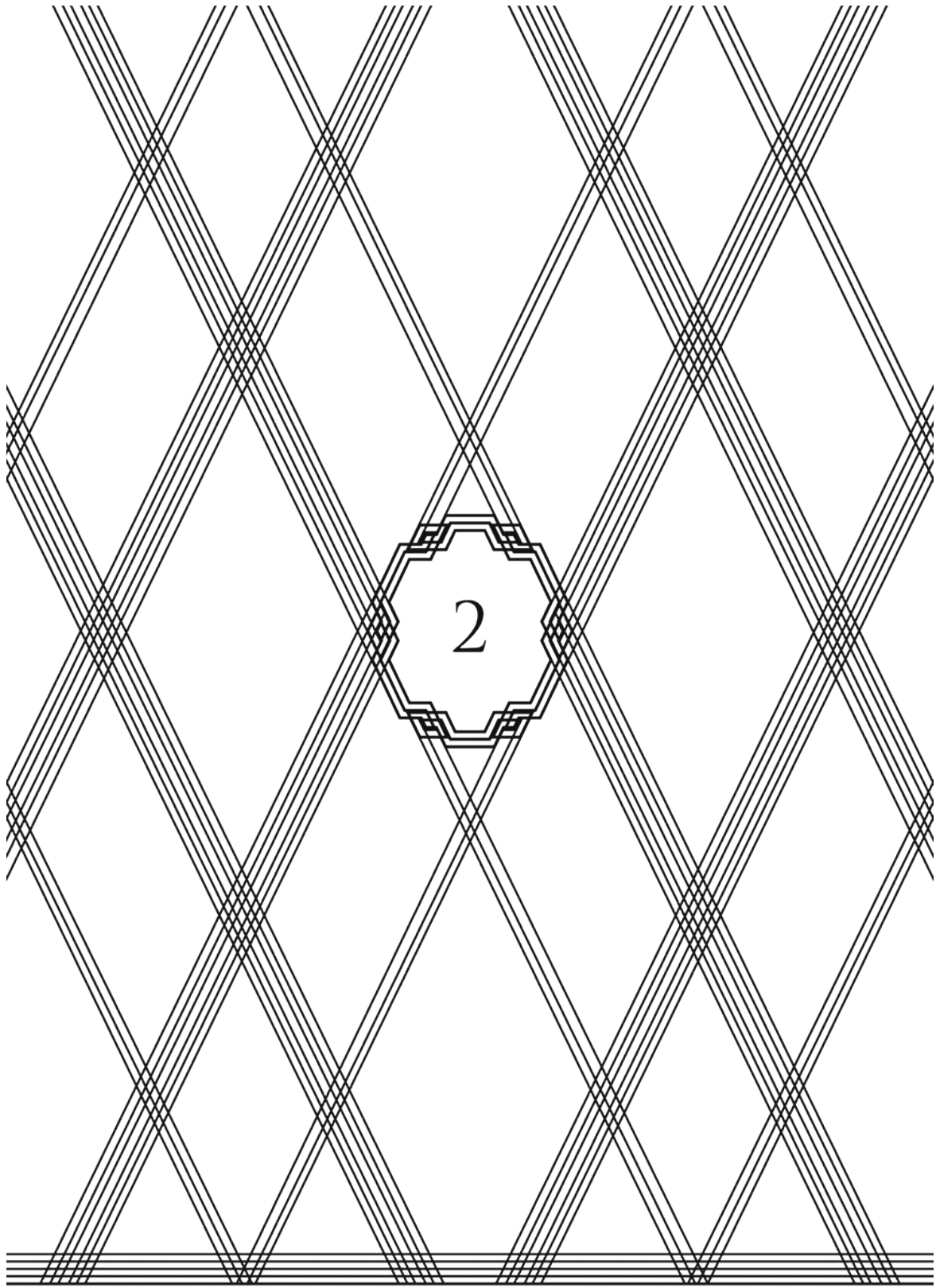
I przez cały ten czas Charlotte będzie chciała uciec.

Gdy podeszła, drzwi domu się otworzyły. Pokojówka, która zamierzała wypolerować framugi i mosiężną rączkę dzwonka, przestraszyła się na widok wchodzącej.

– Och, panienko! – Uśmiechnęła się szeroko, kiedy rozpoznała Charlotte.
– Najszczęśliwszy dzień w życiu panienki. Wszyscy jesteśmy tacy podekscytowani, jeśli wybaczy mi panienka te słowa.

Charlotte przestąpiła próg i strząsnęła z płaszcza krople deszczu.

– Tak – mruknęła. – Masz całkowitą rację, Milly. To najszczęśliwszy dzień mojego życia.



Z hotelu Ritz rozciągał się widok na jedną z największych arterii komunikacyjnych Londynu, a także na Green Park i pałac Buckingham. Budynek był najnowszym dziełem samego Césara Ritza. Przypominał wyglądem francuski zamek, z wdziękiem umieszczony na Piccadilly, umeblowany w stylu Ludwika XVI i nowocześnie wyposażony.

Przybycie weselnych gości, zaproszonych przez Cavendishów i Prestonów, wywołało na Piccadilly podobny zamęt, jak wcześniej w kościele w Westminsterze. Zgromadzony tłum patrzył, jak państwo młodzi wysiadają ze ślubnego auta, ale gapie z równym zainteresowaniem przyglądali się możnym i wielkim tego kraju, którzy zjawili się później. Byli wśród nich politycy w wysokich kapeluszach, których z trudem rozpoznawano i witano aplauzem z grzeczności. Po nich zjawili się oficerowie w mundurach, arystokratyczne damy i niewielka grupka artystów ze Slade. Pomruki zgorszenia i uznania nasilały się i opadały jak fale, aż ostatni gość zniknął za przeszklonymi, złoconymi drzwiami.

Ojciec Charlotte, William Cavendish, siódmy hrabia Rutherford, był zadowolony z wesela, mimo obecności Pomarańczy i Fioletów. Tak nazywał w myślach artystów, podziwianych przez jego żonę Octavię, z którą pozostawał w separacji. Wytworni oficerowie robili na szczęście lepsze wrażenie. William cieszył się, że Charlotte, która odziedziczyła po matce upór i inne okropne cechy charakteru, ustatkuje się i będzie prowadzić tryb życia godny szacunku. William lubił Michaela Prestona i podziwiał go za stoickie podejście do doznanych obrażeń. Trudno było uwierzyć, że ten mężczyzna jest niewidomy. Na jego twarzy poza kilkoma jaśniejszymi liniami na czole nie widniały żadne blizny. Inteligentny i skromny, nosił się z godnością. Zdaniem Williama te cechy charakteru mogły go daleko zaprowadzić. Zastanawiał się nawet, czy nie przedstawić Michaela znajomym z rządu, kiedy wojna już się skończy.

William stał w drzwiach wielkiej jadalni. Zorganizowali wesele Charlotte wspólnie z drugą córką, Louisą. Właściwie to ona załatwiła większość spraw, on tylko zapłacił rachunki. Wykosztował się, i było to widać. Stoły zostały bogato udekorowane. Chociaż był dopiero kwiecień, wszystkie kwiaty zdążyły się rozwinąć. Na każdym stole leżały białe adamaszkowe obrusy i srebrne sztucce oraz stały szklanki i dekoracje z jedwabiu i wstążek, przywodzące na myśl teatralną scenę. William zauważył, że siedząca przy głównym stole Charlotte wygląda na zagubioną w powodzi barw. „Kochana dziewczynka” – pomyślał. Wreszcie coś stłumiło jej pewność siebie. W tłumie osób z towarzystwa sprawiała wrażenie bardzo drobnej i bladej. Zatrzymał przechodzącego kelnera:

– Proszę zanieść kieliszek szampana pannie młodej. I upewnić się, że zostanie obsłużona w pierwszej kolejności.

Uśmiechnął się z dumą. Louisa siedziała po lewej stronie Charlotte. Wyglądała naprawdę pięknie. Miejsce po prawej zajmowała Octavia. Wymieniały z Louisą zadowolone spojrzenia. Wkład jego żony w zorganizowanie wesela idealnego był pewnie większy, niż William początkowo przypuszczał. Nie miało to zresztą znaczenia. Większość towarzystwa unikała Octavii. Mimo to zapewne znalazła sposób, żeby pomóc córce. Kobiety są przebiegłe. Z nimi nigdy nic nie wiadomo.

William ruszył w stronę głównego stołu, jednak nie dotarł tam od razu. Mijane przez niego wytworne matrony zrywały się z krzeseł i przytulały go do piersi jak porzucone dziecko. W ciągu ostatniego roku nauczył się uprzejmie od nich oganiać. Nie uważał się za opuszczonego. Raczej za odstawionego na boczny tor. Octavia – twierdził tak uparcie, że niemal w to wierzył – wróci do niego za jakiś czas, gdy znudzi się Amerykaninowi. Opuści domek w Chelsea i wróci do Rutherford, gdzie jej miejsce. W międzyczasie zamierzał zaciskać zęby i patrzeć w inną stronę. Jego żona znów znajdzie się w domu. To nieuniknione. Mężczyźni pokroju Johna Goulda nie zajmują się cudzymi żonami w nieskończoność. A jego serce... wolał o nim nie myśleć. Nie zastanawiał się nad swoimi uczuciami, tak go wychowano. Prezentował światu niewzruszoną twarz niezależnie od tego, ile nocy spędził, leżąc bezsennie i zachodząc w głowę, co do diabła stało się z jego małżeństwem.

Minął ostatni stół. Zanim usiadł, zauważył znajomą twarz Caitlin de Souzy, przyjaciółki jego syna Harry’ego. Siedziała nieruchomo, z rękoma

zaciśniętymi na podołku, ubrana w ponurą jasnobrązową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem.

– Caitlin, prawda? – spytał i wyciągnął rękę.

– Tak, sir.

– Dostałaś urlop?

Caitlin była pielęgniarką na froncie.

– Tak.

– Okropnie jak zwykle?

– Potwornie, owszem.

– Wieści od Harry’ego?

W rozmowie William często używał skrótów. Nie widział powodu, by się rozwodzić. Nie znosił towarzyskich pogawędek o niczym. Caitlin się uśmiechnęła i William natychmiast przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo podobała się jego synowi, który aktualnie służył w Królewskim Korpusie Lotniczym.

– Często pisze – przyznała cicho.

William pochylił się w jej stronę.

– Przekonaj go, żeby pisywał też do rodziców, dobrze? – szepnął. – Zrób mi przysługę.

Wstał, uściśnął jej dłoń i ruszył dalej. Po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Caitlin, siedziała niechlujnie ubrana Christine Nesbitt. Zdaniem Williama wyglądała jak czupiradło. „Dlaczego ci przekłęci artyści nigdy nie używają grzebienia?” – pomyślał. W dodatku jej strój wyglądał jak zrobiony z zasłony. Dobry Boże, to prawdziwy cud, że w ogóle pozwolono jej wejść do Ritza!

To pewnie Octavia wprowadziła ją do środka. Od kiedy przeniosła się do Chelsea, z lubością otaczała się cyganerią. Urządziła nawet dobroczynny kiermasz artystyczny dla arystokratów w Yorkshire, żeby zebrać pieniądze na Czerwony Krzyż. Oczywiście impreza cieszyła się ogromnym powodzeniem. Każde przedsięwzięcie, do którego Octavia przyłożyła rękę, stawało się sukcesem. Wraz z Charlotte zorganizowały ten kiermasz zeszłego roku w listopadzie i zebrały mnóstwo pieniędzy. A jednak obecność artystów na weselu zszokowała go. „To pawie i flejtuchy” – uznał. Pawie i flejtuchy.

Christine Nesbitt uśmiechnęła się do niego szeroko. Ostentacyjnie ją zignorował.

*

Po przemowach – na szczęście krótkich – William przeniósł się do sali na uboczu, wychodzącej na niewielki ogródek. Za drzewami zaczynał się Green Park. Zapalił cygaro, przyglądając się miękkiej linii drzew nad ulicą. Marzył o tym, by z powrotem znaleźć się w Rutherford. Mój Boże, tak cudownie można było wydać tam Charlotte za męża! Otwarty dom, wspaniałe wiosenne ogrody. Pierwsze ciepłarniane róże, rozległe trawniki, piękne jasne tarasy, tereny do spacerów po posiłku. Łapał tam oddech. Londyn go dusił.

Odkąd w zeszłym roku przeżył atak serca, wydawało mu się, że dni jego politycznej kariery odeszły w przeszłość. Wciąż oczywiście bywał w parlamencie i zawsze witano go z szacunkiem. W zeszłym miesiącu jadł kolację z samym Lloydem George'em i z zadowoleniem stwierdził, że premier słucha jego rad. Być może Amerykanie wkrótce dołączą do wojny. Odkąd cesarz rozkazał łodziom podwodnym wrócić na Atlantyk, stawało się to coraz bardziej oczywiste. Zaledwie dzień wcześniej William słyszał, że Stany Zjednoczone mogą wypowiedzieć wojnę lada chwila. Miał nadzieję, że to będzie oznaczało koniec rzezi po drugiej stronie Kanału Angielskiego. W tym roku albo w następnym.

Na myśl o Ameryce William zmarszczył czoło. Spojrzał w stronę oddzielonej grubymi zasłonami sali, gdzie wciąż kręcili się goście. Pod jednym względem los okazał się dla niego łaskawy. Kochanek jego żony, John Gould, nie przyszedł na ślub. William obawiał się, że gdy wprowadzi córkę do kościoła, zobaczy Goulda siedzącego w rodzinnej ławie, jego przystojną, uśmiechniętą twarz. To byłoby jak policzek. Jeszcze bardziej bał się, że Octavia będzie trzymała mężczyznę pod ramię. Oszczędzono mu tego. Jego żona zachowała choć odrobinę przyzwoitości.

Jakby wywołana jego myślami, w drzwiach jadalni pojawiła się Octavia. Jego nieszczęsne serce zatrzymało się na moment, kiedy weszła z uśmiechem do pokoju. Pomyślał, że jest ładniejsza niż panna młoda.

Wybrała suknię z gołębioszarego aksamitu, z czymś w rodzaju płaszcza z tego samego materiału. Na głowie miała osobliwy kapelusz – bardzo wysoki i asymetryczny – w identycznym odcieniu. William uśmiechnął się

na wspomnienie kreacji, którą włożyła w dniu ich ślubu, wiele lat wcześniej. Te jardy koronek, ta obszerna suknia! Ależ się zmieniła. Nie była już tak posłuszna, choć wciąż tak samo smukła. A nawet bardziej. Spódnica w kształcie dzwonu odsłaniała kostki, talię podkreślał pas srebrnego materiału. Octavia trzymała w ręku skromną laskę z kości słoniowej, wyłącznie dla efektu. Nigdy nie widział bardziej zwawej kobiety. Z pewnością nie potrzebowała pomocy w poruszaniu się. Jej twarz błyszczała radością.

„Gould” – pomyślał nagle. „Moja żona uśmiecha się przez tego przeklętego drania”.

Mimo wszystko go oszałamiała. Pocałowała go lekko w policzek i wzięła pod ramię.

– Przejdziemy się trochę? Może na taras? Czujesz się na siłach?

– Czuję się świetnie – zapewnił.

Szła obok niego sprężystym krokiem.

– Czyż Charlotte nie wygląda uroczo? – spytała.

– Prześlicznie.

– Strasznie protestowała – powiedziała Octavia w zamyśleniu. – W sprawie welonu i sukienki. Ale z drugiej strony, zawsze tak bardzo różniła się od swojej siostry. – Odwróciła się do niego. – Pamiętasz strój Louisy z dnia jej debiutu? I różową suknię balową, całą z jedwabiu?

– Pamiętam doskonale.

Kosztowała go fortunę.

– Kiedy zabrałam Charlotte do krawcowej, można by pomyśleć, że ciągnę ją przez Styks – roześmiała się. – Ale będzie to wszystko wspominać z przyjemnością.

William szczerze w to wątpił.

– Świetnie się dziś spisałeś – pochwaliła go cicho. – Doskonały pomysł z tym nowym samochodem. W dodatku to silver ghost! Wspaniale. Pamiętam czasy, gdy uważałeś, że bardziej na miejscu byłaby kalesza.

– Próbuję iść z duchem czasu – odparł.

– I wspaniale ci to wychodzi.

Boże, jakże pragnął, żeby nie była taka szczęśliwa. Sypała komplementami. Marzył o tym, żeby milczała, nawet gdyby zapadła owa nieznośna cisza panująca między nimi niegdyś w Rutherford. Wolałby patrzeć w jej obojętną twarz przy kolacji niż jeść samotnie, jak często mu

się teraz zdarzało.

Zatrzymał się, a żona spojrzała na niego pytająco.

– Przyjedziesz do Rutherford? – spytał.

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– A ty kiedy wracasz?

– W tym tygodniu.

– W takim razie ja przyjadę w następnym. Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

William zmarszczył brwi.

– Ale nie na ten temat.

– Nie, mój drogi. O czymś innym.

W zeszłym roku, kiedy Gould zjawił się nagle w Rutherford po weselu Mary i Nasha, Octavia zaproponowała rozwód. W ciągu zaledwie kilku godzin zaczęła pakować walizki.

– Myślałam, że on nie żyje – powiedziała tylko. – Wszyscy tak myśleli. Ty również. Ale on przeżył zatonięcie „Lusitanii”. Nie mów, że nie miałeś nadziei, że nigdy nie wróci, Williamie. A jednak tu jest. To koniec. – Zwróciła w jego stronę spokojną, pogodną twarz. – Jeśli chcesz, możesz się ze mną rozwieść.

Odmówił jej. Nie chciał, żeby jego nazwisko ciągnano po sądach w atmosferze skandalu, jaki wybuchłby w takiej sytuacji. A co ważniejsze, nie zamierzał nigdy, przenigdy pozwolić jej wyjść za Amerykanina. Mogli sobie romansować... jeść z dzióbeków jak para gołąbków. Nawet mieszkać razem w skandalicznym grzechu. Kiedy dwa lata temu Gould odszedł, William wierzył, że jego żona odwróciła się od kochanka. Cóż to były za idiotyczne nadzieje. Ale będzie trzymał lejce w dłoniach, nieważne, jak luźno. Pewnego dnia Octavia wróci, kiedy Gould się nią znudzi.

Żył oczekiwaniem na ten dzień.

Octavia złapała gałąź obwieszoną kwiatami wiśni

– Mieliśmy taką okropną wiosnę. Cieszę się, że dziś odrobinę zaświeciło słońce.

– W takim razie o co chodzi? – spytał. – O czym będziemy rozmawiać, kiedy przyjedziesz do Rutherford? – Zmrużył oczy. – Gdzie jest Gould?

– W domu. Przygotowuje się do wyjazdu do Francji.

– Po co? – William wściekł się, gdy nazwała ich miłosne gniazdko domem.

Uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie.

– Wiesz doskonale. Ameryka przystępuje do wojny. John wybiera się do Arras. Zamierza popchnąć ich do działania. Będzie mógł napisać do swojej gazety w Nowym Jorku. „W szponach walki, prawdziwy obraz wojny, jak bardzo jesteśmy potrzebni...” i tak dalej. – W jej głosie pobrzmiwał sarkazm i niepokój. – Mówi, że spróbuje znaleźć Harry’ego i z nim porozmawiać.

Na dźwięk imienia syna William odwrócił się w jej stronę.

– Pisał do ciebie?

– W tym tygodniu ani słowa.

– Do mnie również się nie odzywał.

– John wspominał, że w Stanach trzeba wyszkolić pilotów. Zastanawiał się, czy nie można by tam wysłać Harry’ego. Jako instruktora.

– Do Ameryki?

– Przynajmniej byłby z dala od Francji.

– Zapewne jest to możliwe. O ile Amerykanie przystąpią do wojny.

– John nie ma wątpliwości, że tak się stanie.

William nie interesowało, co myśli na ten temat Gould.

W milczeniu patrzyli na ogród. Kolejne płatki opadały z drzew i leżały poszarzałe na ziemi.

*

Wcześniej tego samego ranka, setki mil dalej, we Francji, Harry Cavendish rozmyślał o Rutherford.

Kiedy był małym chłopcem, chadzał nocą po wielkim domu. Wątpił, żeby jego rodzice zdawali sobie z tego sprawę. Teraz patrzył na ciemne niebo tuż przed świtem i próbował sobie przypomnieć, jak daleko zaszedł po kręconych schodach prowadzących do kuchni albo w galerii prowadzącej wzdłuż sypialni na piętrze, albo po zakazanych wąskich schodach prowadzących na dach. Musiał mieć siedem albo osiem lat, kiedy pierwszy raz odkrył, jak wydostać się na pokryte ołowiem połacie dachu pomiędzy tudorskimi kominami, i zobaczył rozciągającą się poniżej przestrzeń pagórkowatych dolin Yorkshire, rozświetloną gdzieniegdzie punkcikami świateł.

Czasami budził się rano i nie potrafił stwierdzić, czy jego odkrycia były prawdziwe, czy tylko mu się przyśniły. Od najmłodszych lat intrygowała go wysokość, pragnął latać. Chciał stanąć na krawędzi dachu, rzucić się do przodu i czuć pod sobą uciekające powietrze.

Minęło dwanaście lat, zanim fascynacja przerodziła się w rzeczywistość.

Patrzył teraz na lotnisko, ubitą połąć błota niegdyś porośniętą trawą, tuż za miastem Arras. „Moja mała siostrzyczka wychodzi dziś za mąż” – pomyślał. Charlotte była ostatnią osobą na ziemi, która przykułaby się kajdanami do mężczyzny, oddała te nieliczne prawa, jakie jej przysługiwały. A jednak... jeśli tego pragnęła, czy miał prawo ją krytykować? Spotkał Michaela zaledwie raz. Były żołnierz został na zawsze ograbiony ze wzroku, ale mimo to wydawał się stanowczym gościem.

Mimo wszystko. Charlotte żoną. Harry popatrzył na pierwsze smugi światła na niebie, kilka krótkich przebłysków między ciężkimi od śniegu chmurami. Zaczynał się 17 kwietnia 1917 roku. Niedaleko, na północy, znajdowała się kraina cydru, sady pełne jabłoni. Gdzieś pod nim przekopywano kredową ziemię. Inżynierowie z Nowej Zelandii i Anglii ryli w sieci podziemnych kamieniołomów, *boves* Francuzów. Za nimi wznosiło się wzgórze Vimy, gdzie w ostatnich dziesięciu dniach marca zaczęło się bombardowanie.

Teraz trudno się było tego domyślić. Wszędzie panowała cisza, cokolwiek działo się gdzie indziej – a działo się sporo – nikt w ciemnościach i przy okropnej pogodzie.

Na Boga, ależ wszystko go bolało. Przesunął ciężar ciała minimalnie z jednej stopy na drugą i poczuł zgrzytanie w stawach. Kolano zaskrzypiało, jakby kość prześlizgnęła się po kości. Minęły dwa lata, od kiedy został zestrzelony, tańczył na ziemi w rozpadającym się w drobny mak samolocie, przeturlał po krawędzi okopu, po czym w jakiś sposób zdołał wstać i nawrzeszczeć na Northumberlandczyków, którzy przybyli, żeby go wyciągnąć.

Dwa lata temu poznał Caitlin. Dwa lata temu przeszedł serię operacji w Anglii. Jak ohydny nałogowiec myślał wtedy tylko o tym, żeby tu wrócić i znów latać. Chciał po raz kolejny zmierzyć się ze szwabami, ślizgać się starym farmanem nad płaskim krajobrazem.

Westchnął. Omiótł wzrokiem szereg milczących samolotów – maszyn sprawiających tak liche wrażenie. Najgorsze było oczekiwanie. Wyczuwał je

teraz w pozornie dwuwymiarowych konturach samolotów, ich zamieszkałych przez duchy sylwetkach. Obserwował młodych rekrutów, których wysyłano w powietrze zaraz po przybyciu. Próbował ignorować ich młody wiek i entuzjazm. Szkolił ich najlepiej, jak umiał. Ale nie rozgadywał się za bardzo. Słowa zachowywał na później, kiedy musiał pisać listy. Połowa przybyłych ginęła w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od momentu, gdy pierwszy raz wznieśli się w niebo.

Poprzedni wieczór spędził na próbach napisania wyjątkowego listu do rodziców mężczyzny, który dzień wcześniej rozbił się za liniami wroga. „Wspaniały człowiek o niebywalej odwadze...” Napisał to w zeszłym tygodniu czy wczoraj? A może przedwczoraj? Naprawdę wspaniały człowiek. Kimkolwiek był. Wszyscy wydawali mu się identyczni... osobniki zamienne. Około dwudziestki, barczyści kapitanowie szkolnych drużyn krykieta. Fajne chłopaki, wszechstronnie utalentowani, ulubieńcy w swoich szkołach, które dopiero co skończyli. Opis pasował do wszystkich razem i każdego z osobna. Porządne chłopaki, jednak nie mógł sobie przypomnieć akurat tego konkretnego rekruta. To ten z Saint Albans czy Edgeworth? Haringey czy Twickenham? Carlisle czy Cardiff? Zbyt wielu ich było jak spod jednej sztancy, pochodzących z tego samego środowiska. Brnęli przed siebie w jego umyśle, machali na pożegnanie z uśmiechem i energią młodości.

A teraz będzie Arras.

Krążyła plotka, że w tej bitwie przewaga powietrzna będzie miała fundamentalne znaczenie dla zwiadu. Większe niż kiedykolwiek wcześniej, podkreśli element zaskoczenia. Musieli po prostu wzbić się w powietrze i polecieć dalej, niż się kiedykolwiek spodziewali, rysować płataninę pomieszanych linii poniżej tak długo, aż zdołają odnaleźć w niej sens i potwierdzić, którymi z nich płynie komunikacja i wsparcie. Musieli latać nisko i wolno, żeby zdobyć tak wiele informacji, jak to tylko możliwe. Cholernie niebezpieczne zadanie. Nieustannie rosnąca sterta pisanych przez niego listów była tego najlepszym dowodem.

Ale w zeszłym miesiącu zdarzyło się coś dziwnego.

Harry przyzwyczał się do Luftstreitkräfte. Dlaczego miałyby być inaczej, po tygodniach lotów w zeszłym roku i miesiącach obserwacji w tym? Wydawało mu się, że potrafi rozpoznać ich instynktownie, niemal wyczuć ich obecność na niebie, poczuć ich niegodziwość, Brytyjczyków tak

samo jak Niemców. Czuł krople rozkładu, opary, dym i benzynę, maniacką obsesję, kurczącą się odwagę, która zostawiała na niebie ślady podobne do serpentyn. Wydawało mu się, że zna to nawet lepiej niż rzeczywiste kształty, rozmiary i barwy samolotów albo czarne i białe krzyże na kadłubach i ogonach. Ale nie znał czerwonego samolotu nad Arras, o którym tak wielu donosiło dziś po bitwach powietrznych. Maniakalnego i zabójczego.

Niektórzy rekruci nazywali go latającym cyrkiem. Planował manewry z taką rozwagą, jak kroki w tańcu. Był wyszkolony jak zwierzęta robiące sztuczki, skaczące na dźwięk trzaśnięcia z bata, wyginające plecy w nienaturalne łuki i nurkujące przed siebie. Jak ptaki, w klatkach i wolne. Bestie przestworzy. Na ziemi ranne ptaki. Skrzydła i pazury.

Przez moment śmiał się z siebie. Czy zasnął, śnił? W jego umyśle pojawiały się tak dziwaczne obrazy.

Spojrzał w dół, żeby wrócić do pionu, dosłownie sprowadzić się na ziemię, do rzeczywistości. Z powodu odniesionych ran jedna jego noga była krótsza. Usunięto mu więzadło i jakąś roztrzaskaną kość – nigdy nie pytał o szczegóły, brzydziły go. Matka tak się nad nim trzęsła, że przez większość czasu, gdy dochodził do siebie, marzył, by Caitlin znów znalazła się przy jego boku. Po szkoleniu pielęgniarskim dziewczyna zwykle pozostawała obojętna i spokojna. Uśmiechała się do niego słodko tylko wtedy, kiedy to się naprawdę liczyło. Wiedział, że w pociągach szpitalnych i placówkach pierwszej pomocy trwało piekło. Dlatego jego niewielkie obrażenia, złamane obydwie nogi i ciągnące się w nieskończoność operacje nie ruszały jej tak bardzo, jak poruszyły jego matkę i siostry.

Ogromnie tęsknił za Caitlin. Nie odezwała się od sześciu tygodni. Louisa napisała mu, że spodziewają się jej jako gościa na weselu Charlotte. Harry odczuwał z tego powodu dotkliwą zazdrość. Mogła spotkać się z Charlotte i resztą jego rodziny, ale z nim nie pozwolono się jej zobaczyć. To było akceptowalne, to było w porządku. Jednak Harry nie rozumiał, dlaczego Caitlin do niego nie pisze. Przesłała tylko wiadomość, że przyjmuje zaproszenie na wesele, a zatem mogła przyłożyć pióro do papieru.

Zauważył, że w jego myśli wkrada się rozgoryczenie, więc kazał sobie przestać myśleć w ten sposób. Nie powinien winić Caitlin. Pracowała w ogromnym stresie, nawet większym niż on. Świetnie, że znalazła czas, by udać się na wesele. Mój Boże... jak ogromnie pragnął, żeby to było ich

wesele. Zdecydował, że posiadzie ją na własność. Raz na zawsze skończy z wykrętami i poczuciem straty. Tak bardzo mąciła mu w głowie i absorbowała. Nie dzieliła się z nim myślami. Nie potrafił jej rozszyfrować. Wiedział tylko, że bardzo chce z nią być.

Spojrzał na zegarek. W szarym świetle świtu spróbował dostrzec, która godzina. Piąta czterdzieści. Mimowolnie zadrżał. Ostatnio nieustannie czekał. Na nadejście świtu, na rozkazy. Na starty i lądowania. Na pęd eskadry lotniczej, wycie artylerii. Na to, żeby wszystko wreszcie ucichło. Czas wypełniały dziwne rozpoczęcia i zakończenia.

Nagle dopadło go wrażenie, że faktycznie wszystko się skończyło. Wreszcie nadszedł koniec, trawa odrosła na polach, kępami zarosła okopy, zostawiła tylko niewyraźne cienie i kontury dawnych linii. Wojskowe placówki zamknięto, pociągi ponownie snuły się sennymi, wiejskimi trasami. Tak jak dawniej turkotały powoli między wioskami, pośród sadów i domów, sapały na mostach nad rzekami. Czas przykrył nieszczęście litościwym kocem.

A on stał tutaj, na krawędzi czasu, opierał się o framugę drzwi, spoglądał w mrok i zastanawiał, co go wkrótce spotka. Może to prawda, pomyślał. Przecież tak się stanie pewnego dnia. Stał tu w nieświadomości, jak cień cienia, niewidzialny dla wszystkich oprócz siebie samego. Może od dawna już nie żyje, wszystkie samoloty zniknęły i nic nie rusza się na ziemi z wyjątkiem zimnego, ponurego wiatru.

Wyprostował się gwałtownie i otrząsnął z tego uczucia.

– Wystarczy – syknął do siebie.

Zapalił papierosa i postarał się nie myśleć o niczym.

*

Był środek popołudnia. Charlotte siedziała sama w pokoju hotelowym na górze. Ściągnęła welon, suknię i białe atłasowe buty.

Na łóżku leżały ubrania, w które planowała przebrać się po weselu. Długa konopna spódnica, kończąca się tuż nad kostką, biała bluzka, ciemnoniebieski żakiet. Ubrana jedynie w halkę przyglądała się stercie strojów i walizce na podłodze. Matka nalegała na zakup wyprawy.

– Nic staromodnego – zapewniła ją. – Tylko kilka sztuk eleganckiej

bielizny, kochanie. Koszule nocne, halki, pończochy. Są takie urocze... Popatrz. Śliczne płótno i dobra wełna. Irlandzki len. Nie podobają ci się?

Pokazała jej córce miesiąc wcześniej. Charlotte doskonale wiedziała, że Octavia najchętniej dałaby upust słabości do kupowania modnych łaszków. Gdyby to zależało wyłącznie od jej matki, wyprawa zmieniałaby się w lawinę koronek i jedwabiu.

– To wszystko jest bardzo praktyczne – zapewniła Octavia na widok wahania córki. – Nic ekstrawaganckiego. Wiem, że nie czułabyś się komfortowo w czymś takim.

Charlotte poddała się, widząc, jak bardzo matka pragnie ją zadowolić. Objęła ją, oparła głowę na jej ramieniu i wymamrotała:

– Jest bardzo piękna.

Patrzyła teraz na siebie w przechylnym lustrze. Wyglądała dość dziwnie, bardzo szczupło. Jej krótko ostrzyżone włosy sterczały pod dziwnymi kątami. Wzięła z toaletki szczotkę i zaczęła je energicznie czesać. Szczecina kłuła ją w skórę głowy. Octavia chciała przysłać dziewczynę, żeby zajęła się córką, ale Charlotte uznała to za przesadę.

– Mamo, jest tysiąc dziewięćset siedemnaście rok – oznajmiła surowo. – To idiotyczny pomysł, żeby stroiła mnie pokojówka. Nie potrzebuję jej. Z pewnością zdołam sama ułożyć włosy.

Ale im dłużej siedziała w pokoju, tym gorzej miały się sprawy. Nie potrafiła porządnie zapiąć spódnicy, bluzka wydawała się zbyt obszerna. W pewnej chwili Charlotte uświadomiła sobie, że Octavia przyjdzie, żeby się z nią zobaczyć, i padła z łkaniem na łóżko. Nie rozumiała, co się z nią dzieje.

– Matka.

Kopnęła walizkę w przypływie frustracji i złości.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Charlotte zamarła. Pospiesznie otarła łzy.

– Kto tam?

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i pojawiła się w nich szeroka, uśmiechnięta twarz.

– To ja, skarbie.

– Och, Christine! Wejdz.

– Jesteś pewna? Pokój wygląda jak pieczara zniszczenia. Ale nabałaganiłaś.

Christine Nesbitt ze śmiechem weszła do środka. Trzymała butelkę szampana i dwa kieliszki.

– Co się dzieje? – spytała. – Chyba nie płakałaś?

Podeszła do łóżka.

– Jeśli tak, wcale bym się nie zdziwiła – oznajmiła radośnie. – Proszę, napij się. Poczujesz się o wiele lepiej.

Nalała i usiadła obok Charlotte.

– Do dna! Wypijmy ze smakiem za te, co leżą okrakiem.

Charlotte wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, po czym, wbrew sobie, wybuchnęła śmiechem.

– Od razu lepiej – stwierdziła Christine. – I jeszcze jeden. Obyśmy trafiły do nieba godzinę przed tym, gdy diabeł się zorientuje, że umarliśmy.

– Amen.

Wypiły.

Poznały się sześć miesięcy wcześniej. Przez trzy dni w tygodniu Charlotte pracowała jako wolontariuszka w szpitalu St Dunstan's i w trakcie jednego z dyżurów zauważyła szczupłą figurkę (w pierwszej chwili pomyślała, że chłopięcą), przycupniętą na ławce w parku. Christine była zatopiona w poważnej rozmowie ze służącym w marynarce żołnierzem, którego niedawno przywieziono.

Charlotte podeszła do nich szybko, powodowana przede wszystkim niepokojem. Kazano jej uważać na Joshuę Smitha. Wcześniej obsługiwał karabin maszynowy Lewis w Królewskim Lotnictwie Morskim. Teraz nie mógł uwierzyć, że życie, które prowadził przez ostatnie dwa lata, należało już do przeszłości. Przez dłuższy czas był zdezorientowany, nawet po usłyszeniu diagnozy.

– Wrócę, kiedy odzyskam wzrok – oznajmił stanowczo w dniu, w którym go przyjmowano. – Znów będę widział. To tylko zimno.

Pilot samolotu, którym lecieli, wylądował na morzu. Zabrakło im paliwa nad Kanałem Angielskim, kawał drogi za Dover w stronę Morza Północnego, na wybrzeżu Norfolk.

– Zgubiliśmy się – dodał, uśmiechając się do siebie. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

Pierwszego dnia nikt nie wyprowadzał go z błędu. W rzeczywistości pilot został zabity, a Joshua, oślepiiony i nieprzytomny, nie zdawał sobie sprawy z sytuacji, dopóki nie uderzyli w wodę.

– To tylko przez zimno – powtarzał.

Charlotte siedziała przy nim pierwszego wieczoru. Miał gorączkę i wciąż próbował wstawać z łóżka. Złapała go na korytarzu, kiedy starał się wymacać przed sobą drogę, wczepiony palcami w zamontowaną na wysokości pasa drewnianą balustradę. Usłyszał za sobą jej kroki.

– Gdzie jestem? – spytał.

– W szpitalu, w domu – odpowiedziała, łagodnie chwytając go pod ramię.

– Nie kładźcie mnie ze ślepy. Nie jestem ślepy. Wszystko przez zimno na morzu. To minie.

I tak w kółko, raz za razem. „Zimno, zimno”. Wreszcie nakłoniła go, żeby usiadł na krześle w korytarzu. Światła były przygaszone, gaz syczał w zaworach.

– Poszliśmy ostro w górę – opowiadał cicho. – Potem zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy opadać. Maszyna nie miała prędkości ani mocy. Wiatr był silniejszy niż silnik, nie mogliśmy lecieć do przodu, widzi pani.

Zamilkł, ponownie przeżywając moment, gdy silnik zamarł. Wspominał bolesną ciszę, która zastąpiła ryk śmigła i huk wiatru, kiedy opadali w dół.

– Widziałem, jak się do nas zbliża. – Mówił powoli, jakby sennie. – Nieczęsto się to widzi, wie pani? Widzę to wyraźnie. – Popukał wskazującym palcem w skroń. – Fale są jak pofałdowane żelazo, dokładnie tego samego koloru. Zamknąłem oczy, kiedy uderzyliśmy w wodę. Wszystko przez to. Zimno zamknęło mi oczy.

Długo siedziała przy nim i trzymała go za rękę, aż się poddał i pozwolił zaprowadzić z powrotem do łóżka.

Zobaczyła go ponownie tydzień później.

– Czy to pani była tu ze mną pierwszej nocy? – zapytał.

– Tak.

– Musi mi pani wybaczyć głupotę. Lekarz ze mną rozmawiał. – Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Chodzi o to, że nie czuję żadnego bólu – wyjaśnił. – Rozumie pani? Nie ma bólu, niczego, co zaklasyfikowałbym jako ból.

Zawahała się przy łóżku.

– Myślałem, że to szok wywołany kontaktem z wodą morską. Ale to oczywiście niemożliwe.

Charlotte starała się nie patrzeć na jego twarz. Zamiast tego zaczęła wpatrywać się w plamę na linoleum, z całych sił starając się nie rozpląkać.

Był w tak żałośnie dobrym humorze, skrępowany własną pomyłką.

– Fragment samolotu – powiedział. – Nie pocisk ani łuska. Idiotyczne. Tak więc... nie wiem, co będę robić...

– Wszystko panu wyjaśnimy.

– Naprawdę? Ale ja jestem kanonierem w marynarce. We flocie, widzi pani...

Trudno było mu się pogodzić z rzeczywistością. Wyobrazić sobie inne życie.

– Mój brat jest we Francji w służbach lotniczych – odparła.

– Doprawdy?

Zapadła długa cisza.

– Muszę już iść.

– Oczywiście – odparł z tym samym oszołomieniem. – Oczywiście.

To właśnie Smith siedział z Christine na ławce, kiedy Charlotte spotkała ją po raz pierwszy.

Podeszła do niej z podejrzliwością. Zjawiało się tu wiele osób, które uważały, że są pomocne. Przychodziły z Regent's Park, mimo że ze wszystkich sił starano się je odwieść od tego pomysłu. Charlotte najbardziej obawiała się matron łkających nad „biednymi, oślepiionymi chłopcami”. Kiedyś na jedną się natknęła.

Jak się okazało, nie musiała się martwić obecnością Christine Nesbitt.

Christine nie miała w sobie cienia patosu, nie zwykła też szlochać. Była za to żarliwą, inteligentną słuchaczką. Rysowała i mówiła jednocześnie.

Tego ranka ziemię wokół pokrywał szron. Christine trzymała na kolanach szkicownik i malowała, słuchając Smitha. Kiedy Charlotte znalazła się bliżej, usłyszała słowa Joshuy.

– Kiedy pierwszy raz znalazłem się w kabinie samolotu, strzelałem do wroga z dwóch enfieldów. Niewielki był z nich pożytek. Potem dostaliśmy lewisy. – Zaczął śmiać się do siebie cicho. – Wspaniała rzecz, ale musieliśmy strzelać przez śmigło. Niech pani to sobie wyobrazi! Strzelać przez to, co utrzymywało nas w powietrzu. Potem wynaleziono synchronizację przekładni.

Christine rysowała prędko, nie podnosząc głowy.

– Co to takiego? – zapytała.

– Pomysłowe urządzenie. Zgrywało strzały z broni z obrotami śmigła.

– Jejku. To rzeczywiście sprytne.

– Ułatwiało życie.

– Jasne.

Christine zdała sobie sprawę, że ktoś ich obserwuje. Spojrzała na Charlotte i uśmiechnęła się szeroko.

– To zabawne – ciągnął Smith, nieświadomy, że Charlotte stoi na trawie w pobliżu. – Tyle rzeczy mógłbym zobaczyć w wyobraźni, a widzę tylko morze i lufę lewisa wycelowaną w śmigła. Fale na morzu i obroty śmigła. Jak pani myśli, dlaczego tak jest?

Zamiast rzucić jakimś frazesem, Christine zastanowiła się nad słowami żołnierza.

– Te dwie rzeczy są bardzo do siebie podobne – stwierdziła w końcu. – Tworzą wzór. Falujące linie. Jedna pozioma. Druga pionowa. Weszło to panu w zwyczaj, patrzenie przez celownik lewisa na śmigło, prawda? Ten obraz z panem pozostał.

– Widzę go – powtórzył mężczyzna. – Tak samo jak po spojrzeniu w słońce. Kiedy zamknie się oczy, widzi się wzory.

– Cienie i linie.

– Tak, właśnie – uśmiechnął się Smith.

Miał przyjemną twarz, jeśli nie przyglądało się zbyt uważnie jego bliznom, mozaice linii rozchodzących się po czole i brwiach. Nagle jakby zdał sobie sprawę z obecności Charlotte i się odwrócił.

– To siostra Cavendish. – Mogła mówić o sobie w ten sposób, bo była w trakcie szkolenia dla ochotniczek. – Wrócimy? Niedługo zacznie się obchód.

Zanim ruszyli, Charlotte spojrzała na szkicownik.

Christine nie rysowała Smitha. Namalowała jego wizję morza.

*

Charlotte popatrzyła na Christine znad brzegu kieliszka.

– Narysowałaś mnie dzisiaj?

– Nic nie przyniosłam. Ale zrobię to, jeśli chcesz. Portret twój i Michaela?

– Tak się chyba robi. Poproszę ojca, żeby złożył zamówienie. Jego na ciebie stać. Mnie nie.

Christine się roześmiała. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, po tym jak namalowała Dorę Carrington, stała się znana.

– Czy powinnam policzyć obrzydliwie drogo?

– Koszmarnie.

– Och, to świetnie! Starczy mi na rachunki na całą zimę. Czy jemu będzie to przeszkadzać?

– Ojcu? – zastanowiła się Charlotte. – Wiesz, jemu właściwie nic nie przeszkadza. Nie tak jak kiedyś. To słodkie, ale dziwne. Zachowuje się jak wygasły wulkan. Nie wiem, co mogłoby go obudzić. Czasami się tego obawiam.

– Że eksploduje? Z jakiego powodu?

– Kto wie, skoro sytuacja z matką nie wywołała wybuchu. Patrzy na nią z takim zdumieniem... Jest strasznie zakłopotany. Boję się, że pewnego dnia znów się wścieknie.

– Co wtedy zrobi? Będzie ją gonił przez Strand z nożem rzeźnickim?

Charlotte w pierwszej chwili się roześmiała, po czym spoważniała.

– Boże, nie pomyślałam o tym.

Christine odstawiła kieliszek i usiadła na łóżku obok przyjaciółki.

– To był żart, kochanie. – Położyła rękę na dłoni Charlotte.

Dziewczyna spojrzała na ich splecione palce.

– Pamiętasz, jak matka przywiozła cię w zeszłym roku do Rutherford?

– Jak mogłabym zapomnieć? To było wstrząsające. – Christine podniosła wzrok na sufit i uśmiechnęła się, zatopiona we wspomnieniach. Potem zamknęła oczy. – Kiermasz artystyczny. Myślałam, że jadę na jedną z tych okropnych imprez charytatywnych. Wiesz... „nasza nadzwyczajna artystka”. Wcześniej brałam udział w jarmarku w ratuszu w Chelsea. Zorganizowały go panusie w kapeluszach, które chciały, żebym rysowała małe karykatury gości, po sześć pensów za sztukę. Myślały, że tym właśnie się zajmuję... rysunkami satyrycznymi i szkicami. Koszmar.

Charlotte się uśmiechnęła. Patrzyła na łuk szyi Christine, rzeźbioną kość jej obojczyka, wąskie ramiona pod fioletową płócienną tuniką. Na moment ogarnęło ją pragnienie, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć skóry przyjaciółki. Była półprzezroczysta, jakby młoda kobieta nie składała się z krwi i kości.

– Twoja matka zaprosiła mnie do Yorkshire. Pomyślałam: „Yorkshire! Gdzie to, do diabła, jest?” – Christine otworzyła oczy.

Charlotte gwałtownie odwróciła głowę.

– Wzbudziłaś sensację.

– Oczywiście, że tak – przytaknęła malarka. – Jestem rewelacyjna. Nie wiedziałaś o tym?

Uśmiechnęły się do siebie.

– Lubię twoją siostrę – stwierdziła Christine. – Rozmawiałam z nią. Jest po prostu urocza. Była dla mnie ogromnie miła, gdy przyjechałam do Rutherford. – Przysunęła się do Charlotte. – Przyłapałam ją przed chwilą, jak czytała list w damskiej toalecie. Kto do niej pisze? Ukochany?

Charlotte zmarszczyła czoło.

– Nie mam pojęcia. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Była tak kompletnie pochłonięta. I, wiesz... – Christine zakręciła w powietrzu palcami – ...latała z wrózkami. Uśmiechała się. W ten specjalny sposób. Kiedy tylko mnie zauważyła, schowała list do torebki. Myślisz, że to może być potajemny romans?

– Mam nadzieję, że nie. Nie po Charlesie de Montfort i ich ucieczce.

– Mój Boże, zapomniałam. Z pewnością nie popełniłaby tego samego błędu drugi raz.

– Louisa mieszka z ojcem w Rutherford. Ciężko mi sobie wyobrazić, że mogłaby znaleźć w Yorkshire partnera do romansów. Spotkałaś chłopców z naszych okolic? Nie należą do tych, którzy kradną dziewczęce serca.

Christine zachichotała.

– W czepku urodzeni? Nie potrafią złożyć dwóch słów do kupy? Tak, znam ten typ. W Londynie też ich pełno.

Przez moment siedziały w milczeniu, przyglądając się porzuconej sukni ślubnej. W końcu Christine poderwała się na nogi.

– Będziecie mieszkać z Michaelem u twojej matki?

– Och, nie. Mamy własny dom.

Christine zachłysnęła się z zaskoczenia.

– Własny? Cudownie! – Złożyła ręce jak do modlitwy. – I masz... miejsce? Dla siebie?

– To nie jest duży dom. Przerobiono go ze stajni. Jest w mieście.

– Ale masz własną sypialnię?

– Nie.

Charlotte podeszła do okna.

– Ale to chyba nieważne – pospiesznie dodała Christine. – W każdym razie to miło, prawda? Będziecie jak dwa gołąbki w gnieździe.

Panna młoda oparła się o parapet i popatrzyła w dół, na ogrody.

– Tak.

Za jej plecami Christine zmarszczyła brwi. Po chwili wstała i odstawiła kieliszek na szafkę obok łóżka.

– Musisz mnie odwiedzić po powrocie – poprosiła. – Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie zrobiłaś, skoro ja tyle razy byłam w domu twojej matki. Cudowne przyjęcia! Tak... trzeba to zmienić. Chciałabym, żebyśmy bardziej się zaprzyjaźniły. Dokąd jedziesz na miesiąc miodowy? Twoja matka wspominała coś o Dorset.

Charlotte się odwróciła.

– Chcesz, żebym przyszła do twojego mieszkania?

– Cóż, nie masz innego wyjścia, jeśli mam was namalować.

– Tak, oczywiście. Przyjdziemy. Zadzwonimy do ciebie, kiedy wrócimy.

Christine znów się zaśmiała.

– Nie mam telefonu, kochanie. W ogóle posiadam niewiele rzeczy. Zobaczysz, kiedy mnie odwiedzisz. Gołe deski, palnik i coś w rodzaju kanapy, na której śpię. Nie umiem gotować, nigdy nie umiałam. A ty?

– Nie, zupełnie tego nie potrafię.

– Będziesz miała kucharkę w swoim małym domku?

– Tak. Matka Michaela o to zadbała.

Christine wyczuła w głosie przyjaciółki lekką nutę irytacji. Westchnęła głośno i serdecznie.

– Co za szczęście! – wykrzyknęła, starając się, żeby zabrzmiało to wesoło. – Chciałabym mieć kucharkę. Moja ciotka uważa, że zmieniam się w cygankę. Naprawdę się martwię, bo to ona zapewnia mi rentę. Niech jej Bóg błogosławi. Nie mogę się jej narazić. Jednak kiedy przychodzi z wizytą, ciężko znoszę te krzywe spojrzenia i wycieranie palców. Wiesz, co mi powiedziała, kiedy ostatnio mnie odwiedziła? „Mam szczerą nadzieję, że minie ci ta cuchnąca faza, Christine”. – Parsknęła śmiechem. – Cuchnąca! Nie zdawałam sobie sprawy, że ze mną aż tak źle. Właściwie to u niej w domu trochę śmierdzi grobowcem. Kulki na mole, boazeria, pasta do podłogi. Jak w zakładzie pogrzebowym!

Charlotte jakby nie słuchała. W roztargnieniu podnosiła z podłogi ubrania i nosiła je po pokoju przewieszane przez ramię, jak gdyby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

– Proszę – siliła się dalej Christine – nie krytykuj mnie i mojej nory,

dobrze?

Charlotte wreszcie podniosła wzrok.

– Nie sądzę... – powiedziała niemal ze zdumieniem – ...żebym kiedykolwiek skrytykowała twoją małą pracownię. – Uśmiechnęła się smętnie. – Musisz tam mieć prawdziwy raj.

*

Christine Nesbitt spotkała na schodach idącą na górę Octavię Cavendish.

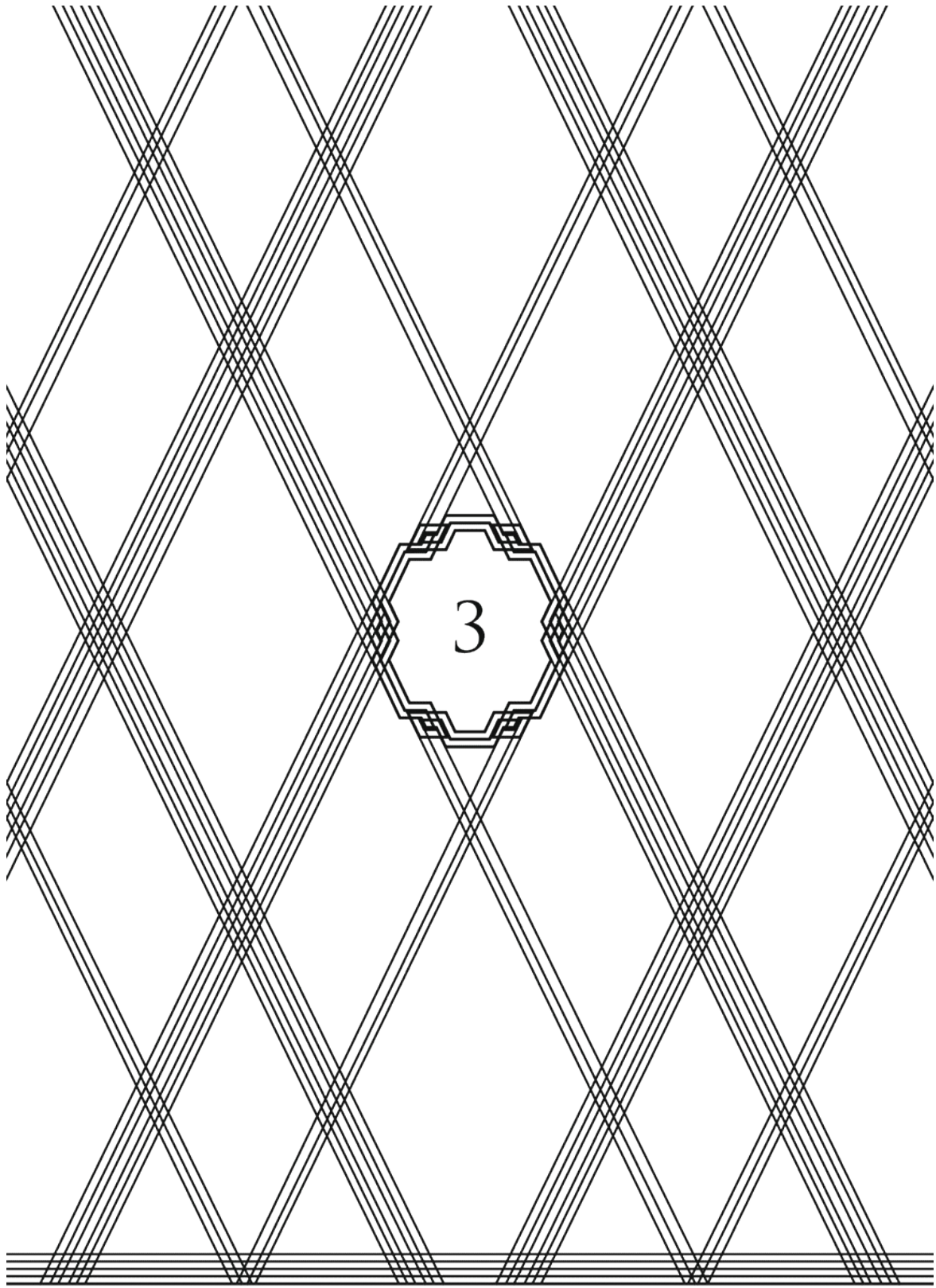
– Byłaś u Charlotte? – spytała Octavia.

– Chyba potrzebuje matki. Wydaje się niespokojna. Rozkojarzona.

– Niespokojna? – powtórzyła zdziwiona Octavia. – Nie sądzę. Charlotte nigdy w życiu niczego się nie bała.

„Myli się pani” – pomyślała Christine. „Teraz się boi”.

Ale wiedziała, że nie może tego powiedzieć głośno.



W Anglii ani razu nikt nie spytał go, skąd pochodzi, tylko o stopień, pułk i miejsce, w którym go pojmano. Nikogo też nie zainteresowało, czemu tak mocno zaciska dłonie.

Kiedy Frederick Wilhelm Reinhardt pierwszy raz znalazł się jako więzień na angielskiej ziemi, wkrótce zorientowano się, że nie jest w stanie utrzymać kubka, ubranie się zajmuje mu ogromnie dużo czasu i upuszcza niemal wszystko, co próbowano mu dawać do ręki. Wysłano go więc do szpitala na obrzeżach jakiegoś przemysłowego miasta. Była to niewielka placówka mieszcząca się w jednopiętrowych budynkach.

Pojechał z drugim Niemcem, trzymał go pod rękę. Ale wstydził się tego człowieka, który tak nierówno powłóczył nogami, kiedy szli przez podwórze, że wyglądał jak pijany. Umieszczono ich w osobnych pokojach.

Frederickowi było bardzo przykro, że jest dla kogoś problemem. Lekarze nawet go nie zapytali, co wywołało ból jego dłoni. Starali się przemówić mu do rozsądku albo pozbyć się problemu na siłę. Rozwierali jego dłonie i rozciągali palce, zalecali ćwiczenia. Słuchał ich – zawsze starał się być posłuszny – ale po godzinie lub dwóch pięści na powrót się zamykały.

W szpitalu, jak się domyślił, sporządzili na jego temat mnóstwo notatek, po czym dali sobie z nim spokój. Odesłali go do pozostałych jeńców wojennych. Po jakimś czasie wszyscy trafiali w to samo miejsce. Dowiedział się, że znajdują się na północy Anglii, na wsi. Nie w mieście. Cieszył się z tego.

Z czasem zrozumiał, że jeśli nie chciał zwracać uwagi, powinien starać się rozluźniać palce. Gdyby lepiej opanował angielski, mógłby spróbować wyjaśnić. Ale znał ten język bardzo słabo, rozumiał zaledwie kilka słów. Teraz, kiedy znalazł się w obozie Catterick, próbował nauczyć się kolejnych.

Imię i stopień. Pułk. Kiedy przywieźli go na miejsce, powiedział, jak się

nazywa. Oficer, który zapisywał coś przy stole, podniósł wzrok.

– Frederick Wilhelm, tak? – spytał, po czym splunął na podłogę. – Jak cesarz Wilhelm.

Zapadł już zmrok, padało i wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni po podróży, angielscy strażnicy tak samo jak oni. Frederick czuł się jak część transportu bydła albo innego żywego inwentarza. Teraz rozumiał, co przeżywały krowy w jego gospodarstwie. Zastanawiał się, czy na jego twarzy widnieje ten sam wyraz znużenia i oszołomienia, który widywał, gdy jego rodzina wiozła bydło na targ. Miał wrażenie, że jest bezwartościowym zwierzęciem, wpychanym do ciężarówek, ustawianym w równym szeregu. Ciemność i deszcz – takie było jego pierwsze wrażenie z obozu dla jeńców wojennych.

Chciał powiedzieć, że przykro mu, że ma na imię Wilhelm. Sam nigdy za nim nie przepadał. Mogliby wykreślić je z akt, skoro tak strasznie im się nie podobało, przypominało o cesarzu. Nie protestowałyby. Ale oni nie dali mu dojść do słowa. Szybko coś zapisywali, po czym przechodzili do następnej osoby, a jego odpychali na bok. „Jestem z Holzminden” – chciał powiedzieć. Wydawało mu się to istotne. Miejsce, w którym się urodził. Ale oczywiście dla siedzącego przy stole oficera nie miało ono żadnego znaczenia. Tylko nazwisko i stopień. I pułk.

Kiedy zobaczył, że są tu małe wioski i gospodarstwa rolne, poczuł przytłaczającą tęsknotę. Na usta pchały mu się słowa we własnym języku: *Milch, Landwirt, Pferd*. Czy żyli tu ludzie podobni do niego? Może odesłani do domu żołnierze, ranni parobkowie, którzy nie mogli dalej walczyć? Którzy powrócili, bo ich dusze utonęły w bagnie?

Po przyjeździe wszystkich więźniów ustawiono w szeregu. Zastanawiali się, jakie prace będą wykonywać w Anglii. Zapewne katorżnicze. Może w kopalni. Na odpowiedź czekali całą noc. Większość z nich nie spała mimo ogromnego zmęczenia. Niepokój wygryzł Frederickowi bolesne miejsce w sercu. Całą noc słuchał, jak mężczyźni wokół wiercą się, stłoczeni na łózkach o żelaznych ramach. Deszcz bębnił w pofalowany blaszany dach.

Czy mogło być gorzej niż we Flandrii? Niż w Münster? Był tam rok wcześniej, czekał na transport na stacji kolejowej. Nadszedł transport z brytyjskimi jeńcami. Na peronie czekały dwie kobiety. Na widok wynoszonych z pociągu rannych jedna wybuchnęła płaczem, a druga splunęła w twarz stojącego najbliżej mężczyzny.

Nie mógł mieć jej tego za złe. Nie miałby pretensji do Brytyjki, gdyby zrobiła to samo. Noc ciągnęła się w nieskończoność. Martwił się, co się stanie, kiedy nadejdzie dzień. Wyobrażał sobie, że następnego ranka wygonią stąd wszystkich, głodnych i zmaltretowanych, i dokądś wywiozą. Czy Brytyjczycy strzelali do odmawiających pracy? Czy zabijali jeńców niezdolnych do pracy? Napiął w ciemnościach mięśnie dłoni, postarał się wyprostować palce. Pomyślał, że musi być w stanie coś nosić, wykonywać jakieś zadania. W ciemnościach panika zaczęła go niemal dusić. Czy umrze z głodu tutaj, między gospodarstwami, na zielonej wsi? Między wzgórzami, w tak bardzo znajomym krajobrazie?

Ale następnego dnia zaprowadzono ich do stołówki, dano herbatę, chleb i kwaśną margarynę, po czym ponownie zabrano na stacyjkę. Tam przez jakiś czas czekali, a potem pojechali do wioski. Mieli pracować przy budowie drogi. I chociaż deszcz zacinał, tworząc otaczającą ich mgiełkę, więźniowie czuli się dobrze. Zalała ich ulga i fala wspomnień. Od czasu do czasu przerywali pracę, gdy ogarniały ich jednocześnie żal i ukojenie. Tłumili westchnienia, ukrywali uczucia nawet przed tymi, którzy pracowali obok. Wycierali twarze, jakby pocili się, a nie płakali.

Tego dnia Frederick nauczył się nowych angielskich słówek, wśród nich „oczekiwanie” i „krew mnie zalewa”. Zrozumiał, że sierżant się przez nich denerwuje. Czyli „krew go zalewa”, jak stwierdził. „Krew mnie przez was zalewa, wy...” Bo Frederick zbyt wolno szedł w szeregu, upuścił młot, który wepchnięto mu w dłonie. Resztę zdania sierżanta rozumiał doskonale. Tak... „Pieprzeni Niemcy” – to już znał.

I wiedział, co znaczy *mother* – matka. Odkrył to w dziwnej, pamiętnej chwili. Niewiele różniło się ono od niemieckiego słowa. *Mutter* i *mother*. Wskazywało na anglosaskie korzenie obydwu języków, wspólną krew, z której setki lat temu powstały obydwie armie. Sasowie, Anglowie i Jutowie. W głębi trzewi wszyscy byli tacy sami.

Tak... *mother*. Pewnego styczniowego dnia we Francji, w 1916 roku, zajął się wykonywaniem zadania, które nie należało do jego obowiązków. Dowódca jednak nalegał, używając arsenału krzyków i uderzeń. Frederick miał towarzyszyć misjonarzowi oddelegowanemu na linię frontu.

Padał śnieg. Poprzedniego dnia Brytyjczycy przebili się do przodu i zaraz potem zostali zmuszeni do odwrotu. Wszędzie leżeli martwi i ranni. Swoi i wrogowie. Natknęli się na Brytyjczyka, zaledwie chłopca, siedemnasto-

może osiemnastoletniego. Położyli go na desce i czekali na konie, które miały zabrać rannych. Wybrali drewno, bo wyglądało na to, że chłopiec ma złamany kręgosłup. Misjonarz czytał Biblię. Frederick przez cały czas widział, jak oczy chłopca przesuwają się z Biblii na misjonarza i z powrotem, a potem na niego. Od czasu do czasu młody żołnierz wyrzucał z siebie potok słów. Początkowo z wściekłością, ale kilka ostatnich było znacznie cichszych. Wreszcie powiedział: *mother*. Wilhelm wiedział, że to znaczy „matka”.

Chłopiec nie mówił z płaczem. Raczej z zachwytem. Jego twarz rozświetlił zdumiony uśmiech, jakby widział coś, czego inni nie dostrzegali. Frederick często o tym myślał.

Teraz zdrzemnął się trochę, opierając ukradkiem głowę o żelazny pręt podtrzymujący dach stacji. Przychodzili tu każdego ranka, grupą około trzydziestu osób. Jechali wzdłuż niewielkiej linii kolejowej, która przecinała podwórko obozu i ciągnęła się wzdłuż rzeki. Wsiadali tuż przed granicą niewielkiej wioski. Droga, którą kładli między tą miejscowością a następną, wiodła obok niewielkiego, uroczego kościoła z dużą drewnianą bramą zwieńczoną daszkiem. Dziwnie ją nazywali. Nauczył się. *Lych gate* – zadaszona brama cmentarna. Zapytał o nią zaledwie dzień wcześniej.

– Po co chcesz wiedzieć, frycu?

– Jestem ciekawy. Jest dobra... ładna.

– Ładna? Gadaj, macie tam u was kościoły?

Gott ein... czy tak właśnie powiedział mężczyzna? Z pewnością nie. To nie miało sensu. „Gadaj”. Może o to chodziło. Mimo wszystko nie rozumiał pytania. Strażnik się roześmiał.

– Kościół. Wiesz, co to kościół?

Wiedział. *Kinder, Kuche, Kirche* – brzmiała litania *Hausfrau*, porządnej Niemki. Z dobrej, niemieckiej rodziny. Nie odezwał się. Nie odpowiedział. Uśmiechnął się.

– Nic nie rozumiesz – stwierdził strażnik, radośnie i triumfalnie.

Anglicy byli dziwni. Znieważali człowieka bez złości.

Spróbował ponownie mniej więcej godzinę później, kiedy pozwolono im na odpoczynek. Dostali wodę i siedzieli przy drodze, na skraju pastwiska, przy tym samym kościele. Ponownie wskazał na bramę.

– Nazywa?

– Co? Zadaszona brama?

– Tak, proszę. Dziękuję.

Zadaszona brama, zadaszona brama.

Lubił przebywać poza obozem. Byli chyba daleko od wszystkiego, od portów i miast. Gdyby ktoś próbował biec, uciekać, musiałyby iść przez wiele mil. W dodatku po górzystym terenie. Widział wzgórza rozciągające się we wszystkich kierunkach. Domy stały daleko od siebie. Samotny człowiek zostałby błyskawicznie złapany.

Zresztą i tak nie chciał wracać. W każdym razie nie bardzo. Jego tata zmarł wiele lat wcześniej, a matka i Matthau prowadzili rodzinne gospodarstwo. Był ukochanym dzieckiem ojca. Czuł, że po powrocie niewiele by go czekało.

„Może się mylę” – pomyślał.

Może matka za nim płakała...

Pod koniec dnia pociąg po nich wracał. Przypominał mechaniczną zabawkę jeżdżącą w tę i z powrotem wzdłuż pojedynczego toru. Dziennie robił sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt kursów. Otwarte wagony służyły do przewożenia więźniów. W zamkniętych często transportowano rannych do wojskowego szpitala na terenie obozu.

W szpitalu stało ponad siedemset łóżek, mimo że nie był to żaden duży, porządny, murowany budynek, tylko setki chatki skleconych w połowie z cegły, a w połowie z blachy. Frederick współczuł leżącym w nich mężczyznom. W prowizorycznych domkach było zimno – wiedział, bo nosił tam czasem węgiel do dużych, brzuchatych piecyków. Pielęgniarki lubili otwierać okna, żeby zmniejszyć ryzyko infekcji, przewietrzyć oraz usunąć dym i pył. Kiedy nosił węgiel do składzików obok budynków, koszy przylegających do zewnętrznych ścian, słyszał skrzypienie metalowych łóżek na linoleum i szybkie kroki pokojówek.

Miał szczęście, że nie został ranny. Tylko te ręce...

Frederick Reinhardt zamknął oczy i pomyślał: „Teraz jest kwiecień”. Kwiecień. Miesiąc rozkwitu. Miesiąc zielonych liści.

April – kwiecień. W angielskim i niemieckim to samo słowo.

*

Cztery dni po weselu Charlotte William i Louisa wrócili do Rutherford.

William wynajął w Yorku taksówkę, bo pociągi rzadko jeździły zgodnie z rozkładem. Nie rozmawiał z kierowcą. Zmęczyły go towarzyskie pogawędki. Marzył o własnym łóżku. Louisa również sprawiała wrażenie głęboko zatopionej w myślach. Lord Cavendish zastanawiał się, czy to dlatego, że Charlotte wyszła za mąż, mimo że Louisa była starsza. Jednak nie wiedział, jak ją o to zapytać. Córka wyglądała przez okno. Gdy zauważyła jego spojrzenie, natychmiast się uśmiechnęła, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że za tym uśmiechem kryje się tajemnica, coś, czego nie chciała mu zdradzić.

Wreszcie wzięła go za rękę, podczas gdy taksówka pędziła przez pogrążającą się w ciemnościach wieś.

– Dobrze się czujesz, ojcze?

– Tak, doskonale.

– Nie możesz się doczekać powrotu do domu?

– Rzeczywiście. A ty jak planujesz spędzić tydzień?

– Obiecałam Dorze Henistbury-Falle, że pomogę przy organizowaniu towarzyskiej aukcji, dzięki której zbierzemy pieniądze na paczki żywnościowe dla pułków w Yorkshire. Wiesz, czekolada, ubrania i temu podobne rzeczy.

– Ach, tak.

– A ty, ojcze?

– Wybieram się na lunch do lorda porucznika. Spotkam się też z zarządcą ziem w sprawie pracowników na farmach. Będę zajęty.

Louisa skinęła głową i oparła twarz na dłoni. Po kilku minutach zamknęła oczy. William wciąż patrzył na nią w mroku, wdzięczny, że jest z nim, a nie z matką. Ogromnie się zmieniła. Zawsze uwielbiała przyjęcia, ale po tym, jak Charles de Montfort ją porzucił, wydawało się, że całkowicie straciła potrzebę życia towarzyskiego. William lubił tę młodą kobietę, która została z nim i wzięła na siebie sporą część obowiązków związanych z prowadzeniem Rutherford. Podobał mu się jej spokój, rosnąca roztropność. Dojrzałość sprawiała, że w jego oczach zyskiwała na atrakcyjności. Oczywiście wciąż miała jasną karnację, szeroko rozstawione niebieskie oczy, szczupłą i zwinną sylwetkę – wyglądała jak Louisa, poruszała się jak Louisa, ale pod żadnym innym względem nią nie była. Jego ukochane dziecko stało się lepszą wersją siebie.

Wydawała się zadowolona, mimo że w północnych dolinach Yorkshire

oboje byli odcięci od świata. Raz czy dwa zapytał ją, czy chciałaby, żeby w domu pojawili się młodzi ludzie; sugerował, by o to zadbała. I rzeczywiście, Louisa organizowała latem herbatki przy tenisie, a zimą małe przyjęcia z tańcami dla przyjaciół. Było radośnie, nie brakowało towarzystwa. Jednak William wciąż nie mógł pozbyć się wrażenia, że jakaś część osobowości jego córki – ważna, osobista – pozostawała w izolacji od codziennego życia.

Tuż przed poprzednim Bożym Narodzeniem zapytał ją, czy istnieje ktoś wyjątkowy, kogo chciałaby zaprosić na obiad. Wymieniła imię przyjaciółki. Ale nie mężczyzny. Zrobił na ten temat uwagę.

– Nie brakuje mi miłości – odparła. – Jest Sessy... i ty.

Pochlebiało mu to. Chociaż nieczęsto wspominał o miłości. Właściwie uważał, że nie należy w ogóle wymawiać tego słowa. Oczywiście kochał swoją córkę, a ona jego. Widać też było, że Louisa uwielbia małą Sessy, córkę Harry’ego z przelotnego związku sprzed trzech lat.

Mimo wszystko miał nadzieję, że Louisa nie zamierza zostać starą panną w Rutherford. Nie chciał, żeby została tu sama.

Zbyt dobrze wiedział, jak to jest.

*

Kiedy taksówka skręciła w olbrzymią bramę parku, William poczuł ulgę. Uwolnił się od pyłu i brudu stolicy, które zdawały się wdzierać nawet w jego myśli. Wkrótce w zasięgu wzroku pojawił się dom. Lord Cavendish poczuł przesadną dumę, jak zawsze.

Rutherford było uroczym miejscem, utrzymanym w stonowanych barwach. Ciemna terakota lśniła po deszczu. Budynek z dwoma rozłożystymi skrzydłami: wschodnim i zachodnim, otaczały ogrody. Wysoko na dachu pobrzmiwały echa średniowiecznej przeszłości w postaci tuzina skręconych kominów. Na tyłach głównego gmachu migoczące światła zdradzały obecność domków należących do głównego ogrodnika Marcha oraz stajennego Armitage’a i jego rodziny. Za wysokimi, porośniętymi powojnikami ścianami kuchennego ogrodu niemal ukrywały leniwe spirale dymu unoszące się z kominów budynków za stajniami.

William wziął głęboki wdech. Przepęniała go wdzięczność. Panowały tu

spokój i cisza. Za każdym razem, gdy wracał do domu, zaskakiwało go, jak bardzo potrzebuje tego poczucia bezpieczeństwa. W Londynie niemal czuł wojnę stukającą do bram. Czasami, w wyjątkowo spokojne dni, słysząc było odległy huk armat we Francji.

Ale w Rutherford nic mu nie groziło, przynajmniej na razie. Popatrzył na ciepłe światła w oknach salonu. Małżeństwo z Octavią uratowało dom, niegdyś popadający w ruinę z braku pieniędzy. Bogactwo wróciło do Rutherford za sprawą zysków z przedzalni, które wniosła w posagu, i to właśnie ona zmieniła ruinę o chylących się ścianach i przegniłych oknach w wygodny, piękny pałac.

Ogromne drzwi z czasów Tudorów otworzyły się, kiedy taksówka podjechała pod frontowe schody. Kamerdyner Williama, Bradfield, ustawił w powitalnym szyku tę garstkę służby, która im została. Kiedyś byłby pomiędzy nimi lokaj Harrison. Przez moment Williamowi zdawało się, że widzi w cieniu jego wysoką, smukłą sylwetkę. Ale oczywiście tak nie mogło być. Harrison zginął w bitwie pod La Quinque Rue w 1915 roku. Został pochowany – gdzie? Prawdę mówiąc, William nie miał pojęcia. Może podadzą mu tę informację, kiedy piekło wreszcie się skończy. Czuł, że to niewłaściwe. Harrison powinien móc wrócić do domu i odpocząć. Ale cóż można było zrobić? Nie wypadało nalegać. Ze względów praktycznych zaniechano transportu ciał. Było ich zbyt wiele, odprawiono mnóstwo szybkich pogrzebów. Dwóch ogrodników z Rutherford też nie wróciło, stali się częścią tej „obcej ziemi, co będzie zawsze Anglią”^[1] – jak pisał młody poeta, który sam został pochowany w Grecji.

Drzwi taksówki otworzyły się. Louisa natychmiast się obudziła i z uśmiechem wyskoczyła z samochodu. Mary i Jenny, pokojówki, dygnęły przed nią.

– Jak się wszyscy mamy? – usłyszał pytanie córki.

Bradfield płacił kierowcy. William owinał się płaszczem i na moment opuścił wzrok.

Cóż, Anglia. Można by sądzić, że o nią właśnie walczyli, o swój kraj, sposób życia. Kiedyś w to nie wątpił, w czasach, gdy był prawą ręką Greya, a premier obdarzał go zaufaniem i dzielił się z nim poufnymi informacjami. „Światła gasną w całej Europie” – mruknął Grey pewnego wieczoru przed wybuchem wojny, obserwując ulicznego latarnika z okien swojego biura w Whitehall.

Żaden z nich nie domyślał się, jak wiele światel zgaśnie.

*

Szeroko uśmiechnięta Louisa przemknęła obok witającej ich służby. Kiwała głową w odpowiedzi na pytania. Przebiegła cały hol z czasów Tudorów, do wnętrza domu.

Jej kroki niosły się echem, kiedy skręciła i weszła do gabinetu ojca i biblioteki. Przemierzyła szybko pomieszczenie i otworzyła drzwi do oranżerii. Na moment zatrzymała się i pomyślała o Charlotte. Kochana Charlotte... Oby siostra była szczęśliwa. Siedziały tu setki, może nawet tysiące razy. Zimą ciągle się tutaj bawiły. Harry dołączał do nich i wspólnie urządzali zabawę w chowanego między palmami w donicach i brzoskwińowymi i cytrynowymi drzewkami, aż ich niania albo przerażająca pani Jocelyn przychodziły, żeby przegonić ich z sanktuarium ojca. „Wasz tata jest zajęty” – słyszeli zawsze. „Nie możecie hałasować, to go denerwuje”.

Wtedy tak bardzo bali się ojca – odległego i groźnego jak bóstwo zamieszkujące wypełnioną książkami górę Olimp. Wydawał im się wspaniały. Pozwalano im go widywać tylko przez moment przy śniadaniu i przez pół godziny przed kolacją. Dopiero w zeszłym roku Louisa zaczęła postrzegać ojca jak żywą istotę ludzką. Po zawale i rezygnacji z funkcji publicznych skurczył się do bardziej przystępnych rozmiarów. Oczywiście wciąż krzyczał. Wciąż siał postrach na swojej ziemi, wprowadzając takie czy inne usprawnienia. Jeździł do Yorku i swoich klubów. Miał swoje strzelby, polowania, spotkania. Ale stał się łagodniejszy. Spokojniejszy. I zdecydowanie więcej czasu spędzał na przemyśleniach, chociaż jej się z nich nie zwierzał.

Jak kurczowo ona i Charlotte trzymały się w dzieciństwie matki! Octavia była znacznie bardziej namacalna i kochająca. W jednym ze swoich pierwszych wspomnień Louisa chowała twarz w długą i obszerną suknię matki, gdy ta głaskała jej włosy. Boże, jak pięknie pachniały te atłasy, jedwabie i krepy! Delikatnie, konwaliami. I francuskimi perfumami. Zawsze czymś lekkim i aromatycznym, jakby kwiatami. Gdyby Louisa zamknęła teraz oczy, mogłaby błyskawicznie przywołać zapach Octavii.

Matka często ich odwiedzała, ale to nie było to samo. Gdy przed rokiem uciekła z Johnem Gouldem, Louisa i Charlotte musiały same rozwikłać zagadkę sekretnego romansu matki. W końcu wszystkie elementy łamigłówek znalazły się na swoich miejscach – przedłużona wizyta Goulda w trakcie ich pobytu w Londynie po debiucie Louisy na dworze, pełne zamyślenia milczenie panujące w domu przez całą następną zimę. Skrępowanie w relacjach między rodzicami. Gdy Gould ponownie zjawił się w Rutherford, łuski opadły im z oczu. Po powrocie Amerykanina nastąpiło ogromne poruszenie – krzyki rodziców, ciche sceny, łzy. Następnej nocy po wyjeździe matki i Goulda Louisa natknęła się na ojca. Przemierzał tudorski hol w tę i z powrotem we wczesnych godzinach poranka. Wyglądał, jakby został napadnięty lub ranny – na jego twarzy malowało się wściekłe oszołomienie. Kiedy Louisa zorientowała się, że to odgłos jego kroków, zbiegła po schodach, wzięła go pod ramię i zaprowadziła z powrotem do sypialni. Odmówił położenia się do łóżka, więc siedzieli na krzesłach naprzeciwko siebie aż do świtu.

Wzięła głęboki wdech. Zmiana zalała Rutherford jak fala przypiływu, wurywając ich z korzeniami. Odcisnęła piętno nawet na jej życiu...

Nagle, ponownie zelektryzowana, pobiegła w stronę drzwi oranżerii i wyszła do ogrodu. Ruszyła w dół ceglana ścieżką, pod ogłowionymi lipami, do drzwi w murze, które prowadziły do ogrodów kuchennych.

Pospieszyła między zadbanymi rządkami, inspektami na arbuzy i melony, wzdłuż klatek, w których za kilka tygodni plon dadzą truskawki i maliny. Wdychała cierpki zapach liści o zmroku. Kilka kolejnych kroków i znalazła się przy następnej furtce, za którą znajdowało się podwórze stajni.

Tutaj znów się zatrzymała. Popatrzyła na stojący po drugiej stronie placu dom Armitage'ów. Naprawdę nie powinna przeszkadzać. Ani w ogóle tu przychodzić.

Ale jak na zawołanie drzwi domku się otworzyły. Przez chwilę w świetle padającym z wnętrza stał Josiah Armitage. Potem zamknął za sobą drzwi i ruszył ścieżką przez podwórze. Odrobinę powłóczył nogami. Miał ponad siedemdziesiąt lat. Wyśłanie do służb weterynaryjnych we Francji jedyne go syna, Jacka, coś w nim złamało. Wyglądał na swój wiek.

Zauważył ją dopiero, gdy znalazł się bardzo blisko.

– Och, panna Louisa. Witamy w domu. – Dotknął końcem palców czoła w miejscu, gdzie normalnie znajdowałby się daszek jego czapki.

– Witaj, Armitage. Jak się pan ma?

– Cóż, tak dobrze, jak można się spodziewać.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Louisa czuła, że serce tłucze jej się w piersi. Twarz jej poczerwieniała, ale miała nadzieję, że stajenny tego nie zauważył.

– Zastanawiałam się... – zaczęła. I znów zamilkła. Odchrząknęła. – I... jak się ma pani Armitage?

Stary mężczyzna uśmiechnął się powoli.

– Czeka. Jak my wszyscy.

Armitage, jak większość mieszkańców Yorkshire z jego pokolenia, był raczej małomówny.

Louisa zagryzła wargę. Nie wiedziała, co teraz powiedzieć.

W końcu Armitage oszczędził jej dalszego zakłopotania i nerwów. Wyłowił z kieszeni cienką kopertę.

– Niech panienka nie ma mi za złe – mruknął. – Dziwnie być posłańcem. Źle się z tym czuję.

Wzięła list, podpisany charakterem pisma Jacka.

– Dziękuję – odparła.

Znów chwilę milczeli. Chciała powiedzieć ojcu Jacka, że nic nie jest takie, jak się wydaje. W ich korespondencji nie ma nic niestosownego, jej ojciec nie ma nic przeciwko temu, że trzyma takie listy z dala od domu ani że musi się przemykać przez kwatery służby, żeby odebrać korespondencję. Chciała powiedzieć, że to wszystko nie ma znaczenia, jest tylko nieszkodliwą rozrywką.

Ale oczywiście to nie byłaby prawda.

Oboje o tym wiedzieli.

*

W Catterick cisza aż dzwoniła.

Tej nocy po cieplejszym dniu przyszła burza, niespodziewana przy tej pogodzie, bo dzień trudno było nazwać letnim, chociaż temperatura stała się odrobinę bardziej znośna. Chmury pędziły po niebie jak szybkie, szare grzywacze po spienionym morzu, sprowadzając ciemności. Mimo wszystko nawałnica nadeszła, a błyskawice rozświetliły ponure podwórze między

koszarami. Frederick nie wiedział, co się dzieje w umysłach pozostałych mężczyzn, ale mógł się domyślać. Pioruny przypominały strzały z artylerii. Kiedy nadchodziła burza, czuło się w kościach jej wibracje, tak samo jak na froncie.

Przeszła w ciągu godziny. Barak przypominał kostnicę, w której setka mężczyzn leży bezsennie i bez ruchu, zatopiona we wspomnieniach. Pomiędzy łózkami przechadzały się zjawy. Duchy, których nie chcieli widzieć ani o nich myśleć.

Musiał zasnąć nad ranem. We śnie znalazł się na polu koło domu. Patrzył na gospodarstwo. Położył się w trawie i zakrył oczy palcami, tak jak to robił w dzieciństwie. Rozstawił je, dzięki czemu mógł dostrzec budynki farmy pomiędzy żdźbłami trawy.

Był raczej zwyczajnym dzieckiem. Lubił rozrabiać z chłopakami w szkole i z trudem znosił lekcje. Niewiele rozumiał, ale pragnął zadowolić nauczyciela. Z trudem brnął przez historię Karola Wielkiego i Teutonów, uczył się nazw wszystkich niemieckich rzek i głowił nad podstawami łaciny. Lubił matematykę. I botanikę. Ale to nie był męski przedmiot.

Mimo wszystko nauczył się nazw wszystkich owadów na farmie i rysował je. Jego brat łapał motyle i przyszpilał je do kartki, wciąż trzepoczące, ale on nie potrafił się do tego zmusić. Lubił zbierać owady do pudełek od zapalek. Raz złapał pająka z czarno-białym wzorem na plecach. Innym razem biedronki. Trzymał je blisko twarzy i zachwycał się głębią koloru ich skrzydełek. Kiedy w końcu odsłaniały szkarłatne pokrywy przypominające części zbroi, obserwował z fascynacją skomplikowaną czarną koronkę, dzięki której mogły latać. Uwielbiał delikatny puszek na skrzydłach motyli. Leżał na plecach i pozwalał im chodzić po swoich dłoniach i ramionach. Pracowicie posuwały się do przodu, a słońce oświetlało je z całą mocą. Teraz, we śnie, czuł w dłoni pudełko od zapalek, takie samo jak tamto, w którym trzymał swoje skarby. Delikatnie podważył wieczko.

Było pełne wszy.

Nie czuł zaskoczenia ani wstrętu. Wojna pozbawiła go tych uczuć. Wszy były faktem. Częścią świata, do którego został powołany. To nie ich wina, że olbrzymia liczba ludzkich istot nagle zaczęła żyć w paskudnych warunkach. Przyglądał się stworzeniom w głębi pudełka, nie większym niż ziarnko ryżu, ponownie czując wywoływane przez nie nieznośne swędzenie.

Przez cały ten czas, kiedy walczył, ani razu się nie kąpał ani nie przebierał. Wszy nieustająco mu towarzyszyły, tak samo nieustępliwe jak huk, strach i drżenie artylerii.

Znów spojrzał na swoje dłonie. Światło zniknęło z jego snu. Przez środek pola widzenia przebiegała pojedyncza linia. Nad nią wszystko było granatowe, a pod spodem – czarne. Słyszał szept, rozkaz, że musi iść w granatową ciemność. Miał kucnąć i wymacać drogę prowadzącą do stanowiska broni maszynowej. Właśnie minęła trzecia nad ranem i wiedział, że szepczący do niego mężczyzna się zgubił. Zabłądził w meandrach swojego umysłu, zwariował. Ale był jego przełożonym.

Frederick wstał i przygarbiony ruszył przez błoto.

Po drodze zobaczył odbicie kawałka metalu, dziwne, zniekształcone w cuchnącej ziemi. Ciemność była dusząca i zimna, ciężka jak błoto, pełna jego wyziewów. Próbował dostrzec, co to za metal – niewybuch, broń, odłamek? Spojrzał na niego, zdumiony widniejącymi w mroku literami. „Śliwkowo-jabłkowy dżem Crosse & Blackwell”. Całkowita pospolitość tego znaleziska zrobiła na nim ogromne wrażenie. Zachciało mu się płakać.

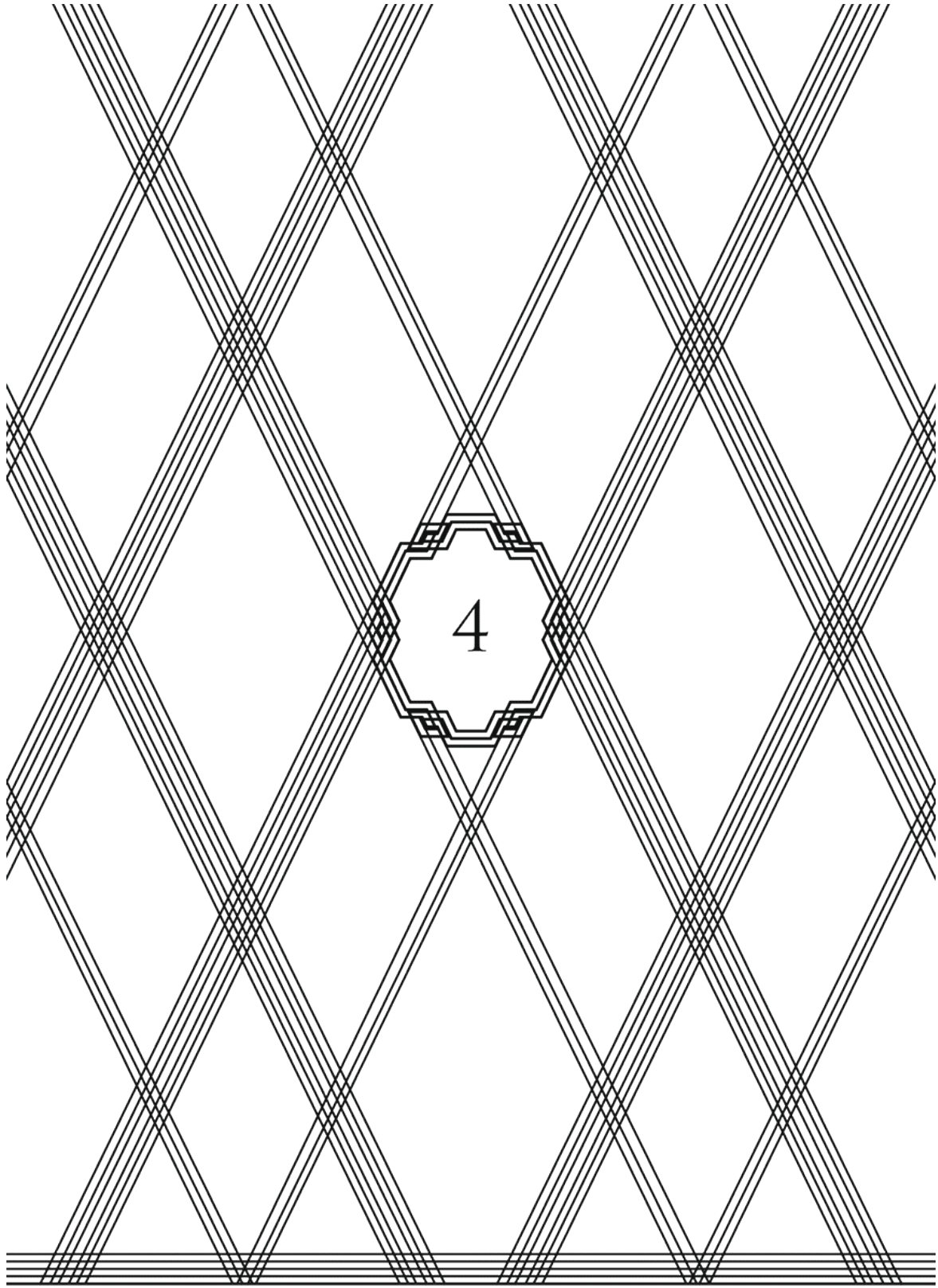
Ale obecność puszek oznaczała, że znalazł się w pobliżu Brytyjczyków. Oni je wyrzucali. Widział przez peryskop, jak wyrzucali też suchary. Herbatniki tak twarde, że nikt nie mógł ich zjeść. Wątpił, by Brytyjczycy byli równie głodni jak oni. Zapomniał, jak smakuje prawdziwe jedzenie, więc widok tej puszek, myśl o tym, że gdzieś w błocie mogło leżeć wyrzucone jedzenie...

Zdekoncentrował się i wtedy wszystko się zaczęło.

Był pod Pilkem^[2].

1 Fragment wiersza Ruperta Brooke'a *Żołnierz* w przekładzie Aleksandra Messinga (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Bitwa pod Pilkem (31 lipca–2 sierpnia 1917) – początkowa faza trzeciej bitwy pod Ypres (zwanej też bitwą pod Passchendaele), jednej z najkrwawszych w trakcie I wojny światowej. Stoczona w niezwykle trudnych warunkach terenowych – na bagnistym terenie i przy załamaniu pogody.



Była ósma wieczorem i zrobiło się ciemno, zanim Charlotte i Michael znaleźli się w Dorset. Pojechali pociągiem do Sherborne, a stamtąd taksówką do domku, który wynajęli od ciotki Michaela. On sam nie chciał zatrzymać się w hotelu, „żeby się na niego nie gapili”, jak to ujął. Charlotte nie wiedziała, jak to możliwe, że jej mąż wyczuwa cudze spojrzenia, i kiedyś powiedziała to na głos. Uśmiechnął się do niej krzywo. „W pokoju robi się bardzo cicho” – wyjaśnił. „Słyszeć coś w rodzaju szmeru. Zainteresowania. Litości. Nie mogę tego znieść”.

Kiedy pociąg zbliżał się do wiejskiej stacyjki, zapytała o ciotkę.

– Obawiam się, że będziemy musieli złożyć jej wizytę, chociaż jest kompletnie szalona – westchnął. – Mieszka niedaleko, w wiosce.

Miesiąc wcześniej, kiedy kończyli przygotowania do wyjazdu, Charlotte spytała, czy to duża miejscowość. Miała nadzieję, że nie.

– To miła, mała wieś. Mieszkańcy są bardzo przyjaźni – brzmiała odpowiedź Michaela.

Kiedy opowiedziała o tym Louisie, siostra tylko się roześmiała.

– Nie widzę problemu! – wykrzyknęła. – Jeśli nie chcesz gości, zarygluj bramę.

– To nie Rutherford, tylko mały domek – odparła Charlotte. – Nie sądzę, żeby ktokolwiek zamykał tam bramy. Pewnie mieszkańcy raczej stają przy płocie, żeby pogadać. Co ja im powiem? Nie chcę być tematem rozmów. Wiesz, panna młoda i tak dalej. To byłoby kłopotliwe.

– Chyba nie będziesz miała problemu z pogawędkami – zauważyła Louisa. – Przecież rozmowy z różnymi ludźmi to dla ciebie chleb powszedni. W szpitalu i tak dalej.

Charlotte zrobiła zdziwioną minę.

– Może to będzie dla ciebie odkrycie, ale ja nie plotkuję. Siostry by mnie za to zastrzeliły.

– Strzelające pielęgniarki... Tobi się chyba miało z celem? – odcięła się Louisa.

Wybrały się na herbatkę do Claridge – rzadka, popołudniowa przyjemność w wolnym dniu Charlotte. Nie potrafiła wyjaśnić nawet Louisie, dlaczego miała złe przeczucia w kwestii spędzania całego czasu w towarzystwie Michaela. Zresztą pomyślała, że byłoby nietaktem dzielenie się podobnymi obawami z siostrą, która trzy lata wcześniej została w spektakularny sposób porzucona.

Spojrzała ukradkiem na Louisę, kiedy siostra odwróciła głowę. Dziwne... ani trochę nie wyglądała na starą pannę. Właściwie wydawała się szczęśliwa. Kto by pomyślał? Towarzyska trzpiotka Louisa, szczęśliwa z ojcem w domu w Yorkshire. Ależ się wszyscy pozmieniali. Jakby jechali na groteskowej karuzeli.

Michael w ogóle nie chciał rozmawiać o ich małżeństwie – nie o tym, kim Charlotte powinna być albo czym się zajmować. Przyjmował do wiadomości, że wciąż chciała pracować w St Dunstan's, ale dał jej do zrozumienia, że z czasem przestanie to być stosowne. Przypuszczała, że „z czasem” oznacza „kiedy zajdzie w ciążę”. „Będzie z ciebie pierwszorzędną żonka i pomocnica” – powiedział. „Wszyscy będą cię kochali. Będziemy bardzo szczęśliwi”.

Szczęście. Człowiek pragnął go jak powietrza, niemal jakby mu się należało. Ale ona nie szukała tego rodzaju szczęścia, które, jak podejrzewała, opisywał Michael – udomowienia, zapewnionego przez cztery ściany poczucia bezpieczeństwa.

– Będziemy przeżywali przygody, prawda? – spytała.

– Mnóstwo – zapewnił ją. – Chociaż przygody bywają przereklamowane, kochanie.

On przeżył już swoją tak zwaną przygodę. Zaciągnął się w pierwszych tygodniach wojny, która miała „skończyć się przed Gwiazdką” i te wszystkie brednie. Pakował się z radością, jak tysiące innych. Tyle jej opowiedział. Był już wtedy zawodowym żołnierzem, oficerem Królewskiej Artylerii Polowej.

– W 1914 roku wszyscy chcieliśmy walczyć – mówił. – Niecierpliwiliśmy się. Naprawdę się martwiliśmy.

Wspominał tę historię z gorzkim uśmiechem, który zwykle mu towarzyszył. Kiedy o nim myślała, przypominała sobie to pokręcone

poczucie humoru. Nigdy nie myślała natomiast o jego ślepcie ani o bliźnie w kształcie gwiazdy, która przecinała mu skroń i jedną stronę czoła białymi liniami.

Siedząc teraz w pociągu, pochyliła się w fotelu.

– Co robi pogoda? – spytał.

– Deszcz próbuje padać – odparła.

– Wkrótce miniemy Salisbury.

– Tak.

– Opisz mi je.

Robiła podobne rzeczy tylko wtedy, gdy ją o to poprosił. Nie chciała na bieżąco komentować życia, opowiadać o ludzkim korowodzie. Michael miał własne poglądy, i to mocno ugruntowane. Potrafił być niecierpliwy. Dobrze to rozumiała.

– Doskonale pamiętam ten region – powiedział, kiedy przerwała opisywanie krajobrazu, małych miasteczek i wsi. – Trenowałem tutaj...

Równina Salisbury została wykupiona przez armię. Wkrótce falujące morza traw i kredowe wzniesienia miały stać się terenem ćwiczeń wojskowych zamiast domem dla skowronków, z których dotychczas były znane. Charlotte przycisnęła twarz do szyby.

– Będziemy mijać Stonehenge?

– Nie pociągiem.

– Amesbury? – Czytała o prehistorycznych monumentach.

– Nie.

– Zwiedzałeś je?

– A po co?

– Chciałabym je zobaczyć. Możemy wynająć samochód któregoś dnia?

Roześmiał się krótko.

– Mam ci zaufać, że mnie gdziekolwiek dowieziesz?

– Bardzo dobrze prowadzę – zaprotestowała.

– Skoro tak twierdzisz.

Oparła się z powrotem o siedzenie.

– Cóż, w takim razie sama pojedę zobaczyć Stonehenge, skoro twoim zdaniem jestem tak beznadziejna.

– Nigdzie się beze mnie nie ruszysz – mruknął. – To rozkaz.

Taksówka zabrała ich ze stacji Sherborne i powiozła krętymi drogami północnego Dorset. Najpierw wtoczyli się na szczyt długiego wzgórza,

potem skręcili na wschód. Przez mokre szyby prawie nic nie widzieli. Kierowca był gadatliwy, paplał o wojnie i o swoim bracie na Bliskim Wschodzie.

– Masy parszywych pcheł! – stwierdził radośnie. – To go dobija. Czterdziestostopniowy upał i gryzące pchły.

– Nie bierze udziału w walkach? – spytał Michael.

– Och, walczył nie raz. Słyszał pan o Al-Kut, sir?

– W Mezopotamii?

– Właśnie tam, sir. – Taksówkarz westchnął ciężko. – Nie wiedzieliśmy, co to za kraj. Kto w ogóle słyszał o ich miejscach? – Jego akcent z Dorset był niemal niezrozumiały. – Cholerni Osmanowie próbują ich pozabijać. I tyle zamiast „dziękuję”.

– Mezopotamia to kolebka cywilizacji – oznajmiła Charlotte.

– Naprawdę? – zdziwił się taksówkarz. – To mi pani zabiła ćwieka. Zawsze myślałem, że Jej Wysokość. Dobra, stara Anglia, rozumie pani? Co ci Murzyni by bez nas zrobili?

– Mezopotamia nie leży w Afryce.

– Poważnie? A to nowość. Ale jego żonka chciałaby wiedzieć, co my tam w ogóle robimy.

Charlotte miała odpowiedź na końcu języka. Śledziła doniesienia z frontu od pierwszego dnia wojny. „Jesteśmy tam, bo dostrzegliśmy szansę na powiększenie imperium” – chciała powiedzieć. „Potępiamy cesarza, ale sami to robimy. Chcemy uratować Mezopotamię od siebie samej, przerobić ją na naszą modłę”. Widziała zdjęcie nowej flagi Ligi Arabskiej i dumnych żołnierzy piechoty, którzy ją trzymali. Podpis pod zdjęciem w gazecie brzmiał: „Nasi dzielni chłopcy wspierają powstanie arabskie”.

Nie wątpiła, że chłopcy są dzielni. Każdego dnia widziała dowody ich odwagi i hartu ducha. Jednocześnie nie sądziła, by jej kraj działał z pobudek altruistycznych. Wspomniała kiedyś o tym w rozmowie z matką i Gouldem. Octavia się zdziwiła.

– Nie mów podobnych rzeczy przy ojcu – poprosiła. – Uzna cię za komunistkę.

Charlotte nie rozmawiała zatem z nikim więcej na ten temat. Nawet z Michaelem. Teraz też się nie odezwała. Może rzeczywiście była lekkomyślną małą rewolucjonistką. Ta myśl bardzo jej się spodobała.

Taksówkarz wysadził ich na końcu wąskiej ścieżki. Wokół panowała

atramentowa ciemność, deszcz kapał z gałęzi drzew nad ich głowami.

– Kolacja powinna na nas czekać. Widzisz światło? Lampę? – spytał Michael. – Nie ma tu elektryczności. Jeszcze nie dotarła w te strony.

– Widzę oświetlone okno i werandę – powiedziała Charlotte.

Wzięła go pod rękę, tylko odrobinę prowadząc. Bądź co bądź, był bardziej niż ona przyzwyczajony do ciemności. Kiedy znaleźli się bliżej, Charlotte dostrzegła, że „chatka” jest w rzeczywistości sporym domem z niskim, krytym strzechą dachem. Na parapecie jednego ze skrzynkowych okien postawiono oliwną lampę. Michael wyjął klucz z kieszeni płaszcza.

– To do drzwi frontowych. Przysłano go wraz z wieloma instrukcjami, nakazującymi cierpliwość przy otwieraniu zamka.

W końcu udało im się otworzyć. Hol okazał się zaskakująco przepastny. Po lewej stronie wznosiły się w górę schody. Charlotte wzięła lampę z werandy i ruszyła przed siebie.

– Wydaje mi się, że do saloniku trzeba iść prosto – pokierował ją Michael. – Nie byłem tu od dzieciństwa.

Miał rację. Na stole stała kolacja na zimno – kanapki zawinięte w woskowany papier i ciasto śliwkowe pod dużą muślinową kopułą. Do rączki przykrywki ktoś przywiązał kwitnące gałązki jabłoni.

– Och, jak uroczo – zachwyciła się Charlotte.

– Codziennie ktoś będzie tu przychodzić – oznajmił Michael. – Nie musisz robić za pokojówkę. Wystarczy, że obsługujesz innych w szpitalu.

Zdjął płaszczy.

– Zjrzyj do walizki – polecił. – Do torby podróżnej. Chyba jest tam coś do picia.

Chociaż Charlotte marzyła raczej o gorącej herbacie niż o alkoholu, wyjęła butelkę szampana.

– Cudownie – powiedziała cicho.

– Przynieś z kuchni kieliszki. Będziesz musiała tam trochę powęszyć. Nie mam pojęcia, gdzie mogą być.

Przez chwilę się wahała. W szpitalu przyzwyczała się do wykonywania poleceń. Właściwie bawiło ją, że stawała się „siostrą”, gdy tylko przekroczyła próg St Dunstan’s. W pewnym sensie przynosiło jej to ulgę, a czasami, kiedy nie czuła się wyczerpana, nawet przyjemność. Nareszcie do czegoś się przydawała. Teraz jednak dotarło do niej, że pierwszy raz podobne polecenie wydał jej ktoś bliski. „Przynieś kieliszki”. I to

nieznoszącym sprzeciwu tonem. W ten sposób mówiło się do służącego. Bez uśmiechu, nie modulując głosu, by zabrzmiał milej. Bez „proszę” i „dziękuję”. Michael odwrócił się od niej. Dłonią uderzał w oparcie krzesła, a noga podskakiwała mu niecierpliwie.

– Już idę – powiedziała.

– Mam cholerną ochotę na drinka.

Znów stanęła, tym razem w drzwiach. Cholerną? Ciekawe.

Kuchnia mieściła się w długim, zawilgłym pomieszczeniu na tyłach domu. Charlotte znalazła świece i drugą lampkę na ociekaczu w małej pomywalni obok. Podłoga była kamienna. Dalej znajdował się jeszcze jeden malutki pokój, z półkami zawieszonymi mniej więcej na wysokości pasa. Tutaj odkryła powód, dla którego w pomieszczeniach pachniało wilgocią. W podłodze znajdował się kamienny odpływ, w którym stało jakieś sześć cali wody. Pod domem musiał płynąć strumień. Czy w Rutherford było takie miejsce? Nie wiedziała. Nigdy nie była w kuchni.

– Ciekawe odkrycie – poinformowała Michaela, kiedy wróciła z kieliszkami z dwóch różnych kompletów. – Co trzymają w tym pomieszczeniu z wodą?

– Bańki na mleko. Kawalek dalej jest farma. Sprzedają nadmiar.

– Jejku. Człowiek się uczy.

Podawała mu kieliszki. Podczas jej nieobecności otworzył butelkę i najwyraźniej trochę upił. Nalała im szampana. Stuknęli się.

– Za co wypijemy? – spytała.

– To łatwe. Za ciebie.

*

Po kolejnej pół godzinie poszli na górę. Zostawili resztki kolacji na stole. Na szczycie schodów znajdował się szeroki podest z drzwiami po trzech stronach i belkowanym sufitem. Cienie rzucane przez lampkę oliwną migotały na obrazach przedstawiających sceny polowań i na wypchanej lisiej głowie, którą, jak zauważyła Charlotte, pokrywały pajęczyny.

Otworzyła jedno i drugie drzwi, zanim znalazła pokój wyglądający na główną sypialnię. Stało w nim łóżko z baldachimem, wprawdzie obleczone czystą pościelą, ale dość wąskie. Słupki rzeźbione były w liście winogron

i owoce. Łoże miało też zasłony.

– Wygląda na bardzo stare – zauważyła. – To wszystko należy do twojej ciotki?

– Mieszkała tu kiedyś. Z domem za dużo teraz zachodu, ale ciotka nie potrafi się z nim rozstać. Przeprowadziła się do nowej willi. Wiesz, w stylu tych londyńskich, z wykuszowym oknem i niewielkim ogródkiem. Jest nią zachwycona. Podobno wyprowadziła się między innymi dlatego, że słyszała szczury pod strzechą.

– Och, wspaniale!

Michael się roześmiał.

– Prawdziwe życie na wsi. Pewnie jeśli w pobliżu jest farma, nie sposób pozbyć się drani.

Charlotte ucieszyła się, że Michael nie widzi jej krzywej miny. Jednocześnie poczuła się z tego powodu winna.

– Gdzie jesteś? – spytał. – Chodź do mnie.

Stanęła obok niego. Objął ją i mocno przytulił.

– Drzysz – powiedział.

– Nic mi nie jest.

Uniósł ręce do góry i obrócił jej twarz, by móc ją pocałować. Kilka miesięcy temu, gdy zrobił to po raz pierwszy, odebrała ten gest jako romantyczny. Ale teraz miała wrażenie, że nią manipuluje. Ona tak samo próbowała kierować pacjentami, którzy sami nie byli w stanie czegoś zrobić, choćby podnieść łyżeczki do ust albo ręki do kubka. Wiedziała, że Michael nie może na to nic poradzić. Jak inaczej miałby się zachować? Jej nie wypadało się na niego rzucić, musiał wyjść z inicjatywą. W przyszłości pewnie wszystko jakoś się ułoży, stanie się naturalne.

– Chciałabym najpierw skorzystać z łazienki.

– Nie oczekuj zbyt wiele. Nie mam pojęcia, jak myła się ciocia Emily, ale przypuszczam, że w metalowej wannie z dzbankiem wody.

Było odrobinę lepiej. Właściwie zupełnie ładnie. W łazience stała duża wiktoriańska wanna na nóżkach, a nad nią wisiało wielkie ustrojstwo z sitkiem natryskowym. Także tutaj miła anonimowa postać przygotowała dom na ich przyjazd: ułożyła świeże ręczniki w słodko pachnący stosik na szafce przy drzwiach. Znalazło się też miejsce dla porcelanowego zlewu, mydła i kremu do rąk.

Charlotte rozpakowała małą walizkę. Przysunęła lampę do zlewu i lustra

i zaczęła czesać włosy.

Twarcz, która odbijała się w lustrze, wydała jej się bardzo młoda. Ale nie dziewczęca. Jakimś sposobem zachowała to otwarte, niemal naiwne spojrzenie nastolatki, mimo dwóch lat pracy w szpitalu.

– Gapisz się – zauważyła kiedyś Louisa. – Wślepiasz się we wszystko, jak chłopak. Mój Boże! Masz nawet otwartą buzię! – I wybuchnęła śmiechem.

Louisa zawsze była kobieca i delikatna. To Charlotte tupąła i biegiem gnała przez życie. Rzeczywiście była niezdarnym dzieckiem. To słowo zostało jakby dla niej wymyślone.

Obróciła się w lewo i w prawo, przyglądając się sobie – schudła i stała się bardziej krzepka. Nie była ani trochę pulchna czy zaokrąglona. Kiedy podniosła nad głowę nocną koszulę, na jej ramionach zarysowały się mięśnie. Co pomyśli Michael o jej prostym, chłopięcym ciele? Czy spodoba mu się osoba, którą ukrywała się pod warstwą ubrań?

Żaden mężczyzna nie widział jej nago. Ostatnio nawet ona rzadko na siebie patrzyła. W przypływie zdenerwowania zaczęła o tym myśleć. Czy Michael miał wiele kobiet? Nigdy go o to nie pytała. Nie chciała wiedzieć. Czy we Francji korzystał z usług pań, o których żołnierze czasem jej opowiadali? Jeśli tak, nie potępiała go. Zastanawiała się, czy w trakcie podobnych spotkań nauczył się brutalności. A może któraś z dziewcząt pokazała mu, na czym polega łagodność?

Widziała tak wiele straszliwie rannych osób. Dbała o ciała ludzi, którzy nie reagowali na dotyk, myła przytomnych i nieprzytomnych. Siedziała z nimi i słuchała opowiadanych historii, czasami godzinami, choć teoretycznie skończyła już służbę. Siostry nie zachęcały do zażyłości, niemniej Charlotte uważała, że rozumie mężczyzn całkiem dobrze. Wiedziała, że potrafią być słodcy i mogą wiele znieść. Rozumiała oczywiście, że Michael cierpiał. Udało mu się zwalczyć rozwijającą się klaustrofobię związaną z utratą wzroku. Pracował teraz w St Dunstan's jako oficer szkoleniowy, był cierpliwy i życzliwy. Miał także skromny, optymistyczny uśmiech.

Będzie dobrze. Skinęła zachęcająco do kobiety w lustrze. To będzie nowy kraj, inny świat. Może nawet będzie przyjemnie.

Wzięła głęboki wdech i otworzyła drzwi.

*

Dwieście mil stamtąd, w Rutherford, Mary Richards właśnie szła do łóżka.

Wspinała się wąską klatką schodową o białych ścianach, ciągnącą się przez kilka pięter na tyłach domu. Pokoje służących znajdowały się na najwyższej kondygnacji, na poziomie dachu. W ramionach trzymała butelkę z gorącą wodą, zazdrośnie strzeżony skarb, który dostała od panny Louisy.

„Wcielona dobroć” – napisała do Davida. „Wyobraź sobie panienkę, która myśli o takich rzeczach!”

Dotarła na najwyższe piętro i stanęła na moment, rozglądając się po korytarzu. Tutaj nie było chodnika. Żadnego luksusowego perskiego dywanu, podobnego do tych zdobiących pokoje rodziny na dole. Tylko linoleum. Mary wiele razy czyściła dywany, szczotkowała je na dworze w suche wiosenne dni, rozrzucała herbaciane liście, żeby wchłonęły brud, a ostatnio używała również nowych urządzeń czyszczących. Uważała je za idiotyczne. Małe ssące rurki, przypominające hydropultry. Trzeba było się nabiedzić, żeby w ogóle docisnąć je do podłogi. Wołała stare sposoby.

Podeszła do drzwi pokoju, który dzieliła z Jenny. Otwierała je i ostrożnie zamykała za sobą, żeby nie przeszkadzać głównej pokojówce, pannie Dodd, śpiącej w pokoju obok. Jenny leżała już w łóżku, oparta na poduszce, z ramionami owiniętymi chustą. Czytała jedną ze swoich tandetnych książek.

– Oczyszczasz sobie popsujesz – przestrzegła ją Mary.

Jenny odpowiedziała uśmiechem. Była chuda, miłą dziewczyną, która wciąż mówiła z wyraźnym londyńskim akcentem.

– Widzę, że przyniosłaś sobie trochę gorącej wody.

Kiedyś było nie do pomyślenia, żeby pokojówka zeszła do kuchni i wzięła stamtąd cokolwiek, nawet wodę. Ale odkąd odeszła pełniąca obowiązki ochmistrzyni pani Jocelyn (właściwie została wyrzucona, i dzięki Bogu, bo była szurnięta, Mary zawsze tak uważała), zasady uległy drobnemu rozluźnieniu.

Zaledwie w ciągu ostatniego roku wiele się zmieniło. Pan Bradfield wziął na siebie dużą część obowiązków ochmistrzyni. On i panna Dodd podzielili się nimi po połowie. Zlecali pranie, ustalali harmonogram zajęć pracowników. Nawet najmowali i zwalniali służbę, o ile w ogóle to się

zdarzało. Zatrudnili tylko jednego nowego lokaja na zastępstwo dla Harrisona i Davida, i to na pół etatu. Przyjeżdżał z wioski trzy razy w tygodniu na zardzewiałym rowerze. Miał osiemnaście lat i zwolniono go z armii po Ypres. Na jego ramieniu widniała ogromna blizna po odłamku. Faworyzował tę kończynę jak bezużyteczny szpon przy wszystkich zajęciach. Był małomównym człowiekiem z niewieloma zaletami. Ale w dzisiejszych czasach brało się to, co było. Zresztą Rutherford nie przyjmowało już tylu gości, co kiedyś

Panna Louisa i lord Cavendish prowadzili raczej niewystawny tryb życia. Urządzili zaledwie kilka przyjęć. Mieszkający w odległości kilku mil Kentowie, z którymi przyjaźnił się lord William, zorganizowali w sierpniu ubiegłego roku polowanie, a po nim bal, skromny w porównaniu do tych sprzed wojny. Boże Narodzenie też obchodzono bardzo ascetycznie. A lady Cavendish... To była naprawdę trudna sprawa.

Nikogo specjalnie nie zaskoczyła ucieczka Octavii z Amerykaninem. Plotki na ten temat krążyły wśród służby już wtedy, gdy Gould po raz pierwszy przyjechał z wizytą. Ale kiedy lady Octavia wracała do Rutherford, co jej się od czasu do czasu zdarzało, Mary nie lubiła na nią patrzeć. Co jednak najdziwniejsze, ona i Jenny rumieniły się na widok pani, jakby to była ich wina, ich romans. Lady Octavia przemykała za to przez dom jak młoda dziewczyna, uśmiechała się radośnie i wydawała się być w doskonałym humorze, jak nigdy wcześniej.

Mary odrobinę cieszyła się jej szczęściem – kiedy widziało się jej śliczną twarz rozświetloną taką radością, trudno było tego nie robić – ale jednocześnie nie pochwałała jej zachowania. Uważała je za niewłaściwe. Chodziło o to, że... jakby powiedziała pani Jocelyn, to było nie po bożemu. Mary nie lubiła słuchać cytatów z Biblii, ale uważała, że należy być porządnym i przestrzegać zasad. I współczuła panu Cavendishowi. Nie rozdmuchiwał skandalu, niech Bóg błogosławi jej pana. Otaczała go taka tragiczna atmosfera oczekiwania. Czekał i czekał, cały czas.

Mary ciężko usiadła na łóżku.

– Lepiej ci? – spytała Jenny.

Popatrzyła na koleżankę. Jenny miała zupełnie inne zdanie na temat lady Octavii. Głuptaska uważała, że to wszystko jest „okropnie romantyczne”. „Pan Gould jest taki przystojny! Pan Gould pięknie się uśmiecha! Jest bogaty i wspaniały, jak gwiazda kina niemego!” Boże, do czego to doszło.

Mary skrzywiła się teraz, słysząc jej pytanie.

– Nie powiedziałałabym – odparła.

– Mama mówiła o wodorowęglanie.

– Od tego jeszcze bardziej wymiotuję. – Mary uśmiechnęła się blado. – Osiemnasty tydzień. Można by pomyśleć, że powinno już mijać.

– Nie idź jutro na farmę Gilesa. Powiedz pani Dodd, że nie możesz.

– Dam sobie radę. To tylko ubijanie masła.

– Ale to ciężka praca.

– Pani Giles jest chora, ich pomocnica zaraz rodzi, a mężczyźni wyjechali. Nie możemy tu siedzieć z założonymi rękami.

– Nie nazwałabym dwunastu godzin pucowania domu, w którym niemal nikt nie mieszka, siedzeniem z założonymi rękami – zaprotestowała Jenny.

– Popatrz na moje. – Wyciągnęła dłonie przed siebie. – To węgiel! Już kwiecień, a my wciąż palimy w kominkach.

– Powinnaś potraktować je karbolem – zbeształa ją Mary. – Pani Jocelyn zawlekłaby cię za ucho do pralni i sama je wyszorowała.

– Ale jej tu nie ma, prawda? Nigdy już nie wróci. Zamknęli ją na dobre i nikt nie będzie po niej płakał.

Mary nie mogła temu zaprzeczyć.

– Ktoś ją wkrótce zastąpi – mruknęła. – Panna Louisa i lady Cavendish wezmą się do roboty. Znajdą nam kogoś surowszego niż snująca się bez sensu panna Dodd. Ona to dopiero dziwnie się zachowuje, odkąd jej chłop ożenił się z inną.

Popatrzyły po sobie i mimowolnie wybuchnęły śmiechem.

– Och, to nie jest śmieszne – zaprotestowała Jenny po chwili.

– Rzeczywiście nie jest – zgodziła się Mary. – Zwłaszcza że kupiła już sukienkę i w ogóle.

Pokręciły głowami. W dzisiejszych czasach znalezienie męża było niewdzięcznym zadaniem. Jakaś kobieta o mniejszych skrupułach sprzątnęła pani Dodd lokalnego rzeźnika sprzed nosa.

Mary weszła do łóżka i położyła się na boku z butelką gorącej wody na krzyżu. To było błogosławieństwo. Podniosła z chwiejącego się stoliczka koło łóżka najnowszy list od Davida. Leżał na szczycie starannego, związanego sznurówką stosiku. Wygładziła papier i przebiegła po nim wzrokiem, nie tyle skupiając się na słowach, które i tak znała na pamięć, ile na charakterze pisma męża.

Był taki ścisły, taki oficjalny. Na marginesach kartek widniały tłuste plamy. List przeszedł długą drogę, aż z Arras. David musiał go chyba długo pisać. Słowa pozbawione były emocji. Zniknęła potoczność i opisy, które zawsze ją ciekawiły i zachwycały.

– Co pisze? – spytała Jenny.

Zamknęła książkę i również się położyła. Oparła głowę na poduszce i popatrzyła na Mary. Nad nimi deszcz delikatnie stukał w okno dachowe.

– Niewiele. Ostatnio bardzo mało pisze. Prawie nic.

*

Rankiem ósmego kwietnia w eleganckim domu na Cheyne Walk Octavię obudziła jej osobista pokojówka. Amélie była ze swoją panią niemal od dziesięciu lat. Octavia podniosła się z łóżka i przyjrzała dziewczynie z uśmiechem, podczas gdy ta odsuwała zasłony.

Na początku wojny wybuchło niezłe zamieszanie o Amélie. Zabawne, biorąc pod uwagę, że to taka cicha dziewczyna. Urodziła się w Paryżu, więc pochodziła ze sprzymierzonego kraju, w którym przelało się tyle brytyjskiej krwi. Ale kiedy zaczęły się działania zbrojne, trzeba było zarejestrować jej pobyt jako cudzoziemki. Żeby zatrzymać pokojówkę przy sobie, Octavia zwerbowała do pomocy Williama, jak wiele osób z jej towarzystwa.

W 1914 roku krążyły szalone plotki, że absolutnie każdy, kto nie jest obywatelem brytyjskim, zostanie odesłany do kraju rodzinnego. Tak jakby Amélie kiedykolwiek planowała wrócić do Paryża, miasta, w którym w wieku dwunastu lat została sierotą i gdzie oddano ją do pracy w charakterze pomocy, której jej nikt nie zamierzał udzielić. Octavia znalazła ją w paryskiej agencji, kiedy pojechali na Wystawę Światową, i bardzo się z tego cieszyła.

Oparła się na łokciu.

– Amélie – spytała cicho – chciałabyś wrócić do Paryża?

Dziewczyna odwróciła się do niej.

– Do Paryża? – powtórzyła. – Z panią?

– Nie. Żeby wspierać swój kraj. Jeśli chciałabyś pojechać, być we Francji w tych trudnych czasach, to...

Amélie przemierzyła pokój kilkoma nietypowymi dla niej, niezgrabnymi

krokami.

– *Madame*, czy jest pani ze mnie niezadowolona?

– Nie, nie, ani trochę...

– Chce pani, żebym odeszła?

– Nie, kochanie. Miałam po prostu na myśli... Dobry Boże, nie płacz. – Octavia podniosła chusteczkę ze stolika obok łóżka. – Pewnie martwisz się o rodzinne miasto. Tylko o to mi chodziło.

– Tak – wymamrotała Amélie. – Ale mój dom jest przy pani.

Przez kilka chwil wymieniały drżące uśmiechy. Octavia zaoferowała nawet dziewczynie herbatę z własnej tacy. Naprawdę martwiła się o pokojówkę. Amélie była ładna. Dobiała trzydziestki i rzadko mówiła o sobie. Gdy Octavia zasugerowała, że Amélie powinna brać więcej wolnego, bo mogłaby wtedy kogoś poznać, dziewczyna tylko wywróciła teatralnie oczami.

– Ach, mężczyźni – prychnęła. – Moim zdaniem szkoda na nich czasu.

Chociaż wydawało się, że John Gould bardzo jej się podoba. Zawsze, gdy go mijala, czerwieniła się jak burak.

Jakby przywołany myślami Octavii, John otworzył drzwi i zajrzał do pokoju.

– Nareszcie wstałaś.

– Gdzieś ty się, na Boga, podziewał? – spytała. – Obudziłam się o piątej, a ciebie nie było.

Mężczyzna wszedł do środka i rzucił płaszcz na bok. Podszedł do łóżka i ją pocałował.

– Tęskniłaś za mną? To dobry znak.

Amélie przeprosiła i wyszła. John usiadł na krześle naprzeciwko łóżka.

– Niech zgadnę – mruknęła Octavia. – Znów byłeś w redakcji.

John wyciągnął ręce w geście pokazującym, że został przejrany.

– Wszystko załatwione, kochanie. – Wyjął z kieszeni kartkę papieru. – Wyjeżdżam jutro rano z powracającym konwojem szpitalnym.

Octavia położyła rękę na piersi.

– Tak szybko.

Wiedziała oczywiście, że ta chwila nadejdzie. Rok wcześniej John znalazł się na „Lusitanii”, przynajmniej oficjalnie, ponieważ zatrudniono go do sprawdzenia, co przedstawiciele angielskich rodzin sądzą o neutralności Stanów Zjednoczonych. Miał też wyruszyć do Francji, żeby napisać raport

na temat tego, jak naprawdę wygląda wojna. Pracodawca Johna nie mógł znieść bierności Ameryki.

Ale w ciągu ostatnich trzech miesięcy sprawy szybko poszły do przodu. Za szybko na jej gust, bo to znaczyło, że John podejmie się zadania, choć tak długo je odwlekał.

– Nie lubię Zimmermanna. – Uśmiechnęła się ironicznie, wymieniając nazwisko niemieckiego ambasadora, który przyspieszył deklarację Stanów Zjednoczonych.

– Prezydent Wilson najwyraźniej się z tobą zgadza. Dwa dni temu Kongres przegłosował przystąpienie do wojny.

Westchnęła. Spuściła nogi na podłogę i owinęła się szlafrokiem.

– Czyli przygotowałeś się już do podróży, załatwiłeś pozwolenia. I ani słowem mi o tym nie wspomniałeś. – Pokręciła głową, wciąż się uśmiechając, ale już nie tak szeroko. – Wiedziałam, że pojedziesz, skarbie. Nie musiałeś trzymać tego w tajemnicy. Po co te wszystkie „nie masz się czym martwić”? Chciałabym, żebyś szczerze ze mną rozmawiał. Przecież rozumiem, że mamy wojnę, wiesz? Nieustannie martwię się o Harry’ego.

John natychmiast poderwał się z krzesła i usiadł obok ukochanej.

– Nie chciałem psuć ci radości z wesela.

Wziął ją za rękę. Octavia spuściła wzrok i zaczęła wygładzać materiał jego rękawa.

– Czyli Brytyjczycy to potwierdzili.

– Co?

– Telegram Zimmermanna do Meksyku.

John westchnął krótko, niemal jakby chciał się roześmiać.

– Arogancki bufon. Od razu się ujawnił i do wszystkiego przyznał. Zatelegrafował do Meksyku i obiecał im połowę południowych stanów, jeśli wypowiedzą wojnę Ameryce.

– I tak...

– Cały świat jest w stanie wojny – podsumował John.

Odwróciła się do niego i ukryła twarz w jego ramieniu. Przez dłuższą chwilę siedzieli na krawędzi łóżka, przytulając się.

– Więcej synów... ojców, braci, mężów – odezwała się w końcu Octavia stłumionym głosem. Podniosła głowę. – Chcę ci powiedzieć, żebyś został. Rozkazać ci, John.

– Ale nie zrobisz tego.

– Nie zrobię. – Zagryzła wargę. – William chciał wiedzieć, czym się zajmujesz. Zdziwił się, kiedy usłyszał, że jedziesz do Francji. Chyba uważał, że nie dostaniesz pozwolenia.

– Och, mam swoje kontakty.

– I uważasz, że to naprawdę takie istotne...

– Żeby moi rodacy dowiedzieli się, co naprawdę się dzieje? Jak bardzo są potrzebni? Tak.

– Jakby Anglia, Francja i cała nasza wspólnota nie mogły sobie poradzić.

– Zupełnie nie o to chodzi – zaprotestował John. – Teraz bronimy siebie i demokracji. Chcemy przeciwstawić się brutalności...

Octavia nagle wstała, puściła jego rękę i podeszła do okna. Jeszcze bardziej odsunęła ciężkie adamaszkowe zasłony i wyjrzała na śliczny ogród za domem. Był tam trawnik, mała altanka i brukowana ścieżka, wzdłuż której rosły róże. Po ulewie poprzedniego wieczoru nabrały świeżego wyglądu, jakby właśnie zostały wymyte, i ogród mienił się jasną zielenią. W Londynie trwała wiosna, piękna i pełna obietnic. Tutaj, w pobliżu Tamizy, panowała cisza jak na wsi. Ale Octavia wiedziała, że zaledwie kilkanaście mil dalej żołnierze zmagają się z paskudną pogodą. Francja miała za sobą przenikliwą, srogą zimę, a teraz Flandria tonęła w błocie z powodu nieustających deszczy.

Usłyszała, że John podnosi się z łóżka. Stanął za nią i objął ją ramionami. Pocałował delikatnie jej włosy i policzek.

– Najdroższa...

Popatrzyła na niego.

– Wiem, że musisz jechać – powiedziała. – Rozumiem, że wszyscy musicie tam być. Harry wyjechał, a Charlotte dyżuruje w szpitalu. Caitlin pracuje w jakimś bez wątpienia okropnym miejscu.

Pokręciła głową.

– Mieliśmy w zeszłym tygodniu wypadek w przędzalni – szepnęła z roztargnieniem, myśląc głośno. – Wczoraj przyszedł list. Pracują z maksymalną prędkością, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeden z rannych był wcześniej we Francji. Potknął się czy coś w tym rodzaju. Muszę tam pojechać i dowiedzieć się, co się stało. Nieudolny nadzór, zmęczeni pracownicy? Nie da się przed tym uciec. Wojna wyciąga macki i dotyka wszystkiego. Czuję się tak, jakby wokół nas zamykały się oślizgłe ramiona.

– Jesteś zmęczona – powiedział John. – Postaraj się o tym nie myśleć.

Odwróciła się do niego i spiorunowała go wzrokiem.

– Nie myśleć! – wykrzyknęła. – Naprawdę, John, czasami gadasz zupełnie tak samo jak William. Jestem odpowiedzialna za przędzalnię. Ojciec mi je zostawił. Znam tych ludzi na wylot. Znam też swoje dzieci, widzę, jak idą w świat, i zastanawiam się, jakie życie im zgotowaliśmy. Żałuję, że tak jest. Szkoda, że nie zrobiliśmy więcej, kiedy jeszcze mogliśmy.

– Zrobiliśmy? Co masz na myśli?

Westchnęła i pokręciła głową.

– Przez lata byliśmy tak bardzo zadowoleni z siebie, John. Kiedy pomyślę, że siedziałam w Rutherford niczym wypchana lalka i tylko doбираłam kolorystycznie dekoracje w salonie... – Zaśmiała się z irytacją. – Wszystkiego byliśmy tacy pewni. Imperium miało posiadłości na każdym kontynencie. Władcy mórz i tak dalej. Paradowaliśmy po tyłu krajach, wymachując flagami i mieczami. Braliśmy je pod nasze skrzydła, jakby ich mieszkańcy nie potrafili sami myśleć. Powinniśmy się byli czegoś nauczyć. Popatrz na Rosję. Bóg wie, co się teraz dzieje z carem. Abdykacja! Zbudowaliśmy świat, który musi się rozpaść, John.

– Mój Boże... Powinnaś wystąpić w parlamencie.

Ku jego zdumieniu nie wyglądała na wstrząśniętą.

– Słyszałam ostatnio plotki... – powiedziała – że jeśli Waldorf Astor otrzyma tytuł para i będzie musiał zrezygnować ze swojego miejsca, Nancy może je zająć. – Pokiwała triumfująco głową. – Wyobraź to sobie, jeśli zdołasz. Ja to widzę.

– Proszę, proszę – odezwał się cicho John. – Gdy ja byłem zajęty, ty planowałeś powstanie. Zapewne po powrocie zastanę tu tłum sufrażystek oraz ludzi z Café Royal.

Teraz Octavia roześmiała się z prawdziwym zadowoleniem.

– Ale czyż oni nie są cudowni? – spytała. – Na wskroś artystyczni. Chciałabym prowadzić takie życie.

– Czemu?

– Och, są o tyle bardziej wolni. Impulsywni. Wiesz.

– Impulsywni? – spytał, zniżając głos. – Masz na myśli bardziej impulsywni niż ty, lady Octavio? Zdumiewające. Niemożliwe.

Pocałował ją, a ona objęła go ramionami za szyję, bez przekonania

próbując odepchnąć, po czym rozluźniła się w jego objęciach.

– Naprawdę powinnam się już ubrać – powiedziała, kiedy pokierował ją z powrotem do łóżka.

– Zobaczmy. Czy podoba mi się ten pomysł? – Przez chwilę udawał, że się zastanawia, po czym nagle wziął ją na ręce. – Nie wydaje mi się. Nie, ten pomysł zupełnie mi się nie podoba.

*

W Dorset deszcz padał całą noc, ale rano wstał pełen słońca.

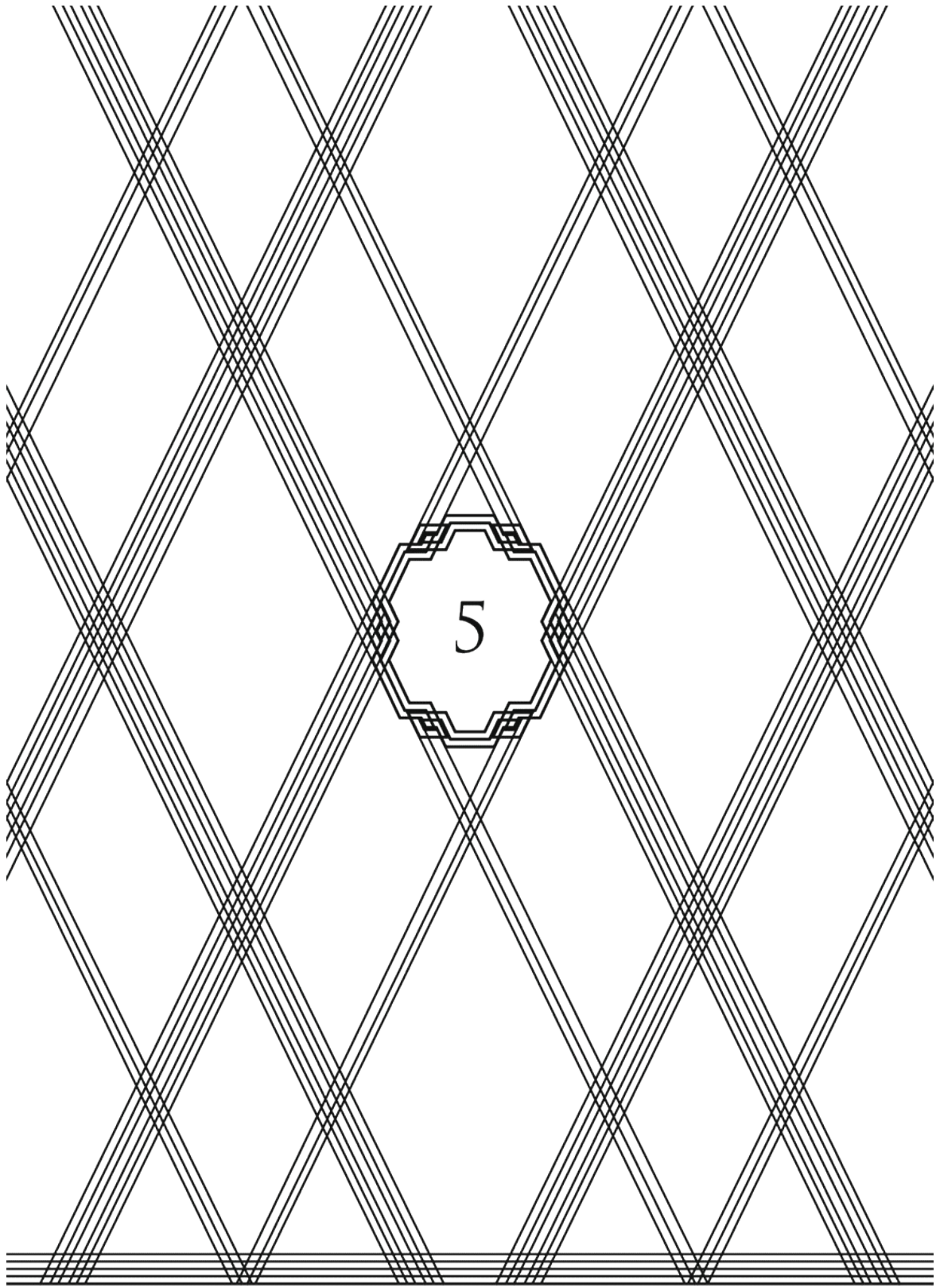
Tuż po świcie Charlotte stała w ogrodzie za domem i patrzyła na poznaczone kanałami nawadniającymi łąki. Na polach pasły się owce. Przez jakiś czas przyglądała się falującej, zielonej przestrzeni, po czym owinęła się płaszczem i ruszyła długą ogrodową ścieżką, obok trawnika i rabatki.

Niedaleko, pod trzema dużymi jabłoniemi, wśród traw kwitły żonkile. Dziewczyna zatrzymała się, popatrzyła i w zamyśleniu przesunęła między nimi stopą. Potem zauważyła w ogrodzeniu niewielką furtkę. Wyszła przez nią na zaniedbaną ścieżkę. Rosło tutaj jakieś zielsko, masa płożących się jeżyn i rozrośniętych na wszystkie strony krzewów. Wysoki głógowy żywopłot zasłaniał widok na pola.

Panowała idealna cisza. Charlotte odchyliła głowę i spojrzała na niebo, po którym pędziły chmury. Stała niemal zupełnie bez ruchu, mocno obejmując się ramionami, dobre dwadzieścia minut.

W końcu zrobiło jej się zimno. Przez cienkie podeszwy butów czuła wilgotną glinę. Rozejrzała się wokół z lekką dezorientacją, zastanawiając się, czy z tej części ogrodu jest jakieś wyjście, choćby ścieżka prowadząca do wioski. Droga do miasta.

Potem zmarszczyła brwi, potrząsnęła głową i wytarła łzy z twarzy, po czym ruszyła z powrotem do domu.



Monchy. Nazwa francuskiej wioski brzmiała zdaniem Jacka jak wymyślone słowo, które przyśniło się jemu podobnym żołnierzom, biedzącym się nad obcym językiem, skracającym i kaleczącym jego poetyckie brzmienie. Armitage stał zgarbiony w słabym, marznącym deszczu. W dłoniach trzymał końskie wodze. Cierpliwe stworzenia pochylały głowy w jego stronę. Ich boki drżały z zimna.

Dumał o francuskich nazwach, choć zazwyczaj nie lubił zbyt długo się zastanawiać. Gdy pozwalał myślom błądzić, zawsze wracały do Yorkshire, do Rutherford. Przed oczami stawała mu twarz Louisy, czuł na ciele jej objęcia.

Nie, tak nie można. To zbyt straszne. Rutherford było zbyt daleko, za bardzo chciał tam wrócić. Gdyby tylko mógł, zrobiłby to natychmiast. Często śnił o Louisie. Pisał do niej niemal codziennie. Przelewał na papier wszystko, co tylko mógł, zawsze mając na uwadze fakt, że któreś z rodziców może otworzyć list. Mimo to wiedział, że Louisa odkryje prawdziwe znaczenie banalnych słów, buzujące pod nimi uczucia. Żałował tylko, że nie jest lepiej wykształcony. Chciałby móc w końcu napisać coś naprawdę poetyckiego. Słowa, które zabrzmiałyby tak, jak je sobie wyobrażał. „Jesteś moją duszą”. To było za wiele, wyrazy stawały się przesadzone, zbyt kwieciste. Po prostu nie mógł tak napisać. Gdyby to zrobił, słowa straciłyby wyjątkowość.

Mimo wszystko tak właśnie czuł.

Nieświadomie potrząsnął głową. To był bardzo zły pomysł, myśleć w tej chwili o Louisie. Już raczej powinien pozwolić umysłowi zbłądzić w stronę koszmaru. Dzięki temu się skupi. Okropieństw było aż nadto.

Skoncentrował się na zimnie, ziemi i ciepłych oddechach koni.

Ze zbocza wzgórze widział bardziej płaską równinę w dole. Znajdowali się w jednym z najwyższych punktów w promieniu wielu mil. Odpoczywali

po miesiącach spędzonych w bagnach nad Sommą, wśród przecinających mokradła linii kolejowych i w kanałach zagłębii węglowych.

Kapitan Porter przeklął pod nosem, idąc w kierunku Jacka. Armitage go lubił. Mężczyzna pochodził z Derbyshire, z wioski Eyam. Sądząc po opowieściach, tamte okolice przypominały jego rodzinne górzyste strony. Ach, te małe miasteczka. Jack zamknął oczy. Po drugiej stronie doliny padał śnieg, gruba biała zasłona przesuwała się w ich kierunku.

W dolinie, w Monchy, słychać było artylerię.

Wojsko znajdowało się w Feuchy, które pięćdziesiąta szósta dywizja przejęła poprzedniego wieczoru. Feuchy. Monchy. Wancourt. Tilloy-lès-Mofflaines. Słowa, które powinny układać się w piosenkę, bo przywodziły na myśl śliczne obrazki.

Jack Armitage stał na chłostanej wiatrem drodze, zagubiony w tym śnie o słowach i rzeczach, których się nauczył, w odrobinie obcego języka, którą miał w głowie. W chwilach takich jak ta, w głębinach, w trakcie morderczej walki, raz za razem powtarzał sobie słowa. Zielone zbocza wzgórz – kiedyś je widział. Dawno temu, w innym miejscu. Nie minął jeszcze rok, ale jemu zdawało się, że upłynęły całe stulecia. Zielona trawa i łąki pełne dzikich storczyków. Czosnek niedźwiedzi nad rzeką, w lasach Rutherford. Wyżej wrzosowiska, latem płonące żółcią. Dom. Och, nie potrafił na to nic poradzić. Jego umysł pędził z powrotem do Anglii, jak zwierzę, które ucieka od hałasu. Pozwalał mu na to, tonął we wspomnieniach. Oparł się na chwilę o konia i odniósł wrażenie, że stworzenie również na niego napało. Obaj byli inwalidami, każdy na swój niewypowiedziany sposób.

Pomyślał o dawno zapomnianym przez Cavendishów miejscu, które on znał bardzo dobrze, rzadko odwiedzanej łące między paprociami na skraju drzew. Stała tam wałcząca się chatka – ledwie cztery chylące się ku środkowi ściany i dach, z którego puste dachówki spadały do opuszczonego ogrodu. Kilkakrotnie był tam z Louisą. Po prostu siedzieli, chociaż żaden ze znanych mu mężczyzn by w to nie uwierzył. Letni deszcz przychodził i odchodził. Cienie kładły się i znikały, a promienie słońca powoli sunęły po podłodze. Ciemność też nadchodziła.

Zbocza wzgórz, delikatnie splątane rośliny i storczyki. Rzeka płynąca przez teren Rutherford, rozkosznie płytka i ciepła w czasie upałów, szalejąca zimą, kiedy z wrzosowisk spływał topiący się śnieg. Szara w deszczu, błękitna i brudnopomarańczowa, kiedy się rozjaśniało. Gładko

wypolerowany przez wodę granit w korycie rzeki, żyłki żelaza znaczące czerwone kamienie. W wyobraźni widział dwa obrazki. Małą dziewczynkę w centrum wioski, biegnącą przez płyciznę rzeki w miejscu, gdzie skręcała pod mostkiem. Chodził z nią niegdyś do szkoły, ale jej imienia nie potrafił sobie teraz przypomnieć. Miała powiewające włosy i długą muślinową sukienkę w kwiatki, która tańczyła wokół niej. Zobaczył ją teraz wyraźnie, tę bezimienną koleżankę, odwracającą się w jego stronę i piszczącą ze śmiechem.

A potem zobaczył Louise, opartą o zgięcie w jego łokciu, kosmyk jej jasnych włosów zaczepiony o kołnierzyk jego koszuli. Coś powiedziała, wymruczała. Próbował przypomnieć sobie jej słowa, ich czułość.

Tak wiele mu uciekało, chociaż próbował do tego wrócić. Kiedy przyjechał do Francji, pewien znużony człowiek, zawodowy żołnierz, powiedział mu: „Odkryjesz, że wspomnienia bledną. To przyzwyczajenie. Musisz to jakoś znieść”.

Starął się.

Zaciągnął się do służb weterynaryjnych w 1916 roku. Poszedł do lorda Williama i spytał, czy mógłby on użyć swoich wpływów, by zapewnić mu pracę w służbach. Kiedy wreszcie podjął tę decyzję, Louisa tylko pokiwała głową. Od początku wiedziała, czego chciał, i nie zaprotestowała ani słowem. W przeciwieństwie do jej ojca.

William Cavendish popatrzył na niego znad biurka i pokręcił głową.

– To niemożliwe. Już i tak mamy za mało ludzi. Tak wielu wyjechało. Potrzebujemy cię tutaj, Jack.

Jack ścisnął czapkę w dłoniach, z całych sił pragnąc, by starszy mężczyzna go zrozumiał.

– Potrzebowaliśmy też koni, sir. Ktoś musi tam o nie dbać. Ja mógłbym to robić.

W 1915 roku kawaleria zabrała Waclawa, ich wielkiego szarego shire'a, i kucyki z farm. Tamtego ranka pękło mu serce. Biedne zwierzęta płoszyły się przy najmniejszym hałasie. Nieme stworzenia, którym winien był opiekę. Patrzył, jak pakują je na furgony i wiozą w stronę stacji kolejowej. Później transportowali je na wybrzeże i ładowali na statki. Konie wcześniej nie widziały żadnej z tych rzeczy i ich nie rozumiały. Leżał bezsennie i myślał o nich. Uważał, że powinien był jechać z nimi zamiast pracować tutaj, w Rutherford.

Mimo wszystko usłyszał wiele powodów, dla których nie powinien się zaciągać, i wiele westchnień lorda Cavendisha. Jednak w końcu jaśnie pan się zgodził i napisał do znajomego w Londynie. W dniu, w którym Jack dołączył do służb weterynaryjnych, jego matka i ojciec stali na podwórku stajni, bez ruchu i w milczeniu. Wiedział, jak wiele chcieli mu powiedzieć, choć zupełnie nie potrafili tego zrobić. W końcu ojciec pokręcił głową, a matka popatrzyła na niego oczami pełnymi łez. Odwróciła się i weszła do domu, jeszcze zanim zdążył opuścić podwórko i ruszyć długim podjazdem. Przeszedł obok wszystkiego, co pragnął zatrzymać i co znał od dzieciństwa. Zostawił za sobą spokój i ruszył w spustoszenie.

Teraz była Wielkanoc 1917 roku.

Ledwie słuchał mszy w wielkanocną niedzielę. Nie chodziło o to, że nie był chrześcijaninem. Chciał wierzyć. Bądź co bądź, wiara towarzyszyła mu całe życie. Ale pobyt we Francji sprawił, że zmienił zdanie na temat zmartwychwstania. Żaden z martwych, których widział, nie wstanie, jak to opisano w Biblii. Nikt tu nie był Łazarzem. A już z pewnością nie było żadnego Chrystusa.

– Śpisz? – spytał kapitan.

– Nie.

– Kołysziesz się. Stań prosto.

Wykonał rozkaz. Wszystkie zielone obrazki i ślicznie brzmiące nazwy zniknęły, kiedy otworzył oczy.

Późno poprzedniego wieczoru dotarli z placówką weterynaryjną i trzecią konną do Fouchy, na redutę. Rzeka płynęła w dolinie przed nimi – La Scarpe. Dalej leżał Trójkąt, gdzie jeden z nowych czołgów przebił się i przejął teren. Jack mijał go w wieczornym świetle, wyglądał potwornie, złowrogo nieruchomy pomiędzy liniami łączności, powykręcany torami, długą kolumną mułów i wysoką stertą ciał.

Zatrzymali się obok na chwilę.

Dziwne: na tak niebezpiecznym i pełnym śmierci terenie teraz panował spokój. Słyszał tylko ciężko stąpających mężczyzn i dźwięk artylerii coraz bardziej oddalającej się w zmroku, gdy spychano Niemców w głąb terenu. Jack popatrzył na zmarłych. Leżeli przy drodze dosłownie stos na stosie, jak drewno na podpałkę. Oderwane ramię jednego z mężczyzn spadło na drogę, zgięte jakby w geście błagania o litość albo przywołania do królestwa zmarłych. Kiedy Jack na nie patrzył, przejechało po nim działo

artyleryjskie, ale palce wciąż zdawały się na niego kiwać.

Odwrócił wzrok.

W pobliżu znajdowały się niegdyś kościół i duży zamek, teraz z budynków został tylko stos popękanych cegieł. Drzewa były groteskowo ogołoczone do popękanych pni. Wioskę ewakuowano rok wcześniej, więc przynajmniej nie będzie ich prześladował los żadnych cywili. Na drodze leżały potrzaskane oszronione gałęzie, fragmenty przewróconych ścian i kilka wozów na boku. Kilku niemieckich jeńców o martwym spojrzeniu minęło Jacka. Unosili na niego wzrok tylko na moment, zbyt zmęczeni, żeby podnieść głowy, przygarbieni, z rękami zwisającymi po bokach.

Jack czekał przed stodołą, której dach cudem nie został całkowicie zerwany. W środku znalazło się miejsce dla dwudziestu koni. Przez większość czasu zwierzęta trzęsły się ze strachu. Jack pomagał przygotować im legowiska, chociaż przydziały były marne. Potrzebowali znacznie więcej paszy, niż dostawali, mimo że służby robiły, co w ich mocy. Niektórzy żołnierze dawali wierzchowcom własne suchary namoczone w odrobinie herbaty. On też przez godzinę starał się uspokoić zwierzęta. Obchodził konie, szeptał do każdego. Opowiadał bzdury o pastwiskach i miękkich, cichych ścieżkach – miejscach, których zapewne nigdy więcej nie zobaczą.

Stał na zewnątrz niezbyt długo, kiedy nadeszła artyleria polowa. Byli w dobrych humorach z powodu zwycięstwa. Słyszał gorzko brzmiący śmiech. Tak śmiali się ludzie, którzy pokonali wroga.

Zatrzymali się gwałtownie przy zmarłych Niemcach.

– Pamiątki, chłopaکی – powiedział jeden z artylerzystów.

Zaczęli przeszukiwać ciała. Czubkami butów kopnęli na bok oderwane ramię. Przeczesywali kieszenie, wyrzucali notesy i zdjęcia. Wkrótce ziemia pokryła się podobiznami ukochanych, dzieci i rodziców. Z którejś bluzy wyciągnięto kieszonkową Biblię i list pisany klasycznym, geometrycznym pismem. Ktoś zmiął go w kulkę i rzucił ponad stertą splątanych ciał. Znaleźli Niemca, któremu zawinęła się do góry bluza i widać było pasek. Z dużym wysiłkiem udało im się go zdjąć i jeden z mężczyzn przewiesił go sobie przez ramię z okrzykiem triumfu. Plotka głosiła, że niemieccy snajperzy nocami wyczołgivali się z okopów i zabierali odznaki z czapek swoich ofiar, po czym zawieszali je na paskach, jak indiańskie skalpy. Mężczyzna, którego znaleźli artylerzyści, miał właśnie taki pasek. Błyszcząco na nim w charakterze trofeum tuzin albo więcej znaczków.

Oddziały weterynaryjne zostawały na tyłach frontu. Przechodzili przez Feuchy nocą, dobijali konie i muły, którym nie można było pomóc, i odciągali na bok ich zwłoki. Nienawidził tego zajęcia i obawiał się go. Ale cierpienie śmiertelnie rannych zwierząt było znacznie gorsze niż ten ostatni, litościwy strzał. To należało do jego obowiązków. Czasami był z tego nawet zadowolony. Dla nich koszmar się skończył, i to on je uwolnił.

Około północy Jack z drugim mężczyzną wykopali rów w bagnistym terenie, gdzie niegdyś płynął niewielki strumień. Chcieli zakopać konie, ale ich łopaty wkrótce natrafiły na kamienie. Zepchnęli ciała w dół i obłożyli je połamanymi gałęziami drzew. Wiedzieli, że do ludzi wkrótce przybędą ekipy pogrzebowe, ale los koni nikogo nie obejdzie.

Kapitan Porter wyjął cugle swojego konia z rąk Jacka.

– Przypomnij mi, skąd jesteś, Armitage? – spytał.

– Z Yorkshire, sir.

Oficer skinął głową.

– Powinienem być się domyślić, z takim nazwiskiem. Pułk z Yorkshire zaatakował wczoraj w Bullecourt. Znasz tam kogoś?

– Nie, sir. Pracowałem z chłopakiem, który dołączył razem z bratem do Pułku Pograniczników. Nazywał się Nash.

– I gdzie jest teraz?

– Nie wiem, sir.

– Brał udział w ataku na Sommę w lipcu zeszłego roku?

– Tak. Obaj brali. Ramię w ramię. Pierwszego lipca.

– Krwawa historia. Przeżył?

– On tak, sir. Jego brat zginął.

Oficer trzymał lejce luźno przewieszane przez ramię i przez połowę lornetkę sprawdzał teren przed nimi. Jack popatrzył na konia. Wspaniałe zwierzę, piękny kasztan, sto siedemdziesiąt centymetrów w kłębie, ciężkiej budowy. Raczej nie nadawał się do polowań. Ale tutaj to była zaleta. W pierwszych tygodniach wojny ludzie przysłali swoje najlepsze konie. Gdy znalazły się na froncie, większość tych niezwykle wrażliwych stworzeń trzeba było zastrzelić. Dosłownie traciły głowy, stawały dęba i krzyczały. Ich głosy przywodziły na myśl zawodzące dzieci.

Kiedy Jack po raz pierwszy znalazł się na froncie, zobaczył, jak pewien major złapał oszalałego ogiera. Wybiegł na drogę i udało mu się chwycić za lejce. Koń nie miał jeźdźca i był pochlapany krwią. Major ściągnął cugle,

przysunął twarz blisko chrap stworzenia, pogłaskał je po nosie i zaczął do niego mówić. Koń się uspokoił, chociaż wciąż wywracał z przerażeniem oczami, toczył pianę z ust i żuł wędzidło. Trząsał się jak drzewo w czasie burzy, kompletnie oszalały. Major obejrzał jego nogi, poranione przez odłamki, i pokręcił głową. Poprosił o greenera, broń do zabijania bydła, którą natychmiast skracano cierpienia zwierzęcia, ale nikt go nie miał. Jack chciał biec na poszukiwanie broni, ale kiedy spojrzął przez ramię, zobaczył, że major wyjął zza paska własny pistolet, przystawił ogierowi między oczy i pociągnął za spust. Taki koń – miotany szaleństwem, ze zbyt dobrej hodowli, ze zszarganymi nerwami – przynosił więcej szkody niż pożytku.

Jack nie zawsze znajdował się obok pola walki. Na początku pracował w szpitalu weterynaryjnym nieopodal Kanału Angielskiego. Sądził wtedy, że nigdy nie zobaczy wojny, tylko jej efekty. Miejsce było dobrze zarządzane, czego się nie spodziewał. Zakładał, że wyślą go prosto na teren toczących się walk. Oficer Wojskowych Oddziałów Weterynaryjnych, pod którym początkowo służył, błogosławił jarmarki, kiermasze i tym podobne imprezy, na których zbierano pieniądze dla wojska. Dzięki nim mogli lepiej wyposażyć szpital. Jack patrzył, jak wyciągano kule z szarej klaczy, i pomagał ją później położyć.

– Przeszukaj słomę – polecił mu oficer. – Znajdujemy w niej gwoździe i inne rzeczy. Fragmenty zapór, szpikulce, które leżały na drogach, części przyborów kuchennych i ogrodzeń. Wszystko to dostaje się do paszy. Dokładnie ją przejrzyj.

Tak zrobił, ale nic nie znalazł. Został z oszołomioną kobyłą, dopóki czegoś nie zjadła.

Oficer wrócił po jakimś czasie.

– Co ty tu, do diabła, robisz?

– Pilnuję klaczy, sir.

– Na Boga, człowieku! Nie możesz ich niańczyć. Zajmij się następnym. – Widząc wyraz twarzy Jacka, zniżył głos. – To nie Anglia, Armitage. Tu jest inaczej, rozumiesz?

– Tak, sir.

– Tylko w tym roku przez nasz szpital przewinęło się piętnaście tysięcy koni i mułów. Pospiesz się. Nie marnuj czasu przy żadnym zwierzęciu.

Odchodząc, Jack obejrzał się na kobyłę. Myślał o Waclawie, wielkim shire, o jego sarnich oczach, łuku olbrzymiej szyi pod chomątem w trakcie

źniw. Koń stąpał cierpliwie i powoli, prawie sennie, nigdy nie dawał się popędzić. Jack próbował wyobrazić sobie Wacława tutaj. Mówiono, że zwierzęta tych rozmiarów przydzielano do ciągnięcia dział artyleryjskich. Jackowi na samą myśl przewracało się w żołądku, a to było jeszcze, zanim usłyszał huk tej broni. Nie z bliska. Nie znalazł się jeszcze w środku walki, gdzie padał deszcz ognia, a ziemia i niebo zamieniały się miejscami.

Przez tych kilka pierwszych tygodni wiele zobaczył. Widział dobrego, silnego konia czystej krwi, który nie chciał wstać, gdy próbowano wylądować go z transportu. Od czasu do czasu zwierzę próbowało gryźć się w bok. Kolka. Skręcone jelita ciężko było wyleczyć nawet w Anglii. Widział owrzodzenia od siodeł, rany szyi, połamane kości, wycieńczone zwierzęta, które stały potulnie w szeregu i odwracały do Jacka głowy, zmęczone i pokonane. Zrobiły, co było w ich mocy, szły za ludźmi wszędzie tam gdzie oni. Nie rozumiały, dlaczego muszą to robić. To właśnie sprawiało, że Jackowi krew gotowała się w żyłach. On rozumiał. Jego oficerowie też rozumieli. Wszyscy to wiedzieli, poza końmi, biednymi, posłusznymi stworzeniami.

Cholerna wojna, parszywa wojna.

Powtarzał to sobie pod nosem setki razy dziennie.

*

Oficer opuścił lornetkę.

– Nadchodzi śnieżyca.

– Na to wygląda, sir.

Przełożony westchnął.

– Kawaleria z Northamptonshire czeka na zachód od Arras. Wspierają szósty oddział piechoty. Kawaleria z Essex też jest gotowa. – Podał lornetkę Jackowi. – Popatrz.

Zaskoczony Jack wziął ją nieufnie. Nigdy wcześniej nie dawano mu lornetki.

– Pozycje artyleryjskie w wiosce – oznajmił kapitan. – Szósta i ósma konnica dołączają do wysuniętej warty dragonów z trzeciej.

Jack bardzo niewiele widział. Oddał lornetkę.

– Kawaleria i piechota – stwierdził.

Kapitan nie spuszczał go z oka.

– Kawaleria i piechota, które mają walczyć z artylerią. Żeby przejąć wioskę. Rozumiesz, Jack?

Co tu było do rozumienia? Nie wiedział, dlaczego jego przełożony postanowił podzielić się z nim tą informacją. To nie była jego sprawa. Wysyłali konie pod ostrzał artyleryjski. Cóż można było na to powiedzieć?

Oficer zaczął przytupywać, żeby rozgrzać stopy. Koń przeniósł ciężar ciała i pochylił głowę. Jego ciepły oddech w postaci chmurek unosił się wokół.

*

O ósmej trzydzieści rano Kawaleria Essex i dziesiąty szwadron huzarów minęły ich w odległości kilkuset jardów, przemieszczając się w dół wzgórza. U podnóża czekała Lekka Szkocka Piechota, zgodnie z zapowiedzią kapitana Portera.

Mężczyźni z północy, z gór. Jack wyobrażał ich sobie w dole, w ciszy śnieżycy, jak odwracają się i patrzą na konie pędzące w dół zboczem, które według kapitana Portera nosiło nazwę Pomarańczowe Wzgórze. To musiał być wspaniały, poruszający widok.

Kawaleria poruszała się w rozciągniętym szyku, szereg za szeregiem jadących konno żołnierzy. Zajmowali całe zbocze wzgórza. To była wyjątkowa chwila. Jack poczuł, że brakuje mu tchu. W pierwszym odruchu chciał odwrócić głowę, ale potem odprowadził wzrokiem konie galopujące na złamanie karku. Wyciągały głowy do przodu, pędziły jak grafitowe linie na tle śniegu, przesuwane się i zmieniające wzory na tle biało-brązowego wzgórza.

Tam w dole były okopy, ale gdzieś tam wybudowano nad nimi przejścia. Konie przeleciały po nich z pełną prędkością. Pędziły jak szalone. Do tego były potrzebne. Piechota i artyleria zabezpieczały teren, ale kawalerię rzucano w środek wrzawy jak bełty, żeby szybko wyrąbać przejście. Strzały z ludzkiego i zwierzęcego ciała i krwi, przerzucane nad obroną. Dziki pomysł, obłąd, zwieńczenie poprzednich szaleństw.

Jack słyszał dochodzące z doliny wiwaty Szkotów. Wkrótce zagłuszyły je odgłosy ognia artyleryjskiego i broni maszynowej. Z trudem starając się

zachować skupienie, zobaczył spadających jeźdźców i ich konie biegnące wprost między eksplozje. Linie i obrazy rozpadały się, konie nagle zaczynały słać się na nogach i upadać głowami do przodu na ziemię, wyrzucały z siodeł mężczyzn albo ciągnęły ich pod sobą.

Kapitan Porter odwrócił się zmartwiony i zaklął. Tutaj, na szczycie wzgórza, był bezsilny. Pocisk wybuchł tuż pod nimi, wyrzucając w powietrze deszcz kamieni i ziemi. Porter ponownie podał Jackowi lornetkę.

– Dranie, dranie.

Jack przecesał wzrokiem wzgórze w miejscu, gdzie przeszła kawaleria. Kiedy skierował w tamtą stronę szkła lornetki, mimowolnie przygryzł język aż do krwi, tak wielkiego szoku doznał. Nieduży koń biegał w kółko, mijając w pędzie ranne zwierzęta i ludzi. Na grzbiecie miał zamocowany tobołek z rodzaju tych, których używano do przewożenia amunicji do broni maszynowej. Na oczach Jacka zwierzę zostało ostrzelane ogniem armatnim. Biegło przez chwilę pod dziwnym, paskudnym kątem, ciągnąc zad, po czym zatrzymało się z trudem. Przednie nogi przez moment utrzymywały ciężar ciała, aż wreszcie zwierzę runęło.

Jack odsunął szkła. Za plecami usłyszał okropny hałas. Przychodziły rezerwy dla artylerii. Pod nimi Szkoci ruszyli do przodu, nad okopami, w stronę Monchy. Wioska – rozproszone domy i mury – czerwieniła na śniegu. Z jej centrum nieustannie strzelały niemieckie karabiny. Jack słyszał na dole sygnał trąbki, znak dla kawalerii. Mieli się przegrupować albo przynajmniej spróbować to zrobić. Wciąż szli do przodu.

„Z powodu wioski” – pomyślał Jack. Z powodu kawałka ziemi. Po trupach i rannych. Dziesiątki razy trzymano go w rezerwie, tak jak teraz, ale tym razem nie było koni, którymi mógłby się zająć. Wszystkie wysłano na dół, w piekło tego poranka. Kapitan Porter pobiegł, a Jack za nim. Czuł na twarzy lodowaty podmuch wiatru. Na samym brzegu pagórka, blisko miejsca, w którym przed chwilą stali, wykwitł pocisk jak czarnoszary kwiat. Zobaczyli go, zanim usłyszeli huk eksplozji, która niemal zbiła ich z nóg. Pobiegli z powrotem przez linie łączności, w stronę wyładowanych zapasami wozów. Porter zaczął coś sprawdzać raz za razem, nie przestając przeklinać. Nie był chłodnym ani opanowanym człowiekiem. Z tego powodu Jack uważał go za ludzkiego. Widział na twarzy kapitana to, co sam czuł – wściekłość i bezsilność.

Ale nie mógł się temu poddać. Musiał pozbyć się uczuć. Inaczej wściekłość mogłaby przejąć nad nim kontrolę. Zdekoncentrować, odebrać siłę w nogach. Straciłby równowagę, poczułby, jak uginają się pod nim kolana tylko dlatego, że organizm nie zdołałby przyjąć niczego więcej. Mógłby uciec spod niego, stać się obcym ciałem, które nie słucha płynących z mózgu rozkazów.

Przytrafiło mu się to w pierwszych tygodniach pobytu we Francji. Kanałem w górę Sommy płynęła łódź pełna rannych. Na ich widok Jack poczuł, że żołądek zmienia mu się w wodę. Odwrócił się i wymiotował, ubrudził się jak dziecko.

– Nie pozwól, żeby kiedykolwiek znów ci się to przytrafiło – polecił mu dowódca.

Zapamiętał i wykonywał jego polecenie. Zawsze, po tym już zawsze. Jego zadaniem było stać prosto i słuchać poleceń. Szybko.

I nie myśleć.

Ani odrobinę.

Kapitan Porter spojrzał teraz na niego. Starł pot z twarzy.

– Schodzimy na dół. Przygotuj się. Słyszysz?

*

W Rutherford dzień był niemal cichy.

Jenny i Mary opuściły kuchnię o ósmej rano i wyszły na siąpiący deszcz, owinięte w przeciwdeszczowe peleryny, które pożyczyły ze składziku pana Bradfielda.

– Służą do polowań, więc nie chcę słuchać narzekania na zapach – poinstruował je tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie zmokniecie w nich.

Podziękowały. Sprawiał wrażenie chłodnego, ale miał serce. Mimo to dziewczęta wiedziały, że lepiej nie próbować wciągać go w pogawędkę.

Panna Dodd obejrzała je tuż przed wyjściem.

– Zmiękł na starość – szepnęła do siebie. – Kiedyś nic podobnego by się nie zdarzyło. Nawet by was nie zauważył.

– Nie ma nas tak wiele do zauważania – stwierdziła Mary.

– Wszystko skończy się wraz z wojną – odparła szybko panna Dodd. – To tymczasowe. Pamiętajcie o tym i nie wychylajcie się ponad stan. Jeśli

zaczniecie się spoufalać, wkrótce się was pozbędą, nieważne, od jak dawna tu pracujecie.

Mary w to wątpiła, ale się nie odezwała. W okolicznych wioskach brakowało ludzi do służby. Dziewczyny nie szły teraz do pracy u państwa. Lepiej płacili w przędzalniach albo w fabrykach amunicji w Leeds, Bradford i Liverpoolu, choć była to mordercza praca. Mary wspomniała o tym Jenny, gdy szły ścieżką w stronę wydzierżawionej farmy.

– Dobrze, że nie pracujesz w fabryce amunicji – stwierdziła Jenny. – Urodziłabyś kanarkowe dziecko.

– Co?

– Kanarkowe dziecko. Dzieci pracownic fabryki rodzą się żółte.

– Daj spokój.

– Naprawdę. Jasnożółte.

– Mają żółtaczkę?

– Chodzi o coś w ładunkach wybuchowych.

– I co, to przechodzi do ciała?

– I wychodzi w dzieciach.

– Jasna cholera – zachnęła się Mary. – Lepiej o tym nie myśleć. Ja nie zamierzam.

Szły szybko, przynajmniej na tyle, na ile dawała radę Mary. Na farmę prowadziła piękna ścieżka, przez pieszny most nad rzeką w pobliżu bram terenów parkowych. Gospodarstwo leżało w przeciwnym kierunku niż wioska. Skręciły na drogę. Poprzedniej jesieni położono nową, asfaltową powierzchnię, usuwając ślady po starej zakurzonej drodze gruntowej, która wiała się między wysokimi żywopłotami. Teren wznosił się odrobinę, więc spoglądając do tyłu, widziały w zagłębieniu wioskę oraz kominy i dach Rutherford, ledwie wystające ponad buki porastające podjazd.

Mary złapała Jenny za ramię.

– Zatrzymaj się na moment – poprosiła. – Muszę złapać oddech.

Oparła się o suchy kamienny mur i popatrzyła w górę, na lekkie obłoki na niebie. Słuchały wróbli sprzeczących się w żywopłocie, w trawie na polu i w ociekającej wodą po deszczu trybuli.

– Zastanawiam się, co teraz robi David – odezwała się cicho Mary.

– Nie jest już w tamtym miejscu?

– W Thiepval? Nie.

– Przesłał ci tym razem jakieś wiersze?

- Ani jednego od czasu Ancre zeszłej jesieni.
- Założę się, że chciałby tu być.
- To na pewno.

Mary popatrzyła w dal ponad polami. Z jednej strony pragnęła znać wszystkie szczegóły dotyczące życia Davida we Francji. Z drugiej – nie chciała wiedzieć absolutnie nic. Miał takie miękkie serce i jego pierwsze listy przyczyniły się do tego, że wreszcie się w nim zakochała. Ale wojna go zmieniła. Nie mówił o tym. I o ile wiedziała, również nie pisał.

Wciąż pamiętała, jak podkradał tomiki poezji z biblioteki. Znalazła go tam pewnego dnia, skulonego na krześle z tomikiem Keatsa na kolanach. Kiedy weszła do pokoju, na jego twarzy malowało się tak wielkie poczucie winy, jakby złopał brandy jaśnie pana albo chował srebra do kieszeni! Taki rumieniec z powodu książki z wierszami. Był drobny, miał takie wąskie ramiona. Nikt nie widział w nim żołnierza.

Nawet ona nie była pewna, czy stał się żołnierzem. Na pewno nie był typem krzykliwego, muskularnego mężczyzny, którego sukces w wojsku można sobie wyobrazić. Nie wiedziała, jak sobie radził, czy inni tylko go tolerowali, jak rozmarzonego dzieciaka.

Och, ale ten jego uśmiech. On ją do niego przyciągnął i on pozwolił mu przetrwać. Wciąż go miał, chociaż go ukrywał. Radość powróciła, gdy David ostatnio przyjechał do domu. Dopiero kiedy Mary spytała go o miejsce, w którym pochowano jego brata, uśmiech znów zniknął.

- Nie wiem – odpowiedział.
- Ależ musisz wiedzieć!

Wziął ją za rękę.

- Och, Mary. Nie pytaj. Nie wiem, i taka jest prawda.

Dwie kobiety ponownie ruszyły przed siebie. Dotarły na farmę po kolejnych dziesięciu minutach. Prowadził ją pan Gil, prostoduszny, zawsze uśmiechnięty Yorkshireczyk. Miał około czterdziestu lat i późno się ożenił. Jego żona, Frances, była tęgą, wesołą i zawsze serdeczną, ale w tej chwili chorowała na grypę. Kiedy tego ranka otworzyły drzwi, siedziała na dużym drewnianym krześle typu Windsor, obok pieca kuchennego, z poduszką pod plecami. Ogień w palenisku płonął jasno. Na piecu stał czajnik, w którym właśnie zaczynała się gotować woda.

- Dzień dobry, pani Gil.
- Witajcie, dziewczęta.

Sapnęła nagle i potrząsnęła głową.

– Co się dzieje? – spytała Mary.

– Nie jestem pewna – odparła kobieta. Jej akcent był niemal tak silny jak ona. – Całą głowę mam zatkaną. Co za okropność.

W końcu machnęła ręką.

– Nic takiego. Herbata się parzy. Chodźcie do środka. Nalejcie też mnie. Dobre dziewczuchy.

Kiedy już nałały, usiadły na jej prośbę.

– To już niedługo – odezwała się do Mary. – Cztery miesiące?

– Tak.

– To dlatego masz taką smutną minę.

– Nie – zaprzeczyła Mary. – Po prostu nie czuję się dobrze, to wszystko.

– Niedobrze ci?

– Tak. I... tak jakoś dziwnie. Jakby coś było nie w porządku.

– A co ma być nie tak? Dla mnie wyglądasz zupełnie zwyczajnie.

Krzepko.

Mary wzruszyła ramionami.

– Czuję się ciężka.

Frances się roześmiała.

– Oczywiście. I będziesz jeszcze cięższa. Taka prawda. – Poruszyła się lekko na siedzeniu, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. – Ale jeśli nie chcesz poczuć się dziwniej, lepiej nie wychodź na podwórze.

– Dlaczego? – spytała Jenny.

– Przywieźli nam dziś rano pomoc, z obozu.

– Jeńców?

– Niemieckich, tak. Sześciu, żeby naprawili ścianę obory. Jak wam się to podoba? Powiedziałam tym strażnikom, co ich przywieźli, że nie chcę ich oglądać. Niech nie przyprowadzają mi ich do domu pod żadnym pozorem. Takie mam życzenie, a co. Mordercy!

– Kto o nich poprosił? Andrew? – Jenny wymieniła imię męża Frances.

– A skąd! – wykrzyknęła kobieta. – To zarządca. Człowiek jaśnie pana. Andy powiedział, że potrzebuje pomocy, i ani się obejrzeliśmy, jak zarządca poszedł do lorda Cavendisha i ktoś przyjechał z Catterick. Ale same wiecie, jak można odmówić? Potrzebujemy pomocy. W oborze dach zawalił się częściowo od śniegu. Mamy tylko trzech pracowników, a dwóch z nich to cholerne półgłówki, Jed i Billy Watling. Ani toto ładne, ani pozytywne.

Chyba musimy więc wziąć więźniów. Niemców czy kogo.

Dziewczęta popatrzyły po sobie.

– Myślę, że to tacy sami ludzie jak my – odważyła się zauważyć Jenny.

Mary zrobiła groźną minę i wstała.

– Zobaczmy, kogo nam przywieźli. – Mijając Jenny, posłała jej miażdżące, pogardliwe spojrzenie. – Ludzie, tak? – syknęła pod nosem. – Ludzie, którzy zabijają innych, na przykład brata Davida.

Wyszła, a Jenny spojrzała przepaszająco na Frances.

Gospodyni uśmiechnęła się smutno i porozumiewawczo.

– Ten David, widzisz... Nie podejmuj się nią.

*

Obora była wiekowym budynkiem, ustawionym prostopadle do podwórza. Wzdłuż niej stała dojarnia. Za bramą w pobliżu podwórza trzymano krowy. Kryły się pod osłoną ściany, podczas gdy deszcz wciąż padał.

Zwierzęta ustawiły się przodem do nich, zainteresowane obecnością psa obronnego, którego trzymał stojący pod okapem obory żołnierz. Mężczyzna wyglądał, jakby spał. Głowę miał zwieszoną na klatce piersiowej aż do chwili, gdy za wychodzącymi kobietami trzasnęły drzwi. Na dźwięk ich kroków wyprostował się i spojrzał w ich stronę.

Przeszły szybko przez podwórze, omijając kałuże błota.

Mary zatrzymała się, kiedy znalazły się obok niego.

– Czy oni tam są?

– Jasne. Ale to nie pani interes.

– Gdzie walczyli? – spytała stanowczo.

– Co?

– Gdzie walczyli? – powtórzyła. – We Francji?

– A skąd ja mam wiedzieć? Kogo to, do diaska, obchodzi?

Jenny pociągnęła koleżankę za ramię.

– Zajmijmy się masłem. Po to tu przyszliśmy.

Ale Mary wahała się, nie spuszczała wzroku ze strażnika. Po chwili przeniosła spojrzenie na drzwi stodoły.

– Nikogo w środku nie słyhać.

– Mają przerwę – wyjaśnił żołnierz. – Na herbatę.

Mary opadła szczęką.

– Herbatę! Herbatę, tak? Może jeszcze dacie im ciasta, co? I pieprzone kanapki z ogórkiem do kompletu?

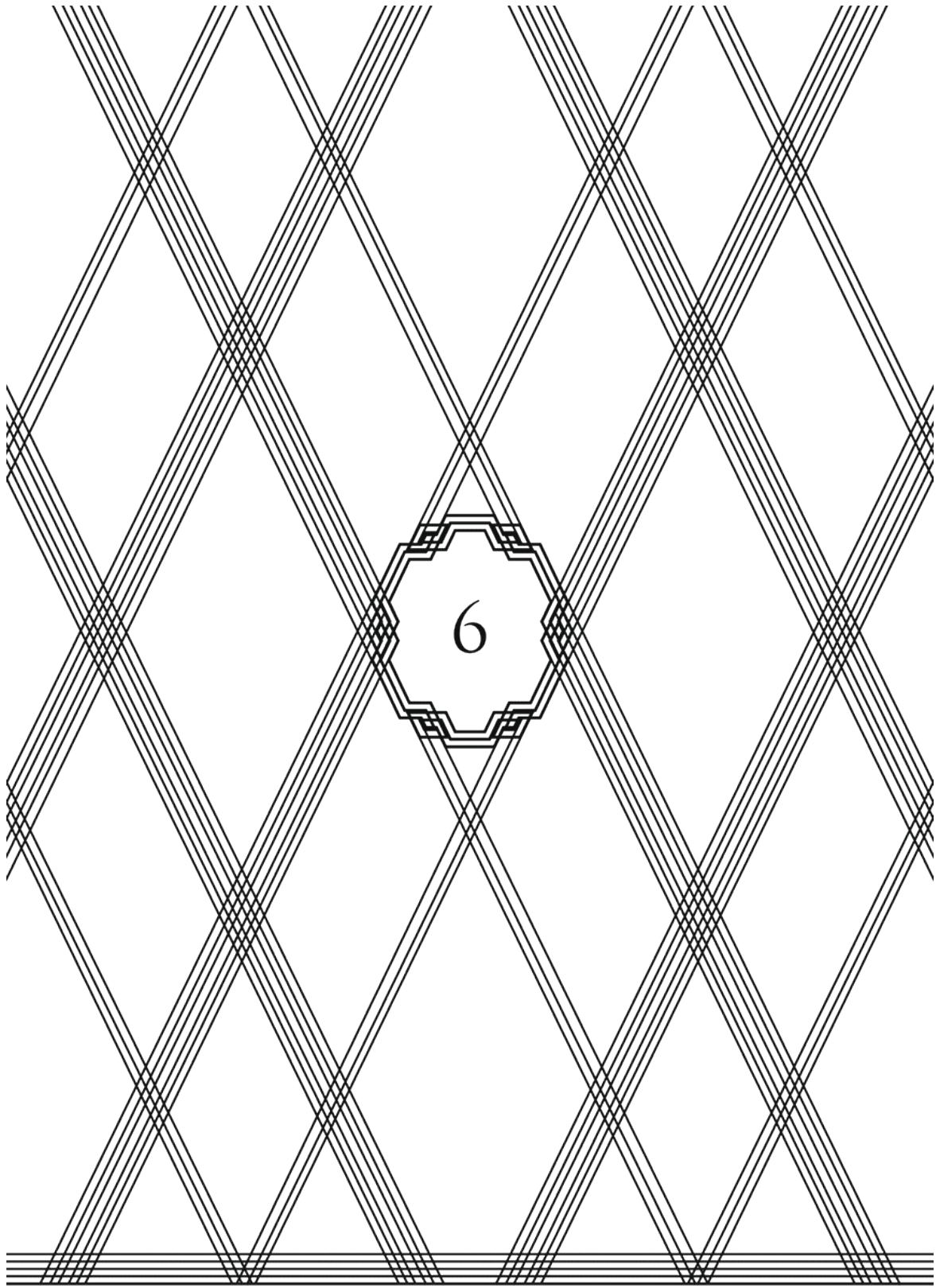
Jenny złapała przyjaciółkę za rękę.

– Chodź – poprosiła. – Mary...

Mary kopnęła w drzwi. Pies zaczął szczekać, a żołnierz zastawił jej przejście.

– Hej, panienko...

– Mary... – błagała Jenny. Stanowczo wzięła koleżankę pod ramię, pociągnęła w stronę domu i połączonej z nim przetwórnii mleka. – Nie będziemy ich widzieć – próbowała ją pocieszyć. – Nigdy ich nie zobaczymy, Mary, tak? Po co miałybyśmy ich oglądać?



Wreszcie nadszedł list od Caitlin. Od wesela minęło dziesięć dni, ale wyglądało na to, że znów była we Francji, na służbie.

To był długi list i kiedy Harry go zobaczył, serce zaczęło mu szybciej bić. Ale jak się okazało, nie znalazł w nim nic, co chciałby przeczytać.

Drogi Harry,

wiele razy próbowałam do ciebie napisać. Wiesz, że jest to trudne, ale brak czasu nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Teraz jest pierwsza rano. Nie pracuję już w pociągach szpitalnych, ale w konwojach. Na statku kołysze. Pogoda jest koszmarna, a ja nie jestem żeglarką. Ale to nieistotne – w porównaniu z tym, co przechodzą inni. Rozumiesz. Jestem tu od tygodnia i nie wiem, czy popracuję kolejny tydzień, dzień, czy może każą mi wrócić do Anglii. Zresztą to nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co chcę ci powiedzieć.

Pamiętasz, jak pokazałeś mi Rutherford wkrótce po tym, jak zostałeś ranny? Kiedy zabrano cię tam po drugiej operacji? Wspominasz ten czas, jakby to był sen? Czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek rzeczywiście tam byłam. Urocze miejsce. Całkowicie spokojne. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widziała coś podobnego. Wychowywałam się w miejscu, w którym zawsze było niespokojnie, zresztą Londyn nigdy nie śpi. Z pewnością zaś niewiele sypialiśmy w domu. Wiecznie słyszałam kłótnie. Opisywałeś mi awantury w Rutherford, ale mnie wydają się one oznaczać zupełnie coś innego. Próbowałam ostatnio wyobrazić sobie życie w tym miejscu. Otwarte drzwi na taras, światło świec podczas kolacji. Niemożliwe.

Stało się nawet bardziej niemożliwe z powodu tego, co się wydarzyło.

Zastanawiam się, czy pamiętasz, jak wspominałam o Eleanor Brinkley. Przydzielono ją ze mną do Albert, kiedy przyjechałyśmy tu po raz

pierwszy. Służyliśmy w punkcie opatrunkowym tuż za frontem. I potem znów w pociągach. Pokazywałam ci ją. Ładna dziewczyna o długich włosach, których nie chciała ściąć. Nieco szczerbaty uśmiech. Bez wątpienia pamiętałbyś, gdybyście się spotkali. Pochodzi z twojej części kraju, a przynajmniej z okolic. Z Whitby. W jej akcencie słyhać północ. Ma taki ładny głos, Harry.

Wiesz, niektórzy przez to wszystko stają się bezduszni. Nie chcą być okrutni, ale to po prostu nieuniknione. Jednak Eleanor jest inna. To córka pastora i zna wszystkie cytaty z Biblii, choć nie jest taka, żeby je cytować. Nikogo nie poucza. Jednak słyszałam, jak szepcze kilka linijek tym, którzy pragną je usłyszeć, którzy o nie poprosili. Wiara. Niezwykłe, prawda? Ja swoją straciłam. Wiem na pewno, że nigdy jej nie odzyskam.

Byliśmy w portach nad kanałem – zdaje się, że nie powinnam pisać których, ale będziesz wiedział lepiej niż pozostali. Sam płynęłaś szpitalnym konwojem, prawda? Pamiętam, jak mówiłaś, że okropnie było tak czekać na nabrzeżu, podczas gdy po obydwu twoich stronach zrzucano bezceremonialnie innych rannych, a statki wypływały kolejnych krzepkich i pełnych wigoru nowo przybyłych. Wydawało ci się, że widzisz konia z Rutherford, wielkiego shire'a, którego kochałaś. Ale to oczywiście nie mogła być prawda, bo to byłby cud. Widziałaś cuda na wojnie? Nie. Ja też nie widziałam.

Tak czy inaczej, Harry, zostaliśmy tutaj przydzieleni i można by pomyśleć, że będzie to wytchnienie od szpitalnych pociągów, ale okazało się inaczej. Zobowiązano nas do przyjmowania barek płynących Sommą. Nauczyłam się prowadzić ciężarówkę. Największą, wiesz, willys-overlanda. Wyobraź to sobie! Nigdy wcześniej nie siedziałam za kółkiem. Ta maszyna hałasuje gorzej niż armaty. Opony są twarde, resory zniknęły. Dach przykryto blachą. Nie można dosłyszeć nawet pasażera obok. Kiedy wysiadałam, żeby zakręcić korbą i uruchomić silnik, ciągle zsuwała się z biegu. Wciąż groziło mi, że mnie rozjedzie.

Ciężarówka była pierwsza na miejscu i ostatnia wyjeżdżała z szuwarów. Tak samo na polu. Woziliśmy w tę i z powrotem wszystkie koce, nosze i wyposażenie oficerskie. Kiedy przyjeżdżały pociągi szpitalne, miałam szczęście, jeśli udało mi się położyć do łóżka przed drugą nad ranem. Na nabrzeżu i w punkcie opatrunkowym trzymaliśmy muły i konie. Niektóre zwierzęta były w dobrym stanie i mogliśmy na nich

jeździć.

Czekaliśmy o piątej rano, aż przypłynie jedna z łódek. Dotarła do nas wiadomość, że ma opóźnienie. Było wciąż ciemno, Harry. Początek marca, przenikliwie zimno. Musieliśmy czekać na telefon – to miał być dla nas sygnał, czy łodzie przypłyną. Wiał wiatr tak silny, że łódkę zatrzymano kilka mil od nas.

Eleanor i ja stałyśmy tam razem tego ranka. Mówiono, że są duże straty w ludziach i obaj kierowcy powinni być doświadczonymi pielęgniarzami. Rozumiesz, dodatkowe ręce do pracy. Byłam już wcześniej w takiej sytuacji. Wspinałam się za kierownicę wiele razy, a wcześniej musiałam myć dłonie, żeby zdołać ją utrzymać. Buty też. Człowiek robił obojętną minę i zmywał plamy, po czym odstawiał buty koło buchającego brązowego piecyka w sali sypialnej, żeby wyschły.

Eleanor lubi jazdę konną. A raczej lubiła przed wojną. Kiedy stałyśmy w ciemnościach, w zimnie i wicherze, powiedziałam jej, że nigdy w życiu nie jechałam konno. „Straciłaś coś wspaniałego” – oznajmiła mi. Chwilę później pobiegła do sierżanta i spytała, czy może wziąć dwa konie z czekających w szeregach. To nie były konie ranne w walce, rozumiesz, w każdym razie nie bardzo znużone. Mimo to stoją czasem z opuszczonymi głowami, cierpliwie chłoną hałasy, krzyki i chaos, po czym zwracają w twoją stronę łagodne i błagalne spojrzenia, zwłaszcza jeśli zdołało się znaleźć dla nich kawałek chleba albo odrobinę cukru. Biedne stworzenia! Współczuję im.

Powiedziałam, że nie wierzę w cuda, a jednak właśnie o jednym ci opowiem. Sierżant zgodził się, żeby Eleanor wzięła konia i muła na piaszczysty teren. Tuż obok kasyna jest plaża, piękna, płaska plaża, na której dawno temu byłby tłum turystów. Wydaje mi się, że Eleanor musiała wcześniej rozmawiać z sierżantem. Chyba czuł do niej odrobinę mięty. W każdym razie tamtego ranka przymknął na nas oko.

Nie było siodła, tylko koński rząd, którego musiałam się trzymać. Mój mały uparciuch nie umiał galopować, za to kłusował z wielkim ukontentowaniem, równie szczęśliwy jak ja, że widzi morze. Koń Eleanor ruszył galopem i straciłam ją z oczu. Po prostu tłukłam się przed siebie i zaczęłam czuć się okropnie dziwnie. Czy potrafisz zgadnąć dlaczego? Zaczęłam się śmiać. To było tak absurdalne. Fale rozbijały się u stóp mojego muła, przez co od czasu do czasu przeskakiwał z nogi na nogę.

Pomyślałam, że to wszystko jest fantastyczne – fale, ja w charakterze dziwnego worka ziemniaków na grzbiecie biednego zwierzęcia. Chociaż jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Może i tak byłam lżejsza niż toboły, które ostatnio przyszło mu dźwigać.

Na niebie rozbłysło kilka pierwszych promieni słońca. Wtedy zobaczyłam Eleanor pędzącą ile sił. Włosy miała rozwiane, a na twarzy wyraz absolutnego szczęścia. Wyglądała na jakieś osiem lat. Zawróciła konia obok nas i się zatrzymała. Staliśmy tam razem, Eleanor, koń, muł i ja. Wokół nas wstawał świt i huczały fale. Zdałam sobie sprawę, że od wielu tygodni nie śmiałam się ani nawet nie uśmiechałam. Nie naprawdę. Nie mam na myśli uśmiechu typu „wszystko będzie dobrze”, który trzeba z siebie wykrzesać, tego pocieszającego, profesjonalnego grymasu. Chodzi mi o szczerą śmiech, prosto z serca. Poczułam, jakby przepływał przeze mnie strumień czystej wody.

Zabrałyśmy zwierzęta z powrotem, a sierżant łaskawie wciąż nic nie mówił. Mężczyzna zajmujący się spopieleniem zwłok – kto chciałby się tym zajmować, Harry? – zrobił wszystkim herbaty. Piliśmy ją z emaliowanych kubków. Nigdy wcześniej tak mi nie smakowała. Nie mogła się z nią równać nawet filizanka idealnie zaparzonego napoju, który Bradfield stawiał przede mną na stole w Rutherford.

Włożyłyśmy szerokie płaszcze i znów spięłyśmy włosy, by nadać im pozory ładu. Wreszcie zadzwonił telefon i poszłyśmy do ciężarówki. Oczywiście kiedy kręciłam korbą, spadła z biegu. Eleanor to zauważyła. Gdy ja uciekałam na bok, pospiesznie przesiadła się na stronę kierowcy i dzięki temu auto nie popędziło w dół drogi. Śmiała się, kiedy wsiałam do środka.

Niedaleko Dowództwa Załadunku Medycznego znajduje się francuska bateria artyleryjska. Sześć tygodni temu zostaliśmy ostrzelani, od czasu do czasu się to zdarzało. Nagły pech, kolejny pozornie bezlitosny impuls, który potem zostaje zduszony bez wyraźnego powodu. Niemcy mają pociski dalekiego zasięgu. Tak samo jak my. Ale pomyślałbyś, że mogą zasypać gradem kul oficerów medycznych, transporty, kolejki do przepraw portowych? Kanonierzy prawdopodobnie nie mieli pojęcia, w co dokładnie uderzą. Przynajmniej wolę tak myśleć. Pocieszam się tą myślą. Że w sercach artylerzystów znalazłaby się resztkę ludzkich uczuć, gdyby zobaczyli, jakie wyrządzili szkody.

Jechaliśmy obok baterii francuskiej. Miałam nagłe, gwałtowne przeczucie, że zaraz coś się stanie. Był już środek dnia, ale zewsząd napadła na nas cisza, chwila spokoju. Jak gładka woda pomiędzy falami, tak myślę. Instynktownie postawiłam stopę na pedale gazu. I wtedy się roztrzaskaliśmy. Poczułam, że jakaś siła wyrzywa mnie z ciężarówki i rzuca na ziemię. Zaryłam twarzą w żwir i błoto. Czułam, jak mnie piecze. Kiedy wszystko się skończyło, dotknęłam nosa. Myślałam, że może być złamany.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Eleanor. Samochód, który jechał za nami, zniknął. Ani śladu ludzi, którzy w nim siedzieli. Dostrzegłam Eleanor w rowie na poboczu. Siedziała. Kiedy podniosłam się na nogi, poczułam w plecach silny ból, ale mogłam chodzić, więc podeszłam do niej. „Wyglądasz okropnie” – powiedziała. „Będziesz musiała się umyć”.

Nadbiegli Francuzi. Rzucili się na nią, podnieśli, tulili w ramionach. Nazywali ją biednym małym gołąbkiem i tak dalej. Wyglądała, jakby chciała się ich pozbyć: „Jejku, ależ jestem zdyszana. Nie mogę złapać oddechu”.

Usiadłam koło niej. „Nic nie mów” – poleciłam.

Mieliśmy kilka sznurowadeł, które zawiązaliśmy wokół obu nóg na wysokości ud, a potem idiota, który znajdował się najbliżej, zasłonił oczy ramieniem jak dziecko i lamentował: *Complètement coupé*. Miałam ochotę go znokautować, powalić pięścią. Co za głupiec. Eleanor podniosła głowę i spytała: „Co jest odcięte?”, a ja odpowiedziałam, że jej kurtka jest zupełnie do niczego. „Zawsze potrafiłam zszyć podartą kurtkę, Caitlin” – odparła. Po czym zamilkła, patrząc w skupieniu na moją twarz.

Umarła kilka minut później. Nie zdołaliśmy wystarczająco szybko nikogo do niej przysłać. Wiesz, obydwie tętnice udowe. Mimo naszych sznurowadeł i wszelkich innych wysiłków. Przyjechała karetka i jakiś dziarski młody oficer, którego nigdy nie widziałam, kołysał się, jakby tańczył walca w Ritzu, tak radośnie, jak to tylko możliwe. Podał jej morfinę. Eleanor wciąż miała uśmiech na twarzy. Chwyciłam go za ramię. „Nie ma sensu dawać jej parszywej morfiny” – powiedziałam, gdy wymachiwał strzykawką.

Doniósł, że na niego przeklinałam.

Och, najdroższy Harry, widzę twoją minę. Martwisz się o mnie i jesteś przerażony z powodu Eleanor. Kogoś, kogo spotkałeś tylko przelotnie i kto zapewne wywarł na tobie zaledwie krótkotrwałe wrażenie. Zastanawiam się, jak długo ona pozostanie w twojej pamięci. Czy na przestrzeni lat stopniowo będzie z niej zanikać? A może już jest niewyraźna?

Jej matka, ojciec i siostry doskonale ją pamiętają, oczywiście. Będą w niej widzieli inną epokę i inne lata – czas, kiedy dorastała. Będą wiedzieli o rzeczach, o których nie mamy pojęcia, podczas gdy ja wiem o niej to, czego oni nigdy się nie dowiedzą. Dwadzieścia lat to nie jest zbyt długi czas, trudno wtłoczyć w nie całe życie. Zostaje mnóstwo pustych kart czasu, gdzie coś mogło się wydarzyć, kiedy czegoś można było doświadczyć. A teraz co się stanie? Kiedy jej rodzice odejdą, jej siostry odejdą, ona także zniknie. Jak ludzie zabrani przez wodę, kochany. Setki tysięcy, miliony. Odpłynęli i pozostają tylko fragmenty ich istnienia. W końcu ostatniego dnia jej siostrzeńcy i siostrzenice zapytają, kim była Eleanor. Wtedy jej siostra może sobie przypomni jakieś jej słowa. Będzie miała problem z ożywieniem w pamięci jej twarzy, będzie to obraz do połowy trafny, a do połowy wyobrażony. A prawdziwa osoba... do tego czasu całkiem już zniknie.

Myślę, że postaram się zatrzymać w pamięci wyraz jej twarzy, kiedy jechała w moją stronę tamtego ranka, gdy wstawało słońce. Była w niej radość. Jak mogę napisać do jej matki i powiedzieć, że cieszyła się w ostatniej godzinie życia? Zabrzmi to pusto czy pocieszająco? Czy będzie trzymała się tej radości, której nie była świadkiem, aż zastąpi ona wszystkie inne? Nie wiem, co im napisać, a minęło już sześć tygodni, Harry. Ciągłe coś się dzieje i dni uciekają...

Stałam się złą przyjaciółką, ponieważ nie pisałam, a już jestem złą pielęgniarzką. Wiesz, co zrobiłam poza tym, że żyłam, kiedy umarła dziewczyna obok mnie? Usiadłam i obserwowałam pracujących mężczyzn, zamiast im pomagać. Ten impet, instynkt, najwyraźniej zniknęły. Wydaje mi się, że straciłam zmysły. Obawiam się tego. Nawet teraz, kiedy statek płynie, pragnę, żeby coś go trafiło i żeby utonął. To okropne, życzyć tego wszystkim tym mężczyznom. Ale jedyne, czego pragnę, to żeby wszystko się skończyło. Po prostu.

Dlatego, mój drogi, nie mogę się z nikim związać. Nie sądzę, żebym

była odpowiednim towarzystwem, choćby w najmniejszym stopniu. Nie wiem, co zamierzają ze mną zrobić, ale cokolwiek to jest, wolałabym tego uniknąć. Chciałabym natomiast, żebyś przestał o mnie myśleć.

To dowód mojego egoizmu, że opowiedziałam ci o tym wszystkim, podczas gdy ty musisz sobie radzić... z czymkolwiek się teraz, do diabła, mierzysz, Harry.

Caitlin

*

Octavia przyjechała do Rutherford późnym wieczorem.

Rolls-royce został w Londynie, dlatego pod dom dowiozła ją zwykła taksówka. Bradfield czekał na nią, niepewnie trzymając parasol i od czasu do czasu piorunując wzrokiem grożące deszczem niebo.

Wysiadła i popatrzyła na budynek. Jej spojrzenie szybko przesunęło się w górę, ominęło terakotowy łuk z epoki Tudorów i skierowało się w stronę nowszego, wschodniego skrzydła, gdzie w jednym z małych okienek na dachu wciąż paliło się światło. Była niemal dziesiąta wieczorem, więc w pokoju dzieciennym powinna już panować cisza. Octavia nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć Sessy, córkę Harry'ego. Może mimo późnej pory pójdzie na górę? Stawi czoło dezaprobachie niańki? A potem rano usiądzie i napisze w liście do syna to, co zawsze – że Sessy czuje się dobrze i jest do niego niezmiernie podobna.

Bradfield zszedł po schodach tak szybko, jak pozwalały mu na to jego siedemdziesięcioczeroletnie nogi.

- Witamy w domu, jaśnie pani.
- Dziękuję, Bradfield. Wszyscy zdrowi?
- W rzeczy samej, proszę pani.
- A pan?
- Mam się świetnie.

Weszła po schodach. Edward Hardy, ostatni lokaj, który jeszcze pracował u nich na pełen etat, przytrzymał otwarte drzwi. Skinęła mu głową – próba podtrzymywania rozmowy nie miała sensu. Hardy był głabem i nie umknęło to uwagi oficera poborowego w Richmond. Oficer zauważył też płaskie stopy, które nawet teraz były ustawione na zewnątrz, jak wskazówki

na godzinę za piętnaście trzecia.

Octavia stanęła w holu i wciągnęła w nozdrza zapach domu. Nie do końca tego oczekiwała. Powietrze było zatęchłe, jakby nie wietrzono pokoi. Chociaż stolik przy wejściu lśnił, nie stały na nim kwiaty. Postanowiła porozmawiać z panną Dodd.

William wyłonił się z biblioteki na końcu długiego, wyłożonego boazerią korytarza o bogato dekorowanym suficie, na którym widniał rodowy herb przedstawiający turkuśnika i tropikalne drzewa. Ich kunsztowne stiukowe gałęzie układały się nad nią we wzory liści. Mąż uśmiechnął się na jej widok. Jego kroki niosły się echem po wnętrzu.

– Słyszałem, że pociąg się spóźnił.

Octavia wystawiła policzek, a on pocałował ją sucho i oficjalnie.

– Czy Louisa jest w domu? – spytała.

– Owszem. Ale poszła już spać. Od wesela jest lekko przeziębiona.

– Ojej.

– Poprosić, żeby zeszła na dół?

– Nie. Może to i lepiej, że jej tu nie ma.

William najwyraźniej nie usłyszał ostatniego zdania. Odwracał się już.

– Chodźmy do salonu, ogrzejesz się – zaprosił. – Napalono w kominku.

Przynajmniej tutaj było przyjemnie. Pokój wychodził na południe. W dzień wydawał się szerszy dzięki wspaniałemu widokowi, który się z niego rozciągał. Ogród i park rozpościerały się za oknami jak starannie zadbane zielone sukno, podzielone przez potężne buki na podjeździe. Obok bramy parku sterczał dach stróżówki. Octavia podeszła do okna i przesunęła palcami po biało-niebieskich plisach zaciągniętych zasłon, zrobionych z ciężkiej tapicerki liberty, którą wybrała w innym życiu, w innym świecie.

Tak dziwnie było tu wracać. W rzeczywistości odwiedzała dom raczej po to, żeby zobaczyć Louise i Sessy niż Williama. Szanowała swojego męża za to, kim kiedyś był, oraz za to, że w wielu aspektach wciąż mógł służyć radą członkom rządu. Szanowała jego rodowód, pamięć o jego rodzicach. Ale poza uznaniem nie miała już dla niego żadnych cieplejszych uczuć. Oczywiście w towarzystwie został obsadzony w roli skrzywdzonego męża. Przyzwyczyła się do tego. Czuła, że to ich prywatna sprawa, że tylko oni wiedzą, z jakimi problemami boryka się ich małżeństwo. Jednak to nie powstrzymywało towarzystwa przed wydaniem opinii. Według niej Octavia na ogół odgrywała rolę winowajcy, William zaś był ofiarą.

Dwadzieścia lat wcześniej została nazwana cudzołożnicą. Pięćdziesiąt lat wcześniej mogłaby dosłownie zostać zamknięta w Rutherford. Wiedziała, że taki los spotkał wiele grzesznych żon za rządów królowej Wiktorii. Mąż mógł flirtować, mieć kochanki... właściwie żona również mogła sprawić sobie kochankę. Ale zakochać się? To przynosiło wstyd i hańbę. Arystokratki nie mogły ostentacyjnie pokazywać, co im w duszy gra. Właściwie dla całej wyższej sfery posiadanie serca było źródłem zażenowania.

Ale w czasie wojny część tych granic znikła. Anglia się zmieniła. Kobiety się zmieniły. Nikt by jej już teraz nie zamknął, nawet William. Nikt nie robił jej afrontów. Wciąż była przyjmowana na salonach, chociaż bez entuzjazmu. Uważała, że po części zawdzięcza to Johnowi, którego radosna natura i zdumiewające bogactwo otwierały nawet najbardziej szanowane drzwi.

Zastanawiała się, co pomyśleliby ci, którzy posyłali jej zimne spojrzenia w teatrze, gdyby mogli zobaczyć teraz ją i Williama. Usiadł blisko niej, badawczo przyglądając się jej ubraniom, twarzy i dłoniom, jakby chciał dobrze zapamiętać ten obraz.

– Jak się masz? – spytał.

– Martwię się. O Harry’ego. I o Johna.

Nigdy go nie okłamywała, nie udawała, że sprawy mają się inaczej niż w rzeczywistości. Kiedyś była mu we wszystkim posłuszna. Teraz stali się podobni do mieszkańców dziwnego, obcego kraju, w którym mówiło się prawdę i nigdy nie podnosiło głosu. Zachowywali się jak dwoje dawnych znajomych, zawsze prezentowali nienaganne maniery.

William nie skomentował. Nigdy tego nie robił, gdy mówiła o swoim kochanku. Zamiast tego spojrzał na Bradfielda.

– Czy mógłby pan prosić panią Carlisle, by przyniesiono tu lekką kolację? Nie kłopotcie się z nakrywaniem w jadalni. Tutaj będzie nam wygodniej.

Popatrzył na Octavię. Skinęła głową z aprobatą.

Kiedy kamerdyner wyszedł, Octavia wyjęła z torby list.

– William – spytała – czy uważasz, że Louisa jest tutaj szczęśliwa?

Po jego minie widać było, że nie spodziewał się tego pytania.

– Tak mi się wydaje.

– Naprawdę szczęśliwa? – nalegała Octavia. – Czy ona wychodzi, spotyka

się z przyjaciółmi?

– Tak, dość często. Pomaga przy organizowaniu spotkań, na których zbierają pieniądze. Jak one się nazywają...? Wiesz, te dla koni. Zaledwie dwa dni temu poszła do iluzjonu w Richmond, na te ruszające się obrazki. I wydaje mi się, że niedawno pojechała do Yorku na zakupy.

– A co z Kentami?

– Byli u nas na kolacji w zeszłym miesiącu.

– Czy... – zadumała się Octavia, stukając palcem po liście, ale wciąż go nie otwierając.

William zmarszczył brwi.

– Coś się stało?

Octavia zacisnęła wargi.

– Wydaje mi się po prostu, że to dziwne – mruknęła. – Oczywiście po ucieczce i Paryżu wycofała się nieco z życia towarzyskiego. Ale ona ma tylko dwadzieścia dwa lata. Może trochę wychodzi, ale mimo wszystko wydaje mi się, że zachowuje się nieco ponuro.

– Mim zdaniem ona wygląda na całkowicie szczęśliwą. I lubi spędzać czas z Sessy.

– Wiem, kochanie. I jest nadzwyczaj oddaną ciocią. Ale to młoda kobieta. Nie jest panią tego domu, tylko córką. Chciałabym zobaczyć powrót dawnej Louisy, a ty nie?

William opadł na oparcie fotela. W tym momencie wydał się jej niemal leciwy. Bądź co bądź, był od niej ponad dwadzieścia lat starszy. Z całych sił starała się go nie żałować, bo najbardziej ze wszystkiego nie chciał litości. Mimo wszystko litowała się nad nim i jednocześnie czuła się winna. Ubiegłoroczna choroba zostawiła na nim swój ślad. Jego ruchy stały się wolniejsze. Wieki mijały, zanim odpowiedział. „Mój Boże, czas” – pomyślała. „Czas. Kiedyś poświęcałam mu tak dużo czasu, ale nie był zainteresowany. Złamał mi serce swoją obojętnością. A teraz, gdy ma go całą masę, mnie tu nie ma, nie mogę mu go dać”. Co za smutna ironia losu.

Uśmiechnęła się.

– William? – ponagliła go.

Jej mąż wyraźnie miał mieszane uczucia. Louisa zawsze była jego ulubienicą. To, że mieszkała teraz w Rutherford, jego domu, siedziała przy jego stole, musiało być dla niego ogromną pociechą. Octavia nie chciała pozbawiać go tej przyjemności, choć jednocześnie wołałaby, żeby Louisa

nie koncentrowała się wyłącznie na Rutherford, zwłaszcza biorąc pod uwagę treść listu.

Wyciągnęła go teraz w stronę męża.

– Może powinieneś to przeczytać – zaproponowała cicho.

Gdy czytał, przyniesiono kolację. Bradfield postawił ją przed Octavią na niskim stoliku. Na kolejnym, po lewej stronie, umieścił tacę z herbatą.

– Dziękuję – powiedziała Octavia. – Teraz już sobie poradzę, Bradfield. Możesz iść. Nie musisz się nami zajmować.

Kiedy kamerdyner wyszedł, napełniła filiżankę i uważnie przyglądała się twarzy Williama. W końcu Cavendish odłożył list.

– To niedorzeczne.

– Też tak pomyślałam. Ale ciągle tu jesteś, Williamie. Czy ona dostaje od Jacka Armitage’a jakieś listy?

– Nie mam pojęcia, co przychodzi do Louisy. Nie stoję cały czas nad nią, wiesz o tym.

– Bradfield o niczym ci nie wspomniał?

To kamerdyner dostarczał pocztę każdego ranka przy śniadaniu.

– Nie. Zresztą skąd miałyby wiedzieć? Przecież nie przegląda listów. Octavia się uśmiechnęła.

– Och, nie sądzę, by umknął mu nawet najmniejszy drobiazg – stwierdziła. – Nie wspominając o regularnej korespondencji z Francji.

– Pewnie pomyślałby, że to od Harry’ego.

– Czy Jack pisałby charakterem pisma naszego syna?

– Och... Rozumiem.

Siedzieli razem w milczeniu, po czym William nagle uderzył się rękami po kolanach.

– Pójdę na górę, obudzę ją i spytam, co to wszystko znaczy.

– Nic podobnego nie zrobisz. To może poczekać do jutra. Sama z nią porozmawiam. Nie ma sensu odgrywać rządzącego twardą ręką patriarchy.

William się obruszył.

– Nie traktuję Louisy surowo.

– Właśnie widzę – odparowała Octavia. – W ogóle nie zwracasz na nią uwagi.

– Co...? Powinienem wiedzieć, czy pisuje do niej Jack Armitage, jakiś stajenny? – wykrzyknął. – Od kogo w ogóle dostałaś te brednie? Nie miał dość przyzwoitości, żeby się podpisać.

Octavia skinęła głową.

– Cóż, to chyba oczywiste. Znaczek pocztowy jest z Richmond. Nadawca znał mój londyński adres. Sformułowania są bardzo niezgrabne, charakter pisma toporny...

– Ktoś z tutejszej służby.

Pokiwała głową.

– Też doszłam do tego wniosku.

– Kto tak samo tego nie pochwała.

Octavia nie odpowiedziała. Zareagowała niemal identycznie jak William – lekkim oburzeniem, irytacją, że nadawca pozostał anonimowy. Potem niedowierzaniem. Chciała bronić swojego dziecka. Och, wiedziała oczywiście, że w dzieciństwie Louisa uwielbiała Jacka. Był od niej starszy i uczył ją jazdy konnej. Octavia doskonale pamiętała, że musiała wyjaśnić córce, kiedy ta miała dziewięć lub dziesięć lat, że to niedopuszczalne, by młoda dama spędzała czas na podwórzu stajni i rozmawiała ze stajennymi. Nie wypadało też, by wisiała na stajennych drzwiach i z podziwem gapiła się na swojego faworyta.

Ale to było dziecinne zadurzenie. Jack był oczywiście przystojny. I łagodny. Miał dobre serce, rzadko się złościł. Można było na nim polegać. Same zalety. Ale nie wypadało, żeby rozmawiał z Louisą. Nie wspominając już o pisaniu do niej listów.

– Gdzie teraz jest Jack? – spytała. – Wiesz, gdzie stacjonuje jego oddział?

– Nie mam pojęcia. Brak wiadomości to dobra wiadomość.

– Rozmawiałaś z jego rodzicami?

– Nie.

– A David Nash? Mąż Mary? Słyszałaś o nim cokolwiek?

William patrzył na żonę równie zdumiony, jak gdyby zapytała go, czy podróżował ostatnio na księżyc.

– Nieważne – mruknęła. – Rano zobaczę się z Louisą. – Postanowiła porozmawiać również z Mary i ojcem Jacka. Złożyła list i odłożyła na bok. – Ale że w ogóle ktoś wysłał coś takiego... Rozumiesz teraz, dlaczego powinniśmy pilnować, żeby Louisa częściej bywała i spędzała znacznie więcej czasu z młodymi ludźmi.

– Masz na myśli mężczyzn.

– Tak, młodych mężczyzn z towarzystwa, oczywiście. Już wystarczająco

długo się ukrywała. Nie chcę, żeby robiła głupstwa, ale przyda jej się towarzystwo.

Towarzystwo. Octavia niemal widziała, jaka odpowiedź ciśnie się Williamowi na usta. Skrzywił się, ale od razu się opanował. Octavia znalazła sobie „towarzystwo” – jego zdaniem całkowicie nieodpowiednie. Nie chodziło tylko o Goulda, ale również o artystyczną bohemę ze Slade i Café Royal, która niesłychanie ją bawiła. Octavia widziała to wszystko w jego oczach, bo znała swojego męża. I była mu wdzięczna, że nic z tego nie powiedział na głos.

Dokończyła kolację, po czym odłożyła nóż i widelec.

– Opowiedz mi o tym wypadku – poprosiła.

– W młynie?

– Tak.

William westchnął. Oto kolejne źródło sporów. Octavia chciała, żeby pilnować zasad zatrudniania dzieci i tworzyć odpowiednie warunki pracy. William przymykał na to oko, tak samo jak nadzorca. Wolał wyrabiać się z terminami realizacji zamówień.

– Nazywa się Netherfield – odparł. – Zanim się zaciągnął, pracował w przędzalni. Został ranny pod Ypres. Przyjeliśmy go z powrotem.

Octavia skinęła głową. Była zmęczona, a temat irytował ją bardziej, niżby chciała.

– Równie dobrze możesz powiedzieć, że przyjęliśmy go, bo na to należałam.

– Tak. Nalegałaś, by zatrudnić okaleczonych żołnierzy, którzy nie nadają się do pracy.

– O ile rozumiem, Netherfield mógł się poruszać i ma rodzinę do wyżywienia. Piątkę dzieci.

– Jest w stanie... się poruszać, jak to ujęłaś. Miał na stopie ranę, która się zagoiła. Dodam, że chodzi o postrzał.

– Masz na myśli, że sam to sobie zrobił.

– Nie sposób stwierdzić.

– Ale tak uważasz.

– Niezależnie od przyczyny przyjęliśmy go z powrotem. Ciężko się z nim pracowało. Był nerwowy. Nie potrafił się skupić. Kiedy nastąpiła awaria krosna, po prostu stracił głowę. Potknął się i upadł. Ma pękniętą czaszkę.

– Gdzie jest teraz?

– W wiejskim szpitalu.

– A jego rodzina...?

To była kość niezgody. Octavia szybko odpowiedziała na wiadomość o wypadku. Jej zdaniem rodzina ранego powinna w czasie choroby otrzymywać część wynagrodzenia. William odparł, że przedsiębiorstwo nie jest instytucją charytatywną, a zatrudnienie tego mężczyzny było głupotą.

– Williamie – powiedziała cicho Octavia – mężczyźni wciąż wracają stamtąd w podobnym stanie jak Netherfield.

– Ten człowiek miał słaby charakter przed wyjazdem i teraz też jest słaby. Nie powinniśmy go zatrudniać, bo stwarza zagrożenie dla innych. Krosna ledwie się zacięły, coś się zablokowało. Na pewno nie był to powód, żeby zachowywać się po wariacku.

Octavia zmrużyła oczy.

– Uważasz, że blefował.

– Myślę, że chciał się wykręcić od wojska.

– A pozostali mężczyźni z tą chorobą?

– Jeśli mówisz o neurastenii... prawdopodobnie większość.

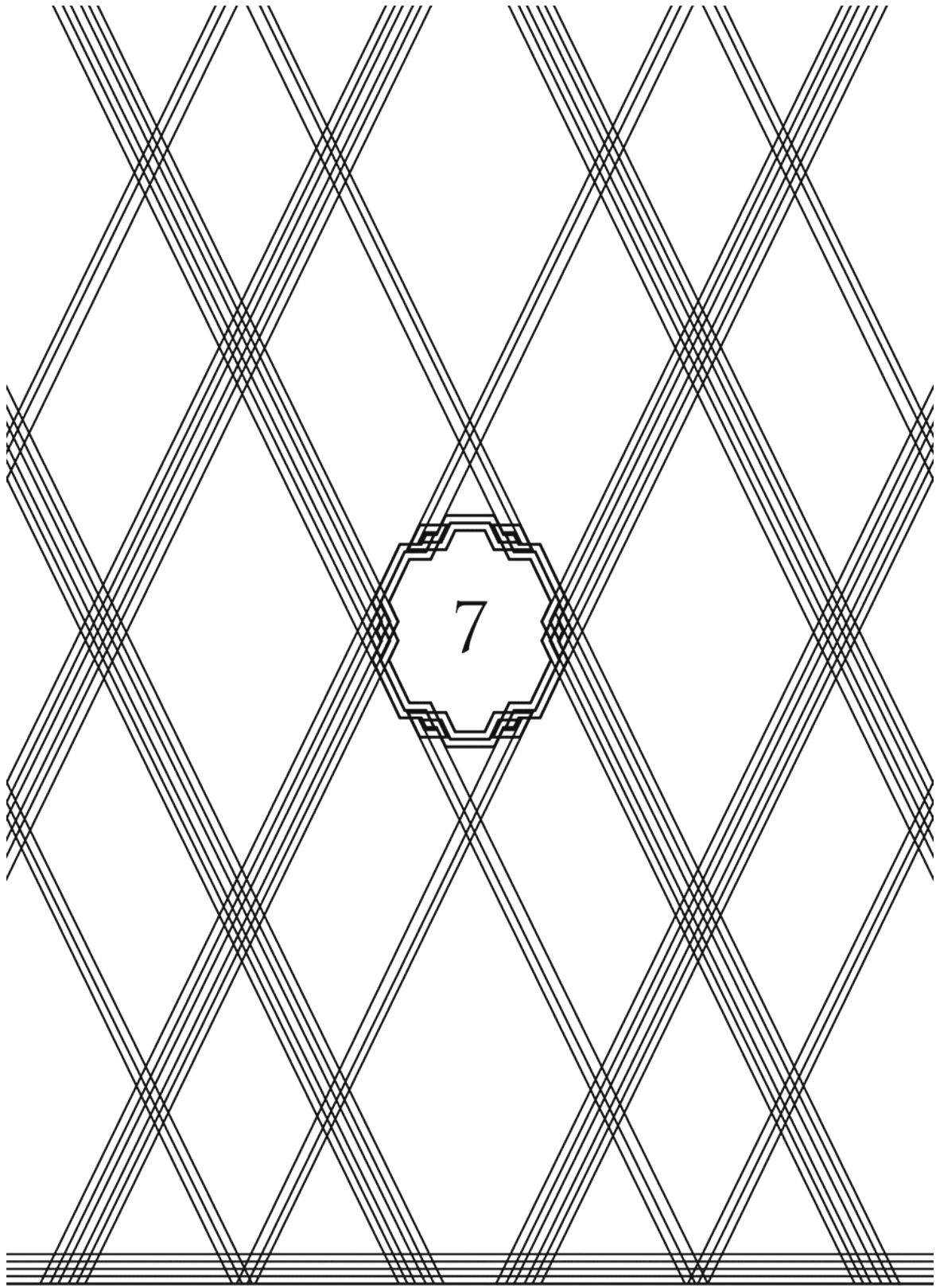
Octavia wzięła głęboki wdech. Powoli zebrała rzeczy. Wstała.

– Pójdę już spać – odparła ze zmęczeniem.

Podeszła do drzwi i na chwilę zamarła z ręką na klamce. Odwróciła się i uśmiechnęła się blado do męża.

– Mylisz się, nazywając to neurastenią. Neurastenia jest dla oficerów. Kiedy choroba dotyka prostego szeregowca, takiego jak Netherfield, jest nazywana nerwicą frontową.

Wyszła. William słuchał jej kroków na schodach.



Jeńcy śpiewali.

Śpiewali *Argonnerwald um Mitternacht*, tak samo jak kiedyś. Była to piosenka marszowa. W środku lasu Argonne saper pełni wartę. Mała gwiazdka wysoko na niebie... *Ein Sternlein hoch am Himmel stand*... Tak to leciało. Piosenka o gwiazdach, do której się tupało i maszerowało.

Frederick mimo wszystko ją rozumiał. Stojąc na warcie w środku zimy i patrząc na niebo pełne gwiazd, rzeczywiście można się było zastanawiać, jak to możliwe, że gwiazdy wciąż pojawiają się na niebie, że księżyc zmienia się od cienkiego jak paznokieć rogalika w okrągłą kulę. Trudno było pojąć, dlaczego słońce wciąż wstaje rano i chmury pędzą nad głową.

To wydawało się nie w porządku, że takie rzeczy działy się nieprzerwanie, kiedy pod niebem wszystko zostało zniszczone. Frederick kiedyś wierzył, że pewnego dnia Ziemia po prostu się zatrzyma. Nie będzie więcej gwiazd, chmur, słońca ani pełni księżyca. Z nieba zaczną spadać ogień i nie przestanie, dopóki gatunek ludzki nie zginie. Jak w biblijnych historiach o powodziach i pożarach. Człowiek na to zasłużył. Kiedy, jeśli nie teraz?

Aż do tamtej chwili nie przypuszczał, że ma w duszy Boga. Kiedy inni tracili wiarę, on zachował swoją. Wierzył, ponieważ... *Ein Sternlein hoch am Himmel stand*. Gwiazdy zostały na niebie i świat się kręcił mimo wszystko. To było dla niego wystarczającym dowodem.

W Anglii deszcze padały przez cały kwiecień. Było to bardzo męczące. Codziennie wychodzili z Catterick, wysiadali w pobliżu wioski, tłukli kamienie i kopali teren pod drogę. I śpiewali. Podobno dzięki ich pracy miał powstać lepszy przejazd, którym łatwiej będzie dostarczać mleko do znajdującego się nieco dalej punktu odbioru. Właściciele niektórych gospodarstw mieli zimą problemy z prowadzeniem pojazdów po wąskich ścieżkach, które uchodziły za drogi. Razem z pozostałymi Frederick kopał

więc i wybijał przed sobą drogę.

Tego ranka jeden ze strażników stanął z rękami opartymi na biodrach, kiedy pili herbatę ze szklanych butelek przyniesionych z obozu.

– Jesteście teraz w Anglii. Śpiewajcie angielskie piosenki – polecił im. – Czy ktoś jakieś zna?

Nikt się nie odezwał. Strażnik popatrzył na nich z nienawiścią. Dopiero wtedy Frederick podniósł rękę.

– Jest jedna z łódki – ośmielił się powiedzieć.

– Z łódki? Jakiej łódki?

– Jeśli można prosić, z łódki, kiedy... – Frederick wciąż miał problem z angielskimi czasami. Ten język nie był tak ustrukturyzowany jak niemiecki. Czasowniki wpychały się w środek zdania. Angielski był nielogiczny, pełen dziwactw. Takie wyrazy, jak *rough* i *bough*, wymawiano zupełnie inaczej, mimo podobnej pisowni. Było też *felt* zamiast *feeled*. Od czasu do czasu słyszał w wyrażeniach oryginalne germańskie rdzenie, ale za mało rozumiał, żeby je nazwać. Teraz również się zawahał.

– Jeśli można prosić – powtórzył. – Z łódki jeńców.

– Ach. No to śpiewaj. Zaśpiewaj mi brytyjską piosenkę, krwawy Jerry.

Frederick śpiewał kiedyś w szkolnym chórze, ale jego głos już od dawna nie brzmiał jak u młodego chłopaka. Dawniej miał przyjemny baryton, przynajmniej tak mu mówiono, ale chlor z okopów dostał mu się do gardła. Od tamtej pory jego głos nie odzyskał dawnej barwy.

– Spakuj zmartwienia... – zaczął cicho.

Zaciął się. Strażnik roześmiał się i podjął piosenkę pełnym głosem.

– Spakuj zmartwienia do starego worka i... – machnął ręką wkoło, wskazując na nich. – No, co dalej?

– Uśmiechnij się – szepnął Frederick.

– Cholernie słuszna racja. Uśmiechnij się! – Popatrzyli na niego, a strażnik znów zaczął wrzeszczeć. – W ogóle nie umiecie się uśmiechać, co? Nigdy nie widziałem, żeby pieprzeni Niemcy się uśmiechali. Ani jeden!

Niełatwo było się uśmiechać. Frederick się z nim zgadzał. Strażnik podszedł do niego i obejrzał od góry do dołu. Przechylił głowę, przenikliwie mu się przyglądając. Frederick był od niego cztery czy pięć cali wyższy, więc próbował skurczyć się wewnątrz ubrania. Skulił ramiona, starając się wyglądać na mniejszego.

– Co ci się stało w ręce? – spytał strażnik.

– Przepraszam...

– Nie przepraszaj. Dlaczego wszystko tak trzymasz? Po co?

Jeniec wzruszył ramionami. Nagle żołnierz złapał go za nadgarstek, pociągnął jego rękę wysoko w górę i potrząsnął nią, jakby była zabawką.

– Masz pięć paluchów i kciuk.

– Tak, sir.

– To czego łapiesz jak przekłeta baba? – Strażnik kopnął łopatę na pobocze. – Podnieś.

Frederick wykonał polecenie. Mężczyźni za nimi zaczęli się kręcić, rozległy się szmery. Nikt nigdy nie zapytał go, dlaczego kurczowo ściska przedmioty, żeby nie wypadły mu z rąk, dlaczego ma problem z ich utrzymaniem, czemu wyslizgują mu się z dłoni. Więźniowie domyślali się, co było tego przyczyną. Frederick znalazł sposób utrzymywania narzędzi obiema rękami, jak dziecko. Używał łopaty bardziej jak motyki niż szpadla. Zeskrobywał ziemię.

– Trzymaj porządnie, jasne? – nakazał strażnik.

Frederick zastanawiał się, czy ten Anglik w ogóle był we Francji. Pewnie nie. Miał około trzydziestu pięciu lat, ale sprawiał wrażenie bezmyślnego. W jego głowie chyba panował bałagan. Za zmianę zachowywał się obojętnie lub rzucał wściekle, sarkastyczne uwagi. Kiedy pojawiali się oficerowie, słuchał ich jak pies, z opadniętą szczęką.

– Próbuje – mruknął Frederick.

Strażnik ryknął śmiechem. Przysunął twarz do jego twarzy.

– Nie myśl, że nie znam tej gierki – ostrzegł. – Leniwy szkop.

Napięcie błyskawicznie wzrosło. Szmery za nimi stały się głośniejsze. Frederick nagle zaczął się obawiać, że jego rodacy mogą się zbuntować, napaść na strażnika.

– Jest jeszcze jedna – odezwał się śmiało. – Jeszcze jedna piosenka, którą trochę znam. Do śpiewania.

– Taaa – brzmiała odpowiedź strażnika. – Lepiej, żebyście się jej wszyscy nauczyli. Rzygać mi się chce od Argonny czy cokolwiek to jest.

Frederick słyszał tę drugą piosenkę na nabrzeżu. Melodia zrobiła na nim wrażenie.

– Róże jaśniej w Pikardii... – zaczął. Nie znał zwrotki, tylko refren i zapadającą w pamięć muzykę. – W... w... – Nie znał znaczenia następnego słowa. Było trudne do wymówienia. – W ciży srebrnej rosy... – Zniżył głos

i poprawił się. – Srebrnej rosy...

Zamilkł. Strażnik zapatrzył się w przestrzeń gdzieś za Frederickiem. Po jego twarzy przemykały cienie, jak obrazy w niemym filmie. Czarny, biały, czarny, biały.

– W iszy... – powiedział wreszcie.

Ale nie o to chodziło, zrozumiał Frederick. Miał na myśli „ćśś”, jak woda, oddech, powiew wiatru. Uciszenie, ćśśś, jak matka ucisza dziecko. Ciiicho...

Ale to było „ćśś” z usuniętą syczącą spółgłoską. Słowo zostało skrócone przez akcent z Yorkshire.

Nikt się nie poruszył. Nikt nic nie powiedział. Frederick stał z opuszczonymi rękami. Wszyscy obecni poddali się urokowi piosenki.

W końcu strażnik się otrząsnął.

– Wstawajcie – polecił. – I do roboty.

W drodze powrotnej Frederick stał z ramieniem przyciśniętym do ściany wagonu, gdy pociąg bujał się na wąskich torach. Odgłosy rozmów odbijały się od niego jak załamujące się i cofające fale. Myślami był daleko stąd.

Kiedy trzy lata wcześniej dołączył do armii, kapral w saksońskim pułku powiedział mu, że Brytyjczycy nie powalczą już długo. Jechali do Flandrii pociągiem podobnym do tego. Była noc i wiele osób spało. Odczuwał nerwową ekscytację. Patrzył na mijane miasteczka, jedno po drugim, wygodne i tętniące życiem. Potem zaczęły się góry i bagna. Przelotne obrazki, jak fotografie, które szybko znikają z pamięci. Wstęga rzeki. Przejazd kolejowy, przy którym samotna dziewczyna na wozie trzymała w rękach cugle. Iglice wież kościelnych.

– Pewnego dnia nikt nie będzie walczył – powiedział kapral. – Powstaniemy jak w tysiąc dziewięćset czternastym. Wyszliśmy z okopów i spotkaliśmy się z nimi na ziemi niczyjej. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej metalowe pudełeczko. – Widzisz? To od Anglika. Z Londynu.

Kiedyś były w nim karty. Teraz kapral wyciągnął z niego papierosa i wsadził go, niezapalonego, między zęby.

– Słyszeliśmy, jak wołają: „Dzień dobry, szkopy. Dzień dobry, szkopy”. Coraz głośniejsze i głośniejsze. Była Gwiazdka. A potem: „Jak się macie?”. Odkrzyknęliśmy: „W porządku”. Oni na to, żebyśmy podeszli, a my, że wtedy nas zastrzelą. I wtedy... – Kapral podniósł głowę, wskazując na papierosa w ustach. – „Chodźcie po szlugi, szwabysy”.

Frederick słyszał już tę historię, ale w nią nie wierzył. Z drugiej strony wcześniej nie opowiadał mu jej nikt, kto rzeczywiście ją przeżył.

– Wyszliśmy z okopu. Oni też. Był jasny dzień. Nie padało, ale śnieg leżał na ziemi. Kiedy szedłem, przebiłem butem lód i w coś wdepnąłem... – Skrzywił się. – Szedłem dalej. Pewien Brytyjczyk uścisnął moją dłoń. Wyobraź to sobie! Uścisnęliśmy sobie ręce. Nie mieliśmy papierosów, więc daliśmy im... Jak myślisz, czego mieliśmy pod dostatkiem? – Roześmiał się. – Sera. Daliśmy im ser. Było nas około dwudziestu. Po obydwu stronach wszyscy stali i klaskali.

– I myśli pan...

– ...że pewnego dnia to się znowu zdarzy? Tylko nikt nie wróci do okopów. Wszyscy usiądziemy i tak zostaniemy, aż wojna się skończy.

Frederick nie wyobrażał sobie tego, ale nic nie powiedział. W tamtej chwili czuł, że zbliża się walka, i chciał mieć to już za sobą. Bić się, strzelać. Nie chciał nikomu podawać ręki, uważał, że to może przedłużyć sprawę. Gdyby tylko mógł wpakować w kogoś kulkę...

„Ach, to było ponad dwa lata temu” – pomyślał. Dwa lata. Kaprał od dawna już nie żył.

We Francji nie widział ani śladu dobroci. Uważał, że ludzkość została jej pozbawiona. Mężczyźni w szale bitewnym rozdeptywali umierających rodaków. Pociski wyrywały dziury w ludziach, mułach, koniach i domach. Pogwałcono wszelkie świętości, nawet kościoły. Nawet cmentarze. Nad Sommą było strasznie, to była kąpiel w błocie. Pewnego dnia widział, jak w bagnie utonął ciągnięty przez dwa konie wóz wiozący sześciu mężczyzn. Gdyby komukolwiek to opowiedział, nikt by nie zrozumiał. Wydawało się, że to niemożliwe.

Ci, którzy rzucili się na pomoc, też zostali wessani i mieli szczęście, że udało im się ująć z życiem. Wóz zniknął w dole po pocisku, głębszym niż obręcz kół, mieszczącym go w całości. Ostatni koń wystawił głowę nad błoto, aż zostały tylko chrapy, ale w końcu również one zniknęły.

To właśnie pamiętał. Kiedy widział te utonięcia, znów chciał mordować, ale po każdej następnej okropności potrzeba zabijania trwała krócej. W końcu dotarła do niego daremność takiego działania i potem niewiele już czuł.

Trzeba było tego miejsca, pociągów i obozu pełnego nędznych, zalanych deszczem baraków, nowej drogi i małej farmy, by zaczął sądzić, że jednak

nie całe dobro zniknęło z tego świata.

*

To się stało pewnego dnia tydzień wcześniej, kiedy przydzielono im nowe zajęcie. Nie dowieziono asfaltu do pokrycia nowej drogi, zresztą i tak za bardzo padało. Kiedy wysiedli z pociągu, poprowadzono ich w prawo, nie w lewo. Pokonali odległość około dwóch mil, nie mając pojęcia, dokąd idą.

Najpierw minęli rozrzucone domy na obrzeżach wioski. Na furtce bujały się dwie dziewczynki, przyglądając im się ciekawie. Młodsza mogła mieć około trzech lat. W rączce trzymała bukietik chwastów. Może bawiły się w ogród albo w panny młode, czy w co tam lubią się bawić małe dziewczynki. Włosy w deszczu przykleiły im się do główek, ale najwyraźniej im to nie przeszkadzało. Z wnętrza domu dochodził zapach mydła i stukot tary. Jego matka też tak prała. Życie wszędzie toczyło się tak samo.

Mężczyźni w szeregu gapili się na dziewczynki. Nie z wrogością, tylko dlatego, że minęło trochę czasu, odkąd większość z nich widziała dzieci. Przede wszystkim własne. Kiedy prawie wszyscy minęli już dom, Frederick usłyszał wołanie matki. Potem jeden z idących na końcu mężczyzn opowiedział mu, że przybiegła w panice ogrodową ścieżką i zgarnęła dziewczynki do środka.

Dotarli do farmy. Wprowadzono ich do dużej obory, a kiedy znaleźli się w środku, natychmiast stało się jasne, co trzeba zrobić. Drewniany dach przeciekał. Dachówki pospadały podczas zimowych burz. Czekali dłuższy czas, podczas gdy Anglicy zastanawiali się, jak więźniowie mają się dostać na dach. Najwyraźniej nikt o tym wcześniej nie pomyślał. Gdy tak stali, Frederick pojął, że Anglicy niekoniecznie są głupi. Widocznie po prostu brakowało rąk do pracy i nie miał kto znaleźć rusztowania.

Kiedy deszcz zelżał, wyszli na zewnątrz. Frederick stał z boku podwórka, kiedy z budynków mleczarni naprzeciwko wyszła kobieta. Była niska i ciemnowłosa. Trzymała dłoń przy ustach. Odwrócił głowę, ponieważ wyraźnie chciało jej się wymiotować. Z szacunku dla jej stanu wszyscy starali się nie patrzeć. Dziewczyna pobiegła za budynek i po kilku chwilach zjawiała się ponownie. Wyprostowała plecy, zrobiła kilka głębokich

wdechów i oparła się o ścianę mleczeni. Wtedy ich zauważyła i cień przebiegł przez jej twarz. Zaciśnęła pięści tak mocno, jakby spotkała gromadę czartów.

Wtedy pojawiła się druga kobieta, zupełnie inna – bardzo szczupła, jasnowłosa i wysoka. Wołała: „Mary, Mary!”. Znalazła ciężarną i wysłuchiwała jej słów, po czym odwróciła się z zaskoczeniem i popatrzyła przez podwórko.

Tak bardzo przypominała niemieckie dziewczyny. Miała identyczną karnację. Chociaż Niemki, córki gospodarzy, były tęższe. I przeważnie rumiane. Splecione w warkocze włosy przerzucały przez ramię, podobnie jak ta dziewczyna. Przyglądał jej się z półuśmiechem rozpoznania. Odwróciła od niego wzrok, a druga kobieta usiadła na kamiennej ławce, wciąż mokrej po deszczu. Najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Wydawała się jednocześnie zła i zawstydzona. Druga dziewczyna przez chwilę szarpała ją za rękę, po czym puściła i rozejrzała się wokół z rozpaczą.

W końcu strażnik o bezmyślnym spojrzeniu podszedł do nich. Blondynka coś mu powiedziała. Mężczyzna wlepił wzrok w ziemię i wzruszył ramionami.

Ponownie przemierzył podwórze i popatrzył złowrogo na grupę jeńców.

– Kto tu pracował na gospodarstwie? Mlecznym? – spytał.

Nikt nie odpowiedział.

Mężczyzna tupnął nogą.

– Krowy! – krzyknął. – Kto pracował...

– My jesteśmy gospodarstwo – powiedział Frederick. – W domu.

Strażnik podszedł do niego.

– Znowu ty – parsknął drwiąco. – Żaden z ciebie pożytek – stwierdził. – Potrzebują pomocy w kręceniu maselnicy, bo mleko się zepsuje.

– Mogę to robić.

– Nie potrafisz nawet porządnie trzymać łopaty.

– Mogę to robić. Robiłem kiedyś.

Robił to w dzieciństwie, bo było to zajęcie dla chłopców i kobiet. Nużąca, monotonna praca. Polegała na obracaniu ręcznie drewnianego bijaka i słuchaniu, jak w środku chlupie mleko. Po jakimś czasie dźwięk się zmieniał. Chlupot stawał się cięższy, a maselnica nieporęczna. To był znak, że mleko zmieniło się w masło i nadszedł czas, by odlać maślanek. Ale trzeba było długo stać, obracając bijak w tę samą stronę z niezmienną

prędkością.

Strażnik spojrział na ciężarną, która zamknęła oczy i trzymała ręce na brzuchu. Popatrzył na zdenerwowaną jasnowłosą dziewczynę. Poddał się.

– Zobaczę, jak próbujesz. To będzie niezłe widowisko – mruknął.

Wziął Fredericka pod ramię i poprowadził obok kobiet przez niskie drzwi do środka.

Mleczarnia okazała się cudownym miejscem. Chłodnym i bardzo czystym. Ściany były pobielone, a podłogę ułożono z wyszorowanych na błysk kamieni. Nie widział tak jasnego miejsca... Od kiedy? Może nigdy. Jego rodzinny dom był znacznie brudniejszy i bardziej zaniedbany. Te zabudowania sprawiały wrażenie, jakby były częścią bogatego przedsiębiorstwa, mimo zepsutego dachu stodoły. Frederick zastanawiał się, jak wygląda ukryty za budynkami gospodarczymi dom. Czy stoi w nim piec i czy kuchnia pachnie chlebem i wypiekami? Nagle załaza go fala tęsknoty za *Kaiserschmarrn* jego matki, racuchami posypanymi cukrem i polanymi konfiturą. Nakładała je w środku zimy chochlą ze szklanych słoików w spiżarni i zmieniała w ten sposób grudniowe popołudnie w środek lata. *Kaiserschmarrn* i strudel, i własnej roboty ciasto z owocami. Nagle wszystko mocno w niego uderzyło. Piosenki i *Kaiserschmarrn*. Kto by pomyślał, że przez nie może człowieka drapać w gardle, a w oczach staną mu łzy? Frederick wbił wzrok w podłogę i wziął głęboki wdech.

Powietrze miało smak śmietanki. Rozumiał teraz, dlaczego pierwsza kobieta stąd wybiegła. Jeśli była w początkowych miesiącach ciąży, ciężki, słodki zapach mógł jej kompletnie nie odpowiadać. Stał z boku, kiedy blondynka weszła z wahaniem do pomieszczenia, niemal przesuając się pod ścianą, żeby pozostać jak najdalej od niego.

– No? – odezwał się strażnik. – Co?

– To tutaj – powiedziała cicho dziewczyna. Położyła jedną rękę na maselnicy, beczce z żelazną rączką. – Próbowałam, ale nie potrafię tego porządnie zrobić. Nie umiem miarowo mieszać. Przesłano nas do pomocy z dużego domu. Nie ma nikogo innego. Ale Mary... Mary jest...

– W porządku – uspokoił ją strażnik. – Temu tutaj się wydaje, że wie, jak to robić. Niech mu panna zrobi miejsce.

Dziewczyna sprytnie zrobiła krok do tyłu i stanęła za stołem, jakby dla ochrony.

Frederick podszedł do maselnicy. Zdjął płaszcz i zaczął powoli,

regularnie ją obracać. Nasłuchiwał dźwięku i gapił się w ścianę, na krawędzie cegieł pod wapnem. Zastanawiał się, o jaki „duży dom” chodziło. Kolejny dom na farmie? Na to wyglądało. Być może to on generował bogactwo widoczne w mleczarni. Choć gospodarstwo było wydzierżawione, wystarczyło pieniędzy, żeby porządnie ją urządzić i utrzymać. Ale teraz nie miał go kto prowadzić. Na wsi brakowało siły roboczej, wszyscy ugrzęźli w błotach Flandrii.

Wyciągnął obie ręce i rozsunął nogi. Próbował przekonać sam siebie, że niczego nie trzyma, ale jest przymocowany do czegoś, co obraca się powoli, jak koło wodne. Tak było lepiej. Niczego nie trzymał. W ten sposób mógł ignorować rosnące w palcach napięcie. Opowiedział sobie historię, namalował obrazek, odciął się od skurczy, które chciały wdrzeć się w jego mięśnie. Wyobraził sobie siebie nad strumieniem, gdzie łowił ryby. Kładł się w wysokiej trawie. Zamykał oczy i podróżował, a maselnica podróżowała razem z nim, cmokając i kłaskając. Kiedy nie myślał, nie pamiętał. Na tym polegała sztuczka.

Zajęło to mnóstwo czasu. Kiedy skończył, włożył płaszcz i wyszedł.

Strażnik palił, oparty o drzwi.

Frederick wpatrywał się w podłogę, a blondynka podeszła i spojrzała na niego.

– Dziękuję – szepnęła.

Była bardzo szczupła i właściwie niezbyt ładna, ale w jej twarzy było coś uroczego – niespodziewana niewinność i szczerść, której nie widział od długiego czasu. Nie chciał się z nią spoufalać, żeby jej nie wystraszyć, ale nic nie mógł poradzić na to, że uśmiechnął się z zadowoleniem.

I wtedy zdarzył się cud. Błada, jasnowłosa dziewczyna odpowiedziała uśmiechem.

*

Harry Cavendish wciąż przebywał na lotnisku we Francji. W tym tygodniu otrzymał dwa listy.

Jeden był od matki. Opisała w nim szczegóły ślubu Charlotte i podała mu nowy adres siostry w Londynie. Dodała, że wybiera się do Rutherford, a kiedy się tam znajdzie, zapyta o miejsce pobytu Nasha i Jacka Armitage’a,

bo od jakiegoś czasu rodzina nie miała na ich temat żadnych wiadomości.

Mógł powiedzieć matce, że jest znacznie lepiej, jeśli listy nie przychodzą. Nadchodzące wiadomości przypominały list od Caitlin.

Przeczytał go, leżąc w swoim łóżku. Wprawdzie nie przypominał sobie Eleanor, ale było mu przykro z powodu końca, jaki ją spotkał. On też zrzucił bomby i dawno temu przestał myśleć o spustoszeniu, jakie siały. Kiedyś jego i trzech innych pilotów wysłano, by zbombardowali stację kolejową za niemieckimi umocnieniami. Nie miał ochoty wracać do tego dnia. Wolał nie wspominać efektu, jaki wywołał pocisk. Widział go dobrze, zanim zdążył odlecieć. Nie chciał też wracać do śmierci jednego z pozostałych pilotów w polowej stacji opatrunkowej.

Przycisnął list do klatki piersiowej i próbował ocenić swoje szanse. Skoro Caitlin znajdowała się w drodze do Anglii, faktycznie mogła być teraz bezpieczniejsza. Jeśli załamała się nerwowo, możliwe, że dał jej urlop albo inne, nie tak wycieńczające zajęcie. Pracowała jako pielęgniarka od ponad dwóch lat. To wystarczająco długo, żeby pozbawić serca i duszy dowolną ludzką istotę. Harry cierpiał na myśl, że czuła się mu niepotrzebna.

On sam miał serdecznie dość. Nie tylko nieustannie bolały go połamane nogi, ale też tracił wiarę w zdolność doradzenia jakimkolwiek pilotowi. Przyjeżdżali do Francji upojeni faktem, że skończyli szkolenie, a Bóg wie, że przeżywali je cudem. Mówiąc zupełnie szczerze, jedna trzecia nigdy nie zdawała egzaminów końcowych, ponieważ ich nie dożywała. Rozbijali się gdzieś nad dobrą starą Anglią. Ci, którzy tu dotarli, byli więc zbuntowani. I lekkomyślni. Czy nie były to cechy charakterystyczne członków Królewskiego Korpusu Lotniczego? Trzy lata wojny zmieniły latających gladiatorów w skrzeczące walkirie.

– Jestem w równie kiepskim stanie, co ona – szepnął do siebie Harry. – Nie nadaję się.

Słońce jeszcze nie zaszło. Postanowił wyjść i popatrzeć, jak piloci wracają z ostatniego nalotu. Królewski Korpus Lotniczy liczył dwadzieścia pięć dywizjonów, ponad trzysta pięćdziesiąt samolotów, w tym sto maszyn zwiadowczych, myśliwców. Harry z całego serca pragnął, by mieli więcej SPAD-ów albo trójpłatowców Sopwith. To właśnie one najlepiej radziły sobie w starciu z niemieckimi albatrosami. Albatrosy z pewnością dawały wrogowi przewagę. Łatwiej było nimi manewrować, no i nie mieli przestarzałych FE8, ociążałych maszyn, których osobiście nie cierpiał. Dwa

dni wcześniej przyleciały nowe samoloty, bristol F2a. Dowódca twierdził, że będzie zbawieniem dla eskadry. Ale z sześciu, które poleciały, cztery zostały zestrzelone.

Przeklęte, parszywe albatrosy. Przywodziły na myśl ptaki, od których wzięły nazwę. Angielscy piloci powinni wieszać je sobie na szyi na znak własnej nieefektywności i hańby. Zastanawiał się, jak wielu ludzi stracą, kiedy rozpocznie się bitwa o Arras. Co gorsza, pojawił się nowy, czerwony samolot. Plotka głosiła, że jego pilot nazywał się von Richthofen. Był diabłem wcielonym i w innych okolicznościach Harry by go podziwiał. Ale nie potrafił wykrzesać z siebie nawet cienia podziwu dla człowieka, który swoimi sztuczkami i widowiskowymi manewrami raz za razem strącał z nieba jego ludzi.

Zastanawiał się, co, do diabła, zrobią. Będą wysyłać w niebo kolejnych młodych mężczyzn? Co powie Gouldowi, kiedy ten w końcu tu dotrze? Że Królewski Korpus Lotniczy króluje w niebiosach, w każdym sensie tego słowa? Nie mógł okłamać Amerykanina, ten od razu go przejrzy. Potrafił za każdym razem bezbłędnie odgadnąć kłamstwo.

– Do diabła – zaklął pod nosem.

Ostatnio prawie nie latał. Jego praca polegała na wymyślaniu rozwiązań taktycznych oraz doradzaniu innym, czego mogą potrzebować. Ale prawda była taka, że potrzebowali jedynie pieprzonego cudu.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do kantyny. Gdy tam dotarł, wziął kartkę papieru i pisał, jakby od tego zależało jego życie.

„Droga Charlotte” – zaczął.

Słyszałem, że ślub udał się znakomicie. Kochana, mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa. Zasłużyłaś na tak przyzwoitego mężczyznę jak Michael. Ogromnie mi przykro, że zlecam Ci zadanie, choć dopiero zaczęła się Twoja małżeńska sielanka. Czy zrobiłabyś coś dla swojego ukochanego brata? Chciałbym, żebyś kogoś dla mnie odnalazła. Wracając z konwojem pielęgniarkę. Znasz Caitlin, prawda? Będiesz wiedziała, dokąd została oddelegowana. Jeśli nie uda Ci się jej znaleźć, może matka zdoła tego dokonać...

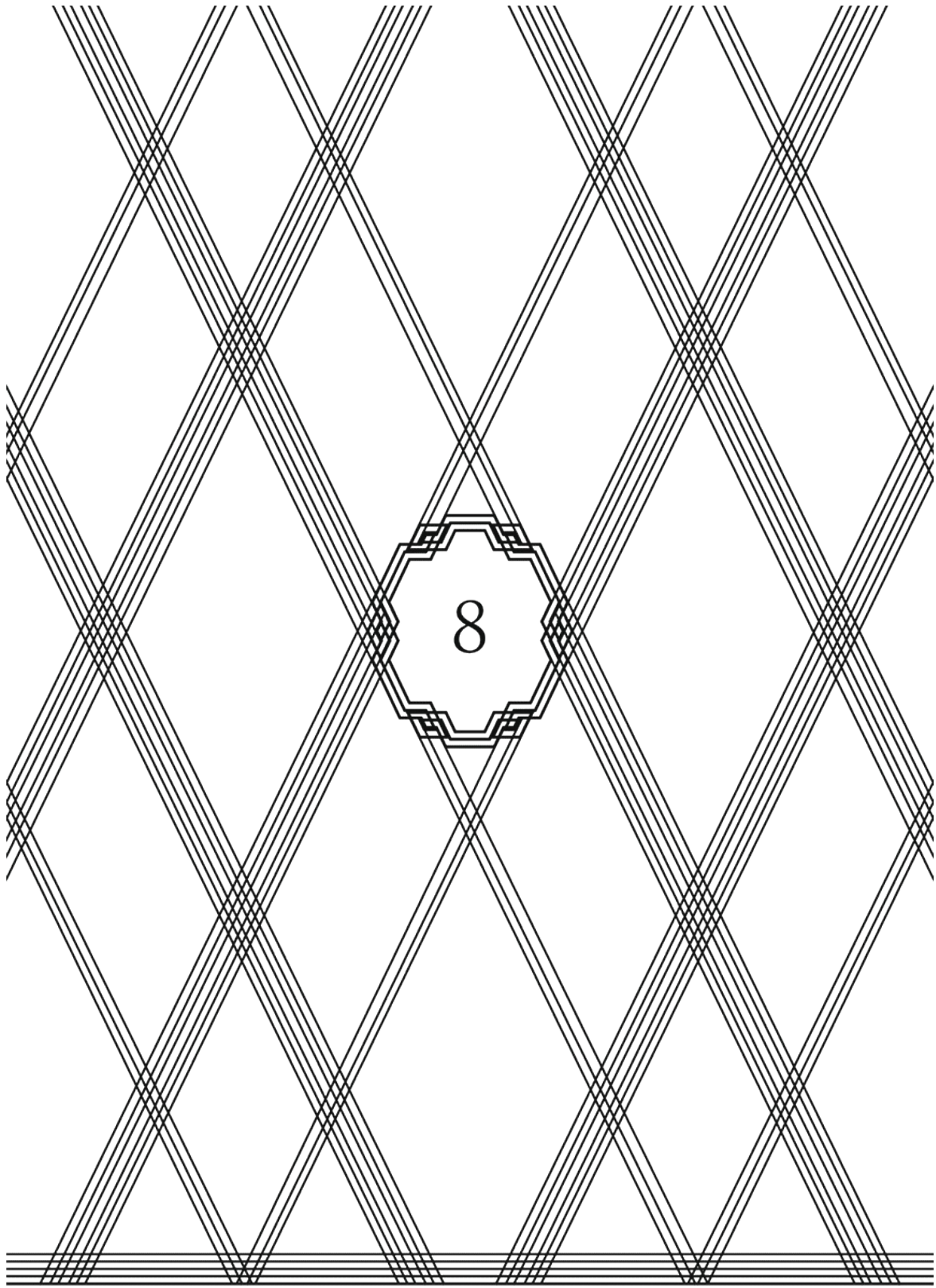
Przerwał pisanie. Usłyszał powracający samolot, rwący się, strzelający

dźwięk silnika gdzieś nad lotniskiem.

„To ważne” – nabazgrał.

Strzelający silnik zamarł. Cisza była bardziej dramatyczna niż wcześniejszy dźwięk. Harry zacisnął zęby i pisał dalej.

„Przynajmniej dla mnie...”



Była dziesiąta rano w niedzielę, kiedy Charlotte zapukała do wąskich drzwi mieszkania Christine Nesbitt.

Mieściło się ono w budynku przy brudnej, małej uliczce pomiędzy Bloomsbury a targiem na Berwick Street. Gdyby ktoś poprosił Charlotte, by opowiedziała o tym miejscu matce, zasugerowałyaby, że znajduje się ono na Oxford Street, żeby Octavia się nie martwiła. Opisałaby jedną z ciasnych uliczek za dużymi sklepami, gdzie stały śliczne małe domki, przerobione na mieszkania ze sklepów albo stajni. W rzeczywistości studio Christine mieściło się w Soho, dzielnicy, którą regularnie opisywano jako siedlisko wszelkiej niegodziwości. Gdyby William Cavendish zobaczył, że jego córka wybrała się tam samotnie, dostałby zapaści.

Od wesela minęły trzy tygodnie, ale Charlotte już o nim nie myślała. Wydawało jej się, że odbyło się wieki temu, gdy jeszcze miała złudzenia. Spojrzała na budynek, zrobiła krok do tyłu na chodnik i popatrzyła do góry, w okno, które, jak jej się zdawało, musiało należeć do mieszkania Christine.

Usłyszała kroki na schodach. Drzwi się otworzyły, ale zamiast z przyjaciółką, Charlotte stanęła twarzą w twarz z mężczyzną około trzydziestki. Nie nosił wykrochmalonego kołnierzyka ani krawata. Włosy miał potargane. Stał w drzwiach i uśmiechał się do niej szeroko, wkładając pomiętą marynarkę.

Wiedziała, że zapamięta dwie rzeczy. Po pierwsze, jego niewypastowane buty. Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z nikim, kto nosiłby niewypastowane buty. W każdym razie z nikim, kto nie byłby jednocześnie robotnikiem. Po drugie, obcy mężczyzna był zabójczo przystojny, miał niesamowicie niebieskie oczy i gęste, ciemne włosy.

– Witam – powiedział. – Szukasz kogoś?

– Christine.

Wskazał kciukiem przestrzeń za plecami.

– Trzecie piętro.

– Które drzwi?

– Są tylko jedne.

Przepuścił ją, więc weszła do środka. Mężczyzna włożył ręce do kieszeni i zniknął w uliczce.

Przez chwilę Charlotte stała na dole schodów, wpatrzona w podłogę, rozmyślając o butach i rozczochranych włosach. Mówił jak dżentelmen. To było dziwne. Nie rozumiała tego.

Kiedy dotarła na górę, zobaczyła Christine opierającą się o balustradę na podeście. Przyjaciółka uśmiechała się do niej szeroko.

– A niech mnie, jeśli to nie pani Preston! Cóż za szczęście.

– Witaj, Christine.

Charlotte nagle znalazła się w uścisku przyjaciółki, po czym Christine wzięła ją za rękę.

– Wejdz, wejdz – poprosiła. – To wspaniale! Sądziłam, że w ogóle nie przyjdiesz.

– Wysłałam list.

– Naprawdę? Czyżbym o nim zapomniała? Co w nim było?

– Uprzedziłam, że przyjdę dziś z wizytą.

Christine uśmiechnęła się do niej.

– Ależ nie musisz się wcześniej zapowiadać. Nie u mnie. Chyba że... Och! – Spojrzała na schody i zaczęła się śmiać. – A może właśnie powinnaś.

Charlotte nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

Pokój zajmował całe górne piętro domu. Najwyraźniej przyjaciółka mieszkała na strychu. Na suficie sterczały belki dachowe, krzywe i ułożone jakby na chybił trafił. Jedna ściana w połowie składała się z szyby, a w połowie z cegły. Róg pomieszczenia oddzielony był przepierzeniem, za którym Christine zaraz zniknęła. Po brzęku naczyń i dźwięku płynącej wody Charlotte domyśliła się, że znajduje się tam mała kuchnia. Po obu stronach wielkich okien wisały osobliwe zasłony. Rozwieszono je na desce ułożonej na dwóch stosach cegieł i związane czymś, co wyglądało jak sznurki od szlafroka. Sprawiały wrażenie koszmarnie ciężkich i w gruncie rzeczy wyglądały w tym pokoju niedorzecznie, ale miały cudowny kolor. Fioletowy ze szmaragdową podszewką i dużym, okrągłym, zielonym tłoczeniem.

Christine wyjrzała zza przepierzenia.

– Herbaty?

- Tak, poproszę.
- Napijesz się czarnej? Nie mam mleka.
- Och...
- Jest naprawdę dobra. Earl grey. Przysłała ją uprzedzona ciotka. Właściwie lepiej smakuje bez dodatków.
- Dobrze.

Christine znów zaczęła stukać kubkami, a Charlotte obróciła się wokół własnej osi, żeby obejrzeć resztę pokoju.

Podłogi nie zakrywał żaden dywan. W końcu pomieszczenia znajdowało się coś w rodzaju szerokiego szezlonga. Leżała na nim pojedyncza kołdra i piętrzyła się sterta zwyczajnych oraz ozdobnych poduszek. Kołdra do połowy zwisała z łóżka, obok stało pudełko na owoce, a na nim olejowa lampka. W różnych miejscach na podłodze i parapecie poustawiano świece na blaszanych podstawkach.

Ale to stół zdominował całe pomieszczenie. Był olbrzymi. Charlotte zastanawiała się, jak zdołano wnieść go po schodach. Może złożono go tutaj? Wyglądał na zrobiony z desek budowlanych, jakich używano przy pracach remontowych. Widziała identyczne na rusztowaniu w uliczce obok, w pobliżu targu. Pomyślała, że może właśnie stamtąd je przyniesiono.

Stół był zawalony papierem i farbami. Stały też na nim słoiki umazane farbą, pełne wody albo terpentyny. Pędzle leżały na brudnych kawałkach materiału albo stały wetknięte w gliniane dzbanuszki. Z jednej strony o nogę stołu oparto kilka płócien. Przy drugim końcu znajdowały się sztalugi, ale widać było jedynie tył rozciągniętego na nich obrazu.

Charlotte nie potrafiła opisać wypełniającego pomieszczenie zapachu: mieszaniny stęchłego jedzenia, farby, wilgoci i dziwnej chemicznej woni mokrej farby drukarskiej. Powinien wydawać się odrażający, ale z jakiegoś powodu jej nie odrzucał. Może dlatego, że był dla niej tak obcy, niezwykły, interesująco okropny.

Christine wyłoniła się z za przepierzenia. Niosła dwa duże kubki bez podstawek.

– Proszę. – Postawiła naczynia na stole między farbami i pędzlami. – Zaraz znajdę dla nas miejsce do siedzenia. Tylko że nie mam krzeseł. – Zamyśliła się, po czym ponownie podniosła kubki. – Będziemy musiały usadowić się na łóżku – zdecydowała.

Charlotte poszła za nią. Christine postawiła kubki na podłodze, po czym

pospiesznie spróbowała wygładzić prześcieradło i narzutę. Charlotte się zarumieniła. Zagryzła wargę i przeniosła spojrzenie na szeroki stół.

– Pracujesz, mieszkasz i śpisz w tym samym pokoju?

– Nie ma drugiego, najdroższa.

– Ale... mycie...

– Dwa piętra niżej jest łazienka. Dzielę ją z żydowską rodziną i starszą panią z... skąd ona jest? Och, z Genui. Wydaje mi się, że ona jest czarownicą. To znaczy naprawdę zajmuje się przepowiadaniem przyszłości. Jest w tym beznadziejna i pluje, kiedy zarzuci się jej oszustwo. Ale rodzina jest miła. Czterech małych chłopców. Kiedy idą do synagogi, wyglądają jak matroszki.

– Jest głośno?

– Ani trochę. Ale ten rybny zapach... to oni. Przepraszam za niego. Chyba jakaś marynowana ryba. Byłaś kiedyś na targu? Mają tam stoisko z pończochami. Pójdziemy i popatrzymy na nie. Są jedwabne, wiesz.

Usiadły obok siebie, popijając herbatę.

– Co myślisz o moim pokoju? – spytała Christine.

Charlotte ponownie powiodła spojrzeniem po stole, zasłonach i gołej podłodze.

– Jest cudowny – odparła.

Christine się roześmiała.

– Nie musisz być uprzejma.

– Och, wcale nie jestem. Naprawdę jest wspaniały. Taki... pusty. I pełny.

– Pusty, bo nie ma w nim wiktoriańskich mebli – stwierdziła Christine. – A pełny, bo ja tu mieszkam.

– Tak, właśnie o to mi chodzi.

– Czy nie dorastałaś w podobnych pomieszczeniach? Pełnych bibelotów, bezużytecznych krzeseł i małych stolików z mnóstwem okropnych, drobnych ozdóbek i przeklętych wielkich aspidistr?

– Moja matka ma dobry gust – uśmiechnęła się Charlotte. – Ale to brzmi jak opis Rutherford, zanim wyszła za ojca.

– Zapewne na ścianach wisały sceny polowań?

– I wypchane głowy.

– Biedne, znękanne lisy i dywany z martwych tygrysów?

– Nie było aż tak źle.

– Niech to sobie wyobrażę... W sypialni twojego ojca wisi obraz

Landseera. *Jeleń nad zatoką.*

– Owszem, wisi.

Christine z radości klasnęła w dłonie i obydwie się roześmiały.

– Mój Boże, z jakiego dziwnego wyrosłyśmy ziarna – stwierdziła Christine. – Strzelanie do pięknych stworzeń i zamykanie ich w szklanych gablotkach. Makabryczne. Dziwaczne.

Charlotte nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Rutherford po prostu takie było. Czuła potrzebę bronienia rodzinnego domu. W ciągu ostatnich trzech tygodni tak bardzo za nim tęskniła. Desperacko pragnęła cofnąć się w czasie i znów być dziewczynką, jak dawniej biegać po parku, bawić się w strumieniu z Harrym albo siedzieć beczynn timer w wielkiej szklarni, gdzie rosły ananasy i zawsze pachniało egzotycznymi liliami, i gdzie Louisa godzinami cesała jej włosy.

Christine przyglądała się jej uważnie.

– To dziwne. Sądziłam, że uznasz to miejsce za okropne. Czy aby na pewno nie jesteś uprzejma? Wolałabym, żebyś nie była. Nie potrzebuję twojej aprobaty.

– A ja jej nie udzielam. To nie moja sprawa. Nie muszę tego pochwalać.

– Mówisz zupełnie jak twój ojciec – zauważyła Christine. – Zapewne chodzi ci o Alexisa.

– Alexisa?

– Musiałaś wpaść prosto na niego.

– Tak, spotkałam go. Jeśli tak ma na imię.

– Nazywa się Alexis Barrington. Jest czwartym synem księcia. Maluje. I dość nierozważnie wydaje pieniądze ojca. Ty jesteś drugą córką, prawda? Przedstawię was sobie, jeśli kiedykolwiek tu wróci. – Christine dokończyła herbatę i żwawo podniosła się z łóżka. – Gdzie Michael? – spytała, patrząc na przyjaciółkę. Ręce oparła na biodrach. – Myślałam, że odwiedzicie mnie razem.

– Wolałam przyjść sama.

– Przysłał cię na rekonesans?

– Ależ skąd. Michael nie chce swojego ani wspólnego portretu. Ale pomyślałam... moja matka ma piękny portret z czasów, kiedy świeżo wyszła za mąż. Wisi na schodach w Rutherford. Pędzla Singera Sargenta.

– Singera Sargenta? – powtórzyła Christine. – Dobry Boże w niebiosach, mam nadzieję, że nie zamierzasz przyjść tutaj owinięta w morze jedwabiu,

oczekując, że namaluję cię jak on.

– Po prostu chciałabym być do siebie podobna.

– Chodzi ci o to, że nie chcesz kubizmu? Ani surrealizmu. Czterech głów ani kompozycji ze stopami.

– Mój ojciec by ci nie zapłacił.

– Nie martw się – Christine zupełnie się nie obraziła. – I tak nie robię podobnych rzeczy. Widziałaś moje prace, kiedy byłam w Rutherford. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Używam tylko mniej kolorów. Ograniczyłam paletę barw. – Przechyliła głowę. – Wyglądasz mizernie. Chcesz być na obrazie taka blada?

– Nie wiem.

– Nigdy nie wydawałaś mi się blada. To dziwne. Zawsze miałaś kolory.

Charlotte nie odpowiedziała. Upiła herbaty.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła Christine. – Na pewno jesteś w ciąży. To musi być przyczyna. – Roześmiała się i przysunęła się do przyjaciółki. Położyła rękę na jej ramieniu. – Źle się czujesz? Nie mogę cię malować, jeśli zamierzasz zzielenieć i nagle stąd wybiec z powodu zapachu...

– Nie jestem w ciąży.

– Ale przecież nie możesz tego wiedzieć. To tylko trzy tygodnie. Mogłabyś być, wiesz? – Christine przyjrzała się uważnie koleżance, po czym położyła dłonie na jej ramionach i delikatnie obróciła ją w lewo i w prawo. – Coś się zmieniło – stwierdziła. – Zdecydowanie.

Charlotte nie mogła zmusić się do odpowiedzi. Siedziała w milczeniu, pozwalając sobie manewrować.

– Może czegoś ci przybyło... – w zamyśleniu stwierdziła Christine. – Delikatności? – Popatrzyła na ubranie przyjaciółki. – Chcesz, żebym cię namalowała w tym ubraniu?

– A co jest z nim nie tak?

– To zwykły wełniany kostium. W dodatku szary. I ten kapelusz. Z pewnością nie chcesz czegoś takiego?

– Jest bardzo porządny.

– W żadnym wypadku – zdecydowała Christine. – Może i jest praktyczny, ale kto chciałby zostać zapamiętany jako pragmatyk? Przejść do potomności jako służbista?

– Lubię być obowiązkowa – stwierdziła Charlotte, myśląc o pracy w St Dunstan's.

– Oczywiście, że nie lubisz! – wykrzyknęła Christine. – Słuchasz rozkazów i jesteś przy tym urocza. Może nawet wykonujesz je z błyskiem w oku. Ale nie można cię w ten sposób zdefiniować, namalować, jakby to była twoja jedyna cecha. Taki portret można zrobić żonie burmistrza albo szefa lokalnego koła łowieckiego. Ale nie tobie. – Znow skoczyła na równe nogi.

Cofnęła się o kilka kroków i znalazła przy stole. Wróciła z kilkoma kawałkami papieru, zachlapanymi farbami w różnych odcieniach.

– Popatrzmy – podniosła jeden, potem drugi. – Malinowy. Różowy. Nie. Jakiego koloru jest sukienka twojej mamy na portrecie Singera? Kremowa albo różowa. Tak myślałam. Nie, ty jesteś znacznie bardziej wyrazista. Niebieski. Szafirowy. Ach... purpura.

Przyłożyła kawałek papieru do twarzy Charlotte i przysunęła się niemal tak samo blisko.

– Twoja skóra ma lekko kawowy odcień – powiedziała. – Gdybyś położyła się na słońcu, zapewne zrobiłaby się zupełnie brązowa.

– Z pewnością nie będę leżeć na słońcu.

– Naprawdę? Nie chciałabyś?

– A kto by chciał?

– Coco Chanel.

Charlotte zmarszczyła brwi.

– Kto to?

– Mieszka w Biarritz. Projektuje kapelusze. I cudownie swobodne stroje.

– Christine się uśmiechnęła. – Luźne, Charlotte. Dla pań uprawiających sport. Nie tweedowe. Nie wełniane. Powinnaś tam zamieszkać. Założę się, że w twoich żyłach płynie słońce.

– Przodkowie taty mieszkali na Karaibach.

– I byli właścicielami połowy wysp?

– Tak. A raczej je ukradli.

Uśmiechnęły się do siebie. Christine zabrała rękę z ramienia przyjaciółki i przelotnie pogłaskała ją po policzku.

– Przez chwilę w tej odpowiedzi słyszałam Charlotte, którą znałam jeszcze nie tak dawno temu. Co się stało, kochana?

Przez ostatnie trzy tygodnie Charlotte nabrała zwyczaju upierania się, że wszystko jest w porządku. Powtarzała to zwłaszcza matce i Louisie. Siostra znała ją na wylot, więc dopuszczona zbyt blisko od razu zwietrzyłaby

kłamstwo. Ale teraz, patrząc w oczy przyjaciółki, Charlotte poczuła, że nie wytrzyma. Gwałtownie wybuchnęła płaczem.

Oślupiała Christine przez chwilę nic nie robiła. Potem łagodnie poklepała koleżankę po kolanie.

– Nie płacz zbyt długo – poprosiła. – Nie mam czystej chusteczki.

Charlotte ukryła twarz w dłoniach. Teraz opuściła je i spojrzała przed siebie.

– Przepraszam.

– Za co przepraszasz? Za płacz? Nie ma co przepraszać za taki drobiazg. Ja co chwila płaczę.

Charlotte popatrzyła na nią.

– Naprawdę? Z jakiego powodu?

– Pieniądzy. A raczej ich braku. I jajek na twardo.

– Braku jajek?

Christine się roześmiała.

– Nie, ty matołku. Muszę je jeść. Tylko to potrafię ugotować.

– Ja też nie umiem gotować – przyznała Charlotte.

– Nikt nas nie nauczył. Ani robić prania. Musiałam się nieźle nagłowić, żeby dojść do tego, jak prać i suszyć rzeczy – oznajmiła radośnie Christine.

– Słyszałam o pewnej arystokratce, która postanowiła zostać artystką. Miała szaloną wizję wolności, bo pokłóciła się z matką o kapelusz. Po tygodniu wróciła do domu, ponieważ nikt nie podnosił z podłogi jej bielizny. Po prostu nie mogła tego zrozumieć. Weź pod uwagę, że była kompletną idiotką, co nie ułatwiało sprawy. Arabella Winsome. Słyszałaś o niej? Spokrewniona z Nettishami.

Charlotte westchnęła.

– Nie powinnam była wychodzić za mąż.

– Och, i to wszystko? Ależ kochanie, większość kobiet nie znosi roli żony. Jeśli są szczerze. Któż chciałby przez pięćdziesiąt lat odgrywać rolę ciut lepiej traktowanej gospodyni? Albo kierować służbą, zawracać sobie głowę planami posiłków i tak dalej? Dlaczego to w ogóle ma być zadanie dla ciebie? Spotkałam artystki, których mężczyźni całkiem otwarcie zabronili im dłużej zajmować się malowaniem. Kazali im zadbać o dzieci i o to, by na stole był posiłek. Ani jednemu ze znanych mi mężczyzn nie przyszłoby do głowy, żeby pozmywać naczynia, kupić jedzenie albo je ugotować, ani żeby sobie uprać skarpetki. To koszarne. Okropnie

niesprawiedliwe. Popatrz na Ednę Waugh.

– Przepraszam. Nie wiem, kim ona jest.

– Właśnie – sucho odparła Christine. – Skończyła Slade i była genialna. Potem wyszła za mąż i pfff! – Strzeliła palcami. – Tak samo Christabel Dennison. Kolejna, której nazwiska nie będziesz znała. Przyznała się mojej znajomej, że już nigdy nie będzie szczęśliwa, bo cały dzień musi przygotowywać posiłki. Była taka utalentowana. – Dziewczyna pokręciła głową z rozpaczą. – Czasami wydaje mi się, że cały ten eksperyment z bohemą to tylko zabawa. Wszystkie ideały trafiają na bruk, kiedy mężczyzna jest głodny albo chce, żeby mu wypastować buty. Moim zdaniem to obrzydliwe, że oni tacy są. Ale ty masz służącą, która zajmuje się domem, prawda? Kucharkę?

– To nie kwestia gotowania ani prac domowych.

– W takim razie musi chodzić o budynek. Jest okropny? Wybrała go matka Michaela? A może ona do was przychodzi i wszystko krytykuje?

– Nic podobnego.

– Twoja matka przychodzi i krytykuje?

– Nawet by jej to nie przyszło do głowy.

Christine westchnęła, ale zaraz na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Jestem tu między innymi dlatego, że nigdy nie znosiłam zasad. Pamiętasz? Zanim wojna wszystko zmieniła? Trzeba było unikać wulgarności. Właśnie. Uchodziła za najgorsze przestępstwo. Ciotka uważa mnie za nieprzyzwoitą, a prawie nic o mnie nie wie!

Charlotte powoli pokiwała głową.

– Mama opowiadała mi, jak kiedyś ojciec zabronił jej chodzić boso po trawniku.

– Proszę, sama widzisz! Jakie to ma znaczenie, do licha? Czy świat przestanie się obracać? Niedorzeczne. Pouczano mnie w tylu kwestiach. Na przykład, że nie wolno mi używać kolorowego papieru listowego. Ani tanich perfum. Nosić ubrań z farbowanym futrem. Miałam wkładać grube, nie cienkie pończochy. Nigdy nie wsiadać sama do taksówki. Sama nie wychodzić, sama nie jadać... – Wyrzuciła ręce w górę. – Można się udusić!

– Rzeczywiście – cicho potaknęła Charlotte. – To musiało być okropne. Ale u nas w domu nie było tak źle. W dzieciństwie zachowywałam się trochę jak chłopak...

Christine się nie odezwała. Od razu dostrzegła, że to nie przeszłość

Charlotte ją dusi, lecz terażniejszość, życie w tej chwili. Małżeństwo. Uznała, że jeśli przyjaciółka zechce wyznać, dlaczego płakała, zrobi to. Ale cisza ciągnęła się przez kilka minut, aż Christine straciła cierpliwość. Klasnęła w dłonie.

– Wystarczy – powiedziała. – Wychodzimy.

– Muszę wracać do domu.

– Do tego, przez co szlochasz? – spytała łobuzersko Christine. – Najpierw zabiorę cię do Café Royal. – Gwałtownie wyciągnęła ręce, objęła twarz Charlotte i pocałowała ją w czoło. – Już! Teraz wytrzymaj oczy – poinstruowała. – W Café Royal wszystkim jest wesoło, a jeśli jest tam Augustus John, to kupi nam drinki. Poczekaj, a ja się ubiorę.

*

Gdy Charlotte wróciła do domu, było już popołudnie.

Włożyła klucz do zamka i zawołała do gospodyni, że wróciła. Położyła kapelusz i rękawiczki na małym stoliku w korytarzu. Nikt nie odpowiedział.

W zamyśleniu poszła do końca korytarza. Za drzwiami przy tylnym wejściu znajdowała się pomywalnia, spiżarnia i kuchnia oraz niewielka sypialnia, w której mieszkała kucharka, prosta, miła kobieta. Matka Michaela mówiła, że służąca nigdy nie wyszła za mąż, choć w rodzinie była znana jako osoba spokojna i godna zaufania. Pracowała w stałych godzinach i nie przyjmowała mężczyzn. Chociaż dom był mały, Charlotte nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby wchodzić na jej teren. Zapukała więc raz czy dwa razy cicho do drzwi, po czym ruszyła na górę.

Marzyła o filiżance herbaty. Okropnie chciało jej się pić. Café Royal okazało się dla niej objawieniem. Christine miała rację, Augustus John siedział przy barze, racząc pozostałych gości opowieściami o swoich wyczynach z czasów, kiedy podróżował po Dartmoor z cygańskim taborem. Trzeba mu było zaliczyć na plus, że kupił jej i Christine po kieliszku czerwonego wina. Wręczył im je z dziwnymi słowami: „Jeśli zobaczycie pod nogami małe ropuszki, poklepcie je po główkach”.

– Ma na myśli swoje dzieci – szepnęła Christine.

– Przeprowadza tu swoje dzieci?

– Ależ skąd. To taki żart. Zawsze to powtarza. Klepie po głowie każde

dziecko, wiesz. Bo nie wie, czy któregoś przypadkiem nie jest jego.

Charlotte przypatrywała się potężnemu mężczyźnie. Wydawał się imponujący, a dzięki swojej sławie bardziej wyrazisty. Nazywano go największym malarzem świata. Przypominał byka, kipiał tętniącą życiem energią. Można ją było wyczuć, niemal jak otaczające go ładunki elektryczne. Nieustannie wybuchał śmiechem i mówił donośnym, dudniącym głosem. Pykał fajkę. Całe pomieszczenie wypełniał dym papierosów i cygar.

Bar przypominał krzykliwą pieczarę. Ściany były zielone, a sufit połączony. W równych odstępach stały figury przedstawiające boginie. Odbijający się w lustrze za barem artystyczny świecik przypominał obraz Maneta *Bar w Folies-Bergère*. Pomieszczenie wypełniały stoliki do gry w domino, zatwardziali pijacy i toczące się swobodnie rozmowy. Na jednym krześle siedziała kobieta owinięta w sięgający podłogi szal, na innym dziewczyna o wyglądzie anioła.

– To modelki – odpowiedziała zapytana o nie Christine. – I Dorelia.

– Dorelia?

– Kochanka Johna. Przynajmniej ta oficjalna.

Kiedy wreszcie wyszły, Charlotte kręciło się w głowie. Nie była przyzwyczajona do wina. Świat na zewnątrz wydał jej się dziwny. Dawno minęło południe, obok nich szli ludzie w niedzielnych ubraniach, które nagle sprawiły na niej wrażenie absurdalnie czystych i porządnym. Wyszło słońce i chodniki błyszcząły po deszczu. Omnibusy jeździły w obydwu kierunkach, ulicami sunęły tłumy. Po rozstaniu z Christine Charlotte nie wzięła taksówki, lecz poszła na piechotę.

Teraz czuła się zmęczona. Kiedy szła po schodach, rozboleła ją głowa. Następnego ranka o siódmej miała dyżur. Zdecydowała, że na chwilę się położy. Otworzyła drzwi do sypialni – zasłony były zaciągnięte. W pokoju panował niemal mrok.

Michael siedział w ciemnościach na krześle obok okna, twarzą w stronę drzwi. To natychmiast wytrąciło ją z równowagi.

– Och... Michael – bąknęła. – Czemu tutaj siedzisz?

– Czekam na ciebie.

– Jadłeś kolację?

– Jakiś czas temu.

Wstał i ruszył w kierunku, z którego dochodził jej głos. Tak bardzo się

cieszyła, że mąż jej nie widzi. Dostrzegłby na jej twarzy pozostałość przyjemności. Pochylił się w jej stronę i zmarszczył brwi.

– Piłś.

– Tylko kieliszek wina. Christine zabrała mnie do Café Royal.

– Do Café...? – Zamilkł zdumiony. – Nie będziesz tam chodzić. Zabraniam ci – powiedział stanowczo.

– Obawiam się, że już za późno. Przykro mi, ale nie możesz mi mówić, dokąd powinnam chodzić.

– Odnoszę wrażenie, że ktoś powinien to zrobić.

Odwróciła się od niego. Zdjęła pierścionki i położyła je w milczeniu na toaletce.

– To tylko kawiarnia – mruknęła. – Tylko ludzie.

– Ludzie – powtórzył Michael z irytacją. – Nie chcę, żebyś się z nimi zadawała. Są nieprzyzwoici.

Mocno zacisnęła usta. Nie chciała odpowiadać. Michael przez chwilę milczał, po czym wybadał przed sobą drogę w jej stronę. Sięgnął do jej ramienia. Patrzyła, jak jego dłoń powoli zbliża się do niej w półmroku.

– Słyszałem, że chodzą tam kobiety pewnego typu. – Wreszcie złapał ją za nadgarstek. – Nie chcę, żeby moja żona spędzała tam czas.

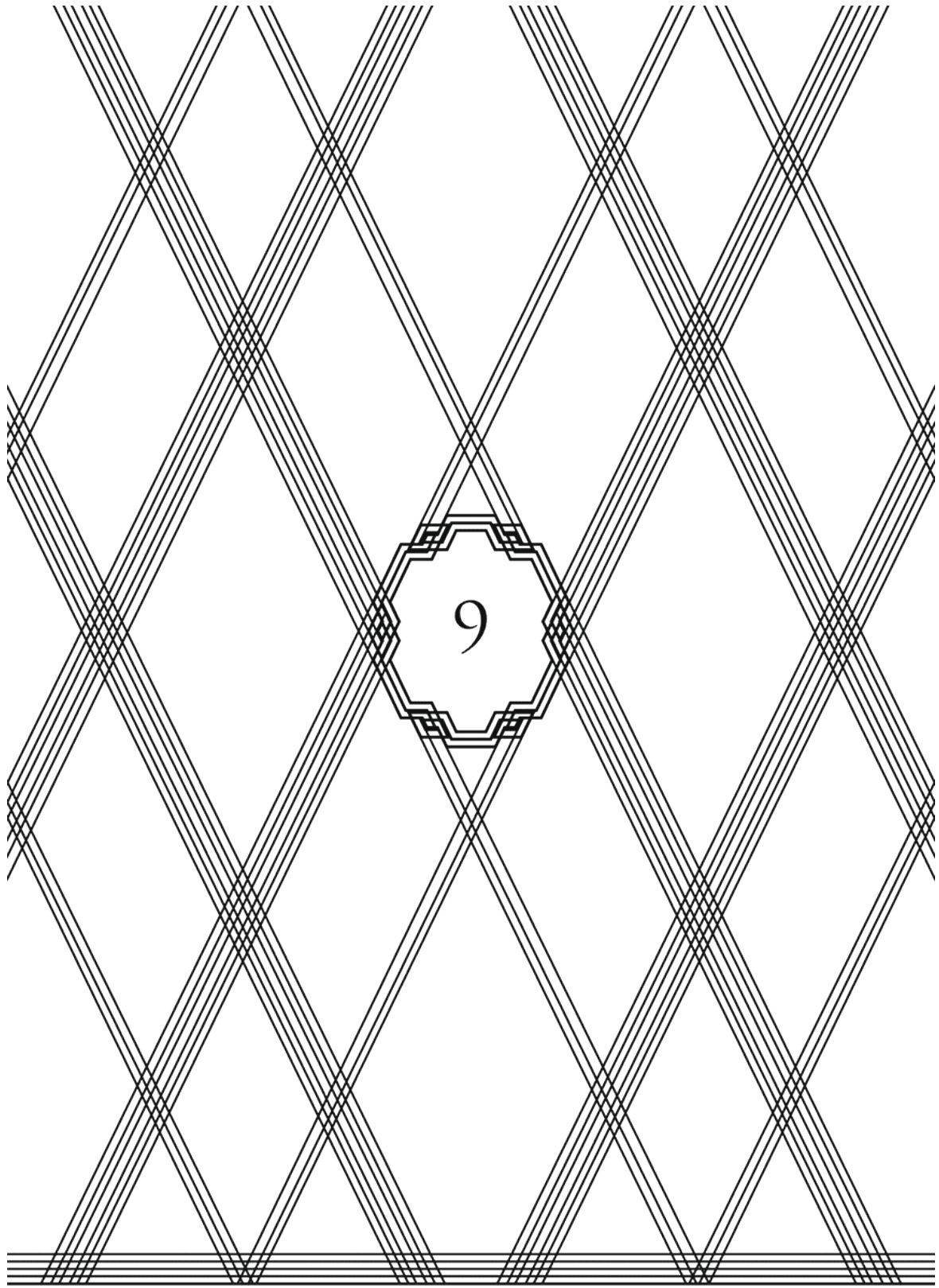
– Michael, moja matka tam chodzi.

Słowa zawisły między nimi. Michael wyglądał, jakby chciał wykrzyczeć to, co słyszał na mieście – że jej matka jest nie lepsza niż wyginające się na siedzeniach modelki z Café Royal. Ale Charlotte wiedziała, że on tego nie powie. Trzymał się w kontaktach z nią zasad formalnej uprzejmości. Poczwała, że drży, ale nie z powodu opiekuńczości męża. Chodziło o jego dotyk. Staranny, nieustępliwy, zaborczy dotyk.

– Jeśli chcesz tam chodzić – powiedział cicho – będę chodził z tobą.

– Dobrze – szepnęła.

„Ale nie pójdiesz” – pomyślała. „Nie pójdiesz”.



To był taki błogi sen.

Jack stał w Rutherford w ostatnich promieniach popołudniowego słońca. Cały ostatni rok wojny się nie wydarzył. Nigdy. Nie opuścił swoich rodziców, nie szedł długim podjazdem, nie spojrzął przez ramię w okna sypialni Louisy i nie widział, że są zasłonięte, jakby nie mogła patrzeć na jego odejście. Nie musiał patrzeć, jak zabierane są konie z podwórza domu, ani nie pojechał do ośrodka w Sussex zajmującego się uzupełnianiem strat w zwierzętach.

Zobaczył wydarzenia minionego roku na nowo, w serii krótkich obrazków.

Ujrzał piękny poranek i trenowane konie. Kołyszący się statek. Pojedynczy tor i otwarty wagon bydłocy, w którym stał wraz z setką innych żołnierzy. Stacje weterynaryjne w Albert i Authuille. Właśnie tam po raz pierwszy zobaczył ofiary zatrucia gazem wśród ludzi i koni. Musiał odwrócić głowę, kiedy mijali go słaniający się na nogach mężczyźni, a wymiotujących i kaszlących niesiono do wagonów. Nie miał pojęcia, co mógłby zrobić, żeby pomóc stojącej przed nim na szeroko rozstawionych nogach ledwie żywej kobyle. Walczyła o oddech. Prosił Boga, by jej płuc nie wypełniała piana, by wciąż dało się ją uratować. Błagał, by nie musieli zabrać jej na zewnątrz i zastrzelić, i by stojący za nią w szeregu koń nie patrzył na nich z niemym oskarżeniem, kołysząc głową. Ale jego prośby nie zostały wysłuchane.

W jego śnie to się nigdy nie wydarzyło. Był gdzie indziej. Całkowicie zatopił się w majakach. Znów był wolnym człowiekiem, wraz z innymi stajennymi brnął przez łąki w pobliżu rzeki. Szukali kwiatów krostawca, upewniali się, że żółte zielsko nie dokonało inwazji na pastwisko. Ponownie wolny człowiek w upale letniego dnia. Czuł na karku ciepło, rękami beładnie przeczesywał trawę. Wojna nigdy nie nadeszła i nie upomniała się

o nich. Konie wciąż stały na podwórzu, a on oporządzał je w świetle wczesnego poranka. Nikt się nie spieszył ani nie bał. Opierał się o słodko pachnący bok czesanego zwierzęcia. Oboje stali po kostki w sianie. Po drugiej stronie podwórza jasny dym płynął z komina domu. Matka podeszła do furtki i go zawołała. Za jej plecami widział ścianę ogrodu rezydencji i park.

Był koniec sierpnia trzy lata wcześniej i Louisa została uratowana we Francji przed draniem, który próbował ją zniszczyć. Po raz kolejny siedziała apatycznie przy stole podczas dożynkowego jarmarku. Potem umysł przeniósł go jeszcze dalej w czasie. Kolejny rok wstecz – Louisa poprosiła go wtedy do tańca w sadzie, oparła na jego szyi splecione dłonie, patrzyła mu w twarz. Teraz znów wrócił zeszyły rok, żegnała go w miejscu, gdzie nikt ich nie widział, a on ją całował.

Cudowne obrazki migające mu losowo przed oczami. Pomieszane i rozkoszne. Wolne od zgryzoty. Jack uśmiechnął się przez sen. Leżał bezwładnie na ziemi w rogu stodoły, która służyła jako pierwsza stacja opatrunkowa dla koni. Zauważył go jeden z sanitariuszy weterynaryjnych. Pomyślał, że powinien go obudzić, ale potem zmienił zdanie. Jack Armitage opatrywał rannych z Monchy przez bite czternaście godzin. Kiedy dostał rozkaz, żeby odpocząć, upadł niemal w tym samym miejscu, w którym stał. Oparł się o ścianę i osunął na kolana. Teraz również niemal siedział, chociaż był nieprzytomny. Sanitariusz mu się przyglądał. To dziwne – pomyślał – że ktokolwiek uśmiecha się w środku tego wszystkiego.

Ale dla Jacka we śnie bitwa o Monchy też nigdy nie została stoczona. Dziwne sceny, których był świadkiem, okazały się tylko widmami, majakami.

Wioska została odbita po krwawej walce, ale gdzieś wcięż trafiały się grupki walczących żołnierzy. Bezpieczny w swoim śnie Jack nie widział, jak urządzono kwaterę główną w piwnicy, ustawiono stół telefoniczny pomiędzy pudłami z cukrem i solą. Kiedyś był tu sklep. Splądrowały go obydwie armie. Najpierw kartony rozerwali Niemcy, potem Brytyjczycy. Cukier w rumie, ogień w gardle, paliwo dla słabego serca. Sól do gulaszu z konserw wołowych, żeby dało się je zjeść.

W swoim śnie Jack nie stał w ciemnościach przy murze, nie trzymał za wodze dwóch rannych koni. Gromadzili je, by zabrać z powrotem. W odległości pięciu mil od frontu znajdował się szpital weterynaryjny.

Konie, które można było wyleczyć, należało leczyć. Potrzebowali ich, nie mogli się ich pozbyć. Należało je naprawić i przydzielić ponownie, zupełnie jak mundury. Jak trzydzieści tysięcy par butów, które robiono w pewnym miejscu w pobliżu wybrzeża. Jak prowizoryczne stajnie, które musiał zbudować, wyciągając pogięte żelazo i cegły z miejsc, które niegdyś były domami albo ogródkami. Próbował zatrzymać wpadający do środka śnieg. Próbował czyścić ranne nogi z błota. Próbował przykładac gorące okłady na poparzenia gazem musztardowym.

We śnie nigdy nie odwrócił się w stronę budynku za plecami. Była druga w nocy. Artyleria wciąż huczała. Dudniące basy w ciemnościach. Armia Szkotów przedarła się tamtędy i upewniła, że ulice są puste. Niemożliwe więc, żeby Jack zobaczył w odległości sześciu stóp Niemca trzymającego broń wycelowaną we własną głowę. Dziwne, ale nie czuł żadnego strachu. Jakby go tam nie było. Musiał przedzierać się przez zastępy martwych, żeby odszukać rozhisteryzowane konie, więc teraz nic go nie obchodziło. Jego krew płynęła powoli, jak ciekły lód.

Padał śnieg. Niemiec zachwiał się i przetaił oczy.

– Nie, kolego – Jack usłyszał własne mamrotanie. Tak samo zwracał do koni. Powolny, uspokajający szept. – Nie, kolego. Nie. – Coś w tym rodzaju.

Mężczyzna zmarszczył brwi, a jego usta otworzyły się w dziecinnym grymasie. Dolna warga zadrzała i zaczął płakać. Tutaj, w śniegu. W ciemnościach. Odłożył karabin i podniósł w górę ręce.

– Nie ma sensu, żebyś poddawał się mnie. Nic nie mogę z tobą zrobić – wyjaśnił mu Jack. – Ja zajmuję się końmi. – Przechylił głowę.

Żołnierz przytaknął. Położył z wahaniem rękę na grzbiecie najbliższego zwierzaka, pogłaskał go i zaczął rzewnie płakać.

Wyglądał najwyżej na osiemnaście lat. Jasnowłose chłopaczek, samotny i przerażony. Próbował się poddać i wydostać z tej rzeźni. W następnej chwili ktoś wyszedł z cienia, brytyjski sierżant. Złapał chłopaka za ramię i zaczął wrzeszczeć wniebogłosy. Niemiec krzyknął ze strachu i rzucił się do swojej strzelby. Był młody i przestraszony, więc sięgnął po broń, podniósł ją i wycelował w oficera. Palec drżał mu na spuście. Sierżant strzelił do niego z niewielkiej odległości. Chłopak upadł na ziemię, a patrol ruszył dalej. Jack zaczął dygotać. Patrzył na śnieg, pomału zbierający się na twarzy chłopca, opadający na jego wciąż otwarte oczy.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Nie teraz, kiedy bezpiecznie spał.

Louisa szła w jego stronę ze śmiechem. Trzymała coś w wyciągniętej dłoni. Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co to. Róża z ogrodów tarasowych. Nowy gatunek, który wyhodował ogrodnik March. Dziewczyna pokazywała mu ładny kwiat – żółty, z brzoskwiniowym wnętrzem. Jego matka dostawała czasem kwiaty nie dość dobre do rezydencji, nieco już przejrzałe, umierające. Mimo wszystko je kochała, wstawiała do dużych dzbanków na kuchennym parapecie. Pamiętał, jak pięknie rozświetlały pokój, niczym plamy słońca, jeziora złota.

Wtedy się obudził. Nie mógł oddychać. Ktoś przykucnął koło niego z papierosem w dłoni i dmuchnął mu dymem w twarz. Jack zakaszłał, a mężczyzna się roześmiał.

– Wstawaj – usłyszał polecenie. – Wiozą więcej koni i transport.

Armitage spał pięć godzin. Teraz ze zdumieniem stwierdził, że jest już jasno. Parzono herbatę, ktoś wcisnął mu w rękę blaszany kubek. Kapitan podszedł do niego szybkim krokiem.

– No proszę – powiedział. – Pospałeś.

– Przepraszam, sir.

– Przed nami długi dzień. Weź sobie coś do jedzenia. W podskokach.

Jack podszedł do stołu i wytrzeszczył oczy. To było niesamowite, niemożliwe. Stał na nim wielki słomkowy kosz, a w środku znajdowała się cała masa niezwykłych rzeczy. Pudełko z maślanymi herbatnikami. Piersiówka z whisky owinięta w słomkową sakiewkę. Dżem, miód i pasta z anchois. Ser i ciasto. Keks, tradycyjny szkocki keks, z migdałami powciskanymi w grubą warstwę polewy. Jack zamrugał. To musiało być złudzenie. Może wciąż śnił.

Kapitan Porter poklepał go po ramieniu.

– Paczka żywnościowa z kraju – wyjaśnił. – Kosz piknikowy od Fortnuma.

Fantastyczne. Poczta dochodziła, dostarczano paczki. Drogi blokował ciągnący się w nieskończoność, upiorny korowód mężczyzn, amunicji, broni i wozów. Sztabowe auta trzeba było porzucać, bo grzęzły w mule. Rannych ciągnięto przez błoto na saniach. Zmarli leżeli na ulicach jak sterty śmieci. Żyjący tonęli na polach. Ale poczta przychodziła.

– Fortnum i Mason – Jack wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

Popatrzył na znak firmowy na koszyku. „Fortnum i Mason – Piccadilly od 1707”. Sklep dostarczał paczki żywnościowe oddziałom walczącym

z Napoleonem, a teraz również do Południowej Afryki i Mezopotamii oraz do obozów jenieckich w Niemczech. Mimo wszystko zawartość kosza wyglądała nieprawdopodobnie. Jednocześnie nieprzyzwoicie i cudownie. Nie mógł się zdecydować.

Powoli wziął herbatnik i odciął kawałek sera. Potem urwał trochę keksu i upchnął go, razem z serem i herbatnikiem, do kieszeni.

*

Pokrzepiony nieznanym dotychczas smakiem ciasta, które z zachwytem przesuwiał w ustach, poprowadził konie do barek. W brudnej wodzie o błotnistym brzegu, która niegdyś była rzeką, płaskodenne barki czekały, żeby zabrać rannych z powrotem za linię frontu.

Ułożono tu wąskie kładki z desek, ale nawet one nikły teraz pod wodą. Na brzeg trzeba było się zsuwać i zjeżdżać. Jack obserwował ludzi niosących nosze, którzy cierpliwie posuwali się naprzód. Śnieg zmienił się w mokrą breję. Ciszę poranka przerywały odgłosy wybuchów dział, miarowe uderzenia, na które nikt nie zwracał uwagi. Trafią cię lub nie. Siła zbłąkanego pocisku może powalić żołnierza obok. Albo uderzenie padnie na ciebie.

Zdaniem Jacka najgorzej by było, gdyby pocisk upadł, powiedzmy, dwadzieścia stóp od niego. Dwadzieścia czy trzydzieści stóp oznaczało pecha: posiekałyby go zabójcze odłamki. Szczęście to znaleźć się bezpośrednio w miejscu uderzenia. Wtedy o niczym się nie wie. Nikt więc nie przerywał pracy, ani sanitariusze dźwigający nosze, ani ludzie, ani konie, ani muły. Nie wiedzieli, czyje imię wypisane jest na kolejnym pocisku, czyj to bilet do wieczności.

Jack uważał, że ma więcej szczęścia niż pozostali, bo zajmował się końmi. Dzięki temu nie myślał o sobie. To znaczyło również, że nie musi zbyt długo patrzeć na rannych. Wolał spoglądać w wodniste brązowe ślepie zwierząt, cierpliwie i lojalne, niż w przerażone oczy jakiegoś młokosa.

Cisza była naprawdę osobliwa, choć jednocześnie najbardziej godna podziwu. Poza pospiesznymi rozkazami tych, którzy ładowali barki, nikt nie wydawał dźwięków. Ranni nie płakali ani nie krzyczeli. Czasami ich usta poruszały się w modlitwie albo sami sobie wydawali polecenia. Jack słyszał

kiedyś mężczyznę, który z silnym akcentem z Devon szeptał raz za razem: „Nie rób tego, nie rób tego”. Od czasu do czasu, kiedy czekali w szeregach, ktoś wyciągał rękę, ktoś inny podawał papierosa. Jakże często Jack widział upadające niedopalone papierosy – uchwyt się rozluźniał, palce nie miały siły dłużej się zaciskać, życie uciekało z dłoni. Niektórzy miażdżyli swoje szlugi, bawili się nimi, z wdzięcznością próbowali zaciągnąć się czymś, co nie pachniało kordytem, chlorem, bromem ani fosgenem.

Barki z ludźmi odpływały pierwsze. Rzeka była pełna śmieci, więc posuwały się bardzo powoli. Jack zauważył, że łodzie poruszają się jak robaki w sypkiej ziemi, zahaczają o zatopione przeszkody. Niebo, ciężkie od deszczowych i śniegowych chmur, wisiało nad nimi jak wielka, szeroka, szara zasłona. Świat niemal stracił barwy. Pozostało studium w czerni i bieli. Od czasu do czasu, kiedy ktoś się odezwał albo wywrócił oczami, można było dostrzec ze zdumieniem czerwien wewnętrżnej strony warg albo przekrwioną obwódkę powieki. Skóra zachlapana była błotem, tłuszczem albo czymś gorszym, zbrylonym w brązowy osad. Dłonie zaciskały się na linach, poręczach, uchwytach, bokach noszy. Pięści miały kolor zimnego, szarego mięsa.

Następna barka czekała na nich. Jack powoli schodził w dół zbocza z mułem, którego zabrał z szeregu. Muły to dziwne stworzenia. Najbardziej osobliwe zwierzęta na ziemi. Sam nigdy tego nie widział, ale podobno, aby je ujarzmić, należało zabrać je prosto ze statku i prowadzić przez dwa dni w kółko i w kółko po placu defiladowym, aż zwierzę będzie padać ze zmęczenia. Nie wspominając o osobie, która je prowadziła. Wtedy przestawały kopać. Zazwyczaj. Ale potrafiły przerazić się tak samo jak konie, a kiedy były przestraszone, po prostu stawały. Ani pocisk, ani nic innego nie mogło ich wtedy ruszyć z miejsca.

Jack widział kiedyś muła, który wyglądał, jakby ktoś wykuł go z kamienia. Stał absolutnie nieporuszony na poboczu drogi w Étapes. W końcu zdjęto z niego ładunek i zostawiono go tam. Jack położył mu u stóp garść siana, ale zwierzę wciąż się nie poruszyło. Przyłgnęło do niego tyle błota, że jego sierść wyglądała, jakby była w paski – kanały i doliny błota tam gdzie nigdy nie rosło włosie. Nadawało mu to wygląd na wpół muła, na wpół zebry. Jack odwrócił się, kiedy jechali karetką weterynaryjną. Muł wciąż tam stał, jak żywy posąg, pomnik buntu.

Ale ten był posłuszny. Zataczał się, bo nogi miał poparzone iperytem.

W dodatku wyglądało na to, że ma również opoje, opuchliznę głębokich zginaczy ścięgien. Jack widział takie u koni wyścigowych w Carlisle, kiedy lord Cavendish jeździł tam na zawody. Konie wyścigowe często doznawały kontuzji nóg, ale te pięknotki przepaść dzieliła od krępego, małego dzikusa, którego właśnie próbował wprowadzić na łódź. Cholernie biedne zwierzę. Musiało się czuć tak, jakby chodziło po gwoździach albo miało olbrzymie pęcherze. Wyglądało na to, że Jack spędzi noc z dala od frontu, zajmując się dziesiątkami stworzeń podobnych do tego muła. Będzie nacinał ropnie, zakładał plastry, schładzał oparzenia, przycinał rozszczepione kopyta. Będzie stał w półmroku albo w cieniu, podczas gdy oficerowie weterynarii będą robić obchód i decydować o życiu i śmierci. Czasami, i przydarzało się to zarówno oficerom, jak i zwykłym żołnierzom, któryś z mężczyzn klękał przy zwierzęciu, a jego twarz się rozświećlała. To był blask dawnych, chłopięcych dni i wspomnień o pierwszych kucykach. Albo radość rekruta, który właśnie odkrył, jak chętnie koń współpracuje z jeźdźcem. Wspomnienie samotnych przejażdżek po polach i lasach. Przelotnego, ekscytującego galopu podczas wojskowej wyprawy. Albo, jak w jego przypadku, żniw.

O tym właśnie myślał Jack, kiedy żał mu było jakiegoś zwierzaka. Wspominał, jak siedział na wozie i patrzył na drogę pomiędzy strzygącymi uszami Waclawa, gdy wieźli siano do stodół w dzierzawnych gospodarstwach albo wjeżdżali przez bramę do Rutherford. Przypominał sobie, że nawet leżący przed nim, cierpiący koń przeżył kiedyś przyjemniejsze dni. Uśmiechał się na tę myśl. Waclaw zawsze uważnie go słuchał. Najpierw jedno białe ucho, a potem drugie obracało się w odpowiedzi na głos Jacka. I rytmiczny odgłos ciężkich, cierpliwych kroków. Dźwięk wyznaczający tempo wiejskiego życia. Prędkość chodu konia, cicho wlokące się lata.

Barka była pełna. Zwierzęta i ludzie musieli przez całą drogę stać, próbując zachować równowagę, kiedy łódka odbijała od brzegu. Za ich plecami artyleria wciąż bezładnie grzmiała. Pociski starały się osiągnąć celów. Jack współczuł koniom ciągnącym ogromny ciężar dział artyleryjskich. Musiały poruszać się szybko, gdy zmieniały się rozkazy. Same też stawały się celami. Mój Boże, co za koszmar. Armitage zastanawiał się, czy sam nie jest bardziej koniem niż człowiekiem, bo zawsze czuł większe obrzydzenie i głębszą rozpacz na widok fragmentów

ciał koni niż ludzi. Ból przeszywał go na wylot, od splotu słonecznego aż do czubka głowy. Cały drżał.

„Może ten przeklęty cyrk sprawił, że pomieszało mi się w głowie” – pomyślał, patrząc w ciemną, brązową wodę. „Nie jestem już normalny. Ale wszyscy inni też zwariowali”.

*

Dotarli do posterunku na tyłach późnym popołudniem, tuż przed zmrokiem.

Deszcz ze śniegiem przestał padać. Teraz było po prostu zimno. Przeszywająco, upiornie zimno.

– Przyjemny mamy kwiecień, prawda? – odezwał się głos z londyńskim akcentem, kiedy z trudem wspinali się na brzeg rzeki i szli w stronę opuszczonej kaplicy, gdzie świeciły słabe światła.

Jack nie widział twarzy mężczyzny – pomiędzy nimi szły dwa konie i dwa muły – ale mruknął potakująco.

– „Och, być w Anglii teraz, gdy jest kwiecień” – zacytował mężczyzna i roześmiał się. – W parku St James pięknie kwitną wiśnie. Tam pewnie jest moja żona. Spaceruje z dziećmi po parku...

Paplał i paplał, śmiał się i opowiadał, prowadząc zwierzęta. Kiedy już przywiązali je na miejscu, ruszyli przez narastającą ciemność w stronę rzeki po kolejną grupę.

– Jesteś z Londynu? – spytał mężczyzna.

– Nie. Z Yorkshire.

– Ach. A dokładnie?

– Okolice Richmond.

– Mam ciotkę w Durham. To blisko?

– Niezbyt daleko. – Jack pomyślał o ciągnących się w stronę Durham nagich wzgórzach i leżących na nich samotnych farmach.

– Mój siostrzeniec pracuje w kopalni. Został tam odkomenderowany. Ma tylko czternaście lat.

Jack chrząknął i skupił się na kolejnym zwierzęciu. Wydawało się ślepe, ślina leciała mu z pyska. Pstrokata kobyła. Albo może wyłysiała. Zmrużył oczy, próbując dojrzeć, co dokładnie jej dolegało.

– Wczoraj przyleciały chłopaki z Królewskiego Korpusu Lotniczego.

Widziałeś?

Jack oczywiście zauważył samoloty. Krążyła plotka, że tracili mnóstwo ludzi i maszyn.

– Znam tam kogoś – powiedział.

– Coś podobnego. Cóż za znajomości! Strzelca? Obserwatora?

– Pilota.

Mężczyzna znów się roześmiał. Nie uwierzył.

Pracowali całą noc. Około trzeciej nad ranem Jack nagle przypomniał sobie o cieście i serze, które miał schowane w kieszeni. Wszedł na zewnątrz, o ile można było tak powiedzieć. W rzeczywistości znalazł się po prostu po drugiej stronie cmentarnego muru przy kaplicy. Usiadł w ciemnościach na pokrytym warstwą śniegu brzegu pola, wyjął pokruszone resztki ciasta i zjadł je. Potem objął kolana ramionami i patrzył na krajobraz przed sobą. Widok rozciągał się szeroko na otwartą, pustą przestrzeń. Kilka wzgórz, rozproszone drzewa i małe wioski. Przynajmniej w przeszłości. Teraz była to tylko zagubiona między bitwami przestrzeń, echo w ciemności, gdzie nikt już nie mieszkał. Jack poczuł się jak szczątek wraku na czarnym oceanie. Kiedyś przynależał do czegoś istotnego, ale oderwał się od tego i teraz dryfował, znoszony prądem.

Potał twarz dłońmi i wstał. Ruszył z powrotem do bramy, po nagrobkach, które niegdyś szanowano i czczono.

– Armitage! – zawołał jakiś głos.

– Tak, sir.

– Popatrz na tego ardena. Znasz się na koniach pociągowych, prawda?

– Nie do końca na pociągowych. Na shire'ach i tym podobnych.

– Wiesz, co mam na myśli – warknął oficer. – Milę stąd jest bocznica kolejowa. Idź wzdłuż torów z zaprzęgiem travois i ardenem. Potrzebują go, żeby pociągnął wóz po torach.

*

Arden był wspaniałym koniem. Dawno temu.

Jack znał tę rasę. Widział je kiedyś na pokazie koni w Dales. Miały względnie krótki pysk w stosunku do reszty ciała, ale były bardzo szerokie i nisko zawieszane. Koniom, które widział na pokazie, ogony opadały do

ziemi jak liny, a przy podkowach wyrastały ogromne kłęby uczesanego włosia. Grzywy zapleciono w kolorowe kosmyki, grube jak nadgarstek dorosłego mężczyzny. Podobnie jak Waclaw, te konie były uległe, jeśli się je trenowało, i nadzwyczaj wytrzymałe. Przypomniał sobie teraz, że ich kasztanowa sierść błyszczała niczym powierzchnia lustra.

Minęło dużo czasu, odkąd ten arden był w pokazowej formie. Głowę zwiesił nisko, chrapy miał rozdęte. Jego sierść zmatowiała od brudu, mimo że ktoś bez przekonania próbował ją czyścić. Ogon skrócono, żeby nie ciągnął się po błocie. Kopyta wciąż jednak miał równie potężne jak Waclaw, mimo że zgolono wielkie kłęby włosia.

Jack położył rękę na szyi zwierzęcia i pogłaskał je. Koń zarżał cicho.

– Spokojnie. Pójdziemy sobie stąd, dobrze? Jak najdalej od tej cholernej awantury. – Kiedy zwracał się do koni, zawsze mówił z rodzimym akcentem. Płynące szybko, szorstkie tony, charakterystyczne dla mieszkańców wzgórz Yorkshire, zawsze wywoływały właściwy efekt. Ogier przestał drzeć i odrobinę podniósł głowę.

– Co ty robisz na froncie? – spytał go łagodnie Jack. – Takie wielkie zwierzę, warte majątek. Kto cię tu przysłał, co?

To było marnotrawstwo i okrucieństwo. Ten ogier mógłby spłodzić tysiąc wspaniałych źrebaków, dostojnych zwierząt, które mogłyby ciągnąć przedmioty dziesięć razy cięższe niż ich waga.

– Nieważne. – Wziął lejce i powoli ruszył do przodu. – Pociągniesz po torach mały wózek. Tylko jeden wózek z kilkoma mężczyznami, do pociągów szpitalnych. Będiesz bezpieczny, staruszku. To będą wakacje.

Koń i człowiek powlekli się przed siebie w ciemnościach.

Droga była wąska i śliska. Od czasu do czasu schodzili na bok. Nie do rowu, bo mogliby utonąć, ale odsuwali się wystarczająco, by przepuścić samochód albo ciężarówkę. Za każdym razem, kiedy koń słyszał dźwięk silnika, mimo zimna zaczynał się pocić.

– Jesteśmy pieprzonymi dzikusami – powiedział Jack do konia. – Wybacz nam, co? Nisko upadliśmy. Na dno.

Zaczynało się rozjaśniać. Za nimi inni mężczyźni z pojedynczymi końmi szli w długim, mocno rozciągniętym szeregu. Jack wiedział dlaczego. Gdy uderzy pocisk, zginie jeden człowiek i jedno zwierzę, nie cała grupa. Wylał szron z twarzy, zamrażający pot. Kiedy huk artylerii stał się bardziej odległy, koń podniósł głowę.

– Jak będę cię nazywał? – zastanowił się Jack. Pochylił twarz nad barkiem konia, olbrzymią, górującą nad nim muskularną maszyną. Zastanawiał się, czy koń słyszy wszystko, czy tylko pojedyncze słowa. A może był kompletnie głuchy? Ze sposobu, w jaki ogier od czasu do czasu obracał głowę, Jack zgadywał, że zwierzę jest ogłuszone. Może tylko czasowo. Och, marzył o dniu, w którym ten koń wróci na swoją farmę. Wyślą go na pastwisko i będzie mógł płodzić te źrebaki. Jack poczuł, że oczy mu łzawią na myśl o chwili, która nigdy nie nadejdzie.

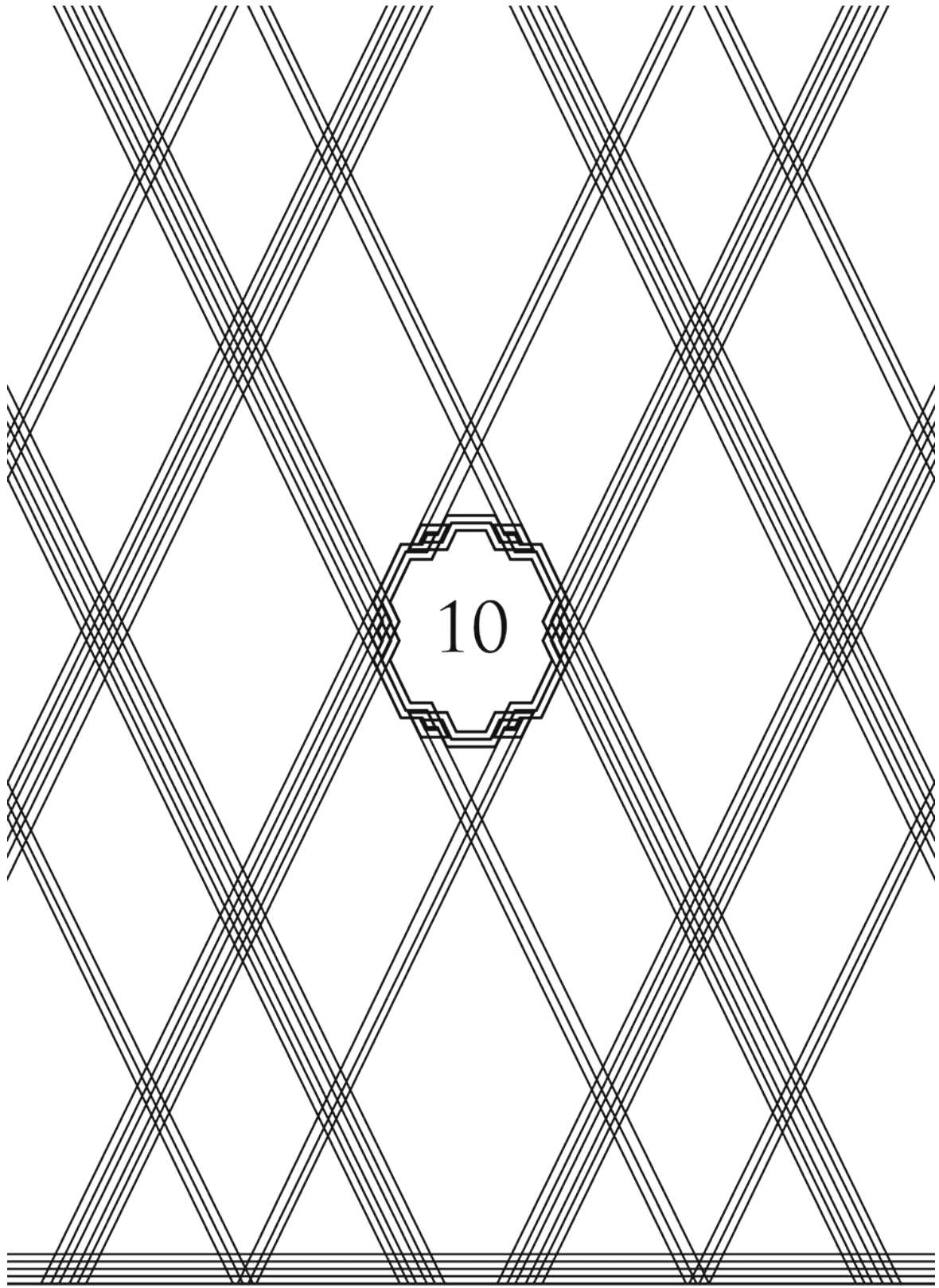
– Miałem kiedyś konia – powiedział, kiedy równym krokiem szli przez błoto. Pierwsze światło dnia pojawiło się na niebie. – To był porządny chłopak, wielkolud o usposobieniu dużego dziecka. Widziałem, jak się rodzi i jak robi pierwsze kroki. On też nie lubił samochodów. Nie podobał mu się ani samochód jaśnie pana, ani młodego Harry’ego. Kiedy wjeżdżały na podwórko, zawsze trochę tańczył. Wstawialiśmy auta do starej stodoły...

Szli i szli. Jackowi łzy płynęły z oczu, ale ich nie czuł. Zatopiony we wspomnieniach, był niemal szczęśliwy. Wstydziłby się, gdyby sobie uświadomił, że szłocha. Powiedziałby, że nie chodzi o litość, że myśli o szczęśliwszych czasach i płacze z powodu wspomnień, nie koszmarnej rzeczywistości. Wciąż opowiadał w nadziei, że arden wyczuje jego spokój, nawet jeśli nie może usłyszeć jego słów.

– Siedzieliśmy na stacji, czekając na dostawę mleka... kierowca wiedział, że musi zwolnić i cicho podjechać...

Słowa, ciche słowa o brzasku.

Fragmenty przeszłości. Tak nikłe, tak skromne. Bezcenne.



Octavia prowadziła metza swojego syna po krętych dolinach Dales. Był to mały, zielony samochodzik sportowy, bardzo szybki i okropnie głośny.

– Chcesz jechać sama? – gniewnie spytał William w trakcie śniadania, marszcząc brwi znad gazety.

Zawsze taki sam. Nieufny wobec świata i jej kompetencji. W ogóle się nie zmienił, chociaż jedząca z nim właśnie śniadanie żona przyjechała poprzedniego dnia z domu swojego kochanka w Londynie. Zachowywał się jak zawsze, sztywno, uprzejmie i krytycznie. Tylko drobne drżenie w jego głosie od czasu do czasu zdradzało innego człowieka – kochającego mężczyznę, który pragnął, by wypuszczono go z więzienia, i który patrzył na odchodzącą i powracającą żonę, wolną jak ptak. Dlatego starała się z nim nie kłócić. Była tak miła, jak to możliwe, bo zdawała sobie sprawę z delikatności sytuacji.

– Absolutnie nic mi nie grozi – zapewniła go. – Kentowie mieszkają zaledwie dwanaście mil stąd.

Zacisnął usta, opuścił płachtę „Timesa” i ułożył gazetę starannie obok talerza.

– Widziałem się z Hamiltonem w Richmond w zeszłym miesiącu – oznajmił. – Schudł. Cóż mogę powiedzieć, jest strapiony. Wzburzony, mówi bez ogródek. W niewielkim stopniu przypomina dawnego siebie.

– Śmierć Ruperta mocno nimi wstrząsnęła – odpowiedziała cicho Octavia, wymieniając imię najstarszego syna Kentów, który zginął we Francji dwa lata wcześniej. – Nie wiem, jak w ogóle mogą sensownie rozmawiać. Elizabeth napisała, że świat wydaje jej się okropnie przygnębiający.

– Hamilton nie zachowuje się, jakby świat był przygnębiający. Wręcz przeciwnie. Jest bezlitośnie dziarski.

– Dwie strony tej samej monety – oceniła Octavia. – Jedno z nich jest

nieporuszone, drugie szalone.

William chrząknął, zastanawiając się nad jej słowami.

– Wciąż mają drugiego syna.

– Czy to, że Louisa i Charlotte wciąż żyją, zrekompensowałyby ci śmierć Harry’ego?

Resztę posiłku spędzili w milczeniu.

Po śniadaniu Octavia podeszła do okna. Patrzyła na falisty teren parku, odległe farmy i wzgórze.

– Kiedy jechałam ze stacji, widziałam, że wszystko strasznie zarosło – zauważyła cicho. – Skraj drogi jest nieprzystrzyżony i tak dalej.

– Czy można się temu dziwić? – odparł William. – Straciliśmy na rzecz wojska połowę służby. Dopóki wojna się nie skończy, powrócą jedynie ranni. Rozmawiałem z Grayem w zeszłym tygodniu. Jest w kropce. Nie wspominając już o problemach z domem.

Gray zarządzał ziemią, ale jego obserwacje nie martwiły Octavii tak bardzo, jak wspomnienie o Rutherford. Odwróciła się do męża.

– Z domem? – spytała. – Co się dzieje z domem?

Wiedziała, że jej mąż nie zauważyłby bałaganu, choć wcześniej panował tu idealny porządek. Musiało chodzić o coś innego.

William westchnął ciężko, ze zmęczeniem, i pokręcił głową.

– March był u mnie w poprzedni weekend. Konieczność racjonowania węgla oznacza, że nie zdoła utrzymać w szklarniach właściwych temperatur tej zimy. Brakuje mu pracowników, nie może hodować tylu warzyw, co wcześniej. Pojechał do Richmond, żeby naprawić narzędzia ogrodnicze, a tam niemal go zmusili do oddania ich w związku z wysiłkiem wojennym. Był tak udręczony, kiedy ze mną rozmawiał, że musiałem kazać mu usiąść.

Octavia wróciła do stołu jadalnego i powoli opadła na krzesło obok męża. Próbowała przetrwać trzy fakty, które nie pasowały do tego, co wiedziała o Marchu. Po pierwsze, był to ponury mężczyzna, niedający się ponieść żadnym emocjom z wyjątkiem gniewu. Nigdy nie był udręczony. Po drugie, zawsze mieli w Rutherford dość ludzi, by móc samodzielnie naprawiać narzędzia i sprzęt. Majątek przypominał pod tym względem małe miasteczko. Kiedyś. A po trzecie...

– Z pewnością mamy zapas węgla – powiedziała to na głos.

William popatrzył na nią.

– Mieliśmy dostawę. Kupcy twierdzą, że jest to teraz towar racjonowany,

jak wszystko inne. Jak mięso i cukier.

Uśmiechnęła się lekko do niego.

– Jestem zaskoczona, że masz świadomość tego typu domowych problemów. Nigdy nie zajmowałeś się podobnymi sprawami.

Wciąż patrzył wprost na żonę. Nie z rozgoryczeniem. Wzruszył ramionami.

– Nie tylko pan March zaszczycił mnie wizytą. Pani Carlisle również.

Octavia spuściła wzrok. Poczowała, że się rumieni. Kucharka powinna zwrócić się albo do gospodyni, albo do pani domu. Oczywiście w Rutherford nie było żadnej z nich.

William ciągnął tym samym, spokojnym tonem.

– Kiedy byłem w Londynie, powiedziano mi w klubie, że trzy dni w tygodniu w menu będą dania jarskie. Jarskie! – wykrzyknął. – Niesłychane.

– Żołnierze muszą dostawać mięso.

– Nie żałuję im. A przeklęte niemieckie łodzie podwodne zatapiają nasz import. Ale tutaj...

– Co zrobisz ze szklarniami, roślinami, owocami i kwiatami?

– Wygląda na to, że tym roku nie będziemy ich ogrzewać.

– Ale wtedy wszystkie zginą.

– Oczywiście, że wszystkie zginą – warknął William. Potem na widok jej miny dodał: – Octavio, węgla nie można kupić ani wyżebrać. Zanim skończy się rok, takie będzie prawo. Posiadłości w rodzaju Rutherford powinny świecić przykładem.

Zmarszczyła brwi. Pomyślała, że niemal lepiej byłoby mieszkać w domku we wsi. Mniejsza przestrzeń do ogrzania. Pomyślała o Williamie, samotnym tutaj w środku zimy, i zadrzała. Wciąż pamiętała, jak pełne przeciągów i przerażająco zimne było Rutherford, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy. Przed generalnym remontem. Dom i woda były ogrzewane piecami węglowymi. W kominkach palono węglem.

– W Yorkshire są najlepsze kopalnie węgla w kraju – wymamrotała. – To dziwne i niesprawiedliwe.

– Prawdziwa ironia – zgodził się William.

Godzinę później Octavia wyruszyła w podróż metzem, owinięta w sięgające do kostek sobolowe futro, które William podarował jej na Gwiazdkę osiemnaście miesięcy wcześniej. Pomyślała, że tego wietrznego i zimnego poranka może go potrzebować. W odległości ośmiu mil od Rutherford zatrzymała auto, wysiadła i wrzuciła futro na małe, składane siedzenie z tyłu.

Rozmowa o racjonowaniu wstrząsnęła nią. Przypomniała sobie czasopisma, w których pisano, że eleganckie stroje są teraz niestosowne. Popatrzyła na płaszcz. W Londynie nie zauważało się takich rzeczy. Tam nawet teraz kobiety pięknie się ubierały. Ale na wsi było inaczej. Kiedy wróci do Rutherford, może poprosi Amélie, żeby schowała sobole w pudełku i odłożyła.

Przeciągnęła się i rozejrzała po wysokich, gładkich pagórkach przed sobą i kamiennych murach poniżej. Tak dobrze było być samej. Rozległy krajobraz i ostry, zimny wiatr wydawały się oczyszczające. Wyzwalające. Bezwiednie zmarszczyła brwi. Jak zniosła tyle lat w Rutherford, nigdy nie wypuszczając się poza bramy posiadłości, chyba że w towarzystwie dzieci albo siedząc potulnie obok Williama prowadzącego ociężałe, stare auto? Cóż, te dni były już za nią. Kiedy wspominała tamte czasy, czuła się niemal tak, jakby patrzyła na życie innej osoby. Albo jakby zaglądała przez okno do oświetlonego pokoju, którego historii nie rozpoznawała.

Ujrzała siebie w Rutherford w roku, w którym wyszła za męża. Słuchała opinii architektów i Williama, który decydował, w jaki sposób wydać jej spadek na naprawy. Nie odzywała się, nie ośmieliła się wyrazić swojej opinii. Widziała siebie w wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat – niespokojną, zakłopotaną, ignorowaną. Odtrąconą przede wszystkim przez Williama, który w tamtym czasie okazywał jej bardzo niewiele uczuć. Nie przypominała sobie, by w trakcie tych dusznych lat przytrafiła jej się choć jedna przyjemna chwila, ale przynajmniej dzieci dawały jej szczęście. Jednak dzieci dorastały i zostawiały człowieka samego. Tak właśnie powinno być, że żyły swoim życiem, które dali im z Williamem, i dokonywały własnych wyborów. Prędzej dałaby sobie obciąć prawą rękę niż mówić im, co mają robić... A jednak. A jednak.

Oparła się o murek obok auta i popatrzyła na niewielki kamienny domek stojący daleko w dolinie. Musi porozmawiać z Louisą. Chociaż William był przekonany, że nastąpiła jakaś pomyłka, Octavia sądziła inaczej. Jej starsza

córka miała opinię osoby egzaltowanej i lekkomyślnej, ale potrafiła być poważna i dyskretna. Wystarczyło popatrzeć, jak świetnie ukryła przed nimi romans z Charlesem de Montfortem, jak zachowywała się w towarzystwie Sessy. Bawiła się z dzieckiem z ogromną tkliwością. Octavia obawiała się nawet, że Louisa zapomniała, że jest tylko ciotką dziewczynki. Co ona sobie, do licha, myślała?

Westchnęła. Musiała poznać prawdę i mieć nadzieję, że Louisa zrozumie. Z pewnością nie mogła jej pouczać o moralności, jeśli córka rzeczywiście związała się z Jackiem Armitage'em. Bądź co bądź, czyż związku Octavii z Johnem nie uważano za kompletnie nieodpowiedni?

Wróciła do samochodu, uruchomiła silnik i popędziła w dół wąskimi drózkami. Obiecała Elizabeth Kent, że ją dzisiaj odwiedzi. Ale nieszczęśliwie cieszyła się na to spotkanie.

*

Gospodyni jednak z początku ją zaskoczyła. Kiedy wprowadzono Octavię do porannego pokoju w posiadłości Kentów, palladiańskiej rezydencji, która zawsze wydawała jej się surowa i dostojna, Elizabeth powitała ją z uśmiechem. Octavia zauważyła, że stojące wokół krzesła pokryte są haftami. Kiedy już się przywitały, Elizabeth machnęła na nie ręką.

– Dużo ich teraz robię. Widzisz, oddaję je. Na charytatywne loterie fantowe. Aukcje. Tego typu imprezy. Mam zajęcie i poczucie, że jestem przydatna. Louisa ostatnio pomagała mi w organizacji.

– Rozumiem. Miło to słyszeć. – Octavia przyjrzała się uważnie najbliższemu haftowi. – Jest taki subtelny i szczegółowy.

Elizabeth zadzwoniła po herbatę. Rozmawiały o pogodzie i prawdopodobieństwie, że lato okaże się przyzwoite. Pani Kent dopytywała się o Charlotte i jej świeżo zaślubionego męża. Po kilku minutach banalność tej rozmowy przytłoczyła obie kobiety.

– Jesteś dla mnie bardzo miła, Octavio. – Elizabeth uśmiechnęła się słabo. – Ale musisz wiedzieć, że nie jestem z porcelany. Pogodziłam się ze śmiercią mojego syna. Jest wojna. On był żołnierzem. Co robić? Nie mogę się przecież rozsypać.

Zapadła cisza.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparła w końcu Octavia. – Nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżywasz. Od tak dawna jestem w Londynie i tak szybko wyjechałam.

– Rzeczywiście.

– Czy gardzisz mną z tego powodu?

Elizabeth spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Gardzę? – powtórzyła. – Ani trochę. Oczywiście, byliśmy wstrząśnięci. Ale potem napisałaś do mnie i wszystko wytłumaczyłaś...

– To nie jest tylko zadurzenie.

– Rzeczywiście, nie wyobrażam sobie, że mogłabyś porzucić Williama z tak błahego powodu.

– To zabrzmiało okrutnie.

– Jestem przekonana, że William tak to widzi – powiedziała Elizabeth. – Ale wiem, jak wyglądało twoje życie, Octavio. Widziałam, jakie było.

– Kiedy następnym razem będziesz w Londynie...

– Hamilton już nie chce tam jeździć. – Elizabeth uniosła rękę, żeby powstrzymać ją przed zaproszeniem. – Dom w Londynie stoi zamknięty. Nie postawiliśmy tam nogi, od kiedy... od kiedy Rupert... – Uśmiechnęła się blado. – Nie myśl nawet przez chwilę, że robię ci afront. Jestem przekonana, że pan Gould jest na swój sposób bardzo porządny.

Oczywiście była to reprimenda, ale taktowna. Elizabeth była zbyt dobrze wychowana, żeby okazywać oburzenie. Octavia zrozumiała, że przyjaciółka wciąż będzie przyjmować ją u siebie, ale wspólne zaproszenie dla niej i Johna do domu Kentów nigdy nie przyjdzie. Elizabeth i Hamilton nigdy nie zjawią się też z wizytą na Cheyne Walk. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i skupiła się na Elizabeth i jej rodzinie.

– Rozmawiacie o Rupercie, ty i Hamilton? – spytała.

– Nie.

– Czy... chciałabyś porozmawiać o nim ze mną?

– Dziękuję ci, moja droga, ale co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Hamilton uważa, że nic. Nigdy o nim nie wspomina. W ogóle nie mówi o wojnie. Słyszałaś, co się z nim stało, jak się zmienił? Kupił mnóstwo rzeczy. Gramofon, ustrojstwo zwane aparatem fotograficznym, komplet zupełnie idiotycznych ubrań. Urządzenia kuchenne, których kucharka nie potrafi obsługiwać. I... – Westchnęła donośnie, niemal ze śmiechem. – Rower motorowy. – Potrząsnęła głową. – Nie używa żadnej z tych rzeczy.

Nie robi zdjęć, nie puszcza płyt ani nie jeździ na rowerze. To takie dziwne. Idiotyczne. – Opuściła wzrok i zajęła się haftem. Złożyła materiał na kupkę. – Oboje jesteśmy szaleni, każde z nas w inny sposób – szepnęła.

Potem nagle zerwała się na równe nogi i złapała Octavię za rękę.

– Chodź ze mną na spacer. Czy na dworze jest zimno? Chyba nie bardzo? W takim razie pójdziemy do lasu. Na łąkę. Chcę ci coś pokazać. To niedaleko.

Wyszły na jasne światło dnia i dopiero wtedy Octavia zdała sobie sprawę, jak zimno było w domu. Korytarz wydawał się osobliwie ciemny, w atmosferze czegoś brakowało, czegoś podstawowego i niezbędnego. Dom był idealnie czysty, barwa olejnych obrazów i tapicerowanych mebli ani trochę się nie zmieniła. Ale zniknęła iskra, która dodawała człowiekowi wigoru, dawała energię do życia. Octavia zaczęła mimowolnie drżeć, nawet kiedy brała Elizabeth pod ramię. Może w domu nie położono całunu, ale zmienił się on w pustą świątynię.

Dotarły do ogrodzonego terenu za pierwszą linią drzew.

– Widzisz tamtą farmę? – spytała Elizabeth.

– Tak.

W zielonej przesiece pomiędzy drzewami widać było gospodarstwo.

– To nasi dzierżawcy. Oczywiście nie wszyscy. Nie mają dzieci. Mąż na coś zachorował. Mówiono mi, że to puchlina.

– Co to takiego? – spytała całkowicie zaskoczona Octavia. Życie dzierżawców Elizabeth i Hamiltona nie było jej sprawą.

– Niewydolność nerek, zdaje się. – Elizabeth zniżyła głos. – Długo już nie pożyje, a jego żona jest bardzo młoda. Znacznie młodsza niż on. Hamilton uważa, że kiedy nadejdzie czas, powinniśmy wziąć ją do domu.

– W jakim charakterze? – spytała Octavia, marszcząc brwi w zdumieniu. – Kucharki? Pokojówki?

– Podobno mojej damy do towarzystwa – odparła Elizabeth. – Ale tak naprawdę... – odwróciła się i uśmiechnęła do przyjaciółki gorzko i z udręką – utrzymanki Hamiltona.

Octavia głośno wciągnęła powietrze. Ożywienie Hamiltona wynikało więc z tej dość skrajnej i dziwnej reakcji na żałobę. Przytuliła Elizabeth, mimo że przyjaciółka trzymała się sztywno i nie reagowała. Ale może Hamilton w ten sposób odreagowywał swoje nieszczęście. Może tak bardzo tęsknił za życiem. Odsunęła się od Elizabeth.

– Tacy są mężczyźni – powiedziała. – Szukają pocieszenia.

– A co ja mam na pociechę? – spytała Elizabeth. – Najwyżej pracę.

– Masz Alexa. – Octavia łagodnym szeptem wspomniała drugiego syna Kentów.

– On nigdy nas nie odwiedza. W każdym razie bardzo rzadko. Kiedy jest na przepustce, zostaje w Londynie i... – zamilkła. – Albo w Paryżu, gdzie, jak przypuszczam, zachowuje się bardzo nierozważnie. Jak to chłopak.

– Mamy wojnę.

– Tak. Starsi mężczyźni dają przykład. Widzę w jego listach głupotę i lekkomyślność.

– Może to obrona przed tym, co widzi i słyszy.

– Nie jest już moim słodkim synkiem, to pewne – zauważyła Elizabeth posępnie.

Octavia domyśliła się ze smutkiem, że pani Kent czuje się, jakby straciła obydwu swoich chłopców. Kobieta popatrzyła teraz na Octavię.

– Jesteśmy trędowaci, wiesz. W naszej sytuacji. Bez wątpienia to czujesz.

– Nie można nazwać tego trądem.

– Naprawdę? Ale żałoba przypomina zarazę. Człowiek próbuje dojść do siebie, otrząsnąć się z tego. Jednak wszystko wraca.

– Mówią, że czas...

Machnęła ręką.

– Octavio, po tobie akurat nie spodziewam się frazesów.

Stały i w milczeniu patrzyły na domek dzierżawcy.

– Możesz mi wyświadczyć przysługę – powiedziała w końcu Elizabeth.

– Co tylko zechcesz.

Kobieta odwróciła się powoli i uważnie przyglądała się Octavii.

– Możesz odsunąć od niego pokusę – powiedziała. – Brakuje ci gospodyni w Rutherford. To kobieta zdolna i bardzo szybka. Powiem też, że jest solidna i przyzwoita. Widać po niej inteligencję. Gdybym miała być miłosierna, zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że jedynie słabość Hamiltona zawróciła jej w głowie. Dobrze jej zrobi, jeśli znajdzie się w miejscu, gdzie nikt nie będzie jej kusił. A mój mąż odzyska zmysły.

– Nie zastanawiałam się...

– W Rutherford nie ma gospodyni – powtórzyła Elizabeth. – A ty, kochanie, mieszkasz tak naprawdę poza domem. Raczej nigdy już tu nie wrócisz, nie zamieszkasz?

Octavia opuściła głowę.
– To prawda – potwierdziła cicho.

*

Pożegnawszy się z Elizabeth, Octavia postanowiła zrobić objazd przez przędzalnię w Blessington.

Minęło kilka miesięcy, od kiedy ostatnio je odwiedzała, chociaż dzięki rozmowom z Williamem trzymała rękę na pulsie, a przynajmniej taką miała nadzieję.

Już się ściemniało, kiedy zaparkowała metza na podwórzu fabryki. Okna pięciopiętrowego, ciągnącego się sto jardów w każdą stronę budynku, były jasno oświetlone. Ze środka dobiegał głośny i monotony stukot krosen, przypominający dźwięk tysięcy ciężkich, uderzających o siebie kijów. Szyby w oknach robiły wrażenie zaparowanych. Octavia wiedziała, że to nie wilgoć, ale pokryta lanoliną wełna unosiła się w powietrzu i sprawiała, że było ciężkie od włókien.

Do biura kierownika Ferrowa wchodziło się po żelaznych schodach, które ciągnęły się zygzakiem po ścianie budynku i łączyły z podwórzem pomieszczenia biurowe na pierwszym piętrze. Na drugim biegu schodów Octavia zatrzymała się i zajrzała do głównego pomieszczenia tkalni. Jako dziecko robiła to setki razy, zwykle potulnie towarzysząc ojcu, który ciężko wspinał się do biura kierownika. Gdyby naprawdę teraz się wsłuchała, usłyszałaby jego dudniący głos i poczuła, jak ze strachu cierpnie jej skóra. Uśmiechnęła się do siebie lekko. Ojciec nie żył już od dawna. Jego majątek zainwestowano w Rutherford. Była tutaj całkiem sama.

Mniej więcej sto kobiet pochylało się nad szerokimi, mechanicznymi krosnami. Chodziły w tę i z powrotem, raz za razem sprawdzały nici, a ich palce poruszały się z niezbędną precyzją. Jedno omsknięcie i pracownica mogła stracić rękę albo gorzej. W dawnych czasach, kiedy przędzalnie należały do ojca Octavii, zaledwie dziewięcioletnia dziewczynka została wciągnięta w kręcące się krosno za wlokący się sznurek od fartuszka. Octavia wciąż pamiętała, jak jej ojciec gardłował i pomstował, że trzeba przerwać pracę na tyle godzin. Pewnego popołudnia przy podwórzowej bramie otoczyli ją mali chłopcy, którzy dla odmiany radośnie opowiedzieli

jej, jak wygląda czyszczenie maszynerii z części ciała dziecka i wycieranie krwi z podłogi. Miała wtedy dziewięć czy dziesięć lat. Stała przy bramie wjazdowej i płakała, aż z fabryki wyszedł kierowca jej ojca. Zauważył jej rozpacz, zapakował Octavię do samochodu i odwiózł do domu.

Zamknęła na chwilę oczy. Wszystkie te dźwięki, cały przemysł. Octavia była w pełni świadoma, że każdy dźwięk, każde stuknięcie i puknięcie, każde ogłuszające przesunięcie się krosien oznaczało płynące do Rutherford pieniądze. Wojna okazała się prawdziwym dobrodziejstwem dla kont bankowych Cavendishów. Właściwie William na początku wojny stwierdził całkiem nonszalancko, że wydanie albo zainwestowanie takich pieniędzy będzie wyzwaniem.

Od tamtej pory narastał między nimi subtelny, lecz nieustający konflikt.

Octavia zdołała wybudować kilka nowych domów dla pracowników. To było swego rodzaju zwycięstwo. William uważał, że rodziny pracowników nie odnajdą się w domach, które mają w środku zlewy, bojłery i toalety z bieżącą wodą. Ona przez zaciśnięte zęby przypominała mu, że w najstarszych budynkach deski podłogowe leżą bezpośrednio na gołej ziemi. Do diabła, doskonale o tym wiedziała. Jaki mieli pożytek z tanich kwater, skoro pracownicy każdej zimy narzekali na zdrowie? William marszczył brwi, bardziej z powodu jej przekleństwa niż problemu, który poruszyła.

Czas pokazał, że William nie miał racji. Dało jej to sporą satysfakcję. Pracownicy z nowych domów pracowali chętniej i bardziej efektywnie.

– Tak jakby można to było zmierzyć – skomentował, kiedy mu o tym opowiedziała.

Z zainteresowaniem patrzyła, jak pewnego chłodnego październikowego poranka rodziny wprowadzają się do nowych mieszkań. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety przekraczali progi z osłupieniem i radością. Wybudowano tylko dwadzieścia domów na szczycie wzgórza. Octavia chciała więcej, ale William absolutnie odmówił wydania na to zgody. Przestrzegł ją ponuro, że wywoła niezadowolenie wśród pozostałych pracowników, którzy zażądają poprawy warunków w starszych budynkach.

– Sami na siebie kręcimy bicz – ostrzegł ją. – Jak sądzisz, czym to się skończy? Remontem całego miasta, niezależnie od tego, do kogo należą budynki? Kiedy zerwiemy drogi i od nowa położymy chodniki?

– Powinniśmy przynajmniej wylać asfalt i wziąć się za bruk – zauważyła

Octavia. – Auta miałyby łatwiej.

– Od kiedy zaczęła się wojna, mamy mniej pojazdów – stwierdził William sarkastycznie. – Ciężarówki zarekwirowano i wątpię, żebyśmy je kiedyś jeszcze zobaczyli.

W takich chwilach Octavia miała ogromną ochotę wrzeszczeć. Chciała przewrócić stół, przy którym siedzieli, i tupać nogami. Ale nawet napady wściekłości na niewiele by się zdały. W głębi duszy William pozostał uparty, choć złagodniał pod wieloma innymi względami. Kiedy się na coś zdecydował, nic nie można było na to poradzić. Od najmłodszych lat tak go wychowywano. Gdyby mu się przeciwstawiła, nawet teraz, po prostu by się wycofał. Zapanowałaby cisza. Nic by się nie zmieniło. Nieważne, o co chodziło, temat pozostałby zamknięty.

Gdy ukończono budowę domów, przed wejściem do nowego budynku stała pewna rodzina. Dzieci gryzły knykcie z mieszaniną strachu i oszołomienia, a rodzice wyszli roześmiani z małego domku. Im wydawał się ogromny.

– No, teraz będziemy jak król i królowa, co nie? – Kobieta dygnęła przed Octavią.

Octavia poczuła zażenowanie. Tyle wdzięczności za coś tak niewymagającego trudu. I jeszcze dyg, jakby należała do rodziny królewskiej. Boże, niemal siłą podniosła tę biedną kobietę do pionu. William z sykiem wciągnął na ten widok powietrze. Ale Octavia zaczerwieniła się gwałtownie, gdy wyobraziła sobie, że ci sami ludzie patrzą na olbrzymią ilość pieniędzy znajdującą się na ich koncie w banku Brentford w Richmond. Żaden z pracowników nie uwierzyłby własnym oczom. Nawet dla Octavii były to niepojęte sumy.

A wszystko dzięki wojnie, zaspokojeniu zapotrzebowania na wełnę. Robiono z niej onuce i zimowe płaszcze mundurowe, koce i skarpety, derki dla koni i mundury oficerskie, bieliznę i szale. Rękawiczki. Torby. Pokrycia na siedzenia, derki pod siodło, parciane oporządzenie. Kilka włókien tu, kilka tam, pomnożone przez miliony. Ludzie wciąż się zabijali, krosna wciąż tkwały, pieniądze wciąż płynęły do banku.

Tam bogactwo zmieniało postać. Wędrowało do Rutherford, gdzie kupowano znakomite obrusy, kryształ, kwiaty, urządzenia ogrodowe i nowomodne piekarniki, miksery do kuchni, obrazy olejne i... popatrzyła na siebie. Kupowano za nie paryskie ubrania, piękne, skórzane buty

i jedwab.

Balansowała na linie. Wszyscy na niej balansowali. Ona i William. Rodziny podobne do nich. Oni i służba, oni i pracownicy. Pomiędzy źródłem a produktem istniało delikatne rozgraniczenie. Subtelna granica. Jednak ściana między nimi pękała i groziła zawaleniem.

– Masz zbyt wybujałą wyobraźnię – stwierdziłby William. – Skąd te negatywne wyobrażenia?

A ona nie potrafiłaby mu odpowiedzieć. Po prostu tak czuła. Miała wrażenie, że czerpią zyski z nieszczęścia, w wielu formach i kształtach. Czuła, że pewnego dnia wszystko powróci, by ich prześladować.

Myślała o Elizabeth i się modliła. Jeśli rzeczywiście czeka ich boska kara, niech przyjmie inną postać niż strata, jakiej doznała jej przyjaciółka.

*

Szybko weszła po schodach i otworzyła drzwi do biura kierownika. Ferrow siedział przy stole, oświetlony ostrym światłem elektrycznej żarówki. Octavia przez moment była świadkiem jego wyczerpania. Oparł głowę na rękach. Marynarka wisiała na oparciu krzesła. Spiętrzone papiery zawały biurko i spadały na podłogę.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, mężczyzna podskoczył.

– Och, lady Cavendish. Co za zaszczyt.

Nie umiała ocenić, czy żartował, czy mówił poważnie.

– Ależ skąd – powiedziała. – Czy mogę usiąść?

– Oczywiście – zebrał papiery. – Może herbaty? Albo kawy?

– Nie, dziękuję.

Mężczyzna usiadł naprzeciwko niej i przesunął ręką po włosach, żeby je przygładzić.

– Wygląda pan na bardzo zmęczonego, panie Ferrow.

– Cóż... Dzień się kończy. – Rzucił okiem na zegar. – A raczej skończy się za dwie albo trzy godziny.

– Chcę pomówić o pewnym projekcie – wyjaśniła Octavia. – Zaczęłam o nim myśleć po wypadku Netherfielda. A może już od jakiegoś czasu chodził mi po głowie. Odkąd wrócił Kessington.

– Kessington? – spytał Ferrow.

– Oczywiście, nie zna go pan. To jeden z naszych chłopców stajennych. Jest... cóż, podejrzewam, że w podobnym stanie jak Netherfield. Mieszka teraz w wiosce, nie w Rutherford. Wydaje się, że brak koni doskwiera mu bardziej niż cokolwiek innego, i... – zamilkła.

– Ma nerwicę frontową?

– Tak.

Ferrow sprawiał wrażenie, jakby ogromnym wysiłkiem starał się skoncentrować na jej słowach.

– I... i... myśli pani...

– Uważam, że należy się o nich zatroszczyć. Oraz o innych, którzy stali się niepełnosprawni.

– Ma pani na myśli coś tutaj?

– Tak. Przypomina pan sobie starą szopę gręplarską? Teraz stoi pusta. Przy drodze na wrzosowiska.

– Tak, pamiętam.

– Chcę urządzić warsztat. Moglibyśmy produkować tam obrębione wstążkami kocyki dziecięce albo rękawiczki. Coś w tym rodzaju. Mężczyźni nie pracowaliby przy krosnach, tylko przy wykończeniu. To byłaby cicha, pożyteczna praca. Luksusowe towary. Moja córka pracuje w St Dunstan's w Londynie i tam pacjenci wypłatają koszyki. Świetnie im idzie, mimo niepełnosprawności.

– I chciałyby pani, żebym to zorganizował?

Octavia przyjrzała mu się uważnie. Sądząc po zmieszaniu widocznym na twarzy kierownika, równie dobrze mogła mówić w obcym języku.

– Panie Ferrow – zaczęła – niech się pan nie martwi lordem Cavendishem. Zapłacę za to z własnych pieniędzy. To mój projekt.

Ale on tylko na nią patrzył. Wyglądał, jakby zupełnie stracił wątek. Octavia spojrzała na papiery na podłodze i ponownie na Ferrowa.

– Czy wszystko w porządku? – spytała. – U pana i żony?

– Tak, dziękuję.

– A u reszty rodziny?

Przez kilka chwil panowała cisza.

– Chodzi o syna siostry – powiedział w końcu. – Pani chyba nie poznała Winifredy i Edwarda. Ich syn Eric został zatrudniony w przedsiębiorstwie Holt.

Na widok jej zdziwienia dodał:

– Produkują gąsienice. Napęd gąsienicowy, tak to nazywają. Do nowych czołgów. Na wojnę.

– Naprawdę? Interesujące.

– Bardzo – zgodził się Ferrow. – To bardzo zdolny chłopak. Pojechał z pierwszym. Ten napęd jest opatentowany. I bardzo dobrze. Widzi pani, tracimy wiele koni. Potrzebne nam pojazdy zmechanizowane. Raczej traktory niż wozy. Lepiej radzą sobie w błocie... – zamilkł.

– Pojechał z czołgami? – podpowiedziała. – Do Francji?

– Tak – Ferrow rozejrzał się po stosie rozsypanych papierów, jakby czegoś szukał. – Napisał do mnie. Mam tu list. Może w szufladzie...

Gmerał przez chwilę kluczem w dziurce, wreszcie zajrzał do niej i wyjął kopertę.

– Jest – popatrzył na niego i się uśmiechnął. – Bardzo dobrze – mruknął, jakby do siebie. W końcu poniósł wzrok. – Pisze, że jeździ traktorem i wozi lufy. W Arras.

– To bardzo pożyteczne zajęcie – powiedziała Octavia czujnie obserwująca nieobecne spojrzenie swojego rozmówcy.

– Nie mogę pozbyć się myśli, że sam go do tego zachęcałem.

– Z pewnością to dobrze?

Spojrzał na nią.

– Naprawdę? Lufy, pani Cavendish. Nasza artyleria nie strzela nabojami ot, tak sobie, bez reakcji ze strony wroga. Śmiertelność w artylerii jest niemal tak samo wysoka jak w lotnictwie. – Nagle zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. – Och, okropnie mi przykro – zaczął jąkać się z przerażeniem. – Naprawdę ogromnie mi przykro, pani Cavendish.

– To nieważne.

– Ależ ważne – zaprotestował. – Proszę o tym nie myśleć. Nie mam prawa się wypowiadać. Nie znam faktów.

– Sądzę, że wszyscy znamy fakty, panie Ferrow – odparła cicho Octavia. Powoli wstała. – Muszę iść. Jest już późno. Poprosi pan kogoś, żeby przyjrzał się szopie gręplarskiej? Oceniał, czy się nada?

– Tak. Oczywiście.

– I proszę napisać o rezultatach do mnie, do Londynu. Poprzednio przesłałam panu mój adres.

– Tak zrobię.

Mężczyzna stanął blisko niej, wciąż okropnie zdenerwowany własnym

brakiem taktu. Octavia się uśmiechnęła.

– Uważam zachowanie optymizmu za obowiązek osób, które tu zostały – powiedziała. – Mimo wszystko. Trzeba myśleć pozytywnie.

Na jego twarzy rysowały się mieszane uczucia: niepokój, kąśliwość, nadzieja, zmieszanie.

Octavia zrobiła coś, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło. Wyciągnęła rękę i na moment położyła ją na ramieniu mężczyzny.

– Proszę przekazać najlepsze życzenia siostrze, jej mężowi i reszcie pańskiej rodziny – niemal wyszeptała. Poklepała go łagodnie, jakby był dzieckiem. – Proszę jej powiedzieć, że czuję to samo, co ona. Będę o niej myślała.

*

Kiedy Octavia parkowała metza przed stodołą w Rutherford, zapadła już całkowita ciemność. Wsiadła powoli z samochodziku, przytłoczona ciężarem wydarzeń dnia.

Wokół panował spokój i było idealnie cicho. Przez chwilę stała w ciemnościach. Rozejrzała się po opuszczonym podwórku i długiej stajni, w której teraz mieszkały jedynie dwa pozostałe konie gospodarskie i wierzchowiec Williama. Dalej, przy końcu budynku, znajdowała się brama, która prowadziła na łąki.

Octavia odwróciła się i spojrzała na wysoką, wspaniałą bryłę Rutherford. Czuła zapach trawy i słabą woń kwiatów w szklarniach tuż za murem ogrodu kuchennego. Zawahała się na moment i ze smutkiem zmarszczyła brwi, po czym odwróciła się plecami do budynku i szybko wyszła przez bramę na pole po drugiej stronie.

Na tej łące wypasali konie. Trawa rosła jak szalona i sięgała powyżej kostek. Octavia weszła w nią, świadoma, że wilgoć osiada na jej spódnicy. Zdjęła rękawiczki, po czym schyliła się, żeby dotknąć trawy. Nie było już stada gospodarskich kucyków, które by ją wyskubały. Nie było Wacława. Zastanawiała się, co się z nim teraz dzieje. Czy wciąż żyje? Wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej. Wciągnęła głęboko powietrze. Wątpiła w to. Konie padały ze strachu, z powodu odniesionych ran albo po prostu z wycieńczenia. Wiedziała o tym. Nie była idiotką. Po

wojnie będą musieli kupić zupełnie nowe zwierzęta, o ile będzie to możliwe. Zresztą może w przyszłości konie okażą się zbędne? Może będą mieli maszynę do cięcia trawy? Jak zawsze, kiedy była sama, Octavia zaczęła z niepokojem myśleć o Harrym. Ale dzisiaj pomyślała nie tylko o synu, lecz także o Caitlin. O niej i o Nashu, i o Harrisonie, który zginął w 1915 roku w Cinque Rue. Mój Boże, to wszystko było zbyt okropne. Zastanawiała się, gdzie jest Nash. Musi jutro zobaczyć się z Mary i się dowiedzieć. Gdzie los rzucił Caitlin, tę cichą i opanowaną dziewczynę, którą Harry tak uwielbiał? Nie dała znaku życia od czasu wesela. I gdzie jest Jack, skoro już o tym mowa? Jego rodzice na pewno się zamartwiają. A przede wszystkim, co się działo z Johnem? Wypłynął cztery dni temu i nie dostała od niego żadnego listu.

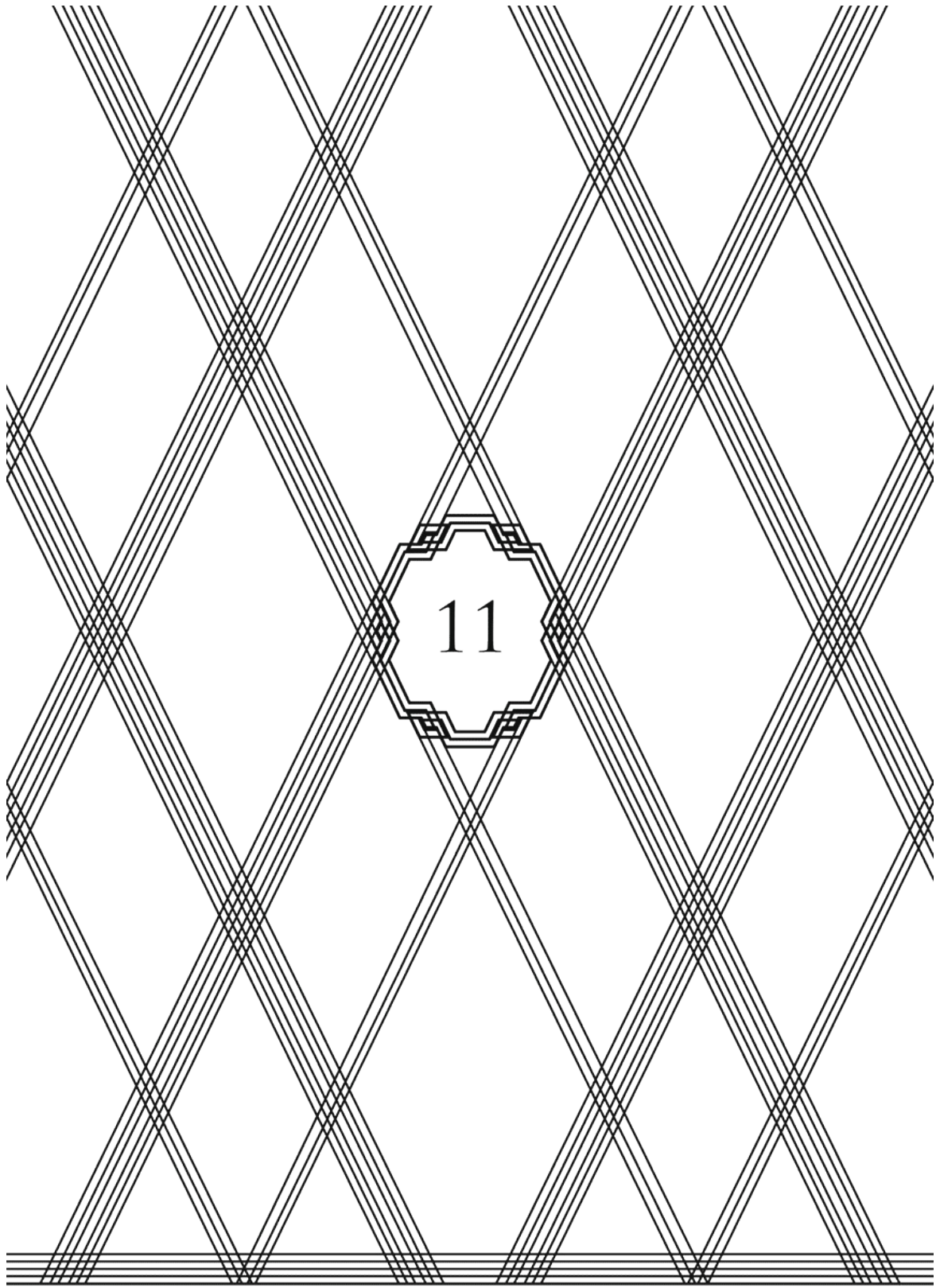
Zakryła twarz dłońmi, samotna tutaj, w ciemności. Rozpacz, strata i cierpienie otaczały ją ze wszystkich stron. Rutherford nie było już dawną przystanią, luksusowym rajem z ubiegłych lat. Posiadłość była wielka, ale jej też groziło niebezpieczeństwo. Co zrobią, jeśli Harry nie wróci? Charlotte na pewno tu nie przyjedzie. William był w nie najlepszej kondycji po zawale w zeszłym roku, a w tym skończy sześćdziesiąt cztery lata. W końcu Louisa zostanie sama w wielkim domu. Octavia wiedziała, że żaden męski spadkobierca w odległej części rodziny nie ma praw do Rutherford, więc w najgorszym razie przypadnie ono Louisie.

Ale samotność tutaj... Jak mogłaby znieść myśl o takim losie dla córki? Opuszczonej, w ogromnym, pustym domu? W pojedynkę opiekującej się Sessy. W takim wypadku, pomyślała natychmiast, Louisa i Sessy muszą jechać z nią i Johnem. Razem popłyną do Ameryki.

Wróciła do bramy, popatrzyła na ściany domu, który górował nad podwórzem stajni. Wyjadą z Rutherford.

– Zostawimy cię – mruknęła. – Wszyscy cię zostawimy.

W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jest to absolutnie niewykonalne.



Hotel L'Universe znajdował się zaledwie pół godziny drogi piechotą od linii frontu, w pobliżu stacji kolejowej w Arras.

Był początek czerwca. John Gould wyjechał z Londynu pięć tygodni wcześniej. Noc była gorąca, wiał silny, ciepły wiatr. W ciemnościach musiał sondować przed sobą drogę w uliczce za hotelem. Od czasu do czasu potykał się na nierównych kamieniach i wpadał do rynsztoka. Rękami przesuwiał po odrzwiach, które stały tu od wieków, po nagryzmołonych na ścianach napisach, po zniszczonych pociskami cegłach i cudem ocalałych szybach wystawowych kilku sklepików, przez które widział słabe promienie światła, rzucone przez świece i lampki oliwne.

Obok niego szedł nieustająco wesoły adiutant, zawodowy żołnierz Alan MacKay, który dostał rozkaz, by towarzyszyć Johnowi. Był to krępy, energiczny mężczyzna o silnym szkockim akcencie. Pochodził z wioski Wanlockhead w Borders.

– Górzyste miejsce – stwierdził krótko. – Zbyt piękne, żeby je opisać.

Prowadził przybysza pod ramię. Kiedy usłyszał, że Gould pochodzi z Nowego Jorku, nie wyraził zdumienia, ale John zdążył się do tego przyzwyczaić. Wydawało się, że nic już nikogo nie dziwi: historie, dramaty ani zbiegi okoliczności. Ludzie wydawali się pozbawieni emocji, które wygładzono i zmiażdżono, a wrażliwość usunięto. Zdaniem Johna niektórzy przypominali przez to automaty – ich spojrzenie było kompletnie puste. Jednak nie dotyczyło to MacKaya. Kroczył zamasyście obok Johna, mierzył okolicę spojrzeniem, któremu nic nie umykało, z jego twarzy nie znikał uśmiech, a on sam posługiwał się językiem, który w Chelsea uznano by za niedopuszczalny. Wszystko było pieprzone.

– Musisz uważać na tego pieprzonego majora – brzmiało jego pierwsze ostrzeżenie. – To pieprzony wariat.

Popatrzył na stojących za Johnem dowódców i wyróżnął go serdecznie

w plecy.

Gwizdał cichutko pod nosem, gdy szli teraz przed siebie. Kiedy minęli drugi niewielki sklepik, wyszeptał Johnowi polecenie prosto do ucha:

– Nie kładź łapy na następnych pieprzonych drzwiach.

W następnej chwili wykrzyknął:

– Halo! Przecież cię ostrzegałem! Przepraszamy, psze pani – powiedział do wypacykowanej kobiety, która szczyrzyła do nich zęby jak nierealistyczna kukła. Wychyliła się do przodu w słabym świetle i chuchnęła oparami brandy prosto w twarz Johna. – Och, ten nie jest dla ciebie – roześmiał się MacKay, odpychając kobietę łokciem. – Pewna dama daleko stąd go zaczarowała.

Zatrzymali się kilka kroków dalej.

– Nie miałem pojęcia, że tak wielu cywilów tu zostało – powiedział John.

– Rzeczywiście, wstrząsające – zgodził się MacKay. – Ale trzeba nakarmić i obsłużyć żołnierzy, a Arras od dłuższego czasu znajduje się za linią frontu. Uważają się za bezpiecznych, o ile ktokolwiek może być dziś bezpieczny.

– Ale tak blisko stąd do frontu.

– Nie da się ukryć.

John podróżował wzdłuż linii frontu przez ostatnie dwa tygodnie. Żołnierze ledwie go tolerowali, i to tylko dlatego, że niechętnie zgadzali się z potrzebą przekonania Amerykanów, że ich wsparcie jest naprawdę potrzebne.

Kiedy jechał przeładowanym pociągiem z Albert, mijał niemal widmowe pola porośnięte zbożem, ogrodzone prowizorycznymi płotami, składy amunicji i zbombardowane wioski. Krajobraz wokół niego uległ przemieszaniu, zmieniał się za każdym razem, gdy front niebezpiecznie się zbliżał.

Gdy wysiadał z pociągu, ściskając w ręku przepustki, z legitymacją prasową przyczepioną do poły płaszcza, pomyślał, że tereny wiejskie wibrują od niezwykłych drgań. Nie chodziło o wybuchy pocisków, chociaż było je dobrze słychać. To było coś innego, w powietrzu wisiało napięcie. Czuł, że rozciąga się ono we wszystkie strony. Francja nieustannie czekała na nowy koszmar.

Z drugiej strony kraj również go zaskoczył, a nawet zachwyił. Na dziedzińcu stacji kolejowej dzieci wyciągały do niego własnoręcznie

zrobione podarki, które wzruszyły go do głębi. „Pamiątki” – powiedziały, podbiegając bliżej. Trzymały w rączkach odłamki i fragmenty mundurów, wstążki, pociski, bukietki kwiatów, kartki z pozdrowieniami, a nawet stare pocztówki pokazujące Francję sprzed wojny. Patrzył w ich twarze zdumiony nieugiętym ludzkim duchem. Uśmiechały się, kiedy wręczył im amerykańskie cukierki, które jakimś sposobem zdołała mu przesłać matka. Pokonały blokadę łodzi podwodnych i teraz wylądowały w lepiącej się łapce małej dziewczynki, która wepchnęła mu do ręki mosiężny guzik z angielskiego munduru w charakterze zapłaty.

– Nie – poprosił łagodnie. – Zatrzymaj go, dobrze? – I mruknął pod nosem: – W ogóle nie próbuj tego sprzedawać.

„Daj nam prawdziwy świat” – pisał Bellstock w telegramie, który John otrzymał, zanim opuścił Londyn. Dwa lata wcześniej właśnie Bellstock podsunął Gouldowi myśl o tej pracy. Teraz redaktor domagał się najlepszych możliwych reportaży z pierwszej ręki. „Daj nam gnój i pociski. Pełen obraz”.

Poprzedniego dnia John napisał więc o handlujących odławkami dzieciach i o twarzy dziewczynki, siedmio- czy ośmioletniej i strasznie wychudzonej. Oczy powinna mieć błyszczące i żywe, ale tak nie było. Wyglądała na starą i zasuszoną. Ubrana była w niegdyś ładną sukienkę innego dziecka.

– Przybyli stamtąd. – MacKay wskazał głową linię frontu. – Ze dwa lata temu. Może wcześniej podróżowali po kraju, kto wie? W każdym razie wrócili do największego miasta w pobliżu swojego dawnego domu.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny John łaził wszędzie tam, gdzie go nie proszono, czasem w towarzystwie MacKaya, a czasem sam. Kiedy zaczynał pracę, myślał dość cynicznie, że historie o dzieciach wycisną łzy z oczu amerykańskich czytelników. Ale teraz sam miał łzy pod powiekami. Siadywał w którejś z wciąż działających małych kawiarenek i obserwował kucharzy, jak próbują upiec chleb ze zmielonej słomy i plew. Przyglądał się uchodźcom. Były to głównie kobiety, które ciągnęły za sobą milczące dzieci. Szli za wychudłymi mułami, zaprzężonymi do gospodarskich wozów, obok zazdrośnie strzeżonych stosów drewna. Jednak jeszcze częściej wygnańcy szli samotnie, ze spuszczonej głowami.

Dzień wcześniej znalazł się w pobliżu Monchy. Żołnierze przywieźli stos ciał i złożyli je w wykopanym wzdłuż drogi rowie. MacKay stał obok niego.

- To są szczęściarze – mruknął żołnierz.
- Szczęściarze? – zdziwił się John. – Dlaczego?
- Mają grób – oznajmił MacKay. – Z wypisanym na nim własnym nazwiskiem. Kiedy to się skończy, ktoś przyjedzie i będzie nad nimi stał. Mają szczęście, bo zjawią się krewni, uronią nad nimi łzę. W tym miejscu będą płakać mamusie. Ale są setki, tysiące takich, którzy zniknęli.
- Jak to?
- Utonęli albo rozszarpało ich na pieprzone kawałki, których nie sposób zidentyfikować. Nikt nie zbiera fragmentów ciał. Nie ma na to czasu. – Wzruszył ramionami.
- Czyli jeśli przyjedzie tu ktoś z rodziny, o ile w ogóle tak się stanie, będzie chodził w kółko, nie wiedząc, gdzie opłakiwać zmarłego?
- Otóż to, chłopcze.
- John popatrzył na ślad czołgu w błocie.
- Chyba znam kogoś, kto służy w pobliżu – mruknął.
- Ten pilot, z którym masz nadzieję dzisiaj się spotkać?
- Nie, ktoś inny z Yorkshire. Stajenny w... w posiadłości, którą odwiedzałem.
- Który pułk?
- Służby weterynaryjne. Nazywa się John Armitage. Nazywają go Jack. MacKay wzruszył ramionami.
- Och, oni są wszędzie. Dziś może być tutaj, a jutro gdzie indziej. Idą tam, gdzie są akurat potrzebni.
- A nie byli potrzebni tutaj? Czy nie było szarzy kawalerii? – John doskonale wiedział, że była.
- No dobrze. Pieprzone szaleństwo, widzisz? Popytamy o niego, sir. Mamy jego nazwisko.
- Ale popatrzył na Johna krzywo, ze złością. Pewnie o nic nie zapyta. John mu się nie dziwił. To byłoby jak szukanie igły w stogu siana.

*

Poprzedniego wieczoru John położył się na pryczy w kwaterze MacKaya i zaczął notować w dzienniku. Najpierw zapisał myśl, która męczyła go cały dzień.

„Gdzie należy czcić zmarłych?”

A potem:

Dokąd można pójść? Nie mogę sobie wyobrazić żony, która nie wie, gdzie oplakiwać męża, nie zna miejsca jego spoczynku. Może otrzymała list albo telegram. Dowiedziała się, że jej mąż zaginął albo umarł. „Zaginiony” jest przecież tylko kolejnym terminem oznaczającym „martwego”, słowem, które sonduje głębię okrucieństwa. Oddała wojnie swojego mężczyznę, a wojna wymazała go ze świata. Zgubiła go. Jak to możliwe? Jak człowiek może stać się po prostu „zagubiony” lub „zaginiony” w takiej lawinie biurokracji? Będzie się zastanawiała, jak mogli mu to zrobić. Wysłać go tam i odhaczyć jako „zaginionego”. Dokąd poszedł, co robił? Pytanie, na które nikt, nawet jego przełożony, nawet ludzie, którzy szli obok niego, nie potrafią znaleźć odpowiedzi.

Jak straszliwe to musi być uczucie. Nie będzie statku, który wróci do domu, niosąc jego zwłoki, bo nie ma zwłok. Został rozszarpany na kawałki, na strzępy albo jeszcze mniej. Żona przez większość życia będzie mijać cmentarze i nagrobki, a na nich napisy. Ale dla niej nie ma napisu. Nie może pójść do kamieniarza i poprosić, by imię jej męża wyryto na grobie ze słowami, które wybrała. Nie może poprosić o postawienie anioła, zwoju albo wieńca laurowego, którego pragnie rodzina. Nie ma miejsca, w które mogłaby zabrać dzieci, żeby pomyślały, posiedziały i popatrzyły. Nie ma grobu i nie ma kamienia.

Przerwał pisanie i popatrzył w ciemność. Czy we Francji odbędą się w końcu uroczystości żałobne? Czy powstaną porządne cmentarze? Czy ktoś będzie o nie dbał? Wrócił myślami do rowu na poboczu drogi, widoku ciał zrzucanych z ciężarówek albo pospiesznie przenoszonych przez wyczerpanych żołnierzy, którzy starali się nie patrzeć zmarłym w twarze. Czy ktoś po nich wróci? Zarejestruje miejsce ich pochówku? Na pewno ktoś ich znał, ale czy odnotował tę śmierć? Napisał do ministerstwa? Ale którego? Do jakiego bezpiecznego biura w Londynie trzeba było posłać wiadomość o śmierci tego czy tamtego, o przyczynach tej śmierci? W jakim czasie, w jakich okolicznościach... Nie sądził, by tak się działo. Biuro istniało i rejestry też, bez wątplenia. Ale setka nazwisk wypisana na kartce

papiereu nie miała nic wspólnego z okrutnym pochówkiem w rowie przy drodze i zapomnianym koszmarem tego dnia. Może było w tym błogosławieństwo, ale również upokorzenie.

Leżał i rozmyślał o zmarłych, którzy zmienili się w papier. Miał ogromną nadzieję, że jeśli w końcu odbędą się uroczystości pogrzebowe, między grobami nie będzie różnic. Żadnego „my” i „oni”, podziałów między religiami i narodowościami. W imieniu Brytyjczyków walczyło sporo sikhów, hindusów i żydów. Miał nadzieję, że nie zostaną pochowani osobno. Ani że oficerowie nie będą leżeć w ładniejszym miejscu niż szeregowi. Długo zastanawiał się nad tym, jak zmieni się świat, kiedy zakończy się ta rzeź. Gdyby tylko mogła nadejść równość, jak na pomnikach. Koniec z rangami i faworyzowaniem.

A potem pomyślał o Octavii. Czasami mówiła coś podobnego, jednocześnie zapominając, jak wielkie miała szczęście. Oboje byli uprzywilejowani. Poczuł, że na twarz wypływa mu rumieniec poczucia winy. Cholerni szczęściarze w świecie pełnym niesprawiedliwości. Wkrótce stąd wyjedzie i wróci do swojej ukochanej. Zostawi za sobą mężczyzn walczących w błocie, łkających i modlących się w szpitalach.

Co, do diabła, zrobiłaby Octavia, gdyby Harry zginął? Gdyby stał się jednym z tysięcy, milionów? John nie mógł znieść tej myśli. Wyobrażał ją sobie, jak chodzi w tę i z powrotem po domu. Chodziłaby tak w nieskończoność, bo nie można by jej było donikąd pokierować.

– Mój Boże – wyszeptał. – Co za gówno.

Westchnął ciężko i wreszcie wrócił myślami do wrażeń z ostatnich kilku dni. Zaczął bazgrać pospiesznie o sprawach, które najmocniej nim wstrząsnęły, mrużąc oczy w słabym świetle lampki.

Większość manewrów wojskowych wykonywanych jest nocą, kiedy wróg nie może cię zobaczyć. Wtedy tłumi się dźwięk końskich kopyt, żeby nie stukały na drogach. Wozy, które powinny jechać szybko, powoli mijają skrzyżowania dróg, ze strachu, by ich turkot nie dotarł do przeciwnika.

Te skrzyżowania mają nazwy, których miejscowi nigdy im nie nadali. Zostały na nowo ochrzczone, między innymi jako Róg Piekielnego Ognia czy Skrzyżowanie Clapham. To miana oddające chaos, którego były

świadkami, i spustoszenie, które ich nie ominęło. Okopy również dostają imiona. Huk i Kreta, ulica Gordona, Iberia, Słód, Koziorożec i Sopol. W pobliżu Ypres znajduje się linia umocowań zwana Kalibanem. Nigdy wcześniej nie nadano tak trafnie imienia potwora znanego ze sztuki Szekspira. Krajobraz zmienia się tutaj jak fale na morzu i Kaliban pasuje idealnie. Stworzenie wyrzucone na niewyobrażalny brzeg.

Wyrwy po pociskach też mają nazwy. Szkocki Batalion Królewski ruszył dziewiątego kwietnia na wroga z dwóch kraterów po minach na ziemi niczyjej. Jeden był większy niż drugi, więc nazwano je Claude i Clarence, jak bohaterowie komiksu. Ale w tym, co wydarzyło się później, nie było nic śmiesznego. Chyba że ma się poczucie humoru czarniejsze niż sam diabeł.

Często pytam o imiona. W ten sposób można wyróżnić ludzi w powodzi twarzy. Pytam Australijczyka, skąd pochodzi i jak się nazywa, a on odpowiada, że przyjechał z miejsca leżącego w rogu po prawej stronie Australii, gdzie ocean oddzielają od lądu lasy mangrowe, a jego ojca nigdy nie ma, bo pracuje w kopalni opalu w samym środku gorącego kontynentu. Jego rodzina przeprowadziła się do Australii z Bristolu w Anglii pięć lat wcześniej, w poszukiwaniu lepszego życia. A teraz on wrócił jako ochotnik. Potrząsam mocno jego ręką kilka razy, pełen podziwu.

– Lepiej tutaj niż w kopalni opalu? – pytam go.

– Jasne, stary – uśmiecha się do mnie szeroko.

Nikt tu nie mówi prawdy. Jeśli zetrzeć człowiekowi uśmiech z twarzy, wciąż będzie na ciebie patrzył. Nie powie, co widział. W tym milczeniu jest jakaś galanteria. Swojej ukochanej też o tym nie opowie. Ani matce. Oznajmi po prostu, że pojechał zobaczyć, co się porabia w okolicach Arras.

I będzie maszerować ze śpiewem na ustach. „Niech rządzi Brytania, marmoladą sram, wsadź petardę sobie w tyłek, bam, bam, bam”. Ile sił w płucach.

Zanim zasnął, tuż przed świtem, wyobraził sobie, jak milion martwych żołnierzy spaceruje po polach Francji. Duchy, które nie miały gdzie się podziać.

*

John i MacKay wyszli przez frontowe drzwi hotelu i natrafili na kuriozalny widok.

W ciągu dnia Arras było miastem wymarłym, wydawało się opuszczone, zbombardowane przez Niemców. Ale nocą, pod osłoną ciemności, która chroniła je przed ostrzałem samolotów wroga, budziło się do życia. Wojskowi wyłaniali się z piwnic pod miastem, katakumb i korytarzy wykopanych przez Rzymian dwa tysiące lat temu. MacKay powiedział, że znajdują się tam szpitale, ale John chciał odłożyć wycieczkę do nich na inny dzień. Nie był jeszcze gotowy.

Stali na zniszczonym rogu ulicy i obserwowali ludzi, którzy przemykali obok jak na migających klatkach celuloidowej taśmy, złapani na krótką chwilę w skąpych światłach płynących z brudnych okien sklepików i kawiarni. Przywodzili na myśl Charliego Chaplina, gdy tak szli nierównym krokiem. Ale nikt – ani mężczyźni, ani muły i samochody – nie starał się przypominać Chaplina. Wszyscy zmagali się z jakimiś ładunkami, a służbowe samochody, które od czasu do czasu ich mijały, nie próbowały być śmieszne, kiedy cicho manewrowały w tłumie mężczyzn lub z trudem przebijały się przez wyboje na drodze i trzęsły pasażerami. Było to coś w rodzaju cichej pantomimy przedstawiającej pośpiech, przerywanej tylko wtedy, gdy ktoś się zatoczył lub zawrócił. Szeregi biegnących zatrzymywały się i po chwili ruszały od nowa. Konie potrząsały głowami, żeby odgonić muchy, które latały nawet nocą, tak tłuste i spalone, że na polu walki mogłyby służyć jako całodzienne racje. A pod nogami ludzi, mułów i koni biegały szczury, nażarte tym samym pokarmem. Gdy ktoś miał czas, żeby je zauważyć, dostawały solidne kopniaki. Toczyły się dalej, zbierały i odbiegały z piskiem.

MacKay stał przy drzwiach hotelu L'Universe i jak zwykle się uśmiechał.

– Zabawne, stary świat wciąż się kręci – skomentował, jakby czytał Johnowi w myślach. – Ale nie ma nad czym dumać, panie Gould.

Otworzyli drzwi.

Hotel L'Universe również był osobliwym miejscem. Wyglądał jak restauracja i tak samo brzmiał. Stały w nim stoliki, kelnerzy roznosili jedzenie. Pokoje znajdowały się na górze. John powoli wszedł do środka.

Zauważył kilka kobiet, między innymi dużą, grubą Francuzkę, która traktowała wszystkich z góry i rządziła kasą, machała rękami i krzyczała, wskazując na bar. Ale klientami byli wyłącznie mężczyźni. W większości siedzieli w grupach, śpiewali, pokrzykiwali albo głośno gadali. Panowała tu koszmarna wrzawa, dźwięki niosły się z szaleńczą, maniacką częstotliwością. Przeszywały powietrze, czasami tylko przerywane dudnieniem pod stopami i odległym hukiem, który sprawiał, że drżały oprawione w ramki reprodukcje na ścianach. Ale nikt nie zwracał na to uwagi. „Uczta na brzegu Styksu” – pomyślał John.

Niemal natychmiast zauważyli Harry’ego Cavendisha.

Pozostawał nadzwyczaj spokojny w całym tym hałasie i poruszeniu. Siedział sam przy stole, w dłoniach trzymał szklanekę calvadosu. Najwyraźniej dostrzegł ich, zanim oni zauważyli jego. Przyglądał się spokojnie Johnowi. Podeszli, lawirując między stołami.

– Piekielnie dobrze cię widzieć, Harry – powiedział John.

Młody Cavendish się uśmiechnął.

– Siadajcie. – Wskazał ręką dwa wolne krzesła. – Wyobraźcie sobie, że musiałem walczyć na śmierć i życie, żeby mi ich nie zabrali. – Przysunął butelkę calvadosu i nalał sobie.

John przyglądał mu się bez słowa. Zniknął chłopak, którego pamiętał z fotografii w rodzinnym salonie. Przed nim siedział mężczyzna. Ile miał lat? Dwadzieścia dwa? Wyglądał na o wiele starszego. Był wysoki, ale również bardzo szczupły. Nie dało się tego ukryć pod mundurem. Nogę oparł na drugim krześle. Wskazał ją teraz.

– Znów daje mi popalić. Kompletnie się dupek zbuntował. Dostałem dziś zawiadomienie o urlopie. Mam wracać na łono ojczyzny, na kolejną operację. – Uderzył pięścią w nogę. – Wolałbym, żeby odcięli drania. Pieprzony kulas.

– Wracasz do Anglii? Kiedy?

– Kiedy tylko zdołam się stąd wydostać. Teraz. Wczoraj. Jutro. Kiedy chcę.

John posłał mu uśmiech.

– Harry, to wspaniałe wieści. Twoja matka będzie wniebowzięta.

Cavendish spojrział na niego dziwnie.

– Zapewne.

– Nie z powodu operacji. Z powodu powrotu.

– Zrozumiałem. Nie ma potrzeby się nad tym rozwodzić.

Harry opróżnił szklanekę, a John spojrział na MacKaya. Oficer siedział sztywno wyprostowany. Nawet nie tknął swojego drinka. Uniósł brew, ale nic nie powiedział.

– To jest kapitan MacKay, Harry.

Pilot pochylił się do przodu.

– Panie Gould, byłbym wdzięczny, gdyby zwracał się pan do mnie, używając mojego stopnia.

To było jak policzek. Mimo wszystko John skinął głową. W wyrazie twarzy Harry’ego była jakaś kruchość, zmęczenie, tak samo jak w tonie jego głosu.

– Przepraszam – odpowiedział John.

MacKay wstał.

– Panowie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, oddalę się.

– Nie mamy – zgodził się przeciągle Harry. – Pewnie w pułku ma pan dość roboty. Spuścić łomot wrogowi i tak dalej.

MacKay zmarszczył brwi. Skinął głową na pożegnanie i spojrział na Johna.

– Masz wszystko, czego trzeba?

– Znajdę cię.

– Dobrze. Powodzenia, jeśli mnie nie będzie.

John wstał i uścisnął mu dłoń.

– Tobie też.

Kiedy mężczyzna odszedł, Gould ponownie usiadł. Harry rysował na blacie stołu kółka z rozlanego płynu.

– Wybacz mi, proszę – mruknął. – Okropny dzień. Straciliśmy kolejnego chłopaka. – Podniósł wzrok. – Nowego. Osiemnastolatka. Prosto z Eton.

John otworzył usta, żeby wyrazić ubolewanie, ale Harry spiorunował go wzrokiem.

– Nie przepraszaj – powiedział cicho. – Słyszałeś, jak sprawy miały się tutaj wiosną? Jeśli nie, zapisz to sobie, dobrze? Strata jednego człowieka to nic. Napisz o tym do swoich amerykańskich przyjaciół. W kwietniu straciliśmy dwieście czterdzieści pięć samolotów. Ponad dwieście osób z załogi. Więcej niż setka trafiła do niewoli. I co zrobiliśmy w odwecie? Straciliśmy tylko sześćdziesiąt sześć maszyn. Sześćdziesiąt, kurwa, sześć.

Mówił odrobinę niewyraźnie.

– Dowódca lotnictwa. – John przysunął bliżej krzesło, żeby ich nie podsłuchano. – Mówili mi, że dziś w nocy będzie pokaz. Największy do tej pory.

– Wiesz o tym. – Harry przytknął palec do ust. – To ściśle tajne, stary.

– Rozumiem. Ale byłem tam. W tunelach pod Messines.

W spojrzeniu Harry'ego na moment pojawiło się coś na kształt zainteresowania. Błysnęła złośliwość, zmrużył sardonicznie oczy.

– Zabrali cię na dół, tak? – spytał. – Szczęściarz. Chętnie bym je zobaczył.

– Tak – potwierdził John. – Zabrali mnie na dół niedaleko stąd wczoraj wieczorem. Dziwnie tam jest. Pod ziemią glina jest biała. Tak biała, że dostaje się ślepoty śniegowej.

Harry na chwilę odwrócił wzrok. Bawił się szklanką, po czym nalał sobie kolejnego drinka.

– Chciałbym je zobaczyć – powtórzył cicho. – Przeprowadzaliśmy zwiad. Wiele razy. W Messines.

Za nimi ktoś zaczął ryczeć na melodię „Gdybyś była jedyną dziewczyną na świecie”. John przez chwilę słuchał, po czym odwrócił głowę. Zamiast zwykłych słów piosenki, śpiewali: „Gdybyś był jedynym szwabem w okopie, a ja miałbym jedyną bombę...”.

– Nic innego by się nie liczyło, dziś wysadziłbym cię w powietrze – wrzasnął Harry. Roześmiał się, a śpiewający na drugim końcu pomieszczenia mężczyźni unieśli szklanki.

John odwrócił się, żeby na niego popatrzeć. Harry stuknął szklanką w stół.

– Niedobrze, niedobrze – powiedział. – Powinienem być gdzie indziej. Pilnować.

– Pilnować? Masz na myśli trzymać straż?

– Tak – potwierdził Harry. – Tylko to robię. Nie wiesz? Jedyne, czym się zajmuję.

Gould zdał sobie sprawę, że Harry jest okropnie pijany. Ale nieźle siętrzymał. Siedział sztywno na krześle i uśmiechał się smutno.

– Zwolnili mnie – wyznał.

Po raz pierwszy wyglądał jak nastolatek na fotografii swojej matki, niewinny i zaskoczony, z szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę? – zapytał John.

– Drań. Lek... medyczny... zwolnił mnie. Drań. Jestem tu dwieście lat dłużej niż on. Przyjechał z Oksfordu na stypendium dla kadetów. Nadęty mały urzędas. Sfrustrowany weterynarz i tyle. Powinien operować szkapy. Szkapy i psy. Rozumiesz? Wszystko wie. Przynajmniej tak mu się wydaje. „Choroba płuc”, powiada. „Zaburzenie czynności serca”. O ile w ogóle istnieje takie słowo. Wymyślił je tylko po to, żeby mnie wkurzyć. Myślisz, że nie wiem? Zmyślona choroba, żeby mnie przegonić. Musieli dojść do wniosku, że im zawadzam. Nie mają ze mnie pożytku. Więc wymyślają coś... – Skrzywił się i poruszył nogą. – To był cholerny drań z długą gębą. Taką samą... – wybuchnął złośliwym rechotem – ...jak jego pacjenci. Miał gębę jak koń.

– To ci właśnie powiedział?

– Dokładnie tak. Jestem bezużyteczny. Zakażenie w nodze i... to. – Walnął się w klatkę piersiową. – Idioci. Idioci! Komisja medyczna. – Harry zwiesił głowę.

John poczuł, że ściska mu się żołądek, jakby ktoś złapał go lodowatą dłonią. Harry miał chore serce i infekcję. Powinien siedzieć tego wieczoru w pociągu, a nie upijać się w samotności. Poza tym syn Octavii wyraźnie usiłował zapisać coś gorszego niż utrata przydziału i wiadomość o chorobie. John zastanawiał się, co to mogło być.

– Powiem ci coś – pochylił się do przodu. – Wyjdźmy na zewnątrz. Tu jest strasznie głośno. Ledwo cię słyszę. Może się o mnie oprzesz? Pójdziemy zobaczyć, co się dzieje na świecie. Zaczerpnąć świeżego powietrza.

Harry uśmiechnął się krzywo.

– Świeżego powietrza? – powtórzył sarkastycznie. Potem najwyraźniej zmienił zdanie. Zsunął nogę z krzesła i niezgrabnie podniósł się do góry.

– Poczekaj. – John wyciągnął do niego rękę.

Cavendish zawahał się, po czym wziął mężczyznę pod ramię.

– W takim razie prowadź, skoro chcesz – powiedział.

Niepewnie przesuwali się między stołami w stronę drzwi. Harry mamrotał pod nosem:

– Od prawej kanonada, od lewej kanonada, z przeciwka kanonada, huk, że aż ziemia drży...

Gould popchnął drzwi ramieniem. Poczuli chłodniejsze powietrze nocy, ale Harry miał rację. Wcale nie było świeże. Wiatr zmienił kierunek. Nagle

zaczęło śmierdzieć rozkładem i kordytem.

– W dolinę Śmierci gnała – zgodził się John. – W jezdnych sześciuset[3].

*

Poszli drogą przed siebie i usiedli kawałek dalej, pod ścianą dużego domu, który wyglądałby względnie normalnie, gdyby nie brakowało mu pierwszego piętra. Tylko szczyty dachowe sterczały w nocnym powietrzu. Przez otwarte okna John dostrzegł w półmroku absurdalną scenę, jakby mieszkańcy wyszli na chwilę na zewnątrz albo do drugiego pokoju. Widać było dużą jadalnię i kominek z przygotowanym drewnem. Na przykrytym obrusem stole wciąż stały talerze. Jednak większość książek znajdowała się nie na dużym, mahoniowym regale, tylko leżała rozrzucona na podłodze. John spojrzał w górę i dostrzegł wiszący na ceglany murze fragment zasłony, jakby udrapowany w charakterze dekoracji. Powlekli się w miejsce, które niegdyś było ogrodem.

Tutaj nie panował już dziwaczny porządek. Ogród był płataniną cegieł i przewróconych drzew, potrzaskanych na wierzchołkach. Wyglądały, jakby pogryzło je ogromne zwierzę. John puścił Harry'ego i młody żołnierz osunął się na ziemię. Gould usiadł obok niego.

– Myślisz, że świat jest w środku pusty? – spytał Harry po kilku minutach pełnej napięcia ciszy.

Amerykanin spojrzał na niego ze zdumieniem.

– To dziwna myśl.

– Prawda? – zgodził się Harry. – Mam ostatnio wiele dziwnych pomysłów. Myślę... a więc wiercimy tunele. Wszystkie te tunele, w których zaskoczymy szwabów w ciągu następnym dwudziestu czterech godzin. Mówią, że pod wzgórzem Messines wykopano dwadzieścia dwa szyby i korytarze. Wszystkie są pełne cholernych materiałów wybuchowych. I wiesz, my kopaliśmy, oni kopali i czasami się spotykaliśmy.

– Tak – potwierdził John. – Niedawno wyciągnięto stamtąd jakiegoś żołnierza. Jego oddział wpadł w pułapkę, a wróg wysadził w dole ładunek wybuchowy. Było z nim jeszcze trzynastu mężczyzn. Zanim do nich dotarli, minęły cztery dni. Tylko on przeżył. – Zamilkł. – Cztery dni w ciemności.

– I tak chciałbym zobaczyć te szyby, zanim je wysadzą.

– To najbardziej morowa akcja w całym tym cyrku – zgodził się John. – Naprawdę niebezpieczna i wymagająca wyczucia. Dwadzieścia dwa korytarze, trzydzieści stóp pod ziemią, wypakowane po brzegi amonalem.

Harry pokiwał głową.

– I wiesz, co by z nami zrobili, gdyby wiedzieli, że o tym rozmawiamy?

– Zastrzeliliby nas.

– Właśnie. – Harry położył się na rumowisku, które niegdyś było trawnikiem, i popatrzył w niebo. – Gwiazdy i pusta w środku ziemia – powiedział cicho. – Widzisz, przebijemy się i znajdziemy inny świat. Jesteśmy teraz szczurami, biegamy w brudzie, kopiemy glinę i kredę. Ale kiedy już się przekopimy...

John zdał sobie sprawę, że to metafora nieba. Przejścia. A może nie nieba, po prostu śmierci.

Młody pilot roześmiał się i zakrył twarz łokciem.

– Nie przejmuj się mną. Czuję się diabło zgniły, jeśli musisz wiedzieć.

– Znajdę ci transport.

– Naprawdę? Zabierzesz mnie stąd i zawieziesz do domu. Do szpitala w Londynie. Na emeryturę w Yorkshire. Będę jak ojciec. Zapewne wiesz o ojcu.

– Harry...

– Jak pozbawione głosu zwierzę. Ale swego czasu był z niego rasowy egzemplarz, wiesz?

John się nie odezwał.

– Nie winię cię szczególnie – ciągnął Harry, z twarzą wciąż zasłoniętą ręką. – Ciężko się z nim dogadać. W dzieciństwie prawie się do mnie nie odzywał, chyba że chciał mnie skarcić. Jednak był niezłą sztuką, wiesz?

– Tak, wiem.

– Pewnie matka ci powiedziała. – W końcu chłopak opuścił ramię, podniósł się i oparł na łokciu. – Przeszyłeś staremu serce ostrzem na wylot, kiedy wróciłeś żywy po „Lusitanii”. Lepiej już byłoby zabić go na miejscu.

– Nic nie poradzę na to, że żyję.

– Mogłeś trzymać się od nas z daleka. To był cholerny szok. Nie tylko dla ojca. Louisa, ja ani Charlotte nie mieliśmy pojęcia, kim... kim byłeś dla matki.

– Przykro mi – cicho odezwał się John. – Ale nie mogłem trzymać się z daleka. To było niewykonalne.

Nagle zrozumiał, co tak naprawdę dręczy młodego mężczyznę. Chodziło o to samo, co zniszczyłoby jego samego, gdyby odkrył, że Octavia po katastrofie na niego nie czeka. Harry Cavendish był zakochany i tęsknił za swoją miłością.

– Twoja siostra szuka Caitlin – powiedział. – Jeśli ktokolwiek jest w stanie ją znaleźć, to Charlotte.

Cavendish przez moment mu się przyglądał. Potem uśmiechnął się z wielkim ociąganiem.

– To jedyna cholerna rzecz, która powstrzymuje mnie przed palnięciem sobie w łeb, panie Gould.

Zapadła długa cisza. John przyglądał mu się i próbował odkryć, czy chłopak mówi prawdę. Nie wiedział.

– Która godzina? – spytał Harry.

Amerykanin przekręcił zegarek w stronę bladego światła dochodzącego z drogi.

– Jedenasta.

– Jeszcze cztery godziny.

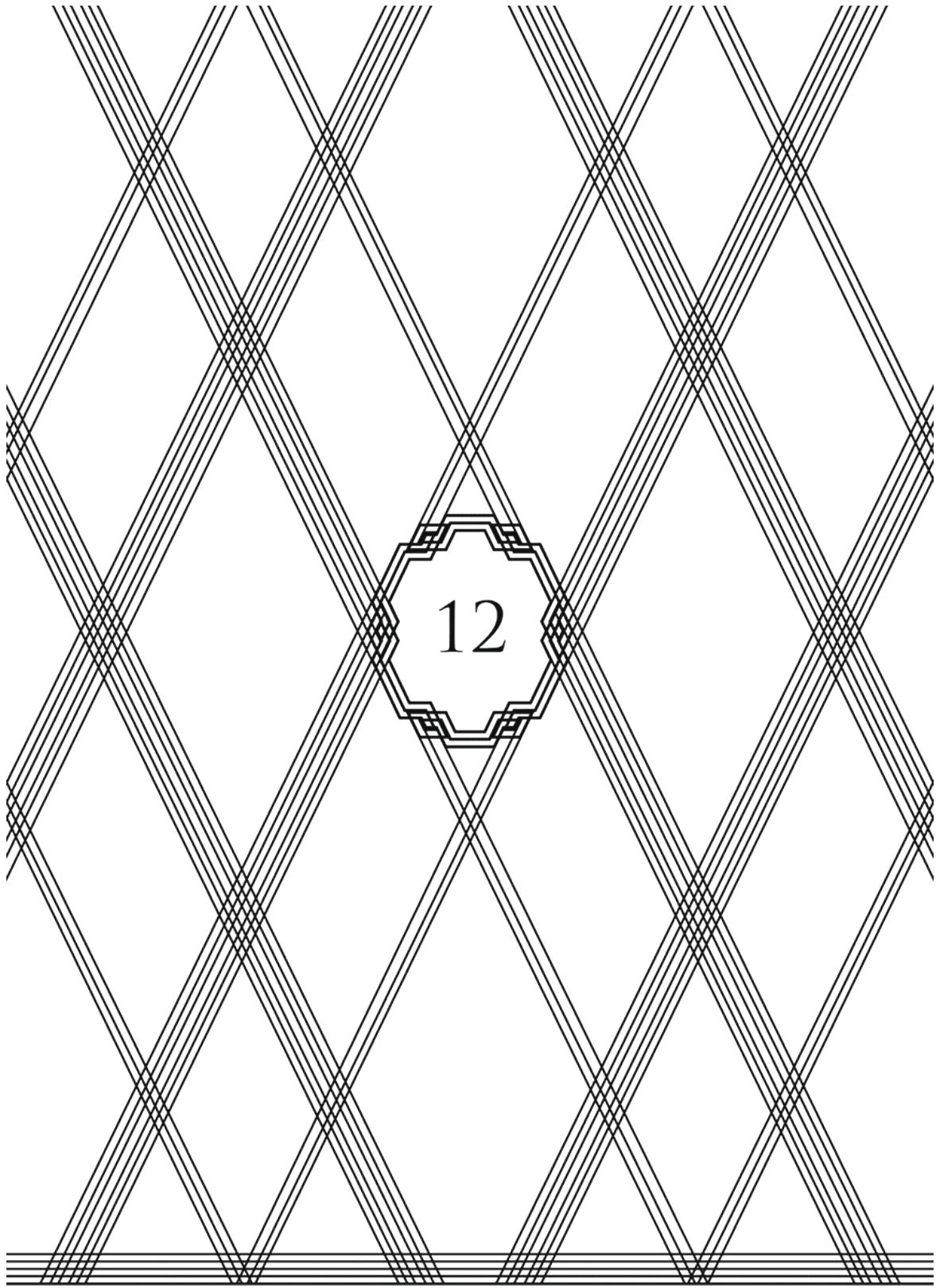
– Tak. Cztery godziny do chwili, kiedy zerwiemy wieko świata i sprawdzimy, co jest pod spodem. Zobaczymy, czy masz rację.

– Pusty – powiedział Harry. – Jak wydmuszka. Zapadnie się w głąb i nic z nas nie zostanie.

Gould zmarszczył brwi. Powoli wstał i wyciągnął rękę.

– Chodź. Nikt nie przeleci na drugą stronę świata. – Zamilkł na chwilę. – Przynajmniej nie po tej stronie płotu.

3 Fragment wiersza *Szarża Lekkiej Brygady* Alfreda Tennysona w przekładzie Anny Bańkowskiej.



Christine popchnęła drzwi prowadzące do St Dunstan's i stanęła na wąskiej werandzie wyłożonej zielonymi płytkami, przez którą wchodziło się na oddział rekonwalescentów. Padało cały dzień i dziewczyna miała przemoczone nogi. Próbowwała strząsnąć wilgoć z płaszcza i włosów.

– Kto by pomyślał, że mamy czerwiec – mruknęła.

Mimo wszystko nie mogła powstrzymać uśmiechu. Tego ranka otrzymała wspaniałe wieści i nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się nimi z Charlotte.

– Francja, Francja, Francja – szepnęła do siebie radośnie.

Oparła się o ścianę i próbowała przybrać spokojny wyraz twarzy. Nie ze względu na mężczyzn. Oni nie zwróciliby na nią uwagi, nawet gdyby ją zobaczyli. Chodziło o pielęgniarki. Mała która była jak Charlotte, radosna i serdeczna. Wolontariuszki były w porządku. Większość z nich pochodziła z wyższych klas i słynęła z lekkomyślności. Zostawiały chorych w łóżkach, żeby biec na kolację w klubie Dwadzieścia Jeden albo w rozdzielonych zasłonami salach w Ritzu. Ściągały mundury, ledwie żywe, ale uparcie promienne, wbijały stopy w satynowe buciki i błagały odźwiernych, żeby pobiegli do Regent's Park i złapali im taksówkę. Christine uwielbiała takie zachowanie. Jedną z dziewcząt, Amanda de Cholmondeley-Row, Rowbotham czy coś w tym rodzaju – zresztą córka przemysłowca z tytułem szlacheckim, który zasiadał w Izbie Gmin – cały dzień serwowała posiłki na oddziałach, ale w domu kolację podawał jej kamerdyner.

Nie wszyscy pracownicy byli arystokratami. Jedną z pielęgniarek, stara szkoła, pracowała w szpitalu na długo przed wojną i przerażała Christine do szpiku kości. Zawsze patrzyła na nią jak na robaka. Oczywiście potępiała jej fryzurę, krótko przystrzyżone włosy.

– Widzę płatki twoich uszu – zauważyła zimno tydzień wcześniej, jakby ich pokazywanie było szczytem zdemoralizowania.

– Ja widzę płatki uszu wszystkich pracujących tu pielęgniarek.

– To dlatego, że mają porządnie spięte włosy.

– Nie mogę spać włosów – zauważyła Christine.

Mimo woli drżała. Ta kobieta przypominała jej znenawidzoną guwernantkę, która zmuszała Christine do stania na krześle i recytowania tabliczki mnożenia. Chorowita, wiekowa Stevens, która śmierdziała kulkami na mole. Pielęgniarka wyglądała tak samo, wstrętna stara jędra.

– Przyszłam rysować pacjentów. Nie będę się do nich zbliżać.

– I bardzo dobrze – odparła pielęgniarka. – Jeszcze byś ich czymś zaraziła.

Christine złapała oddech i odepchnęła się od ściany. Zajrzała przez szybę do środka i upewniła się, że siostry nie ma na oddziale, po czym weszła.

Na terenie szpitala wybudowano tymczasowe schronienie dla ogromnej liczby rannych, których wciąż przybywało. Większość zostawała tu tylko przez krótki czas. Innych przenoszono do głównych budynków, gdzie wracali do zdrowia. Wiedziała, że niektórzy długo przyzwyczajali się do ślepoty. Inni, jak Michael Preston, wydawali się godzić z losem ze spokojem, a nawet rezygnacją.

– Cieszę się po prostu, że mam to już za sobą – powiedział pewien oficer, gdy rysowała jego poznaczoną bliznami twarz. – Ślepy czy nie. Powód jest nieistotny. Cieszę się, że dla mnie wojna się skończyła.

Christine odłożyła ołówek. Mężczyzna bardzo rzadko wspominał o tym, co mu się przytrafiło.

– Jak się pan czuł wcześniej? – zapytała.

Już dawno zapomniała jego imię, chociaż wciąż wyraźnie pamiętała tę rozmowę. To się działo poprzedniej zimy. Siedzieli w zasypanym śniegiem ogrodzie. Musieli oczyścić ławkę, ale mężczyzna powiedział, że lubi czyste powietrze mroźnych dni.

– Było strasznie? Bał się pan? – spytała.

Odezwał się, ale nie poruszył.

– Kiedy człowiek idzie na linię frontu, to się boi. Z daleka słyhać huk. Czuć trzęsącą się ziemię. Myśli się: „Może tam właśnie idziemy”. Co się wtedy stanie? Oczywiście nikt o tym nie mówi. Zamiast tego żołnierze gwizdzą. Dowcipkują. Dokuczają pozostałym, żartują z nich. Jest też oczywiście ekscytacja. Ale po jakimś czasie, kiedy mijają miesiące, uczucia po prostu znikają.

– Wszystkie? Strach też?

– Nie chodzi o odwagę, brak strachu. W tej sprawie i tak nie ma się wyjścia. Strach siedzi w człowieku. Jak światło dnia albo ciemność. Zawsze tam jest. Tak samo obrzydzenie i rozpacz. Są jak druga skóra, we wszystkim, czego się dotyka. W jedzeniu. W powietrzu i w wypijanej herbacie. – Uśmiechnął się. – O ile się jakąś dostanie.

– Ależ to musi być okropne.

– Nie myśli się o tym. Jest się już poza tym, w ogóle nie myśli się o tym okropieństwie. Ostrzał może trwać całymi dniami, tygodniami. Nie ma innego wyjścia, jeśli to się dzieje wciąż. Nie warto się temu opierać, bo można oszaleć. I tak się zdarza. – Odwrócił głowę w stronę, z której dochodził jej głos. – Był pewien oficer, nieustannie wystukiwał rytm na stopniu strzeleckim, na pasku albo na swojej drugiej dłoni. Jeśli ogień jest ostry, ma się może trzydzieści sekund przerwy między pociskami. Cisz zapada na chwilę, kiedy pocisk uderzy. Ale jedynie na moment. Potem słyszy się kolejny wystrzał i zaczynasz liczyć. Kiedy on liczył pod nosem, stukał we wszystko, co mu wpadło w ręce. – Mężczyzna się roześmiał. – Zabawne. To nie pociski sprawiły, że niemal oszalałem, tylko jego stukanie.

– Co się z nim stało?

Mężczyzna niemal niezauważalnie wzruszył ramionami.

– Ten sam pocisk, który załatwił mnie. Odłamek. Utknęliśmy w leju po pocisku. Nie mogliśmy iść do przodu ani wrócić. Trzydzieści sześć godzin. Zabawne, ale opowiadano mi, że kiedy pocisk spadł dwadzieścia jardów dalej, ten oficer po prostu się załamał. Był porządnym człowiekiem, proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale próbował się schować. – Westchnął. – Nie wolno tego robić, wie pani? To daje zły przykład. On padł na ziemię i trafił prosto w eksplozję. To była ostatnia rzecz, jaką widziałem. Sekunda. Tylko tyle było trzeba.

Christine siedziała bardzo blisko i patrzyła, jak wspomnienia wpływają na jego mimikę. Zastanawiała się, czy jest świadomy, jak bardzo drga i marszczy się jego twarz. Może nie. Nie mógł już zobaczyć się w lustrze, więc zapewne stracił poczucie tego, jak wygląda i jak reaguje. Uznała to za interesujące i przejmujące. Twarze zdradzały tak wiele, mówiły to, czego głos nie był zdolny przekazać.

– Czy mogę wciąż pana rysować? – spytała.

– Ano, dlaczego nie?

Uśmiechnęła się lekko, słysząc to „ano”. Powiedział jej, że pochodzi z Cumberland, i było to słychać w jego akcencie. Awans na oficera nie sprawił, że zniknął zaśpiew rodem z północy. Wkrótce mężczyzna miał wyjechać do Liverpoolu, a potem do domu.

– Gdzie pan mieszka? – spytała, ponownie biorąc do ręki ołówek.

– Ach, w Longsleddale. Wąska dolina. Piękne, wysokie góry.

– I co będzie pan tam robił?

– Mamy farmę. Ojciec i ja. Wrócę tam. – Pokiwał głową. – Mam młodszą siostrę. Będzie ze mną chodzić.

– Po ścieżkach w wiosce?

– Nie ma żadnej wioski. Mam na myśli góry. Ruszymy na wzgórze.

– Jak kiedyś?

– Właśnie tak.

*

Ludzie tacy jak on sprawiali, że wciąż wracała do St Dunstan's. Mężczyźni, którzy w jakiś sposób zdołali odłożyć przeszłość na bok. Nie zapomnieli o niej, ale nie pozwolili jej wchodzić sobie w drogę. Był to rodzaj łagodnej, cichej odwagi, obywającej się zupełnie bez słów. Pozwalała im odgonić demony, nie poświęcać im uwagi. Mówili, że walka wymaga odwagi, ale to było nic w porównaniu z bohaterstwem potrzebnym do powrotu.

Christine rozejrzała się szybko po sali. Przybyło wielu pacjentów. Pospieszyła między łózkami do małej oddziałowej kuchni. Pielęgniarka robiła tam herbatę.

– Czy Charlotte ma dziś dyżur? – spytała Christine. – Charlotte Cavendish? Och, przepraszam, Preston.

– Nie – odparła dziewczyna. – Nie widziałam jej od tygodnia.

– Jest na innym oddziale?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Sprawiała wrażenie bardzo znużonej, niemal posępnej. Rozlewała zawartość dużego, białego emaliowanego dzbanka na herbatę, który trzymała w obydwu rękach, do stojących w rzędzie kubków.

– Możliwe.

Christine uśmiechnęła się do niej ze współczuciem.

– Parszywy dzień?

– Okropnie parszywy – potwierdziła wolontariuszka, nie podnosząc wzroku. – Dwóch zmarło. Reszcie zmieniałam opatrunki. Ślepe oczy płaczą.

– Odstawiła dzbanek i spojrzała na Christine. Rękę oparła na biodrze. – Wiedziałaś o tym?

– To cud.

– Naprawdę? – Pielęgniarka wzruszyła ramionami. – Raczej powód do smutku.

– Ale cudowny – upierała się Christine, która już odwracała się do odejścia. – Pomyśl o tym.

– Nie potrzebuję, żebyś mnie pouczała, co mam myśleć. Kim jesteś? Rysowniczką. Też mi ekspertka.

– Głowa do góry. Może być tylko gorzej.

Wolontariuszka zmiękła, słysząc ten przejaw czarnego humoru, i uśmiechnęła się.

– Och, bądź tak dobra, dziecko, i łaskawie stąd zjeżdżaj.

Christine wykonała polecenie. Zamiast wracać przez oddział, wyszła tylnym wyjściem i przebiegła przez porośniętą trawą podwórze do głównego budynku. Weszła na drugie piętro i znalazła biuro Michaela Prestona. Drzwi były otwarte, a w środku dwie asystentki stukwały na maszynach. W rogu pomieszczenia Michael przysiadł na parapecie. Z ożywieniem opowiadał coś najbliższej siedzącej dziewczynie.

– Jest jeszcze jedno miejsce – mówił. – Na Farringdon Road. Produkują rowery. Powiedz im, że chciałbym ich odwiedzić. Potrzebujemy rowerów stacjonarnych, na rampie, do ćwiczeń. Oświadczyli już wprawdzie, że są zajęci, ale chcę rozmawiać z kataryniarzem, nie z małpą. Dowiedz się, kto tam jest szefem, dobrze? Zwróć się do niego. To samo, co zawsze, Maisie, jeśli możesz. „Będę wielce zobligowana” i tak dalej.

Christine zapukała krótko we framugę.

– Kapitanie Preston.

– Tak? Kto to?

Weszła do środka.

– Jestem Christine Nesbitt. Przyjaciółka Charlotte. Jak się pan ma?

– Dobrze. Od jakiegoś czasu nie mieliśmy przyjemności tu pani widywać, prawda?

– Nie – przyznała. – Trochę się włóczyłam. Na przykład po Garsington

Manor.

– Powinienem znać to miejsce?

– Nie. Lady Ottoline Morrell? Jest niezwykle miła. Przynajmniej dla artystów.

– Naprawdę? – spytał chłodno Michael. – Jak to miło z jej strony.

– Domyślam się, że nie spodobałaby się panu. Lubi gości. Ma basen. Ludzie tam malują. Ona ich karmi i pozwala im przenocować, a wieczorami wszyscy grają w szarady. Nie mogę się zdecydować, czy to groteskowe czy wspaniałe, ale zabawa jest przednia. Pojechałam tam z przyjacielem. On dostał zaproszenie, a ja dołączyłam.

Z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że strasznie trajkocze. Maszynistki przerwały pracę i patrzyły na nią. Odchrząknęła.

– Pracowałam – wymamrotała. – Przygotowywałam wystawę.

Wiedziała, jak nijako to zabrzmiało. Czuła się jak kompletna dziwaczka, która marnuje cudzy czas. Pospiesznie zmieniła temat.

– Zastanawiałam się, czy Charlotte jest dzisiaj na dyżurze, a jeśli tak, to na którym oddziale.

– Nie ma jej.

– Och? – Christine nie zdołała ukryć rozczarowania. – Mam dla niej świetną wiadomość.

Preston wstał i podszedł do niej.

– Wyjdziemy na korytarz? – spytał.

Ruszyli korytarzem o kremowych ścianach i jasnych, wysokich oknach. Michael zatrzymał się w pewnej odległości od biura.

– Charlotte jest w domu – poinformował. – Jaka to wiadomość? Mogę ją przekazać.

– To bardzo miło. Ale chciałam sama jej powiedzieć. Jadę do Francji.

Zmarszczył brwi.

– Do Francji? Dlaczego, na Boga, pani tam jedzie?

– Jako artystka wojenna. W dodatku kobieta. Czy to nie ekscytujące? Wszystko dzięki mojej wystawie na Strandzie. Nie przyszłście. Wysyłałam zaproszenie. W zeszłym tygodniu. Pokazywali mnie z Fryem i Gertlerem. Niech pan sobie wyobrazi!

– Obawiam się, że ich nie znam.

– Och... nie, oczywiście – zamilkła. – Zresztą to nieważne. Chciałam powiedzieć Charlotte, że niedługo wyjeżdżam. Może w przyszłym miesiącu.

Wolałabym skończyć jej portret przed wyjazdem. Mam na razie tylko wstępne szkice.

– Ona niezbyt dobrze się czuje – powiedział Preston. Nagle zaczął przestępować z nogi na nogę i poruszać głową w przód i w tył, jak ptak dziobiący powietrze. – Ma złamany nadgarstek.

Christine popatrzyła na niego. Twarz Michaela, w przeciwieństwie do twarzy innych znanych jej mężczyzn, nie zdradzała żadnych emocji. Ale to kiwanie, całkowicie mimowolne, zdradzało jego niepokój.

– Jak to się stało? – spytała.

– Podobno straciła równowagę, schodząc po schodach.

– Nie było pana przy tym?

– Było wcześniej. Miała poranną zmianę.

– Rozumiem – kiwnęła głową Christine. – To musi być okropnie irytujące. I bolesne. Nie może pracować, oczywiście.

– Tak. Chociaż trochę przychodziła. Wciąż może robić różne rzeczy, a że to Charlotte...

– Przychodzi, żeby je zrobić, tak.

Zapadła cisza. Michael odwrócił się w stronę biura.

– Pójdę ją odwiedzić – zdecydowała artystka.

– Może będzie dziś odpoczywać.

– A może nie. Może będzie się nudzić – odparła Christine. – Coś jej przyniosę. Jakiś przysmak? Znam włoską kawiarenkę na St Martin's Lane. Nie mam pojęcia, skąd biorą masło. Bądź co bądź, nie pyta się o takie rzeczy. Ale robią pyszne ciasto.

Michael wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu się uśmiechnął.

– Będzie zachwycona.

Wyciągnął uprzejmie rękę, a Christine nią potrząsnęła. Mimo wahania i tej nieustająco kiwającej się głowy Michael Preston wydawał się spokojny. Uchwyt miał pewny, a dłoń suchą.

– Jak miło, że chce ją pani odwiedzić. Co za odwaga, że wybiera się pani do Francji.

„Mój Boże – pomyślała – on jest absolutnie czarujący”.

– Dziękuję, kapitanie – powiedziała spokojnie. – I do widzenia.

*

Mimo deszczu w Londynie wciąż było duszno. Christine pojechała autobusem na Trafalgar Square i przemknęła przez ulicę. W rękę trzymała drogocenny ładunek w postaci ciasta. Przed wojną w kawiarni pakowano łąkocie we wspaniale szeleszczący, pasiasty papier, z szykowną czarno-białą wstążką zawiązaną elegancko na górze. Teraz papier był brązowy i brakowało materiałowej kokardy.

– Przepraszam – tłumaczył się Włoch. – To wojna.

– Wiem – odparła. – Nieważne. Ciasto smakuje tak samo.

Christine szła szybkim krokiem, ale i tak pół godziny zajęło jej dotarcie do domków. Mimo wszystko wołała to od kolejnej podróży autobusem wśród kapiących nieprzemakalnych płaszczy. Jeden z obrazów, które wykonała na wystawę, przedstawiał wnętrze omnibusu. Był to pastisz obrazu Alfreda Morgana *Podróż omnibusem do Piccadilly*, na którym widniał premier Gladstone podróżujący w 1885 roku ze zwykłymi ludźmi. Pasażerami uwiecznionymi na tamtym obrazie byli kupiec, młoda matka i starsza kobieta pilnująca dwójki dzieci, między innymi siedzącego tyłem do widza chłopca ubranego w marynarski mundurek, z zabawkową łódką na kolanach. Christine namalowała podobnie wyglądający autobus, ale pasażerkami były teraz młode kobiety w uniformach noszonych przez pracownice fabryki amunicji. Małego chłopca zastąpił prawdziwy marynarz, śpiący i bezwładnie oparty o swój worek. Zamiast Gladstone'a wprost na widza patrzył teraz Lloyd George, a jego twarz w połowie została zastąpiona twarzą cesarza. Złożone na kolanach ręce miał czerwone od krwi.

Płótno wywołało sensację, niemal zamieszki. Mark Gertler, którego obraz przedstawiający karuzelę i mechanicznie uśmiechających się pasażerów tak podobał się Christine, ostrzegł ją, że publiczność może spróbować ją zlinczować. Uśmiechnęła się do niego. Był przystojny.

– Artysta zawsze powinien pokazywać prawdę – zauważyła.

– Ach, chcesz prawdy? – odpowiedział uśmiechem. – Powodzenia.

Do domu Charlotte i Michaela dotarła w południe. Zadzwoiła dzwonkiem i czekała, aż w holu rozlegną się kroki gospodyni. Drzwi otworzyły się i kobieta wyjrzała na zewnątrz. Charlotte wspominała, że gospodynię wybrała im matka Michaela. „Rany, nie chciałabym codziennie

patrzeć na tę ponurą twarz” – natychmiast pomyślała Christine. Ponownie przywołała uśmiech.

– Czy pani Preston jest w domu? – spytała.

– Obawiam się, że nie. – Kobieta popatrzyła na paczuszkę, owiniętą rozmiękłym teraz brązowym papierem.

– Wie pani, dokąd mogła pójść?

– Nie.

– Ani kiedy wróci?

– Nie, nie wiem.

Christine zebrała się w sobie. Ludzie często reagowali na nią w ten sposób. Widzieli, że nie jest robotnicą, ale nie ubierała się też jak dama. Nie nosiła kapelusza ani rękawiczek. Tego dnia miała na sobie robotniczy płaszcz, ale założyła go na jasnozieloną sukienkę, którą przerobiła ze znacznie starszego stroju. Szyła niewprawnie, ale częściowo ukryła brzydkie szwy pod złotym szalem. Dla większości ludzi przedstawiała okropny widok, choć sama uważała swój wygląd za pean na cześć ekscentryczności. Nie nosiła też gorsetu ani pończoch. Była zachwycona, ale gospodyni bardzo się to nie spodobało. Zatarasowała drzwi i wyraźnie nie zamierzała wpuścić gościa.

Christine wyciągnęła paczuszkę.

– Czy byłaby pani tak miła i przekazała to pani Preston, kiedy wróci? – spytała. – To mały smakołyk dla niej. Musi się okropnie czuć.

Gospodyni wzięła pakunek, ale trzymała go z dala od siebie, jakby mógł wybuchnąć.

– Czy ma pani kawałek papieru? – spytała artystka. – Mogę zostawić wiadomość?

Papier się znalazł i panna Nesbitt zostawiła liścik. Nie miała teraz wyjścia, musiała podać nazwisko, odwrócić się i odejść. Gospodyni je powtórzyła.

– Większość odwiedzających zostawia wizytówkę – dodała.

– Nie mam wizytówki. Okropnie mi przykro.

Kiedy drzwi się zamknęły, ruszyła wąską, brukowaną uliczką. Skłęła się w głębi duszy. Kiedy minie jej ten okropny, mieszczański zwyczaj przeproszenia? Kopnęła leżące pod stopami kamienie.

– Przepraszam, przepraszam... Do diabła!

Tak naprawdę wcale nie było jej przykro z powodu braku wizytówki.

Czuła się natomiast paskudnie, ponieważ nie spotkała Charlotte. Pewnie było to z jej strony okropnie samolubne, że wałęsała się po kraju i tylko od czasu do czasu pisywała do przyjaciółki. Powinna bardziej się postarać ją odwiedzić. Ale z drugiej strony, pomyślała, kiedy dotarła do Oxford Street, Charlotte też się do niej nie odezwała. Dlaczego?

Stała na chodniku i popatrzyła na długą ulicę. W jej głębi stał krzykliwy Oxford Theatre, w którym grano popularne kabarety i rewie. Ojciec miał słabość do wodewili. Matka zmarła, kiedy Christine była jeszcze nastolatką. Po śmierci żony tatko ciągle chodził do klubów i teatrów.

– Och, to tylko zabawa – mawiał. – Na świecie jest tak mało radości.

Jak na szacownego dżentelmena, potrafił być lubieżnym, starym capem. Po jego śmierci Christine przeżyła wstrząs, kiedy odkryła, że wszystkie pieniądze najwyraźniej wydał na wypacykowane statystki z Shaftesbury Avenue. Na szczęście z odsieczą przybyła dziewczynie ciotka, która obdarowała ją konieczną, choć zniechęconą rentą. Dlatego Christine musiała regularnie odwiedzać siostrę ojca.

– Gdzie się, do diabła, podziewasz, Charlotte? – wymamrotała teraz, nie przejmując się mijającymi ją ludźmi.

Chciała zabrać gdzieś przyjaciółkę, rozerwać ją. Ojciec przynajmniej pod jednym względem miał rację – zabawa była potrzebna. Teatry w Londynie co wieczór pękały w szwach. Mogłaby wziąć Charlotte na przedstawienie z udziałem Bessie Bellwood albo Vesty Tilley, do jasnego i głośnego świata tancerek, jazzu, dziwacznych kostiumów i oślepiających świateł. Christine sądziła, że jej przyjaciółkę stanowczo należałoby rozweselić.

Ale było coś jeszcze. Malarka rozejrzała się po tłumie przechodniów, patrzyła na mijające ją po drodze konie, autobusy i ciężarówki oraz od czasu do czasu powóz, sprawiający w tym potoku pojazdów niedorzeczne wrażenie, ale nic z tego nie widziała. Przed oczami miała jedynie twarz Charlotte.

– O Jezusie – szepnęła. – Jadę do Francji.

Raptem uderzyło ją, że to wcale nie będzie przygoda. Bo jeśli pojedzie do Francji, nie zobaczy się z Charlotte. Michael Preston zatrzyma żonę przy sobie. Wciąż widziała jego kiwającą się, dziobiącą powietrze głowę, tę sztywność postawy i niezmienny wyraz twarzy. Christine wyjedzie i okazja, by namalować portret Charlotte, przypadnie. A nagle wydało jej się to

bardzo ważne.

Deszcz padał coraz mocniej i Christine, która wreszcie to zauważyła, zaczęła biec.

*

Wróciła do domu i ruszyła powoli w górę po schodach. Zdjęła płaszcz i ciągnęła go za sobą. Była kompletnie przemoczona.

– Co za nieudany dzień – burknęła, szukając klucza w kieszeni sukienki.
– Cholerny deszcz. Cholerne wszystko.

Dotarła już niemal na podest najwyższego piętra. Znalazła klucz i podniosła głowę.

– Cholerne wszystko – zgodziła się Charlotte.

Christine krzyknęła triumfalnie. Przebiegła kilka ostatnich stopni, po czym się zatrzymała. Charlotte siedziała na podłodze pod oknem dachowym. Była ubrana w bardzo obszerny, płócienny płaszcz w kolorze terakoty. Marszczył się wokół niej jak złotobrazowa fala. Włosy miała mocno zaczesane do tyłu. Jednak Christine uderzył nie wygląd, ale wyraz twarzy przyjaciółki.

Był jednocześnie trudny do odczytania i wyjątkowy. A może wyjątkowy, ponieważ tak trudny do odczytania. Charlotte wyglądała dużo starzej, chociaż jej twarz nie była porwana zmarszczkami, ale gładka jak u dziecka. Chodziło o jej spojrzenie, dziwnie pełne ironii i smutnego humoru. Była niesamowicie blada.

– Coś się stało – wymamrotała Christine. – Proszę, nie mów, że to Harry.

– Nie, to nie Harry.

– Caitlin? Louisa? Wszystko w porządku z twoim ojcem?

Charlotte się uśmiechnęła.

– Nic im nie jest. Wszyscy mają się dobrze.

Christine zrobiła kolejnych kilka kroków, po czym usiadła na najwyższym schodku i znalazła się twarzą w twarz z Charlotte.

– W takim razie chodzi o ciebie.

Charlotte wyciągnęła zranioną dłoń. Przez chwilę patrzyła na nią obojętnie.

– Byłam w szpitalu – powiedziała Christine. – Rozmawiałam

z Michaelem.

– Nie poszłam w tym tygodniu do pracy. Dopóki to się nie zrośnie, jestem do niczego.

– Jak długo to potrwa?

– Cztery tygodnie? Pięć? – Charlotte opuściła rękę. – Po co poszłaś do szpitala?

– A jak myślisz? Szukałam cię.

Zapadła cisza.

– Czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli wejdę na chwilę? – spytała Charlotte.

– Niemal wolałabym, żebyś została tutaj. Z przyjemnością namalowałabym cię teraz, w tym popołudniowym świetle.

– Nie chciałabym przeszkadzać, jeśli ma przyjść Alexis Barrington.

Christine skoczyła na równe nogi i wyciągnęła przed siebie rękę.

– Nie ma go tu i raczej już nie przyjdzie. Dwa tygodnie temu byliśmy w Garsington. Wyjechał stamtąd z uroczą dziewczyną z Hampshire, która zna jego matkę. Sprawa jest więc chyba zamknięta. – Zrobiła taką minę, że kącik ust Charlotte drgnął w uśmiechu. – Zaczynał mi już zresztą działać na nerwy. Jego praca była znacznie ważniejsza niż moja. Powiedział, że jeśli mamy razem zamieszkać, powinnam przestać malować.

– Co takiego?!

– Najwyraźniej jest zdania, że talent to u kobiety rzecz przejściowa.

– Jest o ciebie zazdrosny – stwierdziła Charlotte.

– Też tak pomyślałam.

Stały naprzeciwko siebie. Christine rzuciła mokry płaszcz na krzesło.

– Jesteś głodna? Tak przy okazji, właśnie zaniiosłam ci do domu przepyszne ciasto.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo ktoś powinien się tobą opiekować. Co to za pytanie?

Charlotte zamarła. Potem opuściła głowę i zaczęła płakać.

– Och, kochanie, znowu?! – wykrzyknęła Christine. Podeszła do przyjaciółki i położyła jej rękę na ramieniu. – O co chodzi?

Charlotte nie odpowiedziała. Zaszlochała gwałtownie, zakryła twarz ręką i odwróciła się.

– Nie patrz na mnie.

– Mam na ciebie nie patrzeć? Co ty, na Boga, wygadujesz? Nade

wszystko lubię na ciebie patrzeć. – Objęła Charlotte. Pod ramionami wyczuła jej szczupłą sylwetkę, skrępowanie, przyjaciółka się skuliła. – Musisz mi powiedzieć – poprosiła. Pogłaskała dziewczynę po włosach. – Powiedz mi.

Ale Charlotte tylko płakała. Po kilku kolejnych chwilach Christine poprowadziła ją w stronę prowizorycznego łóżka i posadziła.

– Przypuszczam, że musisz jej nie znosić, skoro wydajesz ją połowie armii Kitchenera, ale może miałabyś ochotę na odrobinę mojej herbaty bez mleka?

Charlotte wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Nie. Dziękuję.

– Jesteś ostatnio okropnie uprzejma – zauważyła cicho artystka. – Gdzie się podziały twoje krzyki i kopniaki?

– Nigdy nie krzyczałam ani nie kopałam.

– W przenośni.

– Och... cóż.

Christine uderzyła ją w kolano otwartą dłonią.

– Właśnie o tym mówię. „Och, cóż”. Stałaś się małą, głupawą kobietką.

– Nie rozumiesz.

– Otóż to. Nie rozumiem. Może mi wytłumaczysz.

Nastała długa cisza. Christine westchnęła.

– Posłuchaj, przyszłam do szpitala, żeby przekazać ci pewną wiadomość. Nie miałam pojęcia o twoim urazie. Sądziłam, że będziesz w pracy. Michael powiedział mi, co się stało, więc poszłam do ciebie do domu i poznałam panią Krowią Twarz. Potem wróciłam tutaj. A wszystko dlatego, że chcę cię namalować, zanim wyjadę do Francji.

Charlotte gwałtownie podniosła głowę.

– Co?

– Jadę do Francji jako artystka wojenna. Niedługo wyjeżdżam i chcę cię przedtem namalować. Myślałam o tym. Mam kilka pomysłów. Chcę zrobić twój portret, duży, przy tych oknach. Marzę o tym, żeby był pełen światła, bo taką cię widziałam. Świetlistą. Ale teraz patrzę na ciebie i widzę, że twój blask zniknął. Nie chcę „och, cóż” ani „dziękuję”. Nie interesuje mnie ta osoba. Chcę ciebie.

Ujęła Charlotte za podbródek i odwróciła jej twarz w swoją stronę. Przyjrzała się jej uważnie.

– Wyglądasz tak cudownie. Myślę, że coś się nasiliło, zmieniło. W jakiś sposób cię udoskonalilo.

– Och. – Oczy Charlotte ponownie napełniły się łzami. – Czyli coś mi wyszło na dobre.

– A co ci wyszło na złe?

Charlotte odwróciła głowę i się odsunęła. Ręka Christine opadła. Młoda pani Preston wstała i podeszła powoli do wielkiego dachowego okna.

– Widać stąd tak dużą część Londynu – szepnęła. – Tyle przestrzeni.

Christine ją obserwowała.

– Kiedy pójdziesz do domu?

– Mniej więcej za godzinę.

– Czy mogę zacząć cię malować?

– Jeśli chcesz.

Christine skoczyła na równe nogi. Niemal podbiegła do Charlotte i złapała ją za ramię.

– Nie! – wykrzyknęła. – Nie „jeśli chcesz”! Tylko nie to! Mój Boże. Znów to samo. Co ci się stało? Obudź się. Popatrz na mnie. Wszystko, tylko nie „jeśli chcesz”. Ty musisz tego chcieć. Marzyć o tym bardziej niż o czymkolwiek innym. Pragnąć, żebym to ja cię namalowała. Bo życzysz sobie mieć świadectwo tego, co w tobie widzę. Rozumiesz?

Charlotte patrzyła na nią.

– Posłuchaj... – Christine odwróciła się na pięcie i rozejrzała po pokoju, jakby szukała natchnienia. Przyłożyła pięści do skroni i zaczęła się śmiać. – Naprawdę wpadam przez ciebie w rozpacz.

Zmierzyła groźnym spojrzeniem długi stół z farbami. Szybkim krokiem obeszła Charlotte i znalazła się koło okna. Przez krótką chwilę przyglądała się fioletowym zasłonom i ich krzykliwie zielonej podszewce, po czym złapała najbliższą z nich, zacisnęła na niej dłonie i pociągnęła.

– Och! – krzyknęła w zdumieniu Charlotte. – Co ty robisz?

Christine szarpała, aż zsunął się chwiejnie ułożony drąg, na którym wisiała tkanina.

– Szukam dla ciebie olśniewających kolorów.

Drąg z brzdękiem spadł na podłogę. Na przeciwległym końcu druga zasłona również zsunęła się na ziemię. Christine zebrała leżący bliżej materiał i pociągnęła go w stronę przyjaciółki. Złapała za róg i przyłożyła zasłonę do jej twarzy.

– Owinę to wokół ciebie. Materiał będzie zajmował dolną część obrazu. Jakbyś z niego powstała. Chcę, żebyś usiadła w świetle, o tam. Na końcu stołu. I wyglądała przez okno.

– Ale...

Malarka machnęła ręką.

– Proszę, nie protestuj. Chcę widzieć twoją szyję i ramiona. Ja ułożę materiał. Nie patrz na mnie, ustaw się półprofilem. Jedną ręką będziesz trzymała materiał, a drugą położysz na kolanach. Nie martw się o bandaż. Nie namaluję go. – Stała przed Charlotte. Trzymała zasłonę w rękach i się uśmiechała. – Będzie wspaniale, obiecuję.

Charlotte powoli wstała.

– Dobrze. – Ruszyła w stronę stołu.

– Chwileczkę. – Christine położyła jej rękę na ramieniu. – Musisz się rozebrać.

– Co? Ależ nie mogę tego zrobić.

– Tylko ramiona i szyja.

– Nie, Christine. Michaelowi by się to nie spodobało.

Artystka zmarszczyła brwi.

– Nie musisz rozbierać się do naga – powiedziała. – Ściągnij ramiączka bielizny, jeśli musisz. I przepraszam, ale przeklęty Michael! Co to ma z nim wspólnego?

– Ale... na obrazie... będę wyglądała, jakbym była naga. Okryta tylko materiałem.

– Tak, kochanie.

Charlotte zwiesiła głowę.

– To niemożliwe. Przykro mi.

Zrobiła kilka kroków z powrotem w stronę drzwi.

– Obiecuję ci...

– Nie – powtórzyła Charlotte. – Nie możesz mi nic obiecać. Po prostu nie mogę ci pozować.

– Ależ oczywiście, że możesz. – Christine sapnęła ze złością. – Chcę namalować ten obraz. Muszę.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz ani co musisz – powiedziała Charlotte.

Ku przerażeniu Christine przyjaciółka podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce. Malarka puściła zasłonę i ruszyła pędem. W ostatniej chwili

powstrzymała Charlotte przed ich otwarciem. Stały twarzą w twarz w odległości kilkunastu centymetrów od siebie. Christine miała wrażenie, że czas okropnie zwolnił, rozciągnął się. Stały się tylko odbiciami na jego powierzchni, przypominającymi refleksy na tafli płynącej wody. Niemal widziała je z innej perspektywy, jak gdyby stały się dwoma narysowanymi przez nią oddzielnymi bytami, zwiewnymi stworzeniami, zaledwie szeptami. Było to prawie nierealistyczne odczucie. Przypomniało jej się powiedzenie o aniołach tańczących na główce od szpilki, ale one nie były aniołami, tylko szkicami dawnych siebie. Dwa podrzutki, dwa duchy.

– Proszę – szepnęła Charlotte. Oparła dłonie o drzwi. Ale się nie poruszyła.

– O nic mnie nie proś. Powiedz, co się dzieje. Możesz mi zaufać. Dlaczego płakałaś w dniu swojego ślubu?

Charlotte powoli pokręciła głową.

– Z innego powodu niż teraz. Bałam się, że wpadnę w pułapkę.

– I wpadłaś w nią?

– Och, tak – odparła i uśmiechnęła się, jakby to było zabawne, a przynajmniej ironiczne. – Ale w inną, niż się spodziewałam.

– W takim razie w jaką?

Dziewczyna na chwilę zamknęła oczy.

– Nie pamiętam dokładnie, czego się bałam – powiedziała. – Michael był dobrym człowiekiem. Dalej nim jest. Uroczym i atrakcyjnym. Inteligentnym. Wydawał się wyrozumiały w stosunku do wszystkich. Wciąż jest pobłażliwy dla ludzi, z którymi pracuje. I cierpliwy. Miałam nadzieję, że taki sam będzie w stosunku do mnie. Nic nie wskazywało na to, że może być inaczej. Matka i ojciec tak bardzo się cieszyli z naszych zaręczyn. Wydaje mi się, że zdaniem ojca zawsze byłam zbyt niezależna i... – zamilkła. – Może uważał, że przydałby się ktoś, kto by mnie kontrolował. Nie chciałam wszystkiego zepsuć. Liczyłam na przygody. Pragnęłam znaleźć się w innym świecie, doświadczyć czegoś nowego. Samo małżeństwo miało być przygodą. Może nawet ryzykownym przedsięwzięciem.

– Które się nie opłaciło – obcesowo, choć życzliwie zauważyła Christine.

– Ale powiedz, co jest złego w twoim portrecie, takim, jakim go widzę? Byłby przecież pewnego rodzaju przygodą, prawda?

– Nie chodzi o to, że nie mam do ciebie zaufania, Christine. Raczej sobie

nie ufam.

– Nie rozumiem.

– Nie wiem, kim się stałam – wyszeptała Charlotte. – Może tchórzem. Kimś gorszym, niż byłam.

– Ależ to niedorzeczne!

Charlotte popatrzyła na nią uważnie.

Ruszyła z powrotem w głąb pomieszczenia. Stała w miejscu, gdzie na podłodze wciąż leżała zasłona, i zdjęła wielki, złotobrazowy płaszcz. Powoli wysunęła ręce z jego szerokich rękawów. Pod spodem miała na sobie kolejny obszerny strój, czarną, krepdeszynową sukienkę z długą spódnicą i dużym, kwadratowym dekoltem. Suknia była zaciągnięta w talii. Charlotte rozwiązała tasiemkę zdrową ręką. Sukienka zmieniła się w luźny, podłużny worek. Dziewczyna podciągnęła ją i zdjęła przez głowę.

Pod spodem miała jedynie w halkę. Przez materiał widać było, że Charlotte jest boleśnie chuda. Ku swojemu przerażeniu Christine stwierdziła, że może policzyć przyjaciółce wszystkie żebra. Sterczące ramiona wyraźnie rzucały się w oczy. Widać było nawet ostry zarys bioder, ani odrobinę niezaokrąglonych. Obszerny płaszcz skrywał fakt, że Charlotte wyglądała jak ofiara głodówki. Christine zbliżyła się powoli i nagle stanęła, z przerażeniem zasłaniając usta ręką. Górna część klatki piersiowej Charlotte sprawiała wrażenie ciemnej nie tylko z powodu szczupłości, ale też dlatego, że była posiniaczona. Wyglądała, jakby przyciśnięto ją do żebrowania albo jakiejś kraty. Siniaki wyraźnie układały się w pasy.

– Mój Boże – szepnęła Christine. – Co to jest?

Charlotte przez chwilę wytrzymała jej spojrzenie, po czym powoli się obróciła.

– Pokłóciliśmy się – powiedziała cicho. – Mieliśmy sprzeczkę. Chyba nie chciał aż tak mocno popchnąć.

– Nie aż tak mocno? W ogóle nie powinien cię popychać.

– Wystawiam na próbę jego cierpliwość. A on jest bardzo opanowanym człowiekiem.

– Mówisz poważnie? Odbiło ci? Jesteś posiniaczona. Co to było, jakiś metal?

– Na ścianie wisi kaloryfer. Krata grzewcza do kotła w piwnicy. Ogrzewa górne piętro.

– I popchnął cię na niego? – domyśliła się Christine. – Nie byłaś ubrana?

Wygląda, jakby odcisnęło się bezpośrednio na skórze.

Charlotte skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała się przykryć.

– Wstałam w środku nocy.

– Dlaczego? Źle się czułaś?

– Nie – odparła Charlotte, wciąż nie patrząc przyjaciółce w oczy. – Byłam...

Nie mogła dokończyć. Christine objęła ją ramieniem.

– Widzisz, ja go nie lubię – wyszeptała Charlotte. – Kiedy mnie dotyka. A przecież tego właśnie chcą mężowie, prawda? Myślałam, że będzie dobrze. Przygotowałam się na to. Chciałam być miła. Tylko że kiedy on... – Zacisnęła zęby, jakby robiło jej się niedobrze na samo wspomnienie. – Mówi, że nie jestem normalna.

– Och, moja biedna kruszynka – łagodnie szepnęła Christine. – Komu o tym powiedziałaś?

– Nikomu.

– Matce ani siostrze?

– Nie.

– Ale dlaczego?

Charlotte zwiesiła głowę.

– Wstydzę się.

Christine musiała dosłownie ugryźć się w język, żeby powstrzymać odpowiedź, która cisnęła jej się na usta, wściekłe zaprzeczenie. Zamiast tego postarała się mówić cicho i spokojnie, pohamować gniew.

– Twoja ręka, nadgarstek... To nie był upadek?

– Próbowałam wyjść na ulicę – wyjaśniła Charlotte. – Było bardzo wcześnie. Wiem, że to szaleństwo, miałam na sobie jedynie koszulę nocną. Ale pomyślałam, że może uda mi się uciec i...

– On cię odnalazł – dokończyła za nią Christine. – Złapał cię za rękę, kiedy próbowałaś wyjść.

– Nie mogłam otworzyć drzwi. Michael schował klucz. Zszedł po schodach. Kazał mi być cicho. Zabronił robić scenę. Co ja robię, chcę wyjść na ulicę? Co ludzie powiedzą? Powiedział, że muszę docenić...

Zamilkła. Drżała. Christine podniosła zasłonę i zarzuciła ją na ramiona Charlotte. Stała przed przyjaciółką i otuliła ją materiałem. Trzymała go, bacznie przyglądając się twarzy Charlotte.

– Nigdy tam nie wrócisz.

Charlotte długo milczała.

– Chciałam być taka jak inne kobiety – szepnęła w końcu. – Myślałam, że uda mi się zmienić, ale nie potrafię. On mówi, że jestem... źle uformowana. Nie chcę... robić z nim tego, co powinnam. Co jego zdaniem jest moim obowiązkiem. – Przez moment patrzyła na Christine, po czym z powrotem wlepiała wzrok w podłogę. Ciemna czerwień zalała powoli jej policzki. – On mówi, że coś jest ze mną nie tak.

– I wierzysz mu? – spytała cicho Christine. – Kiedy ci mówi, że to nienaturalne?

– Nie wiem już, w co wierzyć – odpowiedziała Charlotte.

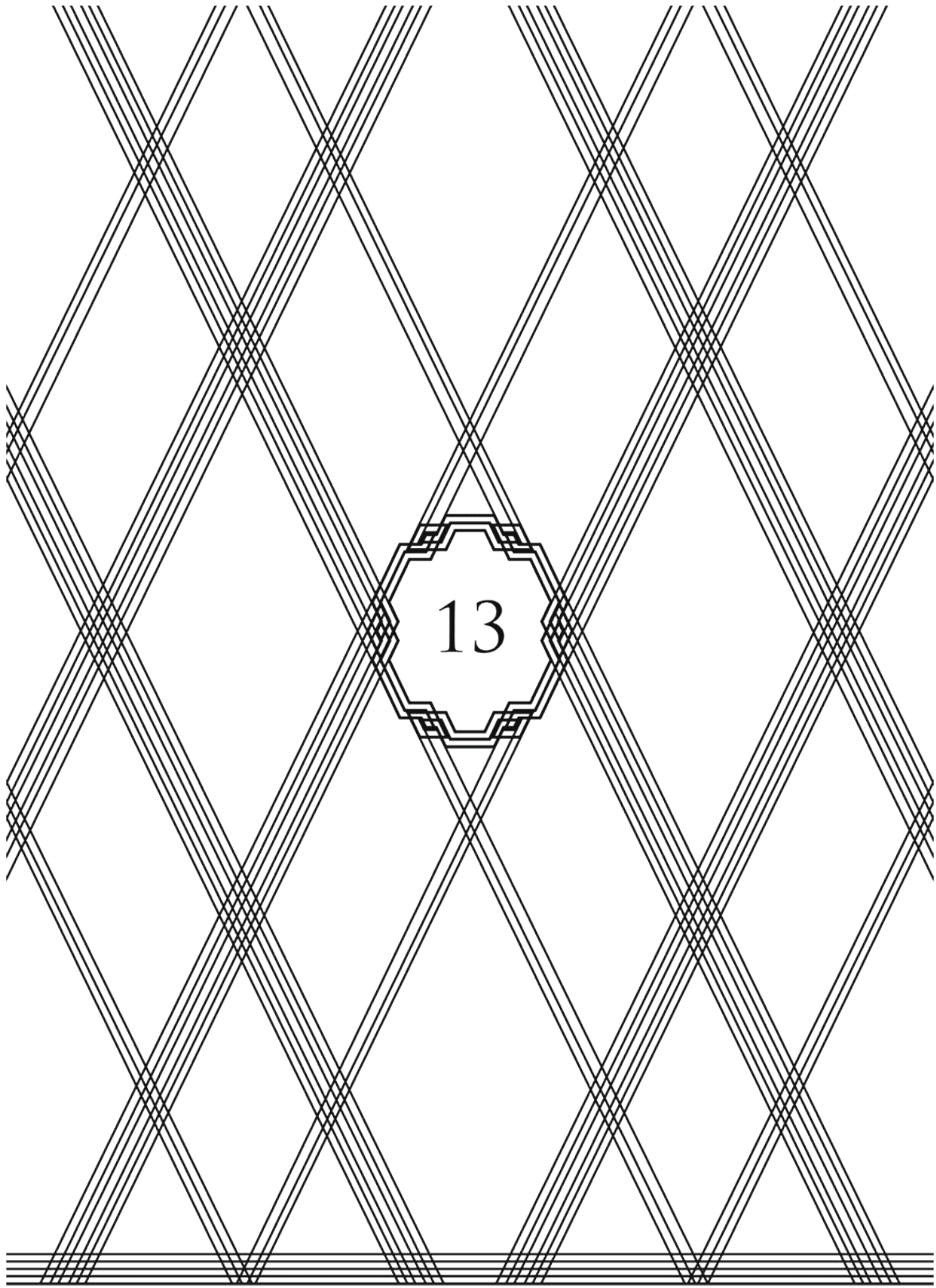
Mówiła tak cicho, że Christine musiała wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć słowa przyjaciółki. Przysunęła głowę bardzo blisko. Czuła oddech drugiej kobiety mieszający się z jej oddechem.

– Powiem ci coś – Przygładziła włosy Charlotte i przesunęła delikatnie dłonią po jej policzku. Wsunęła rękę pod jej brodę i uniosła ją do góry. – Popatrz na mnie. I posłuchaj mnie. Nie różnisz się od innych kobiet. Wielu kobiet. Wiesz dlaczego?

Charlotte pokręciła głową.

Christine się uśmiechnęła.

– Ponieważ, najdroższa, jesteś taka sama jak ja.



W końcu nadeszło lato.

Frederick miał wrażenie, że od lat nosi gruby wełniany płaszcz, cuchnący jak wszyscy diabli. Czasami w obozie strażnicy zabierali ich ubrania do pralni i przydzielali inne: źle dopasowaną bieliznę i koszule, dziwnie kwadratowe płócienne kurtki. Frederick nosił trepy, w których przyszedł tutaj z Francji, z Münster, z domu. Nie przeszkadzały mu. To były dobre buty. Chciałby nowe skarpetki, ale starannie prał tę parę, którą miał.

Nie narzekał. Pozostali zrzedzili, traktowali to jak rozrywkę. Frederick nie lubił uczucia, które w nim potem zostawało, jakby cierpkiego drapania, które nasilało tęsknotę za domem. Próbował skupić się na innych, bardziej namacalnych sprawach. Takich jak wzór spękań tynku na ścianie obok łóżka, który tworzył zabawną mapę, przywodzącą na myśl rzekę Mozelę. Wyobrażał sobie rosnące po obu stronach winnice i restauracje na tarasowych zboczach. Wujek zabrał go tam kiedyś, podczas jedynych wakacji, jakie Frederick miał w dzieciństwie. Starał się myśleć o przyjemnych zapachach. O święcie z muzyką w wiosce, kiedy ktoś grał na skrzypcach, były tańce i wznoszenie pod lipami tumanów letniego pyłu. Pragnął znów zatańczyć i być szczęśliwy. Nie chciał zatracić umiejętności cieszenia się, wracać do domu z wypaloną duszą, posępny, rozżalony, zbolały. Musiał zachować w sobie świeżość, wciąż stać prosto. Tak o tym myślał.

A teraz, nareszcie, wyszło słońce. Lubił światło poranka. Tyle blasku po deszczu. O piątej trzydzieści robiło się jasno, za oknem pojawiały się blade kręgi pomarańcza i różu. Wstawał, żeby na nie popatrzeć. Bóg wciąż dawał im letnie poranki, ważne, żeby o tym pamiętać. To człowiek odebrał sobie możliwość czerpania z nich przyjemności, wywołał wojnę na zielonej ziemi, zniszczył ją i zalał krwią. Frederick patrzył na światło słoneczne i wyobrażał sobie, jak oświetla ono pole walki. „Daj im dość przyzwoitości,

by mogli przestać” – pomyślał. We wszystkich armiach księża mówili o Bogu, który nieodmiennie był po ich stronie. Nieważne, czy przemawiał ksiądz francuski, turecki, niemiecki czy hinduski. Jednak Frederick był przekonany, że Bóg nie opowiada się po żadnej ze stron. Po prostu dawał im lata, wiosny i zimy, deszcz, żniwa i ciemność, wodę, piasek i morze. To człowiek wszystko zepsuł. Boga na pewno bolało z tego powodu serce.

Patrzył intensywnie na wschody słońca i próbował je zapamiętać. Gdyby miał notatnik, opisywałby je. Wspomnienia przyjemnych dni. Trzymał je w pamięci i wracał do nich raz po raz, żeby nie uleciały. Żałował, że nie może nic zanotować. Od trzech lat nie widział papieru ani ołówka. Nie trzymał ich w ręku ani nie pisał.

W tym tygodniu zostawili ciepłe płaszcze w obozie i wyszli do pracy jedynie w spodniach i marynarkach. Do południa porzucą też marynarki, a koszule będą lepiły im się do pleców. Ale nie wolno im było ich zdejmować. Nie wiedział dlaczego. Może panie czułyby się urażone. Choć nie widywali ich zbyt często. Od czasu do czasu mijali kobietę w którejś z wioszek albo siedzące na murze kościelnym dziecko.

Tego ranka stali przy moście w pobliżu nowo wybudowanej drogi. Wiła się między wysokimi, zielonymi żywopłotami. Na poboczu ścieliła się trybula leśna, na którą Anglicy mówili krowia pietruszka. Przywodziła na myśl kwiaty weselne w kościelnej nawie albo warstwę śmietanki na świeżo udojonym mleku. Gdzieś rosy kasztanowce, czesane letnim wiatrem. W miejscu, w którym stali, Frederick słyszał płynącą pod wioskowym mostkiem wodę.

– Posłuchajcie mnie – odezwał się strażnik.

Był to nowy człowiek. Krzykacz zniknął. Wszystkich to ucieszyło. Na jego miejsce przydzielono starszego żołnierza o wyjątkowo spokojnym usposobieniu. Z boku szyi miał długą purpurową bliznę, która wyglądała na świeżą. Frederick był ciekaw, gdzie został ranny – na froncie zachodnim, w Mezopotamii czy pod Gallipoli. Zastanawiał się, jak ma na imię i czy pochodzi z tych stron. Czy wieczorem wracał do domu? Czy jego żona przychodziła w odwiedziny? Zauważył, że kiedy strażnik maszeruje, lekko utyka. Nie patrzył na nich wrogo, lecz łagodnie, może nawet ze współczuciem.

– W Rutherford trzeba skosić trawę – zamilkł. – Rozumiecie? Na siano.

Nikt się nie odezwał, ale kiedy z krytego furgonu na poboczu drogi

przyniesiono długą kosę, wśród więźniów zapanowało lekkie poruszenie. Strażnik podniósł ją do góry.

– Wiecie, co to jest?

Frederick nie był pewien, czy mężczyźni z miast widzieli kiedyś podobny przedmiot, ale on tak. Niepewnie podniósł rękę.

– Słucham. Ty. Co to jest?

– Jeśli pan pozwoli... *Sense* – niechcący powiedział to po niemiecku. Myślał o wyrażeniu *Menschen nedermahen*. Kosić ludzi. Wyżynać ich. Ciąć jak armie, jak Brytyjczycy, którzy szli w ich stronę przez gnijące ziemie. – Myślę... zacinać – wyjąkał.

– Ścinać – poprawił strażnik, przyglądając się twarzy Fredericka, jakby zauważył w niej odbicie jego myśli. Był czujny. Mrużył oczy. – Kosa – powtórzył dwukrotnie na użytek stojących z tyłu mężczyzn.

– Wiemy – mruknął jakiś głos. Został zignorowany.

– Do koszenia trawy – kontynuował strażnik. Zademonstrował. – To wymaga wprawy, pamiętajcie. Ale łąki znajdują się w pobliżu domu. Schodzą do rzeki. Trzeba przenieść siano, porobić z niego stogi. Rozumiecie? Stogi na polach, niedaleko obory, którą naprawialiście.

Dwóch czy trzech więźniów szturchnęło Fredericka w plecy. Przetłumaczył najlepiej, jak umiał. Część Niemców nigdy nie słuchała, nawet nie próbowali nauczyć się angielskich słówek. Zaczęli traktować Fredericka jak swojego reprezentanta.

– Nie możecie się lenić – poradził im pewnego zimowego wieczoru. – Używajcie mózgow. Nauczcie się czegoś. Jesteśmy tutaj. Równie dobrze możemy się dogadać.

– Dogadać z wrogiem. Czegoś nauczyć. – Siedzący na łóżku mężczyzna splunął na podłogę. – Co to, jesteś teraz nauczycielem?

– Skończyłem z wojną – odpowiedział Frederick.

Strażnik podszedł teraz do niego.

– To ty pomagałeś w mleczarni.

– Pomaga. Tak. Masło.

– Wiesz, co to Rutherford?

– Nie, sir.

Żołnierz ponownie stanął przed więźniami.

– Rutherford Park to wielki dom. Majątek. Należy do lorda Cavendisha. Jak wszystko, co widzicie wokół. Wioska też. Aż do bram Catterick. Teraz

słuchajcie. Lord Cavendish jest w domu, więc jeśli zobaczycie... – Pomyślał przez chwilę. – Nieważne. Na pewno go nie spotkacie. Nie interesuje się wami. Ale stracił wielu ludzi. Pracowników. Nie ma pracowników, rozumiecie? Więc skosicie trawę.

Popatrzył po nich i wskazał mniej więcej jedną trzecią mężczyzn. Frederick znalazł się wśród nich.

– Wy, tutaj, do koszenia. Reszta do układania muru. Tego muru bez zaprawy. – Kiedy nie odpowiedzieli, westchnął głęboko. – Nieważne. – W dodatku się uśmiechnął. – To dobra praca. Łatwa. Przyjemna. Nauczycie się.

Dwóch bardzo młodych strażników w mundurach, które wyglądały na o wiele za duże, poprowadziło większą grupę więźniów. Frederick popatrzył na chłopców ze smutkiem. Kołnierzyki ocierały się o ich różową skórę, a czubki uszu mieli zaczerwienione. Wyglądali jak uczniaki. Już wkrótce staną się mięsem armatnim.

– Halo – Starszy strażnik popędził więźniów. – Ruszajcie się.

Poszli za nim.

– Halo – uśmiechnięty Frederick powtórzył to cicho, nieświadomie naśladowując mocny akcent z Yorkshire. – Halo. Halo.

*

W kuchni w Rutherford przerwa śniadaniowa trwała dłużej niż zazwyczaj.

Kiedy pracownicy kończyli jeść, Bradfield uniósł rękę i powstrzymał ich przed wstaniem od stołu.

– Zostańcie jeszcze przez chwilę – poprosił.

Rozdał listy. Dłuższą chwilę przeglądał koperty na wierzchu, wreszcie przekazał jedną Mary.

Do Jenny nic nie przyszło, bo nikogo nie znała. I tak miała szczęście, że członkowie Kościoła metodystów w Londynie zajęli się nią i pomogli znaleźć pracę, ponieważ regularnie do niego uczęszczała. Była chodzącym dobrym uczynkiem pastora. Lecz ani on, ani nikt z wiernych nie pisał do niej do Rutherford.

– Pewnie muszą zająć się innymi – powiedziała kiedyś do Mary.

Pani Carlisle z uśmiechem wzięła koperty. Miała liczną rodzinę

w Bradford, cały zastęp siostrzeńców i siostrzenic. Chociaż nigdy nie wyszła za mąż, zwyczajowo nazywano ją „panią”. Krewni i kuzyni regularnie dostarczali jej wieści. Większość z nich pracowała w przędzalni w Bradford. Tego ranka przyszły do niej dwa listy.

Panna Dodd też nic nie dostała. Mary spojrzała na nią kątem oka. Starsza pokojówka szybko zmieniała się w oddaną Rutherford zawziętą starą pannę. Mary widziała już oczyma wyobraźni, jak kobieta umiera tu ze ściereczką do kurzu w ręku, ubrana w wykrochmalony fartuszek. Kiedy jej ukochany uciekł i ożenił się z inną kobietą, stało się oczywiste, że przepadła jej ostatnia szansa. Mężczyźni rzadko się dzisiaj trafiali. „Dlatego w zamian poślubiła Rutherford” – pomyślała Mary. Panna Dodd wyglądała odpowiednio – nieco nadąsana, odrobinę pruderyjna. Rozczarowana i stanowcza jednocześnie.

– Muszę wam o czymś powiedzieć – oznajmił Bradfield. – Zatrudniono nową gospodynię. Panią Nicholson.

Po kuchni przeszedł szmer. Jedyne Edward Hardy pozostał obojętny. Przesuwał okruchy chleba po talerzu i jak zawsze sprawiał wrażenie nieobecnego. Nie obchodziło go, czy Rutherford ma gospodynię, czy nie. Może zrobiłby na nim wrażenie brak kucharki. Odejście pani Carlisle zauważyłby od razu.

– Można wiedzieć, skąd ona jest? – spytała panna Dodd.

– Z majątku Kentów obok Yorku.

– Jest tam gospodynią?

– Nie. Zdaje się, że to żona jednego z dzierżawców.

Rozległ się szmer zaskoczenia.

– Nie ma doświadczenia? – obraziła się panna Dodd. – Zdaje mi się, że lepiej wiem, co się tutaj dzieje, niż żona jakiegoś rolnika.

– Ponoć zanim wyszła za mąż, pracowała w służbie i jako pielęgniarka w szpitalu.

– Pielęgniarka i pokojówka? – powiedziała pani Carlisle. – Kiepskie referencje w przypadku takiego domu jak Rutherford.

– Biorąc pod uwagę, ilu rannych wraca do kraju, można by pomyśleć, że jej pomoc przydałaby się w jakimś szpitalu – zauważyła Mary. – Skoro ma kwalifikacje. – Pochyliła się do przodu. – Czy lady Cavendish rozmawiała z nią przy okazji swojej wizyty, panie Bradfield?

– Tak zrozumiałem.

– Nie widziałam, żeby ktoś przychodził do domu.

– To jakaś umowa pomiędzy panią Kent a naszą panią – stwierdziła pani Carlisle. – Pewnie rozmawiały u Kentów. – Przechyliła głowę, bo przyszła jej do głowy nowa myśl. – Może jest jakiś problem z tą kobietą. Lady Kent chce się jej pozbyć.

Był to daleko idący, choć trafny wniosek. Jednak pan Bradfield zmarszczył brwi.

– Nie powinniśmy snuć na ten temat domysłów. Wątpię, by pani Cavendish zatrudniła osobę, która nie nadaje się do tej pracy. Jaśnie pani jest w najwyższym stopniu świadoma, jak bardzo potrzebujemy gospodyni.

Panna Dodd najwyraźniej poczuła się urażona, bo wyprostowała ramiona i zacisnęła usta.

– Ile ma lat? – spytała Jenny.

Tym razem Bradfield spojrział na pokojówkę w taki sposób, że się zarumieniła.

– Cóż za niestosowne pytanie.

– Jenny chciała wiedzieć, czy... czy ona jest starsza – ośmieliła się wyjaśnić Mary.

– Nie mam pojęcia.

– Skoro jest zamężna, to czy ma dzieci?

– O ile mi wiadomo, nie. Jej mąż niedawno zmarł.

Rozległo się ciche „och”, westchnienie współczucia. Ale przy stole wciąż panowała atmosfera niechęci. Pani Carlisle rozglądała się po kuchni, mamrocząc: „Będę musiała zrobić tu porządek, zanim ona przyjdzie”. Popatrzyła na pana Bradfielda.

– Czy jaśnie pan pozwoli zatrudnić kolejną dziewczynę ze wsi? – spytała.
– Mam tylko pomywaczkę.

– Zapytam, jeśli sądzi pani, że jest taka potrzeba.

– Potrzeba? – spytała pani Carlisle. – Oczywiście, że jest. Nie mogę się szamotać w nieskończoność. Kiedy jaśnie pan się ożenił, w tej kuchni pracowało sześć osób. Sześć! A gdy urządzaliśmy przyjęcia, znacznie więcej!

– Wszyscy poszli pracować do przędzalni. Głupcy – wymamrotała Mary.
– Nawet Cynthia.

– Ona była po prostu leniwa – stwierdziła pani Carlisle. – Więcej takich nie chcę.

– Kiedy pani Nicholson przyjdzie do pracy, panie Bradfield? – spytała panna Dodd.

– W poniedziałek.

– Och, Boże w niebiosach – jęknęła pani Carlisle.

Bradfield wziął gazety, potoczył po wszystkich spojrzeniem, z którego wynikało, że lepiej, by lada moment zabrali się do pracy, po czym wyszedł. Słuchali jego kroków w kamiennym korytarzu i na schodach prowadzących do zielonych, pokrytych sukrem drzwi do głównej części domu.

Czekali, aż się za nim zamknęły.

– Proszę! – wykrzyknęła panna Dodd. – Mąż umarł, a pani Kent jej nie chce.

– Coś musi w niej być, skoro ją poleciała – zadumała się pani Carlisle.

– Mogliby mnie dać tę pracę – narzekała panna Dodd. – I tak mniej więcej tym się zajmowałam.

– Ale „mniej więcej” nie wystarczy, prawda? – odparła kucharka. – Jesteś bardzo dobra, kochanie, ale ta kobieta będzie miała... coś jeszcze, co przemawia na jej korzyść. Wykształcenie albo doświadczenie. Nie wiemy, o jakim dzierżawcy mowa. Jej mąż mógł prowadzić w Yorku duże gospodarstwo. Jedno z tych ogromnych, Kentowie mają ich kilka. Kiedy mąż zajmuje się czymś podobnym, żona się od niego uczy. Chodzi o rachunki i pracowników, te rzeczy.

– Mam nadzieję, że nie okaże się okropną, starą smoczyką, jak pani Jocelyn – szepnęła Jenny. – Nie będzie tłuc Biblią o stół ani ostrzegać, że wszyscy pójdziemy do piekła.

Pani Carlisle uniosła brew.

– Nie będziemy źle mówić o służbie, kimkolwiek była. – Popatrzyła na Mary. – List od Davida?

– Tak. – Mary obracała go w dłoniach, ale nie otwierała.

– Co napisał?

Mary z obawą przesunęła palcem po sklejonym brzegu koperty. Kiedyś jej mąż pisywał ładne listy, ale ostatnio rzadko skreślił więcej niż kilka słów. „Cześć”, „Do widzenia”, „U mnie wszystko w porządku”. I jeszcze: „Czy u ciebie wszystko w porządku?”. Nic z sercem. „Mam nadzieję, że list dotrze do ciebie w całości” – pisał. Jak wszyscy inni. Najwyraźniej zaginął gdzieś tkwiący w nim poeta. Kiedy wracał na front w grudniu zeszłego roku, dała mu tomik wierszy. Przyjął go bez słowa. Miał wtedy tydzień urlopu

z powodu infekcji stopy. Siedem dni, z których trzy spędził w drodze do Rutherford i z powrotem.

O tym właśnie myślała, kiedy otwierała list. Położyła rękę na brzuchu. Maluszek się poruszył. Przynajmniej będzie miała dziecko. Cud, biorąc pod uwagę, że byli małżeństwem niemal od dwóch lat, a spędzili w tym czasie razem może ze dwa tygodnie.

Wszyscy czekali, aż Mary skończy czytać. W grudniu David mówił, że stacjonuje w Albert.

– To niewielkie miasteczko. Przynajmniej kiedyś było to miasteczko, a teraz... – przerwał. – Teraz to coś innego – dokończył.

Wszyscy wiedzieli, że Albert przewija się przez nekrologi w lokalnych gazetach. Zaczynali rozpoznawać nazwy miejscowości: Albert, Bapaume, Ypres.

– Panicz Harry jest w pobliżu Arras – wymamrotała panna Dodd. Słyszała, jak mówił o tym jaśnie pan.

– Pani Armitage mówiła, że Jack też jest gdzieś tam – dodała pani Carlisle. – To duże natarcie.

Przez kilka kolejnych chwil siedzieli w milczeniu. Żadne z nich tak naprawdę nie wiedziało, co to znaczy „duże natarcie”. Brzmiało jak przepychanka w kolejce.

– Nie wydaje mi się, żeby David wciąż tam był – powiedziała cicho Mary. Zmarszczyła brwi nad kartką. – To zabawne.

– Co? – spytała Jenny.

Mary przeczytała na głos fragment listu:

– „Trochę się przemieszczamy. Rozmawialiśmy o tym dzień po naszym ślubie”.

– To cenzura – wyjaśniła kucharka. – Nie można pisać, gdzie się jest.

– Wiem – przytaknęła Mary. – Ale nie rozumiem, co on ma na myśli.

– A o czym rozmawialiście w dzień po ślubie?

– Nie pamiętam! Jak mam pamiętać?

– O wakacjach? – zasugerowała pani Carlisle. – Przyszłości. Rodzinie. O tym, gdzie zamieszkacie. O planach. Pewnie o tym mówiliście.

– Plany... – zamyśliła się Mary. – Rzeczywiście, żałowałam, że nie pojedziemy na porządny miesiąc miodowy, skoro już mowa o wakacjach – westchnęła. – Chciałam się wybrać nad morze. Nigdy nie byłam.

– Proszę, więc o to chodzi! – pani Carlisle uśmiechnęła się triumfalnie. –

Wysłali go gdzieś nad morze.

– Ale... – Mary odłożyła list ze złością. – Nie byli w pobliżu morza, prawda? Mówił, że całe mile wlekli się pociągiem, żeby dotrzeć do Albert.

– Okopy nie sięgają nad morze – zgodziła się Jenny.

Pani Carlisle wstała.

– Trudno, nie mam czasu tu siedzieć i się nad tym zastanawiać. Jaśnie pan ma w południe gości, a obiad sam się nie robi. Poza tym – dodała ponuro – dostałam rozkaz, że mam przygotować jakieś żarcie dla tych Niemców.

– Jakich Niemców? – spytała Mary.

– Tych, co pomagają zwieźć trawę z łąk.

– Co, tutaj? Koło domu?

– Tak powiedzieli. Będziecie musiały pomóc Alfredowi je zanieść, jeśli sam nie da rady.

Mary wiedziała, że chłopiec na pewno nie da rady. Już prędzej wywali wszystko na ziemię. Zrobiła zaciętą minę.

– Nic im nie zaniosę. Ani kęsa. Nie jestem ich służącą.

Pani Carlisle i panna Dodd popatrzyły po sobie znacząco.

– Ja wezmę, jeśli będzie trzeba – zaoferowała Jenny. – Mary nie musi... Ja mogę. Mnie to nie robi różnicy.

*

Praca na łąkach była prawdziwą przyjemnością.

Kiedy jeńcy znaleźli się w pobliżu posiadłości, Frederick poczuł zdumienie. Wjechali przez bramę przy stróżówce. Na jej słupach znajdowały się małe figurki ptaków siedzące na czymś, co wyglądało na trzcinę cukrową. Mężczyźni jechali odkrytym wozem i widzieli rysującą się przed nimi długą bukową aleję. Korony olbrzymich drzew, zapewne ponadstuletnich, tworzyły nad drogą piękne sklepienie. W oddali błysnęły ukryte za pagórkiem skrzycone kominy i ściany w kolorze terakoty. Frederick przesunął po nich spojrzeniem. Dom musiał być ogromny. Ale teraz nie mogli go obejrzeć. Wóz nagle skręcił w lewo, a dróżka prowadziła wzdłuż powoli płynącej rzeczki. Na przeciwległym brzegu rozciągał się las. Nad drzewami rozpościerał się pas wrzosowiska, jasnożółty w porannym świetle.

Minęli most i małą, kamienisto-piaszczystą plażę przy zakolu rzeki. Potem otwierano kolejne bramy, wysokie, osadzone na pięciu prętach. Na wszystkich wisiało takie samo godło – trzcina cukrowa i siedzący na niej mały ptaszek podobny do turkuśnika, taki kruchy i delikatny. Turkuśniki i cukier... co to znaczyło? Potentaci cukrowi z dawnych czasów?

Droga zaczęła lekko się wznosić, prowadziła skrajem wzgórza. W końcu zobaczyli łąki. Były małe, leżały jedna za drugą, oddzielone od siebie płotami. Rosnąca na nich trawa sięgała do kolan i była poprzeplatana dzikimi kwiatami. Wóz się zatrzymał i wysiedli. Poprowadzono ich na wzniesienie, a kiedy szli, nagle zachodnie skrzydło domu znalazło się w zasięgu wzroku. Frederick stanął jak wryty. Dom był taki piękny, ogromny. Dach za dachem, a pomiędzy nimi okna. Wysoki, jasny mur kuchennego ogrodu. Z boku wystawały wierzchołki mniejszych domków.

– Musi się tutaj pracować jak w raj – powiedział cicho do idącego obok mężczyzny.

– Chyba mieszkać – odparł tamten.

Tak, rzeczywiście. Po prostu bosko.

Zabrali się do roboty. Każdy z nich trzymał zatknięte na długim trzonku ostrze z oddzielnym uchwytem, umocowanym pod kątem prostym do drąga. Frederick starał się, jak mógł. W niektóre dni całkiem nieźle radził sobie z łopata lub młotkiem, w inne ledwie był w stanie je utrzymać. Dziś przytrafił się jeden z tych gorszych dni. Zaczęli na dole pola i w dziesięciu pracowali w szeregu. Frederick trzymał rączkę kosy, która od czasu do czasu wysuwała mu się z palców. Pozostali irytowali się, że muszą z nim pracować, chociaż znali przyczynę jego problemów.

Pochodzący z Dortmundu facet o byczym karku zaczął się z niego natrząsać.

– Ależ zrobiłeś się delikatny. Chyba chcesz być Anglikiem. Oni tak robią. Nie wiedziałeś? Właśnie tak. – I zaczął się wyginać jak dziewczyna. Pozostali roześmiali się i czekali na reakcję Fredericka.

– Nie chcę być Anglikiem.

– Na pewno? Ciągłe gadasz o pokoju.

– Nie chcę walczyć.

Dortmundczyk wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Nie chcesz zabijać Anglików. W ogóle nie masz jaj. – I szturchnął Fredericka w plecy.

Frederick popatrzył nad jego ramieniem. Strażnik był na drugim końcu pola.

– Nie dotykaj mnie – burknął.

Kolejne szturchnięcie.

– Nie dotykać cię? Dlaczego miałbym chcieć cię dotknąć, cholerny zdrajco?

Frederick się wyprostował.

– Nie jestem zdrajcą.

– Podoba ci się tutaj, co? Raj. Tak przed chwilą powiedziałeś. Ja rajem nazywam ojczyznę.

– Jestem dobrym Niemcem.

– Jesteś łgarzem – mężczyzna popchnął go w ramię. Frederick się zatoczył. – Słyszysz? Co za delikatny kwiatusek.

Nie zamierzał tego znosić. Brat próbował go tak traktować wiele razy. Nie pozwalał na takie zachowanie rodzonemu bratu i z pewnością nie będzie go znosił ze strony tego brudnego idioty. Pozwolił się popchnąć jeszcze raz czy dwa, po czym zwinął sprawniejszą rękę w pięść i uderzył. To nie było dobre uderzenie, ale padło z zaskoczenia. Mężczyzna zatoczył się, złapał się za twarz, potknął i upadł na ziemię.

– Nie będziesz mnie przezywał – powiedział Frederick. – Ty ani nikt inny.

Potoczył złowrogim spojrzeniem po grupie mężczyzn. Jeden czy dwóch się uśmiechało, pozostali mieli kamienne twarze.

Sierżant podbiegł do nich. Do tego czasu facet z Dortmundu zdążył się już podnieść na nogi.

– Co tu się dzieje? – zapytał strażnik.

– On nie pracuje – powiedział więzień.

Anglik popatrzył na Fredericka.

– Teraz całkiem nieźle posługujesz się pięściami, co? – spytał.

– Nie, sir.

– Widziałem co innego. Możesz kogoś uderzyć, ale nie pracować. Kara, kolego. Dostaniesz trudniejsze zadanie niż to tutaj, jasne? – Popatrzył na pozostałych. – Nie stójcie tak! – krzyknął. – To nie kabaret. Koniec przedstawienia. Łapcie za grabie.

Pokazał Frederickowi, żeby odsunął się od reszty jeńców. Stanęli razem w gorącym słońcu, niemal obezwładnieni słodkim zapachem ściętej trawy.

Strażnik wskazał na ręce Fredericka.

– Dobrze, opowiedz mi tę historię, ale lepiej, żeby była dobra.

– Historię?

– Twoje ręce. Byłeś ranny?

– Nie, sir.

Żołnierz oszacował go wzrokiem. Stracił cierpliwość, jak inni wcześniej.

– To co? Nie jesteś w stanie porządnie trzymać kosy.

– Zrobię, co mogę.

– Właśnie widzę – odparł starszy mężczyzna. Przez chwilę się namyślał.

– Gdzie służyłeś?

– Służyłeś?

– Walczyłeś.

Frederick zastanawiał się, do czego prowadzi ta rozmowa. Czy jego słowa mogły rozgniewać strażnika?

– Byłem w *Kriegsfreiwillige Kinder* oddziały.

– Chłopcy – powiedział strażnik.

– Ach... tak. Wy to nazywacie „dziecięcą armią”.

– Jak to możliwe?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego byłeś w tym oddziale dla dzieciaków?

– Zgłoszę się.

– Ile miałeś lat?

– Szesnaście.

Strażnik skinął głową.

– Błoto i chwała.

– Powiedziano. Tak. Chwała.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się do niego powoli. Wyciągnął z kieszeni kurtki papierosa i go zapalił. Zaciągnął się i spojrzał na pole.

– Wiesz, co to kosa, nawet jeśli twierdzisz, że nie możesz jej utrzymać – zauważył.

– Tak, sir. Mamy farma w domu.

– Taką?

– Nie taka duża.

Sierżant skinął głową.

– W jakich bitwach walczyłeś we Francji?

Frederick nie chciał wymieniać nazw, ale to zrobił.

– Las Houthulst. Langemarck. Kanał Izery.

Mężczyzna nagle gwałtownie odwrócił do niego głowę.

– Ypres.

– Tak, chcemy przejąć Ypres. – Zapadła cisza. – Kiedy wojna się zaczyna, armia poszła do Ypres. Wchodzimy. Dziesięć tysięcy ludzi. Potem wychodzimy i...

– My wchodzimy.

– Tak.

– Dziwne, co? Głupie.

Frederick zmarszczył brwi. Miał się zgodzić, że głupi są Niemcy czy Brytyjczycy?

– Tak – wymamrotał.

– A to? – Frederick wskazał na rękę strażnika. – Kiedy to się stało?

– Jestem złapany. Z wtedy.

– Ktoś ci to zrobił?

– Nie, sir. Oni... – Wiedział dokładnie, w którym momencie ręce zaczęły go zawodzić, sprawiać wrażenie ledwie przytwierdzonych przedmiotów. Ale nie zamierzał wyjawiać tego Brytyjczykowi. – Nie wiem dlaczego.

Żołnierz skinął głową. Poklepał się po szyi.

– Wzgórze na Zillebeke. Kwiecień piętnastego roku. Wzgórze sześćdziesiąt. Założyliśmy pięć min i wierzchołek wzgórza wyleciał w powietrze. Kawałek metalu z niemieckich umocnień na szczycie... – Uśmiechnął się krzywo i rozbrajająco. – Widziałem, jak koń leci w powietrzu. Latający koń i latający ludzie. Nigdy tego nie zapomniałem.

Słońce prażyło. Wysoko nad nimi śpiewały skowronki, tak samo jak we Francji.

– No cóż. – Strażnik rozgniół obcasem niedopałek. – Tutaj nie ma podkopów ani pocisków. Po prostu staraj się trzymać tę kosę, dobra? Wyglądasz, jakbyś się obijał. Nawet twoi kumple tak uważają.

– Próbuję, sir.

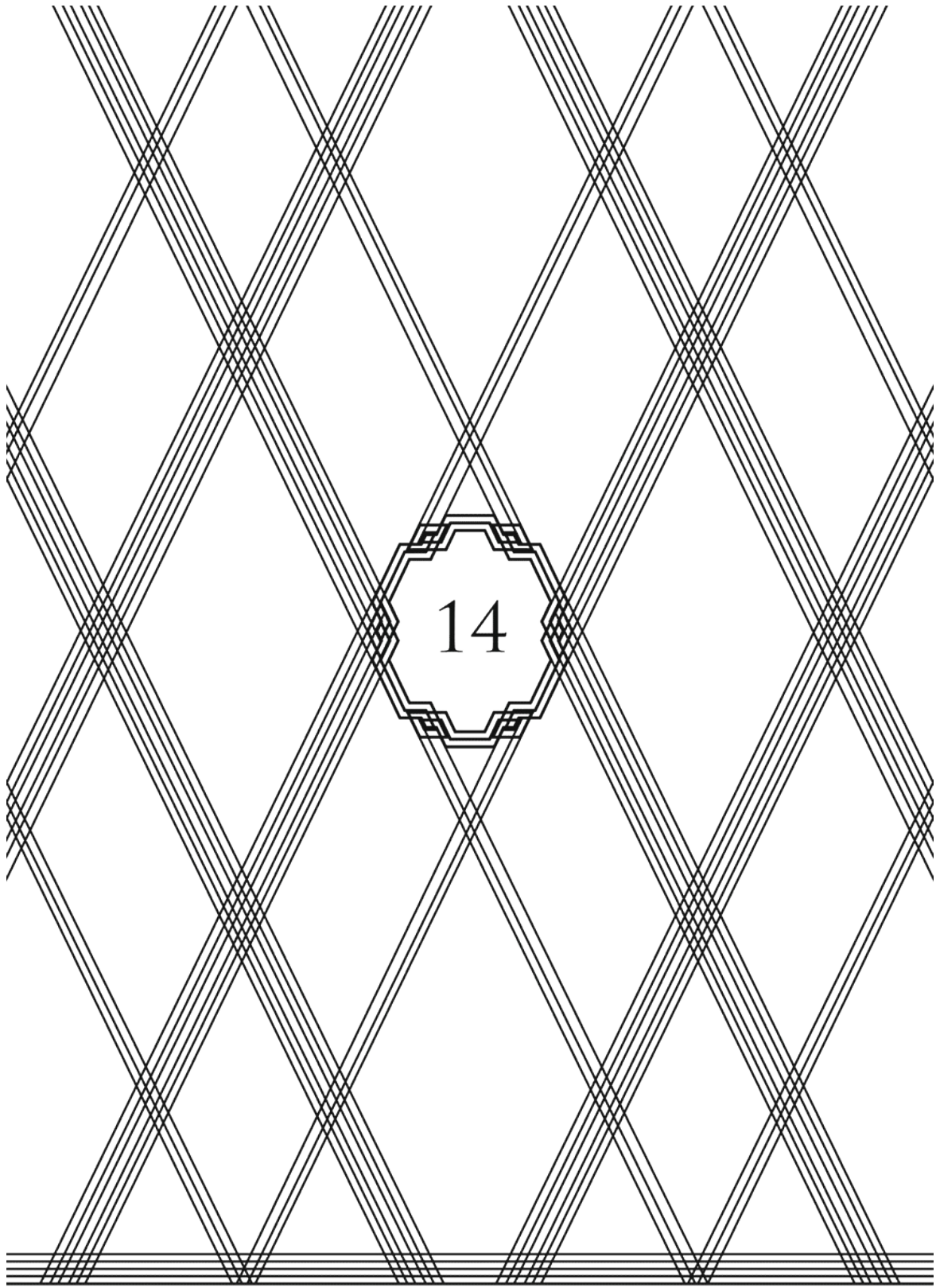
– Nazywam się Vickers. Jak samoloty. Jak szkoła lotnicza.

– Sierżant Vickers.

– Jasne, kolego.

Wskazał pozostałych więźniów. Frederick odszedł, wbijając paznokcie w dłoń.

– Pracuj – mruknął do siebie. – Pracuj.



Jechali na północ, do Poperinge.

Harry opowiadał Johnowi, że szpitalny pociąg wygląda identycznie jak ten, którym go wieziono w 1915 roku, kiedy został ranny. Ta sama atmosfera. Te same kolory, ten sam ścisk.

– Właśnie w takim pociągu po raz pierwszy zobaczyłem Caitlin – dodał smętnie.

Stali w ciemnościach na peronie i patrzyli, jak wnoszą do środka rannych. Było ich tak wielu. Powietrze śmierdziało brudem i gazem, cuchnącym i krwawym. W wagonach unosiła się woń środka odkażającego i mocnej herbaty przemieszana z zapachem dymu, oleju i potu. „Ile takich pociągów stąd wyjechało?” – zastanawiał się smutno John. Ile jeszcze ich będzie? Patrzył na mijających go mężczyzn, w większości bardzo młodych. Niektórych w tak złym stanie, że ciężko było w to uwierzyć.

– To jeszcze nic – Harry skomentował wyraz twarzy Johna.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie wydaje mi się.

Gould starał się zbyt często nie odzywać. I tak już podpadł Harry’emu. Nie tylko był kochankiem jego matki, ale też nie pozwalał mu podróżować tak, jak mu się podobało. Harry dostał rozkaz, by towarzyszyć Amerykaninowi do portów nad Kanałem Angielskim. Tymczasem eskadra Harry’ego została odesłana na wybrzeże, w pobliże Nieuwpoort, w ramach nowej operacji. Zresztą Harry i tak musiał wracać do domu. John rozumiał, dlaczego młodego Cavendisha irytuje jego towarzystwo, chociaż żałował, że mimo wszystko nie mogą zostać przyjaciółmi. Wiedział, że Harry wolałby wrócić do domu sam, za towarzystwo mając jedynie depresję i cyniczne uwagi. Nieraz w ciągu ostatnich dwóch dni widział, jak syn Octavii patrzy na niego z obrzydzeniem, kiedy próbował zachować optymizm.

Nie mógł mieć do niego o to pretensji. Bo kim on, Gould, właściwie był?

Nie walczył. Nie był żadnym ekspertem, weterynarzem, ekonomistą, taktykiem ani przemysłowcem. Właściwie nic nie robił. Tak zapewne uważał Harry, chociaż nie mówił tego na głos. John mógł robić jedynie za dobre towarzystwo. Rozejrzał się wokół, kiedy usadowili się w zatłoczonym przedziale pociągu, i uśmiechnął się ponuro.

Ale to wciąż był syn Octavii.

John popatrzył na niego, zazdrozcząc mu umiejętności zasypiania. „Syn Octavii” – pomyślał. Zastanawiał się, czy opisać Harry’ego ukochanej – z pewnością chciałyby poznać szczegóły jego stanu. Ale nie miał pojęcia, jakich użyć słów. „Ktoś inny zajął miejsce twojego syna”? To brzmiało adekwatnie.

Wiele razy opowiadała mu, jak wyglądało życie w Rutherford, kiedy Harry dorastał. William był zadowolony, że ich pierwsze dziecko to chłopiec, niezbędny dziedzic. John próbował wyobrazić sobie lorda Cavendisha jako świeżo upieczonego ojca. Musiał mieć już dobrze ponad czterdziestkę. Wszyscy mówili, że niewiele brakowało, by hrabia nigdy się nie ożenił i do śmierci gnił ze swoimi psami w zatęchłych pokojach. Ale wtedy pojawiła się Octavia. Musiał być dumny z pierworodnego i młodej żony, nawet jeśli nigdy specjalnie tego nie okazywał. Gdzie, na Boga, popełnił błąd? Jak ktokolwiek mógł pozwolić, by taka kobieta jak Octavia wyslizgnęła mu się z rąk?

Octavia zawsze twierdziła, że William oświadczył jej się tylko z powodu majątku, ale John w to wątpił. Portret na klatce schodowej w Rutherford ukazywał Octavię, która nie skończyła jeszcze trzydziestu lat. Miała ciemne włosy i była pełna życia, patrzyła na malarza z lekko przechyloną głową odrobinę buntowniczym spojrzeniem. Czy komuś taka twarz mogłaby się nie podobać?

William musiał ją kochać. Wciąż darzył ją uczuciem. Jak mógłby nie kochać takiej pięknej, inteligentnej kobiety jak Octavia? Odkąd John zobaczył ją po raz pierwszy, omotała go i nawet nie spojrzał na inną. Nigdy już nie spojrzył. Octavia była doskonała. Na chwilę zamknął oczy i wyobraził sobie, że trzyma ją w ramionach jak dziewczynę, jej rozchylone usta, gładką, miękką skórę. W ciągu ostatnich trzech lat Cavendish stracił wszystko, co było mu bliskie. Najpierw wojna zabrała mu Harry’ego, potem John odebrał Octavię. Żałował go, chociaż tak naprawdę go nie rozumiał. Ta angielska flegma, która kazała Cavendishowi stać z boku i patrzeć, jak żona

od niego odchodzi, była dla Amerykanina niepojęta.

Tamtej nocy, kiedy Gould wrócił do Rutherford, William najpierw spojrział na niego z niedowierzaniem, a potem z druzgoczącym rozczarowaniem. Octavia w pierwszej chwili się zawahała, zszokowana jego nagłym przybyciem, ale potem podbiegła i objęła go przy wszystkich – przy służbie, mieszkańcach wioski i rodzinie. Ciszę, która zapadła w sali, gdzie odbywało się wesele Mary i Davida, można było nożem ciąć. Z twarzy Williama odpłynęła cała krew. Usiadł, nie spuszczając z Johna wzroku, i zacisnął usta w twardą linijkę.

– William. – Octavia nagle z zakłopotaniem wypuściła Johna z objęć. – Popatrz, kto to.

Wszyscy czekali na odpowiedź Williama.

– Doskonale widzę kto to – mruknął.

Biedny William. Tak, mógł tak powiedzieć. Oczywiście nie głośno, bo ludzie odebraliby to stwierdzenie jako protekcyjne. Zadowolony z siebie zwycięzca. Ale on naprawdę tak czuł. Wprawdzie William Cavendish zareagował inaczej niż on (dobry Boże, gdyby jego żona objęła innego mężczyznę, powaliłby go na ziemię), ale John podziwiał go z jednego względu. Zachował godność. Był opanowany. W zasadzie miał tyle honoru i samokontroli, że wystarczyło na wycofanie się z małżeństwa.

*

John ponownie spojrział na Harry'ego. Na torach nie było słyhać żadnych dźwięków. Pociąg stał w miejscu niemal od godziny. Właśnie minęła ósma rano, słońce świeciło już mocno. Podróżowali od trzeciej nad ranem. Jakieś nocne manewry. W pociągu brakowało okien i siedzeń. Podobnie jak w ambulansie, tu też w zasadzie brakowało miejsca dla autostopowiczów takich jak oni. Znaleźli miejsce w wagonie przeznaczonym wcześniej dla strażników. Teraz wypakowano go po dach zapasami. Kiedy wsiedli w Albert, wyminęli nosze, pielęgniarki i stosy amunicji, zajęli ten mały kąt i patrzyli w ciemność.

– Ciekawe – stwierdził Harry. – Podróżowanie z tobą. Legitymacja prasowa otwiera wiele dziwnych drzwi.

– Wolałbyś być z oddziałem.

– Ma pan cholerną rację, sir. Ale kiedy żołnierz dostaje rozkaz, musi go wykonać.

– Dotrzymujesz mi towarzystwa.

– Towarzyszę szacownemu reprezentantowi Stanów Zjednoczonych w jego królewskiej podróży.

– Tak ci zasugerował dowódca?

– To nie była sugestia – ponuro oznajmił chłopak.

Skrzyżował ręce na klatce piersiowej, opuścił głowę i zasnął niemal natychmiast.

Harry’ego również było mu żal. Z wielu względów. Na początku wojny marzył tylko o lataniu. John pamiętał, jak rodzice Harry’ego kłócili się przy stole w Rutherford na wieść o tym, że ich syn się zaciągnął. John został wtedy wyproszony z jadalni. Pamiętał rosnące przerażenie na twarzy Octavii, jej podniesiony głos. Sfrustrowany William nazywał syna idiotą, a Octavia z mizernym skutkiem próbowała wynegocjować porozumienie pomiędzy nimi.

– Harry, nie musisz iść na wojnę – powiedziała żałośnie. – Twojemu ojcu naprawdę nie przeszkadza, że latasz...

– Matko, nie potrzebuję twojego pozwolenia – brzmiała odpowiedź Harry’ego.

Oznajmił, że jedzie na szkolenie do Upavon w Wiltshire. Patrzyli na niego z przerażeniem. Octavia zasugerowała, że Gould powinien mu towarzyszyć.

Oczywiście John rozumiał jej motywację. Ona ani William nie mogli jechać, a John miał swobodę działania, był zaledwie gościem z Ameryki. Mógł znaleźć pretekst do szwendania się po kraju i pojechać tam gdzie Harry. Mógł być jej oczami i uszami. Jednak Harry zaprotestował.

– Nie potrzebuję niańki, na Boga. Mam dziewiętnaście lat.

„Mój Boże – pomyślał teraz John – to było ledwie trzy lata temu”. Nawet nie. Niecałe. Zanim wybuchła wojna, mieli piękne lato. Zostali z Octavią kochankami niecały miesiąc wcześniej. W jadalni panowała napięta atmosfera z kilku powodów. John wciąż widział przystojną, młodą twarz Harry’ego, jego idealizm i ekscytację. Pamiętał, jak chłopak raz za razem zaciskał pięści, próbując zachować spokój i nie wybiec z pokoju. I wciąż miał przed oczami błagalny uśmiech Octavii.

Harry w końcu obrócił się na pięcie i wyszedł. Przy drzwiach stanął obok

lokaja Harrisona. Odwrócił się do ojca.

– Mam już serdecznie dość ludzi, którzy otwierają mi drzwi! – wykrzyknął. – Dlaczego pan Gould miałby otwierać mi drzwi w Upavon? Dlaczego Harrison ma je komukolwiek otwierać?

Gould westchnął ciężko. Harrison zginął w 1915 roku w miejscu zwanym Cinque Rue, niedaleko wzgórza Aubers. To tam dziewiątego maja poległo jedenaście tysięcy brytyjskich żołnierzy. Wielu umarło w odległości zaledwie kilku jardów od okopu, bo ostrzał artyleryjski nie zrobił na wrogu niemal żadnego wrażenia. Dzielni mężczyźni, a wśród nich Harrison. Przeżył na ziemi niczyjej kilka godzin. Kiedy po niego przyszli, wciąż był przytomny i mówił o powrocie do Rutherford. Jednak umarł, zanim doniesiono go do okopu.

Harry wciąż spał. John podniósł się i powoli ruszył przez pociąg, co chwila ustępując drogi pielęgniarce, które biegały tam i z powrotem. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy czyims łóżku i napotykał błagalne spojrzenie.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pytał.

Wyciągał notatnik i kucnął przy rannym. Temperatura w pociągu rosła, pot zaczynał spływać Gouldowi po plecach.

– Słucham – powtarzał. Zapisywał adresy i nazwiska. – Do Evy Marshall... Do Adelaide Black... Mojemu najdroższemu ojcu... Droga matko...

Nie wiedział, czy będzie mu wolno wysłać te wiadomości. Z pewnością nie zamierzał ich drukować. Ale mimo wszystko nie przestawał notować.

– Dałem radę – powiedział jeden chłopak, patrząc na piszącego Johna. – Powiedz jej, że... powiedz... – Złapał Amerykanina za nadgarstek. – Powiedz jej... – John rozejrzał się w poszukiwaniu wody do picia albo chłodnej szmatki. Czegokolwiek. – Mam syna, którego nigdy nie widziałem. Miałem osiemnaście lat, kiedy braliśmy ślub. Mam syna...

– W takim razie masz się czego trzymać – szepnął John.

Twarz chłopaka była dziwnie blada i błyszcząca, oczy przebarwione na żółto. Palce zaciśnięte na jego nadgarstku też pożółkły. Kanarkowe knykcie i purpurowe paznokcie.

– Mam syna...

Po jakimś czasie John wstał i zamknął notatnik. Chłopak nie podał mu adresu, więc musiały wystarczyć numer i imię nabazgrane na relingu koi.

Szeregowy Andreson, Strzelcy Jego Królewskiej Mości. Gould odwrócił się w stronę okna. Na zwrotnicach panował ruch, za nimi widać było stację rozrządową. Dojeżdżali do Poperinge. Zastanawiał się, czy żona szeregowca Andersona kiedykolwiek dowie się, jak i gdzie umarł jej mąż. Tuż przed Poperinge, o ósmej rano, wspominając syna.

John doszedł do końca wagonu. Na przeciwległym końcu dostrzegł Harry'ego, który na migi pokazywał, że zamierza wysiąść.

John skinął głową i poszedł w jego ślady.

*

Nie wiedział dokładnie, czego spodziewać się po miasteczku położonym tak blisko wybrzeża i niemieckiego frontu w zachodniej Flandrii, ale ono funkcjonowało, jakby wojna toczyła się gdzieś daleko. O ile oczywiście człowiek się nie rozglądał, bo wtedy musiał zauważyć, że dziewięciu na dziesięciu mijanych ludzi nosiło mundury.

Miasto dosłownie falowało. Zatrzymali się przy ratuszu, który, co zakrawało na cud, był całkiem nowy. Błyszczący bielą w słońcu budynek postawiono zaledwie sześć lat wcześniej. Można było jednak odnieść wrażenie, że nie jest to już gmach użyteczności publicznej. Wiszące na nim flagi wskazywały, że znajduje się tam kwatera główna dywizji. Harry zmarszczył nos.

– Za dużo wierchuszki. Siedzą tu sobie w luksusie, gdy młodzi idą walczyć. Założę się, że wychodzą na schody i machają na pożegnanie. Dupki.

John nie skomentował. Cavendish popatrzył na niego.

– Jak sądzisz, ilu ich tu jest?

– Co masz na myśli? Armię, ludzi?

– Tak. Ilu?

– Nie wiem. Mijaliśmy po drodze sporo kwater i obozów.

– Ćwierć miliona – oznajmił Harry. – Wszystkich trzeba nakarmić i napoić. Wyobraź sobie związaną z tym logistykę. Powinieneś o tym napisać.

– Napisałem. Jeden z pierwszych artykułów, pięć tygodni temu, był o magazynach kwatermistrzowskich w Albert.

– Hmm... – Harry znów wskazał głową ratusz. – Wiesz, co jeszcze tam jest? Cele śmierci. Pisałeś o nich?

– Wojskowe?

– Twoim czytelnikom może być trudno to zrozumieć. Raczej nie zaryzykujesz. Rok temu był u nas gość. Takie historie roznoszą się jak pożar. Został ranny. Miał wracać do domu. W kawiarni Lalka rozpętała się bójka. Ten cholerny idiota wyciągnął pistolet i kogoś zastrzelił. Miejscowego. Z powodu ceny butelki szampana.

– Dobry Boże! I co się z nim stało?

– Trzymali go ponad tydzień. Ocena lekarska. Ludzie, którzy z nim walczyli, twierdzili, że klepki mu się poprzestawiały. Był w okropnym szoku, rozumiesz. Spadł razem ze strutterem, w którym karabin maszynowy skierowany jest do tyłu. Cenny nabytek. Jego strzelec dostał. Strzelał przez śmigło – jeśli się chce, w strutterze można tego dokonać – i wpakował ich w straszną zadymę. Spadli tak samo jak ja, obok brytyjskich umocnień. Ale od tamtego czasu gość miał ponoć nie po kolei w głowie. – Harry zamilkł i popatrzył na drugą stronę placu. – Po prostu kłótnia o butelkę szampana.

– Stracili go?

– Tak. Napiszesz o tym?

– Może któregoś dnia.

– Nie teraz?

– To źle wpływa na morale. Tak jak mówisz, przeciętny czytelnik nie zniósłby tego. Chcą otuchy i chwały. Honoru. Jasnego celu.

– Nie mają ochoty czytać, jak ich rycerze się załamują.

– Nie.

Harry zmrużył oczy. Pochylił się odrobinę do przodu.

– Ale pewnego dnia to zrobisz? Opowiesz, jak było? Co tu się wydarzyło? Co oni wszyscy robili? Bohaterowie i szaleńcy?

– Tak.

– Bez bicia w narodowościowy bębenek?

– Bez. Tak jak było. Daję ci słowo, Harry.

Cavendish opierał się o ścianę. Teraz wyprostował się i westchnął.

– Chcesz się wybrać do Petit Paris? – spytał nagle. – Podobno jest po drugiej stronie miasta. Żandarmeria i komendant przymykają na niego oko.

– Uśmiechnął się gorzko. – Ale nie na hazard. Gra w kości jest ich zdaniem znacznie gorsza niż wykorzystywanie biednych dziewczuch, które miały tego

cholernego pecha, że zostały wysiedlone. – Zmierzył Johna spojrzeniem z góry do dołu. – Potrzebujesz dziewczyny?

– Nie, nie.

Harry się uśmiechnął.

– Ja też nie. Chodźmy się napić. Kawa i kieliszek wina. Czy jeszcze za wcześnie na alkohol?

John pomyślał o chłopaku z pociągu i uścisku zażółconych palców.

– Nie. W sam raz.

*

Mijali kawiarnię za kawiarnią, gdzie Francuzi, Algierczycy, Brytyjczycy i Sikhowie gromadzili się wspólnie. John słyszał akcent z Nowej Zelandii, widział w tłumie twarzy maoryskie rysy. Nowa Zelandia. Australia. Indie. Chiny. Wkrótce dołączą do nich Amerykanie. Lada moment. Zastanawiał się, czy niemiecka armia zdoła oprzeć się wszystkim. Szczerze w to wątpił. Osobiście sądził, że wojna może zakończyć się przed tym Bożym Narodzeniem. W 1917 roku. Wyobraził sobie Poperinge wolne od oddziałów, pojazdów, przedstawicieli różnych narodów, stukotu i brzęku pociągów i samolotów.

Minęli U Cyryla, Skindles i restaurację Savoy. Harry uśmiechnął się do niego.

– To nie Savoy, jaki znamy – stwierdził.

W menu znalazła się ryba z frytkami, zapisana po angielsku. Nie *frites*, Nie *poisson*. Ryba, frytki i piwo. Jajecznica i herbata. Od czasu do czasu mijali miejsca, którym właściciele starali się nadać bardziej przytulny wygląd. Na stołach leżały obrusy, w wazonach stały bukiety kwiatów. „Duch nigdy nie umiera” – pomyślał John.

– To tutaj – oznajmił Harry. – Dokładnie w tym miejscu, tak jak mówili. *La Poupée*. Lalka.

Weszli do niewielkiej kawiarni. Nad drzwiami wisiał napis: „Tylko dla oficerów”. Na tyłach, pod szklanym dachem, znajdował się niewielki ogród. Harry odsunął krzesło, usadowił się i położył nogę na sąsiednim siedzeniu.

– Bardzo boli? – spytał John.

Harry machnął ręką. Podeszła do nich kelnerka. Przetarła stół,

uśmiechnęła się, przyjęła zamówienie i zniknęła w zakamarkach kuchni.

– Ruda – mruknął Harry. – Jak Caitlin. – Zaczął stukać palcami po stole.

– Harry – zaczął Gould – mniej więcej za tydzień wracam do Anglii, tak samo jak ty. Przypuszczam, że nogę zoperują ci szybko, więc przez jakiś czas będziesz unieruchomiony. Chciałbyś, żebym spróbował ją znaleźć?

– Zrobiłbyś to?

– Z przyjemnością.

– Powinna pracować tam gdzie wcześniej. Ale... – Harry zamilkł, gdy przyniesiono kawę. – Tak naprawdę nie wiem. Nie rozumiem, dlaczego się ode mnie odcięła. Wydaje mi się, że cierpi.

– Poszukam jej, Harry. Kiedy będziesz w szpitalu. – John zamilkł na chwilę, patrząc na siedzącego przed nim młodego człowieka. – Wrócisz do Anglii, pójdziesz do szpitala?

– Możliwe – niejasno zgodził się młody Cavendish.

Gould zmarszczył brwi. Przecież syn Octavii miał wkrótce wracać do Anglii.

– Harry... Jedziesz do domu, prawda?

– Mam rozkazy – odparł chłopak.

John wiedział, że to nie miało wielkiego znaczenia. Octavia obawiała się, że Harry nie jest szczególnie posłuszny nawet wobec swoich przełożonych. W głębi serca wciąż był beztroskim chłopakiem. Gdyby uważał, że zachodzi taka potrzeba, zrobiłby wszystko, nawet porwał samolot.

– Chyba nie myślisz o lataniu w Nieuwpoort? – spytał.

Najwyraźniej uderzył w czułe miejsce.

– To byłoby z mojej strony strasznie głupie. – Harry spojrzał mu prosto w oczy. – Prawda?

– To nowy teren. Bardzo kuszący. Rekonesans?

Harry wreszcie uśmiechnął się do niego krzywo.

– Co wiesz o operacji „Sza!”?

– Nic. Dlaczego pytasz?

Chłopak zrobił zdziwioną minę, po czym odwrócił wzrok. Kelnerka przyniosła wino.

– Nieważne – powiedział.

Dziewczyna postawiła przed nim karafkę i dwie szklanki. Harry podniósł naczynie, powąchał zawartość i zawołał ją ponownie.

– Macie burgunda?

– Mamy, z dobrego rocznika, *monsieur*. Ale jest drogi.

– Proszę, przynieś. I zabierz to.

Wykonała polecenie. Harry zamknął oczy.

John pochylił się do przodu, przysunął krzesło do towarzysza, żeby nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Czy przysłano mnie tutaj z powodu tej operacji? – spytał.

– Jeśli nic ci nie powiedzieli, ja też nie mogę tego zrobić.

– Proszę, Harry.

Chłopak otworzył oczy.

– Za dwadzieścia cztery godziny i tak się dowiesz. Do tego czasu znajdziemy się w Nieuwpoort.

– Wiem, że tamta okolica znalazła się pod wodą. Belgia otworzyła śluzy, prawda? Morze zalało poldery. Niemcy myślą, że to naturalne zjawisko, jakiś przypływ, powódź wiosenna albo coś w tym rodzaju. Walczyli, aż woda zaczęła sięgać im do kolan, i dopiero się wycofali.

Harry skinął głową.

– Właśnie tak.

– A teraz... nacieramy z Nieuwpoort – domyślił się John. – Do Belgii.

Harry się uśmiechnął.

– Ode mnie tego nie usłyszałeś.

– Do tego potrzeba znacznie więcej ludzi – zamyślił się Amerykanin. – Skąd przyjadą? Z południa?

Wiedział, że w lutym Niemcy nagle wycofali się na teren zwany linią Hindenburga, oddając mile zachodniego frontu, którego utrzymanie kosztowało tak wiele istnień ludzkich. Okopali się tam, wybudowali olbrzymie stanowiska obronne. Rozległe tereny ponownie znalazły się w rękach Brytyjczyków i tamtejsze oddziały można było na jakiś czas przesunąć gdzie indziej.

Przyniesiono burgunda. Mężczyźni zapełnili szklanki i poczekali, aż dziewczyna znów się oddali. Na zewnątrz wciąż świeciło słońce, a w niewielkim ogródku śpiewały ptaki. Tak ciężko było uwierzyć, że rozmawiają o kolejnej jatce.

– Musimy dotrzeć do samego brzegu – zastanawiał się John. Myślał na głos, lecz mówił niemal szeptem. – To znaczy, że w działania włączy się marynarka.

Harry nic nie powiedział. Widać zdradził więcej, niż powinien. Zapatrzył

się w ogród, a jego kieliszek był niemal pusty.

– Panie Gould – mruknął – czego chciałyby ode mnie matka?

– W jakim sensie?

Harry poruszył się na krześle. Na jego twarzy rysowało się ogromne znużenie.

– Czy spodziewa się, że wrócę do Rutherford?

– Tak mi się wydaje. Czy nie to właśnie robi jedyny syn i spadkobierca? Dziedziczy?

– Oczywiście, że dziedziczę – zezłościł się Harry. – Czy tego chcę, czy nie.

– A nie chcesz?

To była dla Johna nowość. Rodzice Harry’ego też z pewnością byliby zaskoczeni.

– Nie chodzi o to, że nie chcę zajmować się Rutherford albo o nie dbać. Ale chciałbym zwiedzić kawałek świata. Jak ty.

– I zabrać ze sobą Caitlin?

– Gdybym mógł.

John zamilkł.

– Pytałeś ją?

– Nie. Jak można pytać o coś takiego w środku wojny?

Gould dolał im wina. Wzniesli kieliszki w geście toastu.

– Twoje zdrowie, Harry.

Cavendish poruszył nogą. Schylił się i potarł ją, pomasował mięsień łydki. Skrzywił się z bólu.

– Podobno ma powstać obóz szkoleniowy dla amerykańskich pilotów – powiedział. – Wspominano, że mógłbym tam pojechać.

– Tak? Gdzie?

– W Teksasie. W obozie Taliaferro.

John gwizdnął cicho.

– Tak, też o tym słyszałem. W Londynie, jakiś czas temu. To cholernie daleko.

Natychmiast pomyślał o tym, jak szczęśliwa byłaby Octavia na wieść, że Harry opuścił Francję, nawet jeśli miałby się znaleźć po drugiej stronie Atlantyku. Potem przyszło mu do głowy, że syn Octavii mógłby tam dojść do siebie, poczuć się wolny. Uśmiechnął się szeroko.

– To dobre miejsce? – spytał Harry.

– Inne. Wielkie, otwarte przestrzenie. Mnóstwo miejsca. Różni się od Londynu. Od Yorkshire też, tak bardzo, jak to możliwe. Z pewnością latanie tam byłoby bardzo ekscytujące. Przyjemne.

– Żaden sprytny Hun nie wisiłby mi na pieprzonym ogonie – zgodził się Harry. – Czy Teksas to pustynny stan?

– Częściowo.

Harry powoli skinął głową.

– Chciałbym pojechać gdzieś, gdzie słońce przepaliłoby mnie do kości. Gdzie mógłbym oddychać pustym, czystym powietrzem szerokiego, rozległego kraju.

– A co z domem? Z Anglią?

– Och, sądzę, że w końcu bym wrócił. Przecież tego broniłem przez ostatnie trzy lata.

– Ale nie do Rutherford?

– Gdyby Caitlin była ze mną, ona podjęłaby decyzję.

– Sądzisz, że nie chciałaby być panią w Rutherford?

– Czy moja matka tego chciała? – spytał Harry.

– Hmm, rany... – Zamyślił się John. – Gdyby okoliczności były inne...

– Masz na myśli, gdyby była kochana.

John nie odpowiedział. Uważał, że nie powinien. Harry postukał w stół.

– Nie chcę otaczać jej murem. Rutherford to ogromna odpowiedzialność. – Zamilkł. – Chcę spokoju.

– Wszyscy go pragną – zauważył John. – W Rutherford jest go pod dostatkiem.

– Spokoju bez zmartwień. Bez obowiązków.

– Sądzisz, że Rutherford byłoby dla twojej ukochanej zmartwieniem, więzieniem?

– Może. Nie wiem. Ale pragnę Caitlin bardziej niż Rutherford. – Stuknął szklanką w stół. – Chciałbym, do diabła, wiedzieć, co się z nią stało. Ostatnią wiadomość od niej dostałem ze statku szpitalnego.

– Którego?

– Nie napisała. Pewien oficer marynarki mówił mi, że jego brat płynął na HS „Salta” i widział tam rudowłosą pielęgniarkę o imieniu Kate. To jak szukanie igły w stogu siana. Mam tego świadomość. Myślałem, że może dostała obowiązkowy urlop. Ale potem zastanawiałem się... doświadczona pielęgniarki są na wagę złota... Nie odeszłyby. – Ukrył twarz w dłoniach,

a po chwili opuścił ręce na kolana. – Nie wiem, gdzie ona może być. Nie mogę przestać o tym myśleć.

– Czy Charlotte czegoś się dowiedziała?

– Nic nie pisała. Dostałem od niej może ze dwa krótkie listy. Ten ostatni napisał jakiś pomocnik jej męża. Podobno złamała nadgarstek. Upadła.

– Czyli pewnie nie była w szpitalu.

– Wszystko jedno – zdenerwował się Harry. – Mogłaby się dla mnie wysilić.

John widział, że chłopak gotuje się z bezsilności, chociaż bardzo stara się to ukryć.

– Znajdę Caitlin – zapewnił go, dokładając kolejną obietnicę do tych złożonych rano. Zamierzał wszystkich dotrzymać. Popatrzył na niebo przez szklany dach małego tarasu. Pomyślał o słońcu przeświecającym przez sufit oranżerii w Rutherford. – Rutherford to piękne miejsce – stwierdził w końcu. – Naprawdę myślisz, że mógłbyś go nie przejmować? W końcu jesteś synem.

– Tak – mruknął Harry. Potem się zaśmiał. – Ale wiesz, że w tej rodzinie mamy w zwyczaju ucieczki. Ja, matka, Louisa. Słyszałem, że moja siostra wróciła, ale na jak długo? Poza tym jest jeszcze jedna osoba, o której muszę myśleć. Moja córka, Sessy.

John przyjrzał mu się. Na twarzy Cavendisha pojawił się przeblysk czułości.

– Słodkie dziecko – wymamrotał Gould.

– Jaka czeka ją przyszłość, jeśli przejmę Rutherford? – spytał Harry. – Zawsze mnie to przygniatało. A jeżeli nie będę już mieć więcej dzieci? Jeśli ona, tak samo jak Charlotte, będzie wściekać się na związane z majątkiem ograniczenia? Sessy skończy dwadzieścia jeden lat w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Czy powinienem oddać jej Rutherford wtedy, czy w czterdziestym, kiedy skończy dwadzieścia pięć lat? Skąd weźmie zyski, jak będzie nim zarządzać? Świat się rozpada. Ciężko znaleźć służbę czy pracowników. Kto będzie chciał po powrocie z wojny przyjmować rozkazy?

– Chyba nieco się zagalopowałeś.

– Naprawdę? Miałem sporo czasu na rozmyślanie, zwłaszcza kiedy raz za razem kroili mi nogę. Świat się zmienił. Wiesz, ile mieliśmy służby w roku, w którym się urodziłem? Trzydzieści osób! Pracowało u nas na przykład

czterech pomocników ogrodnika. – Zaczął na palcach odliczać nazwiska. – Poza Bradfieldem mieliśmy też zastępcę kamerdynera. Pokojówki, praczki, kucharki, pomywaczki. Słyszałem od ojca, że teraz panna Dodd i pani Carlisle z trudem kierują same tym majdanem. Wiesz dlaczego? Bo ludzie chcą więcej. Pragną niepodległości.

– Rutherford może pozwolić sobie na służbę, bo ma przędzalnie. Stamtąd pochodzą jego zyski.

– Przędzalnie. Myślisz, że w Anglii zawsze będzie zapotrzebowanie na bawełnę i materiały wełniane? Może taniej będzie wyprodukować je gdzieś na świecie. W innych imperiach. Pomyśl o tym. Sprowadzamy surowe materiały z kolonii. A co, jeśli ich nie będzie? Co wtedy? Co stanie się z przędzalniami?

– Hola! – zaprotestował John. – Trochę przesadziłeś.

– Naprawdę? Anglia to bardzo mały kraj. Bardzo mały. – Zamilkł i spojrzał w stronę wnętrza kawiarni, skąd dobiegały głosy Hindusów. – W odróżnieniu od Indii, które są bardzo duże. Australia jest bardzo duża. Są inne olbrzymie miejsca, jak Ameryka. Na naszej małej wysepce mamy stary porządek. Archaiczne układy rozpadają się i gniją. I powiem ci coś jeszcze. Znaleźliśmy się w tym bagnie i walczymy z powodu imperiów. Granic. Terytoriów. To wszystko jest takie... głupie. Mało znaczące bzdety.

John oparł się o siedzenie krzesła i popatrzył ze zdumieniem na swojego towarzysza.

– Naprawdę nieźle to przemyślałeś – stwierdził.

– Chcę stać się częścią nowego, nie starego – odparł Harry.

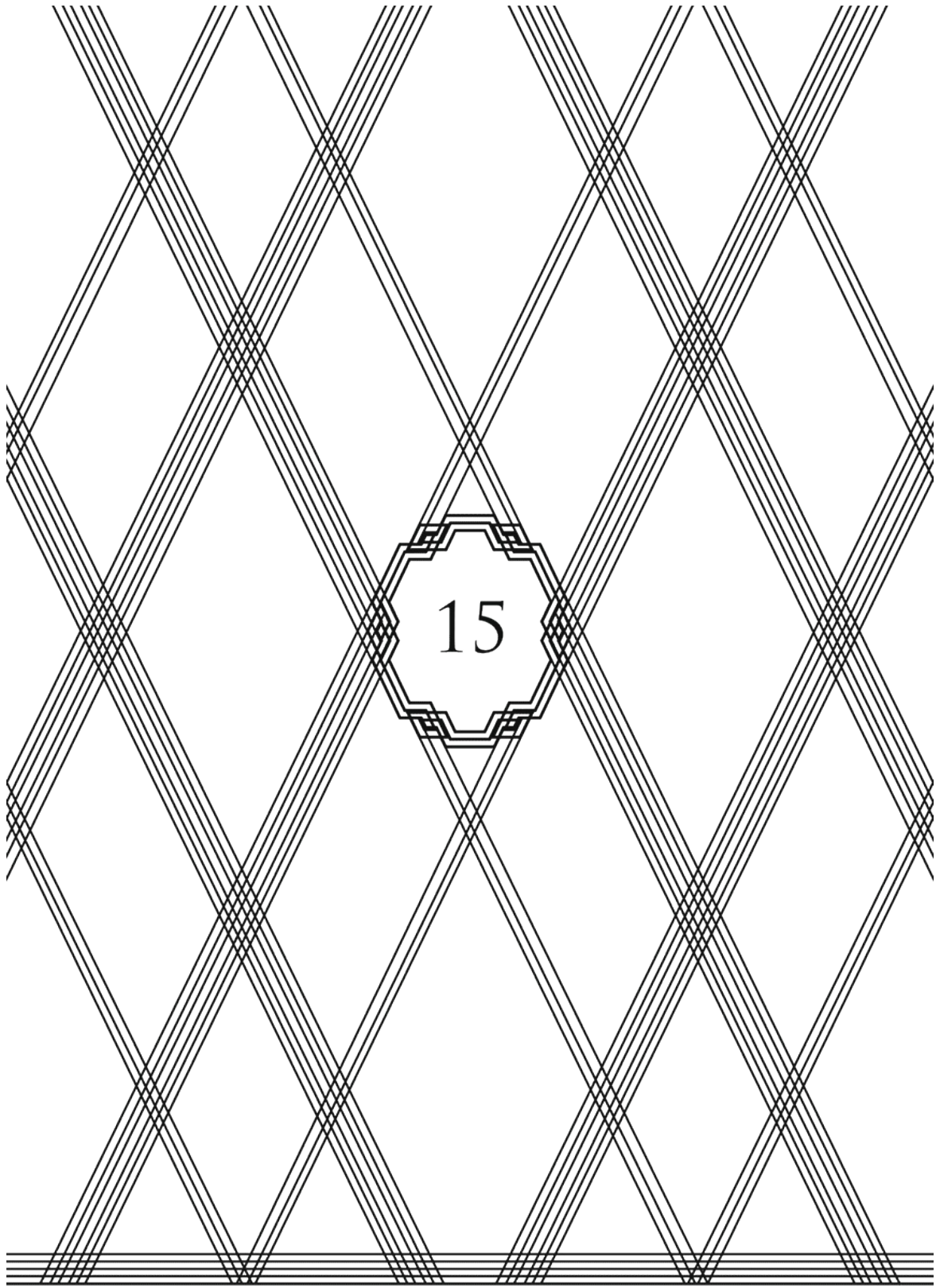
– I porzucić Rutherford.

Młody mężczyzna westchnął ciężko i przeczesał ręką włosy.

– Och, któż to, do diabła, może wiedzieć. Tak naprawdę nie chcę tego. Po prostu mam wrażenie, że wszystko się rozwała. Pewien jestem tylko, że muszę znaleźć Caitlin. Zobaczyć ją i z nią porozmawiać. Znajomość z nią jest jedyną dobrą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w czasie wojny.

– I namówić ją, żeby za ciebie wyszła.

Harry nie odpowiedział. Ale podniósł kieliszek i opróżnił go do dna jednym haustem.



W Londynie zaczął się piękny dzień.

Octavia stała w oknie sypialni i spoglądała na Tamizę, migoczącą między drzewami na nabrzeżu. Ogród był w pełnym rozkwicie. Krzaki białych i kremowych róż okalały bramę, słońce oświetlało trawnik. Ułożona z cegieł ścieżka przypominała dróżkę wokół klombu różanego w Rutherford. Jak niewielkie było Cheyne Walk w porównaniu z rodzinnym majątkiem. Mały raj.

Kiedy po raz pierwszy przyjechali z Johnem do Londynu, zajęli apartament w Claridge. Każdego ranka budziła się z myślą, że cudowny powrót Johna okaże się snem, a ona znów znajdzie się w Rutherford i resztę życia będzie musiała przeżyć jak najlepiej bez niego. Oboje bali się zasypiać z tego samego powodu. Każde z nich sądziło, że to drugie jest wyśnionym duchem. Dziwna myśl, ale rzeczywistość wydawała się tak bardzo nierealna. John dosłownie powrócił z zaświatów. Tak długo błąkał się samotnie, zdezorientowany i dręczony wyrzutami sumienia.

– Tyłu innych zginęło... – powiedział jej w ciągu kilku pierwszych dni.

Całe noce spędzali na rozmowach. Octavia raz za razem całowała jego rękę, gdy opowiadał, jak niemal zamarzł. Płakała, kiedy wspominał, że był na wpół ślepy z powodu rozlanego w wodzie oleju. Opis wiru wciągającego go w głąb oceanu i olbrzymiego kadłuba „Lusitanii” przepływającego w odległości zaledwie kilku cali – tak blisko, że poczuł go pod dłonią – wstrząsnął nią do głębi. Był tak blisko śmierci. O włos.

– Szukaliśmy cię – szeptała w kółko. – William nawet wysłał kogoś do Irlandii, żeby cię znalazł.

John słuchał z pochyloną głową.

– Naprawdę? To bardzo szlachetnie z jego strony. Nie zasługuję na tyle zachodu.

Ten dreszcz emocji, który czuła w pierwszych dniach spędzonych sam na

sam, gdy byli odcięci od świata, chyba nigdy nie minął. Wciąż go czuła. Za sprawą Johna zniknęły wszelkie nieszczęścia i samotność. W jego towarzystwie czuła się niemal pijana, odurzona myślą o nim, jak dziecko, któremu wręczono zbyt wiele podarków. Chciała tańczyć i podskakiwać. Wybiec na ulicę i krzyczeć. Złapać najbliższego, Bogu ducha winnego przechodnia, potrząsnąć nim i powiedzieć: „On tu jest. Czy to nie cud? Czyż to nie wspaniale?”. W lustrze widziała, że nieustannie się uśmiecha, nie mogła przestać. Ileż razy pomyślała: „A więc tak wygląda prawdziwe szczęście. To takie uczucie być kochanym, szaleć z radości. Wyrwać się z otępienia”.

Byli dla siebie jak nowe światy.

Znów o tym pomyślała i szybko zmówiła żarliwą modlitwę, by Bóg po raz kolejny przyprowadził do niej Johna całego i zdrowego. Louisa przyjechała z nią do Londynu, co częściowo łagodziło agonię oczekiwania. Czuła lekkie ukłucie winy na myśl, że zabrała córkę Sessy i Williamowi, jednak sądziła, że dobrze jej zrobi pobyt w Londynie, choćby przez jakiś czas. Mimo wszystko rozstanie z malutką Sessy okazało się bolesne. Dziewczynka była taka śliczna w płóciennym fartuszk, ze zmierzwionymi, zakręconymi lokami. Louisa raz za razem odwracała się, by ostatni raz spojrzeć na bratanicę.

Octavia uznała, że nadszedł czas, by starsza córka założyła własną rodzinę. Sama uwielbiała Sessy, dziewczynka tak bardzo przypominała jej syna, jednak nie mogła już doczekać się chwili, kiedy to Louisa zostanie matką. Córka ukrywała ogromne pokłady miłości, poza ojcem i bratanicą nie miała nią kogo obdzielić. William też wyglądał na samotnego. Octavia poklepała go po ramieniu.

– Przyślę ci ją z powrotem już wkrótce – obiecała. – Niedługo będzie tu pani Nicholson. Przedstawiłam ją wszystkim. Spodobała się Louisie. Jak rozumiem, nie masz nic przeciwko niej?

William wymownie wzruszył ramionami.

– Zatrudnianie służby nie należy do moich obowiązków. Ale wygląda na miłą osobę.

Rzeczywiście, pani Nicholson okazała się przyjemną niespodzianką. Trudno było zapomnieć smutną, zdesperowaną twarz Elizabeth Kent, więc Octavia w głębi duszy spodziewała się rozpustnej harpii. Ale żona dzierżawcy okazała się drobna, schludna i uczciwa, a także przyzwoicie

wykształcona. Nie była typową gospodynią, ale nie wyglądała też na potencjalną kochankę żyjącego ułudą arystokraty. Mówiła z ładnym akcentem i dotarła na rozmowę z Octavią przed czasem. Nie dygała ani w inny sposób nie starała się przypodobać lady Cavendish, lecz odwzajemniła jej spojrzenie z całkowitym spokojem. „Nada się” – zdecydowała Octavia niemal natychmiast.

Uśmiechnęła się ponownie do Williama w dniu wyjazdu. Włożyła rękawiczki i popatrzyła na długi podjazd.

– Poprosiłam, żeby kopie planów budowy starego warsztatu gręplarskiego przysłano mi do Londynu. Kiedy już rzucisz na nie okiem...

– Dam ci znać, co o tym sędzę – obiecał. – Pojadę tam osobiście, porozmawiam z Ferrowem i przyjrę się wszystkiemu.

Uśmiechnęli się do siebie przelotnie. Octavia wsiadła do taksówki, a Louisa za nią. William uniósł wysoko głowę i wyprostował plecy. Twarz miał pozbawioną wyrazu. Obojętną. Odwrócił się i wszedł do domu, zanim samochód zdążył odjechać.

*

Za jej plecami Amélie sprzątnęła z łóżka nocną koszulę.

– Nareszcie świeci słońce, proszę pani.

– Rzeczywiście. Myślę, że pójdziemy dziś z dziewczętami na Tower Bridge. To nam dobrze zrobi.

– Pani Preston przychodzi w odwiedziny?

– Tak, spotkać się z nami obiema. – Octavia uśmiechnęła się i z czystej przyjemności klasnęła w dłonie jak mała dziewczynka. – Mój Boże. Ostatnio spędziłyśmy wspólnie czas w Boże Narodzenie. Przynajmniej złamany nadgarstek pozwolił Charlotte wykręcić się z tej okropnej pracy w szpitalu.

– Była z wizytą, kiedy pani pojechała do domu.

Octavia się zdziwiła.

– Naprawdę? Coś takiego. Przyszła bez zapowiedzi? Po co?

– Nie wiem, *madame*. Przykro mi. Myślałam, że pani o tym wie.

– Nie miałam pojęcia. Nie dostałam od niej listu. – Octavia zmarszczyła brwi. – Dziwne. Mówiła coś? Zostawiła wiadomość?

– Nie, proszę pani. Zawołano mnie, żebym z nią porozmawiała. Przyszła z kimś znajomym... Nie znam imienia...

– Z przyjaciółką?

– Tak, proszę pani. Christa...

– Christine Nesbitt, artystka?

– Właśnie tak – ucieszyła się Amélie. – Była ubrana jak artystka.

– I nic nie powiedziały, po prostu przyszły i poszły?

– Tak, *madame*.

Octavia patrzyła z roztargnieniem na toaletkę. Zastanawiające. Charlotte nie napisała ani nie telefonowała. Zapewne Christine pomagała córce, bez wątplenia. Próbowwała wyciągnąć ją ze stanu zubożenia. Artystka doskonale się do tego nadawała. Chociaż... Octavia westchnęła. Panna Nesbitt była nieco zbyt szybka, zbyt dziwaczna. Przez chwilę wydawała się urocza, ale na dłuższą metę okazywała się nużąca. Nieodpowiednia przyjaciółka dla Charlotte, zameżnej kobiety z wyższych sfer.

– Cóż... To przynajmniej znaczy, że nie siedzi w domu. A dziś pójdziemy razem na piękny spacer. Wybierzemy się do Simpson's in the Strand na obiad. Kiedyś często chodziliśmy tam z Williamem. Ciekawie, jak bardzo się zmieniło.

– To bardzo porządne miejsce, proszę pani.

Amélie pokiwała głową z aprobatą. Pod pewnymi względami była bardzo staroświecka. Octavia przypuszczała, że pokojówce mogło się nie spodobać, jak potoczyły się sprawy w ostatnim roku, zwłaszcza jeśli chodziło o nią. Ale nie mogła nic powiedzieć, to byłoby nie na miejscu. Octavia przyglądała się jeszcze przez moment krzątającej się Amélie.

– Czy panna Louisa wstała?

– Jakiś czas temu.

– Naprawdę? – zdziwiła się Octavia.

W Rutherford jej córka nie miała w zwyczaju wstawać. Oczywiście była wtedy bardzo młoda. Nie spotkała jeszcze Charlesa de Montfort. Jej dni wypełniały wtedy bale i flirty, była u szczytu popularności, a przyszłość rysowała się w różowych barwach. Od tamtego czasu wiele się zmieniło.

– Zejdę na dół – powiedziała cicho Octavia.

Kiedy weszła do jadalni, Milly właśnie zamykała przeszkłone drzwi do ogrodu.

– Dzień dobry. Panna Louisa poszła do altanki.
– W takim razie zostaw drzwi otwarte. Wpuść trochę świeżego powietrza. Dołączę do niej. Przyniesiesz nam herbaty?
– Oczywiście, proszę pani. Zaparzę świeżą. Ta już chwilę stoi.
Dziewczyna wyszła z pokoju z czajniczką w ręku.
Octavia spojrzała na stół. Dostarczono poranną pocztę. Przejrzała ją. Ze zdumieniem zauważyła, że jedna z kopert jest zaadresowana charakterem pisma Harry’ego. Natychmiast otworzyła list.

Moja najdroższa matko,

Pewien nadzwyczaj irytujący człowiek o imieniu John Gould kazał Cię powiadomić, że jesteśmy w drodze do portu. Ma przykry zwyczaj uśmiechania się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak Ty to znosisz, na Boga?

Zatrzymaliśmy się po drodze w miejscu, którego nazwy zabroniono mi wymieniać. Byliśmy też oczywiście w miejscowości, której nazwy również nie mogę ci podać. Mogę za to napisać, że było gorąco i, powiedzmy, wygórowanie. Ten list nadam w kolejnym punkcie. Mam nadzieję, że do Ciebie dotrze.

Kazano mi wracać do Anglii i ponownie naprawić nogę. Nie zastanawiaj się, czy sprawa jest poważna. Ja uważam to raczej za utrapienie. Jednak bardziej niż o parszywą kończynę martwię się o Caitlin. Nie dostałem od Ciebie ani od Charlotte żadnych wiadomości. Czy dowiedziałyście się czegokolwiek? To dziwne, że zapadła się pod ziemię. Chyba że jest bardzo chora. Jestem przekonany, że nie zignorowałyby Cię, gdybyś próbowała się z nią skontaktować. Masz dla mnie jakieś wiadomości? Prawdopodobnie wrócę do domu przed końcem tygodnia.

Pan Gould okazał się przyzwoitym towarzyszem. Poleciał przekazać Ci pozdrowienia, których nie mógł napisać osobiście, ponieważ zarekwirowałem jedyny skrawek papieru na całym zachodnim froncie.

Czy mogłabyś powiadomić ojca o moim planowanym powrocie?

Harry

Uszczęśliwiona Octavia wyszła do ogrodu z listem w dłoni. Nie mogła się

doczekać, aż jej syn wróci do domu. Czuła się samolubna i zachłanna jak dziecko, bo chciała wsadzić go na najbliższy statek do domu. Cichy głosik w jej głowie wciąż powtarzał: „Nie próbujcie go ode mnie oddzielić”. Ale przecież Harry nie należał do niej. Był mężczyzną i służył ojczyźnie. Mimo wszystko, w głębi serca, nie wierzyła w to. Nie przestał być jej synem, dzieckiem. Jego miejsce było przy niej. Pamiętała drobne chłopięce dłonie, które opierały się na jej dłoniach. Teraz czuła się podobnie. Walczyła, żeby go chronić, ale nie mogła zrobić nic, by zmienić zdanie. Martwiła się tak okropnie, że strach niemal całkiem nią zawładnął. Dziwne. Dlaczego właśnie teraz, kiedy miał wracać, tak strasznie się bała? Tak bardzo denerwowała?

„Obaj wrócą do domu w tym tygodniu” – zapewniła się stanowczo. „Będą tutaj, w Anglii. Harry i John. Za kilka dni. Ciesz się. Nie bądź śmieszna. Nie bądź słaba”. Zamknęła oczy i w ciepłych promieniach słońca przyłożyła list do ust.

– Proszę, Boże – wyszeptała.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, zauważyła Louise w altance w odległym końcu ogrodu. Dziewczyna siedziała bokiem do matki i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Octavia podeszła do niej.

– Witaj, kochanie.

Córka podskoczyła, jakby nie usłyszała jej nadejścia.

– Och. Witaj, matko.

– Cudowny dzień.

– Tak. – Louisa przesunęła się odrobinę na ławce i zebrała spódnicę. – Jest dość miejsca dla dwóch osób.

– Dziękuję. – Octavia usiadła. Podniosła list. – Popatrz. To od Harry’ego. Wraca do domu.

Louisa wzięła go. Przeczytała tekst uważnie, bardzo powoli. W końcu odłożyła kopertę i się uśmiechnęła.

– Co za ulga.

Octavia popatrzyła z uwagą na córkę.

– Co się dzieje? – spytała. – Chyba nie płakałaś?

– Nie, ależ skąd. – Louisa otarła twarz. – Ale powinnam płakać nad tym listem. Może obie powinnyśmy. Z ulgi. – Uśmiechnęła się. – Dlaczego „wygórwanie”?

– Pisano o tym w gazetach kilka dni temu, prawda? O wielkim triumfie

pod Messines.

– Ach, o to chodzi.

– Dziesięć tysięcy ludzi zginęło w dziesięć sekund – powiedziała ze smutkiem Octavia. – Wysadzono olbrzymie ilości ładunków wybuchowych w tunelach pod niemieckim frontem. Może Harry to słyszał. Ponoć był to najgłośniejszy wybuch, jaki kiedykolwiek słyszano na ziemi. Musiał coś poczuć. Albo nawet widzieć. – Zadrzała mimowolnie.

– Tak, to możliwe. Nie wiem. Wydaje mi się to bardzo tchórzliwe.

– Nie możemy nazywać tego tchórzostwem, kochanie. Niemcy zachowują się tak samo. Mamy wojnę.

– To takie niebrytyjskie.

– Nie wiem, czy armia może sobie pozwolić na grę *fair*. Wojna to nie mecz krykieta.

Louisa na moment przyłożyła rękę do twarzy.

– Rzeczywiście. Krwawe okropieństwo.

Głos córki załamał się, ale Octavia nie mogła tego skomentować, bo nadeszła Milly z imbrykiem świeżej herbaty. Lady Cavendish zachowała spokój i nalała im po filiżance. Potem oparła się o siedzenie i przyjrzała Louisie.

– Równie dobrze możesz mi powiedzieć.

– Co masz na myśli? – spytała dziewczyna. Wciąż nie patrzyła matce w oczy.

– Kochanie, powinnaś o czymś wiedzieć – zaczęła Octavia. – Ktoś do mnie o tobie napisał. O listach, które przychodziły do ciebie w Rutherford.

– Jakich listach?

Octavia zamieszała herbatę, po czym uśmiechnęła się z ociąganiem.

– Naprawdę łatwiej nam będzie rozmawiać, jeśli przestaniesz mnie okłamywać – zauważyła ostrożnie.

– Okłamywać! – wykrzyknęła Louisa. W końcu odwróciła się i popatrzyła na matkę. – Nie okłamałam cię. Jak możesz tak mówić!

– Wydaje mi się, że miałaś taki zamiar – stwierdziła spokojnie Octavia. – Równie dobrze możemy być ze sobą szczerze. Czy Jack Armitage pisuje do ciebie z Francji?

Louisa otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale zmieniła zdanie na widok wyrazu twarzy matki.

– Z pewnością to nikomu nie szkodzi – wyszeptała. Na jej policzkach

pojawił się rumieniec. – Nie wiem, kto ci o tym powiedział – dodała. – Co to kogo obchodzi?

– Sama nie wiem – odparła Octavia. – Wiadomość nie była podpisana. Jednak list wyraźnie napisał ktoś, kto uważa waszą korespondencję za niestosowną. A raczej to, że trzymasz ją w sekrecie.

– To niesprawiedliwe.

– Rzeczywiście, masz rację – zgodziła się lady Cavendish. – I bezczelne. Nie podoba mi się to, kochanie, zwłaszcza że podejrzewam o autorstwo kogoś ze służby.

– Tym bardziej nie powinno ich to obchodzić.

Octavia napiła się herbaty i powoli odstawiła filiżankę na stół.

– Musisz zrozumieć – zaczęła – że koncepcja moralności nie jest właściwa wyłącznie naszej sferze. Tak samo istotna jest dla służących i kupców. Widzą niebezpieczeństwo w spoufalaniu się państwa ze służbą tak samo jak my.

Louisa podniosła wzrok.

– A my je widzimy?

– Co takiego?

– Niebezpieczeństwo w... zażyłości. W niewinnej przyjaźni.

– Czy właśnie tym jest wasza relacja?

– Tak.

– Rozumiem. Czy mogę w takim razie przeczytać jego listy?

Louisa wyglądała na wstrząśniętą.

– Sądzę, że treść listów, które piszę lub otrzymuję, jest wyłącznie moją sprawą.

– Nie zgadzam się i ojciec uważa tak samo. Jesteś naszą córką.

– Rozmawiałaś o tym z ojcem? – przeraziła się Louisa.

– Oczywiście, że tak. Jesteśmy twoimi rodzicami, kochanie. Przejmujemy się tym, co się z tobą dzieje.

Louisie najwyraźniej odebrało mowę. Wciąż była czerwona ze wstydu i złości.

– Nie zrobiłam nic złego – upierała się. Rzuciła matce spojrzenie spod rzęs. – Jeśli się nad tym zastanawiasz. I Jack też.

Octavia próbowała innego podejścia.

– Gdzie on jest?

– Och... Nie może napisać, tak samo jak Harry. I... – Dziewczyna

zamilkła i mocno posmutniała. – On tak bardzo cierpi. Okropnie.

– Dostałaś list dziś rano?

– Skąd ten pomysł?

Octavia westchnęła.

– Przeważnie nie płacze się zupełnie bez powodu.

Louisa mocno zacisnęła usta.

Lady Cavendish pokręciła głową.

– Chcę tego, co dla ciebie najlepsze. Po Charlesie de Montfort...

– Och, wiem, co musisz sobie myśleć! – wybuchnęła Louisa. – Że nie mam za grosz rozsądku.

– Wcale tak nie uważam – zaproponowała matka. – Uważam, że przez de Montforta zobaczyłaś, jaki naprawdę jest świat. Sądzę też, że od tamtej pory zachowywałaś się wzorowo. Wiem, że zawsze lubiłaś Jacka, ale jeśli po Rutherford krążą plotki, coś w nich musi być. Dlaczego ojciec nie wiedział, że listy przychodzą do domu?

– Naprawdę nie wiem.

– Proszę, Louiso.

– Och, dobrze. Przychodzą do ojca Jacka. Josiah mi je dostarcza.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła Octavia. – To okropnie nieuczciwe z twojej strony, że stawiasz pana Armitage'a w takiej sytuacji. Musi to być dla niego bardzo trudne. – Zamilkła i zamyśliła się. – Nie zdziwiłabym się, gdyby to jego żona przesłała wiadomość. Z pewnością czuła się bardzo skrępowana. Jeśli listy są niewinne, jak twierdzisz, dlaczego Jack nie przesyła ci ich po prostu do domu?

Louisa ukryła twarz w dłoniach.

– Bo wiedzieliśmy, że dokładnie tak to zostanie odebrane. Spowoduje niepotrzebne i idiotyczne komentarze.

– Ale ukrywając wszystko, tylko pogorszyliście sytuację – zdenerwowała się Octavia. – Moja droga, pomyśl o jego i swojej pozycji.

Dziewczyna opuściła ręce.

– Pozycji? – powtórzyła. Teraz jej twarz poczerwieniała z innego powodu, raczej ze złości niż zażenowania. – A to dobre.

– Louiso!

– Naprawdę, matko. Mieszkasz tu z mężczyzną, który nie jest moim ojcem, i pouczasz mnie na temat nieprzyzwoitego zachowania.

– Nie pouczam – zaprzeczyła Octavia. – Doradzam ci.

– Och, świetna rada. Ale nie dajesz dobrego przykładu. Czy chcesz powiedzieć: „Zachowuj się, jak mówię, a nie tak, jak ja się zachowuję”?

– Proszę mnie za to przeprosić, Louiso!

– Ani mi się śni – warknęła Louisa.

Ton głosu córki wstrząsnął Octavią jak nigdy wcześniej.

– Wybrałaś życie w atmosferze skandalu. Nie myśl, że ludzie w Londynie nie gadają. Robią to. W Rutherford też. Byłam w zeszłym tygodniu w Richmond i słyszałam, jak dwie kobiety wymawiają twoje imię, kiedy mijałam je na ulicy. Odwróciłam się, a one bezczelnie nie spuszczały ze mnie wzroku. Patrzyły bardzo niemiło.

Serce Octavii zaczęło bić szybciej.

– Przepraszam, jeśli było ci za mnie wstyd.

– Nie wstydzę się ciebie – zapewniła córka. – Mam cudowną matkę i niech ktoś spróbuje twierdzić inaczej. Bardzo cię kocham i podziwiam twoją odwagę. Uważam również, że pan Gould jest miły. Ale oboje jesteście tematem rozmów. Mój ojciec, jak się zdaje, ma złamane serce. Nie mogę udawać, że jest inaczej.

Octavia i Louisa patrzyły na siebie w impasie – dwie kobiety w tym samym kłopotliwym położeniu. Octavia nagle zobaczyła w oczach córki to samo pragnienie, które towarzyszyło jej w związku z Johnem, tę samą determinację, by zaznać odrobiny szczęścia. Zmusiła się do zachowania spokoju.

– Naprawdę myślę tylko o twojej przyszłości – wymamrotała. – Gdyby nie wojna, ten skandal wypchnąłby naszą rodzinę na margines życia społecznego. Próbujemy przetrwać. Ja jestem nieważna, ale wy, dziewczęta, musicie zawrzeć trwałe i stosowne małżeństwa. Twój ojciec i ja popełniliśmy mnóstwo błędów. Proszę, nie powtarzaj ich we własnym życiu.

Louisa siedziała spokojnie, z rękami złożonymi na kolanach. Jej rumieniec zaczynał blaknąć. Sprawiała wrażenie opanowanej.

– Matko – spytała cicho – czy wybierzesz mi męża, zaaranżujesz związek?

– Oczywiście, że nie.

– Przyznajesz, że mam w tej kwestii jakiś wybór?

– Kochanie, z pewnością. Ale...

Louisa podniosła rękę.

– To wszystko, co chciałam wiedzieć. Dziękuję.

Rozmowę przerwała Milly, która nagle zjawiała się w drzwiach na taras.

– Lady Cavendish, ma pani gościa.

Dygnęła lekko i się wycofała.

Za nią stała Charlotte, uśmiechnięta od ucha do ucha. Octavia wstała. Pomyślała, że jej młodsza córka wygląda lepiej. Szarość, która gościła na jej twarzy od czasu wesela, zniknęła wraz z niepokojącym zobojętnieniem. Octavia zrobiła krok do przodu i objęła ją z uśmiechem.

*

Szły we trzy nabrzeżem.

Kiedy dziewczęta ją wyprzedziły, Octavia rozmyślała o tym, jak bardzo są do siebie niepodobne. Louisa była jasnowłosa i zaokrąglona, Charlotte zaś ciemna, chuda i drobna. William nazywał kiedyś Charlotte „swoją małą Hinduską”, a kiedy dziewczynka go nie słyszała, „kluseczką”. Louisa zawsze była jego ulubienicą, „kwiatuszkiem” i „rózyczką”. Octavia często strofowała męża za mimowolne faworyzowanie starszej córki. Ona nie wiedziała, którą bardziej kocha. Każda z córek miała swoje zalety.

Teraz obydwie przystały, oparły się o nabrzeżny mur i patrzyły na rzekę.

Na Tamizie panował wzmożony ruch. W dole biegu rzeka niemal od brzegu do brzegu była zapchana statkami towarowymi i lichtugami. Promy, pogłębiarki, łodzie wycieczkowe, parowce, a nawet niewielkie żagłówki płynęły po jednym z najbardziej ruchliwych kanałów żeglownych na świecie.

Odkąd zaczęła się wojna, pojawiło się wiele jednostek marynarki, a przy niektórych mostach postawiono szanice i kamienne platformy dla reflektorów poszukiwawczych. Na Regent Street albo Mayfair wojna wydawała się odległa, ale tutaj widać było, że to tylko złudzenie. Octavia obejrzała się na Victoria Bridge i przez moment dumiała, jak wiele przejeżdżało nim pojazdów. Został przeznaczony do rozbiórki, wkrótce znikną jego gotyckie, żelazne elementy. Miała nadzieję, że nowa konstrukcja zachowa choć odrobinę romantyzmu. Właśnie na tym moście, gdy spoglądali na rzekę i światła Westminsteru, John wyznał, że kupił dla nich dom.

Ponownie spojrzała na córki. Charlotte mówiła coś do Louisy. Jej słowa sprawiły, że siostra objęła ją w talii i przyglądała jej się z przerażeniem i zdumieniem. Charlotte miała poważną minę i kilkakrotnie pokręciła głową. Wtedy Louisa objęła siostrę za szyję gestem, którego spontaniczność zaskoczyła Octavię.

Ruszyła szybko w ich stronę. Kilkakrotnie musiała się zatrzymać, żeby zrobić przejście dla przepychających się pieszych.

– Co się stało? – spytała.

– Och, mamuniu – szepnęła Louisa.

Octavia nie słyszała tego słowa od lat. Dziewczynki nazywały ją „mamunią”, gdy były małe. Kiedy dorastały, miękko wyseplenione dziecięce słowo zostało zastąpione „mamą”, a ostatnio „matką”.

Popatrzyła po córkach.

– Co się stało? – powtórzyła.

Charlotte rozejrzała się na boki.

– Może gdzieś usiądziemy?

W końcu powędrowały do Ranelagh Gardens. Octavia czuła się jak kaleka, którą trzeba przeprowadzić przez jezdnię, bo córki trzymały ją pod ręce z obu stron. Nie miała pojęcia, co wywołało u nich takie poruszenie. Louisa sprawiała wrażenie wzburzonej, ale Charlotte, która, jak matce wcześniej się zdawało, podzieliła się z siostrą okropną wiadomością, teraz była jakby rozluźniona, może nawet szczęśliwa.

Usiadły w cieniu drzewa na miejskiej ławce. Przechodnie mijali je w drodze na teren szpitala albo zatrzymywali się, żeby popatrzeć na rzekę. Tu i tam mali chłopcy biegali i skrzeczelili jak nieporządne ptaszki, ganiali psy i siebie nawzajem po trawie.

– Powiedz mi – poprosiła Octavia. W tej chwili nagle zrozumiała. Popatrzyła na córkę z szerokim uśmiechem. – Spodziewasz się dziecka.

– Nic podobnego – szybko zaprzeczyła Charlotte i poklepała matkę po ramieniu. – Wątpię, żebym kiedykolwiek miała się go spodziewać.

Siedziała bokiem do matki, a Louisa za nią, na drugim końcu ławki. Octavia zauważyła, że starsza córka nieświadomie i w milczeniu wykręca dłoń.

– Więc co?

– Odeszłam od Michaela.

Na moment zapadła cisza.

– Odeszłaś? – powtórzyła Octavia, kompletnie zbita z tropu. – Masz na myśli dziś, żeby tutaj przyjść?

– Nie, matko. Wyprowadziłam się z domu. Zostawiłam mojego męża. Na dobre. Na zawsze. I... jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie... jestem bardzo szczęśliwa.

– Ale nie mogłaś tego zrobić! – wykrzyknęła Octavia. Może nie brzmiało to rozsądnie, pomyślała, lecz tylko dlatego, że pomysł był niedorzeczny. Charlotte wyszła za mąż niecałe trzy miesiące temu.

– Przykro mi. – Charlotte wyraźnie współczuła matce z powodu jej zdumienia, bo nagle wzięła ją za rękę. – Ale już do niego nie wrócę.

– To tylko kłótnia – postanowiła Octavia. – Nieporozumienie. Wszyscy małżonkowie się kłócą.

– To nie kłótnia.

– Pierwszy rok małżeństwa jest trudny – nalegała Octavia. – Trzeba się do siebie dopasować...

– To nie jest kwestia dopasowania.

Octavia zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki wdech. Kiedy je otworzyła, dostrzegła na twarzy córki wyraz determinacji.

– Byłaś chora i źle się czułaś. Bez wątplenia siedziałaś w domu i wyszukiwałaś wady. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

Charlotte rzuciła okiem na Louise, po czym ponownie zwróciła się w stronę matki.

– To nie ja dostrzegłam w Michaelu wady – powiedziała powoli. – On odkrył skazę we mnie. Próbował mnie naprostować. Ale jeśli nawet jest to defekt, nie da się go pozbyć. Zakochałam się w kimś innym.

Octavia wybuchnęła śmiechem.

– Co za bzdura!

– To nie bzdura.

– Przykro mi to mówić, kochanie. Nie możesz kochać nikogo innego. Dopiero co wyszłaś za mąż. Chciałaś tego.

– Właściwie... – Charlotte popatrzyła na ich splecione dłonie, po czym delikatnie zabrała swoją. – Wcale nie chciałam brać ślubu. Bałam się tego. Próbowałam stać się kimś... kim twoim zdaniem powinnam być. Ale jestem inna. To wszystko.

Octavia patrzyła na córkę z niedowierzaniem. W pobliże ich ławki dotoczył się przez trawnik obdarty chłopaczek. Wyciągnął palce w ich

kierunku i udał, że z nich strzela.

– Idź sobie, ty mały potworku – rozkazała mu Louisa.

– Pani, pani, paaani! – wrzasnął i się wykrzywił. Strzelił do nich po raz ostatni i znów ruszył przed siebie szaleńczym galopem.

– Charlotte – powiedziała Octavia – musisz wrócić do domu. Nie wiem, kim jest ten drugi mężczyzna, i nie chcę wiedzieć. Podjęłaś zobowiązanie wobec Michaela. On cię potrzebuje, jesteś jego żoną.

– Nie wrócę do domu.

Octavia usłyszała w głosie córki dawną Charlotte, zadziorną, upartą dziewczynkę.

– Przyszłam ci powiedzieć, co się stało. Nie wysłuchiwać, że popełniam błąd.

– Ależ popełniasz! – wykrzyknęła Octavia. – Okropny błąd!

– Mamuniu – westchnęła Louisa. – Przestań.

Octavia patrzyła raz na jedną, raz na drugą córkę.

– Przestań? – spytała ze zdumieniem. – Przestań?

*

Zawsze później zastanawiała się, jak potoczyłaby się ta rozmowa, gdyby miały czas ją kontynuować. Może dowiedziałyby się znacznie więcej, nawet jeśli prawda okazałaby się czymś, czego nigdy nie zrozumie.

Ale nie było czasu.

Nagle doznały dziwnego i okropnego uczucia. Miasto jakby implodowało. Miażdżąca cisza wydawała się wieczna, chociaż trwała zaledwie ułamek sekundy. Po niej nastąpił huk, od którego zadrżała ziemia. Wszystkie trzy poczuły, jak powietrze napiera na bębniaki w ich uszach, a potem ustępuje. Odruchowo odwróciły się w kierunku, z którego dochodził dźwięk, a raczej jego brak. W oddali rozległ się ryk, potem kolejny. Nastąpiła seria powtarzających się, ogłuszających wstrząsów, które przywodziły na myśl patrolujące miasto olbrzymy, uderzające stopami w ziemię.

Nad centrum Londynu pojawił się dym, szybko unosił się spiralnie do góry. Znów doznały wrażenia miażdżącego zapadania się. Octavia czuła drżenie również w piersi, jak w komorze pogłosowej. Serce wydawało się

powtarzać ten dźwięk, szarpać i się potykać. Ludzie wokół zamarli i patrzyli w stronę, z której unosił się dym.

– Co to? – szepnęła Louisa.

Na początku tego roku nastąpił wybuch w fabryce amunicji w Silvertown. Octavia słyszała wtedy w oddali hałas, coś w rodzaju dalekiego tąpnięcia, ale teraz było inaczej. Przede wszystkim źródło dźwięku znajdowało się znacznie bliżej.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy szereg eksplozji rozległ się na wschód od Liverpool Street. Dopiero wtedy usłyszały nad głowami samolot. Tłum w ogrodach zaczął biec w stronę rzeki. Octavia i dziewczęta też pobiegły przez trawę w stronę bramy, chociaż nie potrafiłyby wyjaśnić powodów swojego zachowania. Ruch na nabrzeżu zwolnił. Na drodze wywrócił się ciągnięty przez konia wóz. Woźnica podniósł się z siedzenia i pobiegł złapać lejce, które wyrwało mu z rąk przestraszone zwierzę.

Octavia nagle pomyślała o koniach, które zabrano z Rutherford, o Wacławie. Wyobraziła go sobie przerażonego, w błocie, w trakcie walki. Pomyślała o Jacku Armitage’u, który gdzieś we Francji pewnie próbował uspokoić wiele przestraszonych zwierząt. Pomyślała o Harrisonie i o Johnie. A także o Harrym.

– Och, proszę – szepnęła, nieświadoma, że odzywa się głośno.

Popatrzyły w górę, w stronę Tower Bridge, i zobaczyły na niebie sześć nierównych kształtów. Były to bombowce Gotha o rozpiętości skrzydeł siedemdziesięciu stóp.

– Opuściły się – zauważyła Charlotte. – Chcą zobaczyć, jakie szkody wyrządzą.

„Albo wyrządzą” – pomyślała Octavia.

Tłumy przyglądały się samolotom w pełnej napięcia ciszy. Kobiety obejmowały dzieci. Wszelki ruch zamarł. Wszyscy patrzyli w stronę mostu. Rozległy się kolejne eksplozje, tym razem dalej, wciąż głośne, ale przypominające dudnienie odległych bębnow.

– Są za miastem – stwierdziła Louisa.

– Lecą na wschód – zauważyła Charlotte. – Poplat... Rotherhithe...

Sześć samolotów szybko zniknęło z pola widzenia, ale huk ich silników wciąż trząsał drogą. Wydawało się, że lecą powoli, w niemal rekreacyjnym tempie, jakby drwiły z miasta w dole.

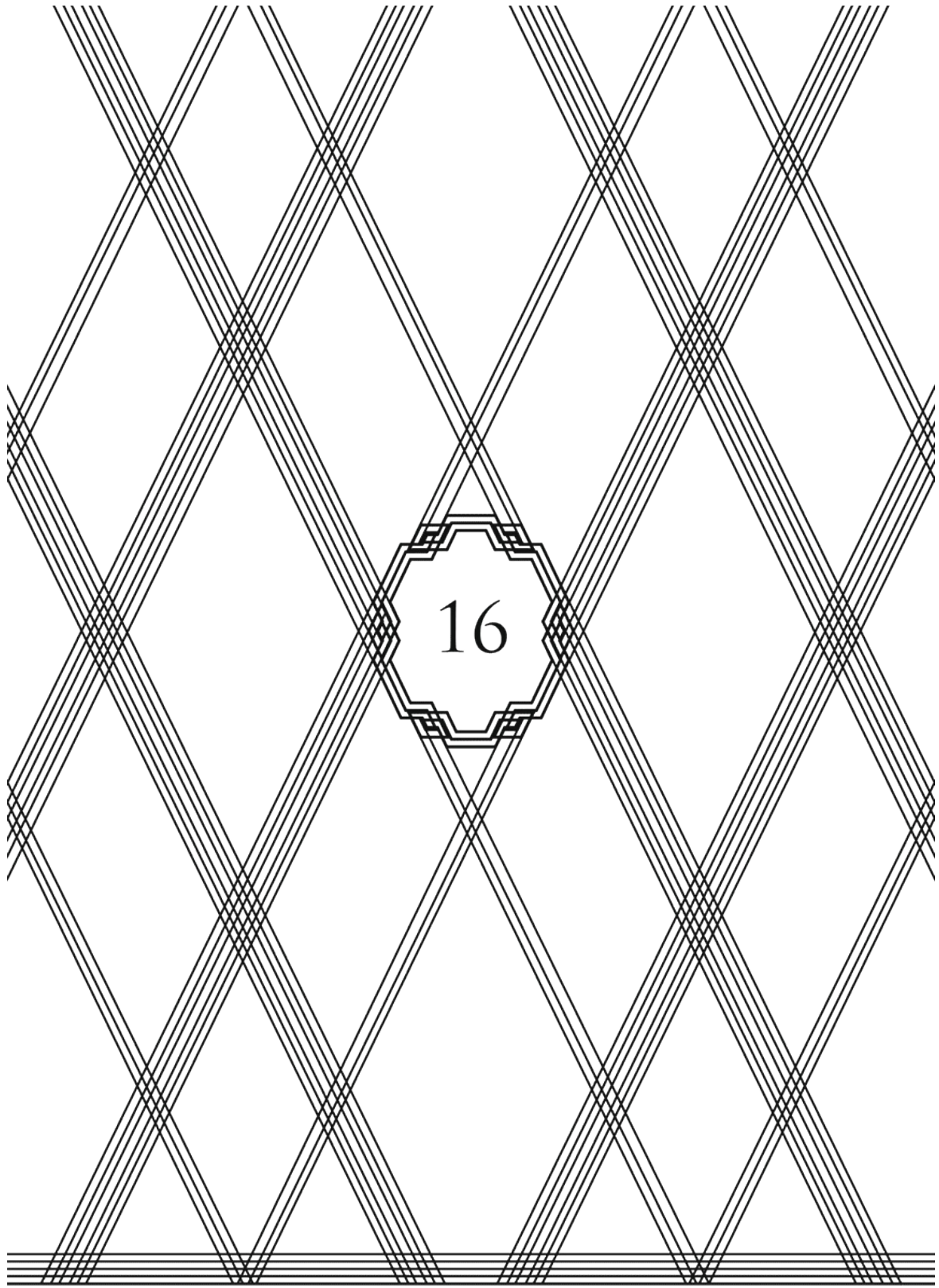
Octavia zastanawiała się, czy lecą wzdłuż rzeki, czy linii kolejowych. Co

znajdowało się na wschodzie? Próbowała sobie przypomnieć. Katedra Świętego Pawła, Fleet Street. Kościoły Wrena. Kościół Świętego Clementa Danesa wybudowany jedenaście stuleci wcześniej. Kolekcja sztuki w Tate. Tower of London. Poczła gwałtowny przypływ patriotyzmu. Nie mogą ich tknąć. Zniszczyć. Są zbyt cenne. To serce Anglii.

– Port – westchnęła Louisa. – Tam lecą. Zbombardują port.

Bombowce z pewnością leciały w stronę londyńskiego portu i doków Kompanii Zachodnioindyjskiej. Jednak przez dłuższy czas słyszeli tylko słabnące dudnienie silników, aż i ono ucichło.

Wydawało się, że cały Londyn zamarł, wstrzymując oddech.



Na zachód od Ypres znajdowała się wioska zwana Vlamertinge.

Jack Armitage stał w gotowości. Linia kolejowa prowadziła między dziesiątkami rozrzuconych obozów i wzdłuż błotnistej ruiny, która niegdyś była drogą. To dziwne, ale wracało do niego wspomnienie o drogach, ich równych powierzchniach i żywopłotach porastających pobocze koło kościoła. Drogi we śnie zdawały się pochodzić z niezwykle, odległych światów.

Nie mógł sobie wyobrazić, że gdzieś na ziemi mogły istnieć takie spokojne drogi. Vlamertinge też niegdyś było spokojne. Teraz tysiąc mężczyzn szło na front, a drugi tysiąc z niego wracało. Jack czekał przy torach z zaprzęgiem, aż będzie mógł wejść na pojedynczy tor, i obserwował ich marsz. Ci, którzy wracali z pola walki, śpiewali, przynajmniej niektórzy z nich. Idący do Ypres patrzyli na nich z kamiennymi twarzami.

We Vlamertinge znajdowała się placówka weterynaryjna, a także stacje opatrunkowe i szpitale. Trzy dni wcześniej zabrano jego dowódcę do takiego szpitala, baraku z bielonymi płachtami materiału zamiast ścian.

Droga do Messines wciąż była ostrzeliwana działami dalekiego zasięgu. Jak w ponurym cyrku, pociski wybuchały, nie raniąc nikogo, oczywiście dopóki nie wylądowały między ludźmi i końmi. Jack próbował wycofać się z prowizorycznego stanowiska, rozwiązywał spanikowane wałachy, którymi przed chwilą się zajmował. Przez pomyłkę w gęstym dymie popchnął swojego przełożonego.

– Wstawaj. – Uderzył pod kolanami jakiegoś żołnierza, aż ten się potknął. Dopiero wtedy zauważył, że to jego oficer. Mężczyzna złapał go za ramię.

– Oślepił mnie – zajęczał.

To była prawda. Zabrali go do stacji opatrunkowej, a potem za wybielone

ściany. Jack został na zewnątrz. Odłamek pocisku niemal urwał oficerowi czubek głowy. Próbowali go ratować, ale na darmo. Skończył Eton i Oksford, zgłosił się na ochotnika w wieku dziewiętnastu lat. Nie miał rodzeństwa. Genialny jednak. Jack go lubił. Oficer zastąpił jego przełożonego spod Arras, którego wezwano do Paryża, by zajął jakieś wysokie, tajne stanowisko.

Jacka nie obchodziły sekrety, Paryż, Eton ani Oksford. Jednak bardzo lubił swojego oficera dowodzącego, który miał poczucie humoru. Hojnie dzielił się whisky, którą większość oficerów zachowywała dla siebie. Kiedy więc pielęgniarka wyszła i pokręciła głową, Jack poczuł falę skrajnego wyczerpania.

– Obawiam się, że zostanie we Vlamertinge – powiedziała.

Jak się okazało, myliła się. Olbrzymi cmentarz w wiosce został zamknięty. Na jego miejscu planowano budowę następnej linii kolejowej i bocznic, wystarczająco dużej, by zmieściła cięższe pociągi. Ciało oficera zabrano więc do Brandhoek. Za ledwie dzień wcześniej Jack dowiedział się, że mężczyzna został zaszczytnie wymieniony w rozkazie dziennym. Za odwagę pod ostrzałem. Za ludzi. Za konie. Za Anglię. Za przeprowadzenie oddziału przez krwawe Messines i sprowadzenie niemieckich koni, które przetrwały eksplozje. Pokrwawionych stworzeń z obłędem w oczach, sztywnych ze strachu.

Czekając, Jack pomyślał, że mógłby zaśpiewać krótką piosenkę. To było niedorzeczne, może nawet szalone, ale coś musiał robić. Chciał zająć czymś umysł, znaleźć się daleko od tego, co robił, co widział. Twarz oficera, a raczej pół twarzy. Blekot rosnący na poboczu dróg. Zaśpiewać krótką piosenkę. To było wyjście dla niego. Jego umysł błędził, swobodny jak miotający kurzem wiatr. Swobodny i szary. Jak mgła albo cienie. Może to nie blekot? Może to szaleń? Rósł tutaj, tak samo jak w domu. Trzeba umieć go rozpoznać, tak bardzo przypominał zwyczajną trybulę. Ona parzy gardło. Kwiatki ma nieregularne. Trzeba to wiedzieć. Jeśli się nie wie, można się zatruć. Może w tym problem, że wszyscy się zatruli. Oślepieni, zatruci i tak dalej, w jakimś okropnym wypadku. Powinien zaśpiewać krótką piosenkę.

Ale żadnej nie mógł sobie przypomnieć.

– Co się z tobą dzieje? – spytał jakiś głos.

Jack podniósł wzrok. Obok niego stał sierżant.

– Sami się nie załadują, wiesz.

Przywieziono rannych. Niektórzy jechali otwartym wozem, ciągniętym przez schorowanego potężnego konia. Jeden z nich szedł w stronę Jacka i trzymał wyciągnięte w górę kciuki, co było uniwersalnym gestem oznaczającym powrót do domu.

– Wszystko w porządku, stary?

– Jasne.

– Moje kolano – mężczyzna jęknął, kiedy umieszczano go na zaprzęgu travois.

Sklecieli to ustrojstwo, gdy okoliczności ich zmusiły. Musieli obsłużyć zbyt wielu ludzi. Składało się z dwóch drągów, przymocowanych do pasujących do torów kółek i zaprzężonych w osła.

– Będiesz mną trząśł przez całą drogę? – spytał z uśmiechem ranny. Położył głowę. – To trzęś, stary. Gównu mnie to obchodzi. Po prostu mnie stąd wywieź, jasne?

– Tak. Jesteś z Australii?

– Uhm. – Uniósł głowę, kiedy ruszyli w ślimaczym tempie po torach. – Co jest z tymi zasranymi generałami, pieprzonymi oficerami? Łajzy nie wiedzą, co robią. – Opuścił głowę i momentalnie zasnął.

„Może kiedyś wiedzieli” – pomyślał Jack. Mężczyzna miał rację.

„Zabierz mnie do dobrej, starej Anglii. Wsadź mnie w pociąg do Londynu”. Tak brzmiała piosenka. Z pewnością. Musiał tylko przypomnieć sobie jej słowa. Chyba że ją wymyślił z powodu pociągów i drogi. Ale on nie potrafi wymyślać piosenek. Zaśpiewa teraz.

Nie było piosenki. Tylko tory.

Widział przed sobą w oddali Clydesdale’a. Koniowi zostało już na tym świecie mało czasu. Wkrótce się położy. Jack widział to już wcześniej. Konie kładły się i nie wstawały. Nie były ranne, chyba że chodzi o ten rodzaj obrażeń, który nie zostawia śladów. Niemoc tkwiła głębiej. Były zbyt zmęczone, by żyć. Coś w nich gasło, migotało i znikało. Zwierzę się położy. Żołnierze będą ciągnąć je za wodze, może kopać. Ale ono się nie poruszy. Upadały na kolana, nogi ugiwały się pod nimi, jak ulepione z gliny. I odpływały, zasypiały w mgnieniu oka, wracały na swoje łąki i ścieżki, do ciepłych, ustronnych stajni na dalekich farmach. Może wysoko na wzgórzach. Albo nad morzem. Płuca wypełniało im słone powietrze, nie pozostałości chloru.

Po prostu przebrzmiewały. Jak piosenki.

Powinien coś zaśpiewać.

Kiedyś znał różne śpiewki, a teraz ich nie było.

Czy to dziewczyna, z którą widziałem cię w Brighton?

Właśnie. Ta o dziewczynie z Brighton.

Kim, kim jest twoja przyjaciółka?

Skierowano go w pobliże frontu, gdzie nic nie miało się dziać. Niemcy wycofali się za nową linię. Nazwali jej fragmenty tytułami utworów Wagnera, tego gościa od opery. Tak mu powiedział oficer. Zygryd i Wotan. Według kapitana „Wotan” należał do linii Hindenburga, która biegła od wybrzeża do Cambrai. „Zygryd” prowadził z Cambrai do Saint Quentin. I tak dalej. Mimo wszystko walki wciąż się toczyły. Ostrzał trwał. Pewnej nocy znaleźli się w pobliżu okopów. Teren wokół szybko porastał trawą. Zimą i wiosną było tam trzęsawisko, które teraz wyglądało na nieszkodliwe. Chwasty i szczury. Białe kości, fragmenty zardzewiałego sprzętu. Jednak wciąż mieli okopy.

Nocą, o zmierzchu, mężczyźni wychodzili i spacerowali. O zmierzchu ostrzał przeważnie zamierał. Stali i patrzyli na wieczorne przedstawienie nad Bullecourt. Huk dział i setki strzelających w niebo rac, których światło mieszało się z białymi, zielonymi i czerwonymi rozbłyskami flar. Kolorowe linie wiły się po niebie i rozświetlały teren w dole.

Potem, kiedy rozstawiali schrony i budowali dla mułów tymczasowe sale operacyjne (było ich pół tuzina, może więcej, a do tego coś w rodzaju kanału wodnego dla chorych na parchy), jeden oddziałów miał iść i zająć posterunek wroga na skrzyżowaniu dróg. Stwarzał problem dla przewożących zapasy. Gdzieś za nimi o wyznaczonej porze zaczęły nagle strzelać brytyjskie osiemnastofuntowe działa. To by było na tyle, jeśli chodzi o zaimprovizowaną salę operacyjną. Rozmontowali ją przy wtórze soczystych przekleństw. Gdy pracowali, nad ich głowami przelatywał deszcz pocisków.

Jack podniósł teraz wzrok. Szereg prowizorycznych zaprzęgów i wozów stanął. Po drugiej stronie torów, w na wpół zrytym polu, teraz suchym

i poznaczonym kurzem i kamieniami, znajdował się otoczony drutem kolczastym obóz. Siedziało w nim pełno Niemców. Mężczyźni stali w słońcu i patrzyli na skromny szereg rannych. Niektórzy wisieli na drucie. Ostatni przełożony Jacka opowiadał mu, że prześladował go widok zwłok, które widział w najgorętszym okresie wojny, na wschód od Ypres. Mężczyzna leżał na plecach, a dłonie zaciskał na kawałku drutu kolczastego. Ręce miał kompletnie szare. Trzymał tak mocno, jakby jego życie od tego zależało. Ale tak nie było. Już nie.

Niemieccy więźniowie coś powiedzieli. Machali i krzyczeli w słońcu. Śmiali się. Drapali i wyciągali przed siebie kurtki. Ruszające się od wszy. Jak u wszystkich.

Zaśpiewa pioseneczkę.

*Jajka i szynkę niechętnie zjem,
Skoro mam śliwki i jabłkowy dżem...*

– Ty! – wrzasnął ktoś. – Ty!

Nie zamierzał patrzeć. Osiemnastofuntowe działa i mężczyzna wiszący na drucie kolczastym.

Ktoś złapał go za ramiona. Wtedy Jack się ocknął, skupił na dłoniach, popatrzył na swoje stopy. Upuścił cugle muła, którego miał prowadzić, i stał na poboczu toru. Muł prowadził zaprzęg bez niego. Kapitan ze Staffordshire patrzył na niego, a żołnierze go podtrzymywali.

– Jaki mamy dzisiaj dzień? – spytał dowódca.

Zaśpiewa jakąś pioseneczkę.

Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć.

Gdyby droga była gładka, a trawa bujna.

W czerwcu na łąkach trawa rosła wysoko.

*

Kiedy się ocknął, było niemal ciemno.

Koło jego łóżka polowego siedział kapelan. Jack zerwał się na równe nogi. Śniło mu się, że wypuścił z rąk cugle muła. Natychmiast usiadł. Za drzwiami w mroku jaśniała droga, którą szedł niekończący się korowód idących w tę i z powrotem żołnierzy.

„Mój Boże, umarłem” – pomyślał. „Przy moim łóżku siedzi ksiądz, żołnierze maszerują obok letnim wieczorem po białej drodze”. Setki znużonych mężczyzn.

– Szeregowy Armitage. Dobry wieczór. – Kapelan wyciągnął rękę. – Carlyon.

Jack delikatnie uściskał wyciągniętą dłoń, spodziewając się, że natrafi na powietrze. Ale mężczyzna był prawdziwy. Armitage rozejrzył się i uznał, że jednak wciąż żyje. Znajdował się w nieznanym miejscu.

Ksiądz zauważył jego zmieszanie.

– Jesteś w szpitalu polowym numer dziesięć w Poperinge. Byłeś nieprzytomny przez dziesięć godzin.

– W szpitalu polowym? – powtórzył Jack. Czuł się otępieły, zdezorientowany. – Ale nie jestem ranny.

– Nerwica frontowa.

Jack z trudem podźwignął się na nogi. To była bzdura, wymówka dla słabych i wygodnickich.

– Nic mi nie jest.

– Leż spokojnie. To rozkaz.

Wykonał polecenie, chociaż gotował się z żalu i złości.

– To prawdziwa choroba – poinformował go kapelan. – Ciało odmawia współpracy.

Jack pomyślał o Clydesdale’u, który umierał na stojąco, a przynajmniej tak mu się zdawało. Patrzył na konia i żałował go, nie rozumiejąc, że to on sam za moment upadnie na ziemię. Mimo wszystko czuł wstyd.

– Mogę stać – zapewnił.

– Zobaczmy.

Jack starał się nie patrzeć na rannych wokół. Leżeli w milczeniu, rząd za rzędem. „Tych, którzy mają problem z oddychaniem, powinni położyć bliżej drzwi, jak mnie” – pomyślał. Wielebny zaoferował mu ramię. Jack pokręcił głową, ale wtedy poczuł, że ziemia zbliża się do niego. Kapelan złapał go mocniej i we dwóch, chwiejnym krokiem, wyszli na pole za szpitalem. Zaledwie po kilku krokach Jack się zatrzymał. Próbował stać nieruchomo, ale czuł, że chwieje się jak drzewo podczas burzy.

– Do diabła – zachnął się.

Carlyon wyciągnął paczkę małych cygar.

– Palisz?

– Nie, sir.

– Mężczyzna, który nie pali. Rzadkość.

– Nigdy tego nie lubiłem, sir.

Duchowny uśmiechnął się i zapalił.

– Alkohol i papierosy utrzymują na nogach wielu mężczyzn – zauważył.

– Mimo wszystko nie zamierzam zacząć.

– Jesteś protestantem? Abstynentem? Metodystą?

– Anglikaninem.

– Skąd pochodzisz?

Och, nie mógł powiedzieć. Próbował, ale nazwa miejscowości ani słowo Rutherford nie przechodziły mu przez gardło, dusiły go.

Wielebny znów odwrócił wzrok, udając, że tego nie widzi.

– Ja pochodzę z ubogiego śródmieścia – oznajmił. – Z Birmingham. New Street.

Zaczął mówić o swojej parafii. Rudery, bieda i życzliwość. To trzymało przy życiu przeciętnego człowieka. Nie Bóg, ale dobrotliwość. Przyzwoitość, takie rzeczy. Nie odwaga. Zastanawiał się, czy ktokolwiek naprawdę jest odważny.

– Nie wiem, czy bardziej obchodzi mnie los ludzi, czy koni – przyznał Jack. – One nigdy człowieka nie zawiodą.

– To prawda – przyznał kapelan. – Ale mają odruchy, które moglibyśmy nazwać ludzkimi, prawda? Boją się i tak dalej?

– Nie tylko ludzie się boją – odparł Jack. – Ja nie nazwałbym strachu ludzkim. To tylko reakcja. Nic nie można na nią poradzić. Ludzie też tego nie potrafią. Ale harówka... To może jest ludzkie.

– Tak...

– Mam na myśli cierpliwość.

– Rzeczywiście... i wiara. W swoich właścicieli.

Ksiądz umilkł. Niebo nad nimi miało delikatnie zielononiebieski odcień, było poznaczone leniwymi pasmami wysokich chmur. Piękne.

– A ty wierzysz? – spytał.

– Już nie.

Przyznanie się do tego dużo go kosztowało. Nie był pewien, czy powinien to robić, zwłaszcza wobec człowieka w duchownych szatach. Ale i tak to powiedział. Właśnie to czuł w głębi duszy. Był o tym przekonany.

– Zawsze chodziłem do kościoła, w każdą niedzielę.

– Myślisz, że kiedyś znów zaczniesz?

– Nie wiem, sir. Po tym, co tu widziałem. Co robimy.

– Ale miłość Boga pozostaje ta sama, nieważne, co się zrobiło.

Jack potrząsnął głową. Wrażenie, że się kołysze i chwieje, zaczynało odrobinę ustępować.

– Tutaj nie ma miłości. Nic ludzkiego.

Przez jakiś czas szli ramię w ramię. Jack zawstydził się i poprosił, żeby usiedli. Osunęli się na kamienny podest. Minęło trochę czasu, zanim Jack zdał sobie sprawę, co to jest. Rozejrzał się po pełnym namiotów obozie.

– Szukasz czegoś? – spytał ksiądz.

– Bramy. Farmy.

– Obawiam się, że jeśli było tu gospodarstwo, to dawno temu. Ale przy drodze stoją pozostałości pałacu. Jest mocno zniszczony, ale wciąż stoi.

– Musieli mieć tu farmę.

– Naprawdę? Tak, to możliwe.

– Bydło. Gospodarstwo mleczarskie.

– Dlaczego tak uważasz?

Jack poklepał długi, owalny kamień.

– To na mleko. Bańki stały tutaj, przy drodze, i czekały na wozy przewożące nabiał. – Spojrzał przed siebie. – Musieli też mieć mleczarnię. Budynek z chłodną podłogą, w pobliżu toru kolejowego. Może to było mleko dla Paryża.

– Ciekawe – powiedział cicho kapelan. – Widać, że pochodzisz ze wsi.

– Tak. Ze wsi.

– Zapewne w to wierzysz.

– Nie rozumiem.

– Wierzysz w takie życie. Wiejskie. Zmieniające się pory roku. Ich powtarzalność. Rok, który toczy się stałym rytmem. Żniwa i tak dalej.

– To prawda.

– W takim razie masz swoją wiarę.

– Trudno nie wierzyć w coś, co ma się przed oczami.

– I we krwi, w wychowaniu.

– Tak.

Ksiądz się uśmiechnął. Minęło sporo czasu i zrobiło się późno. Wieczne światło niemal znikło.

– Jesteś głodny?

– Chyba tak.

Aż do tej chwili nie myślał o jedzeniu. Teraz poczuł, że burczy mu w brzuchu. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadł. Wczoraj? Dwa dni temu? Gulasz z wieprzowiny i fasolki. Obrzydliwą, wstrętną fasolę z wieprzowiną, jedyne danie, którego nie cierpiał. I pudding z mleka i herbatników. Nie miał pojęcia, co w nim było. Rodzynki albo herbatniki, rozgotowane na papkę.

Tuż za linią frontu byli kucharze, wśród nich biedny, śmiertelnie wystraszony jęczący chłopaczek o cienkim głosie. Regularnie dostawał ataku hysterii. Co chwila bili go w twarz. Albo popychali. Leżał twarzą w błocie z chochlą w ręku. Rzucił się na ziemię za każdym razem, gdy słyszał wybuchający zbyt blisko pocisk. Sądzono, że się przyzwyczai i tak samo jak reszta będzie się starał nie ruszać, nie słuchać, nie patrzeć.

– Coś ci przyniosę.

– Nie może pan tego zrobić, sir.

– Sam chcę coś zjeść. Kiedy wrócę, opowiesz mi więcej o swojej wiosce.

Jack patrzył, jak mężczyzna odchodzi. Przez moment chciał wstać i się ukryć. Nikt nie mógł zobaczyć, że obsługuje go oficer. Wokół wciąż kręciły się tłumy żołnierzy, na pewno by zauważyli. Chociaż teraz, kiedy patrzył na mijających go ludzi, widział w ich twarzach coś dziwnego. Rzucali mu szybkie spojrzenia i odwracali wzrok. Kilku uśmiechnęło się do niego ze współczuciem.

„O co im chodzi?” – zastanawiał się. Nic mu nie dolegało.

Tylko się trząsał. Tylko się chwiał. Był całkiem zdrowy.

*

Ojciec Carlyon poszedł do kantyny w podziurawionej pociskami przybudówce.

– Hej, Portman – spytał siedzącego najbliżej mężczyznę – co na kolację?

– Gulasz.

– Z konserwy wołowej?

– Nie. Duszona wołowina i ziemniaki.

– Pudding?

- Brzoskwinie.
- Brzoskwinie, no proszę – uśmiechnął się Carlyon. – Cóż za uczta.
- Znaleźliśmy drzewo w ogrodzie, sir.
- Naprawdę? To doskonale. Przynies mi dwie porcje, dobry człowieku.
- Aż dwie?
- Właśnie tak. Dwie.

Ordynans wyszedł pospiesznie. W zrujnowanym ogrodzie na tyłach kucharz dokonywał cudów na pojedynczej kuchence ustawionej między cegłami i chwastami. Para i dym wpływały do środka. Na podłodze spał młody oficer, owinięty w płaszcz. Wstyd, powiedzieliby niektórzy. Ale nie Carlyon. Domyślał się, co przeszedł ten mężczyzna. Cicho podszedł do wejścia i oparł się o framugę. Patrzył na krajobraz.

Cały dzień spędził w szpitalu polowym na rozmowach z rannymi. W jego pamięci mężczyźni zlewali się w jednolitą masę. Sięgnął po papierosa. Cisza, która ukrywała agonię ran. Pamiętał wyraźnie tylko jednego mężczyznę, oficera z Worcesteru. Przyniesiono go z Saint Julien. Poprosił Carlyona, by sięgnął pod nosze i zabrał maskę przeciwgazową, która pod nim leżała. Kapelan był przerażony (a niełatwo było go teraz przerazić), kiedy odkrył, że maska wbiła się w plecy mężczyzny wraz z fragmentem pocisku. Stopiły się w jedno z pogruchotanym kręgosłupem.

– Teraz nie mogę jej wyjąć – powiedział łagodnie.

– Ach. W każdym razie dziękuję.

Jego głos był monotony, jednostajny. Tak dyskretnie, jak tylko zdołał, Carlyon go pobłogosławił, a oficer uśmiechnął się do niego, w pełni świadomy, co to oznacza. Był to uśmiech pełen bólu, szept wdzięczności.

Wkrótce potem ktoś przyszedł. Najwyraźniej ranny znał przybysza z czasów, kiedy obaj zaczęli szkolenie. Kapelan stał przy noszach, kiedy podali sobie dłonie. Ciężko powiedzieć, kiedy skończyło się życie, a zaczęła śmierć. Może uścisk dłoni zelżał. W każdym razie po niecałej minucie przyjaciel położył rękę na kocu i zamknął oczy oficera łagodnym dotknięciem palców. Wstał i popatrzył na Carlyona.

– Znałem go jakiś czas – szepnął.

Ksiądz zobaczył w jego twarzy coś, co sam doskonale znał. Miłość głębszą niż słowa. Może to było uczucie, o którym nie wolno wspominać. Mężczyzna wyszedł. Carlyon patrzył przez minutę lub dwie, jak krąży zdezorientowany po podwórzu. Potem zniknął w pieszym ruchu na drodze.

*

Jack siedział w nadciągającym zmierzchu i patrzył na niekończący się, powolny i zdumiewający ruch na drodze. Zmrużył oczy, żeby się skupić, i na linii jego wzroku pojawiła się Louisa. Widział jej jasną sylwetkę krążącą pomiędzy ciężarówkami i mężczyznami. Wydawała się na nic nie zważać, uśmiechała się jak zawsze.

Wyprostował się i pochylił do przodu.

– Nie – mruknął.

Włosy, luźno związane wstążką, opadały jej na plecy. Odrzuciła je do tyłu. Jej dłonie poruszały się lekko. W ciemnościach zdawała się taka blada. Wręcz biała.

Kiedy widział ją ostatni raz, spytał, czy zamierza obciąć włosy. Popatrzyła na niego.

– Co byś powiedział, gdybym to zrobiła?

– Nic, to nie moja sprawa.

Dotknęła jego twarzy.

– Jestem twoją sprawą, Jack.

Odgarnął piękne, jasne kosmyki z jej twarzy.

– A ja twoją.

To było zeszłego lata. Wtedy ostatni raz miał urlop. Była w Rutherford, kiedy przyjechał do domu. Pierwszą noc spędził z rodzicami w domku stajennym. Matka patrzyła na niego, jakby w każdej chwili mógł rozpuścić się w powietrzu, jakby chciała go złapać i nie puścić. Albo jak gdyby nie mogła uwierzyć, że jest prawdziwy. Siedziała dłuższy czas, po prostu trzymając jego dłoń w swojej i obracając ją, podczas gdy ojciec mówił. Wyglądało to tak, jakby próbowała przekonać samą siebie, że jej syn wciąż składa się z krwi i kości.

– Jesteś ranny? – spytała, kiedy ojciec wyszedł do ogrodu zapalić.

– Nie, mam. Nic mi nie jest.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Jesteś jakoś inny.

Cóż. Wszyscy się zmienili. Niektórzy twierdzili, że nie będą potrafili patrzeć na żyjących tak jak kiedyś. Zamiast widzieć ich takimi, jakimi byli,

ubranymi, zdrowymi i czystymi, będą mieli przed oczami tamtych. Brudnych i zmarzniętych. Tych, którzy zostali w innym świecie, na ziemi niczyjej. Gdzie gnili albo płakali. Lub po prostu odpłynęli, zostawili zapadające się mundury w miejscu, gdzie wcześniej były ciała.

Jeden żołnierz powiedział mu, że nie będzie mógł spojrzeć na ciało swojej żony ani na swoje dzieci. Bał się, że kiedy wróci do domu, będzie musiał porzucić wszystko, co kiedyś kochał i za czym tak bardzo tęsknił – kąpanie maluchów, owijanie ich w ręcznik, siedzenie przy kominku i opowiadanie im historii, kiedy pachniały tak słodko i świeżo.

Zapach czystej niewinności. Ludzie tęsknili za nim, łaknęli go, ale sądzili, że nie będą mogli go znieść. Zawsze będzie mu towarzyszyło wspomnienie zapachu błotnistych tygodni, smrodu innych mężczyzn i niedającego się opisać fetoru umarłych.

– Wiesz co? – zagadnął go ktoś. Anonimowy żołnierz, którego oddział zatrzymał się niedaleko i który podszedł, żeby poklepać trzymanego przez Jacka konia. – Boję się w ogóle wracać do domu.

– Poczujesz się inaczej, kiedy tam dotrzesz – zapewnił go Jack.

– Nie mógłbym dotknąć żony – wyznał mężczyzna. – Wciąż o tym myślę. Tkwiąc po uszy w tym bagnie. Patrzę na swoje ręce i wydaje mi się, że już nigdy jej nie dotknę. Nie mogę tego zrobić.

– Będzie inaczej – powtórzył Jack.

Ale tylko tak mówił. Pocieszał. Rozumiał, co tamten ma na myśli. Nie chciał zabierać tego z powrotem do domu. Nie chciał zarazić bliskich swoim cierpieniem. Nie chciał otwierać ust i opowiadać o tym, co słyszał. Nie chciał na nich patrzeć ze strachu, że w jego spojrzeniu odbija się horror.

Kiedy więc matka pogłaskała go po ręce i spytała, czy nic mu nie jest, odpowiedział:

– Nie, mam. Wszystko w porządku.

*

Och, patrzył, jak Louisa idzie ostrożnie zakurzoną drogą.

Śliczna dziewczyna, ale też coś więcej. Na wskroś dobra.

Drugiego dnia w domu powiedział rodzicom, że wybiera się na spacer.

– Obiecaliśmy ciotce Annie, że przyjdziemy na herbatę – zaprotestowała

matka.

– Wrócę na czas – zapewnił.

Wyszedł przez podwórze i minął bramę. Tę samą, przez którą razem z Louisą prowadzili dwa lata wcześniej Wacława, żeby załadować go na ciężarówkę, a ona zawiozła go do Remount w Wiltshire. Kiedy położył rękę na zasuwie i brama odskoczyła, wróciło poczucie winy, które miał z tego powodu. Louisa tak bardzo mu wtedy pomogła, lekko dotknęła jego ramienia, położyła rękę na plecach, kiedy stali obok siebie i patrzyli na odjeżdżający transport.

Bóg dawał ci zajęcie. Wszyscy to powtarzali. „Bóg nie daje więcej, niż możesz znieść”. Ale to nie była prawda. Każdego dnia widział ludzi dźwigających więcej, niż mogli znieść. Uginali się pod ciężarem, padali na kolana. Kapelan chciał, by Jack uwierzył, że na ziemi wciąż istnieje dobro. Ale jeśli gdzieś było, to z pewnością nie tutaj.

O jednej rzeczy starał się nie myśleć. Jeśli tym brzemieniem obdarzył go Bóg, marzył, by Bóg zabrał je z powrotem. Już go nie chciał. W imię wszystkiego, co czyste na tym świecie, nie chciał tego.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej znajdowali się koło Zillebeke, na tym samym odcinku frontu, który według dowództwa został opuszczony przez Niemców. Ale, na Boga, szwaby łatwo nie odpuszczały. Wszystko, co zostawili za sobą, zaminowali, a resztę zbombardowali. Zwłaszcza miejsca, w których ich zdaniem mogły zostać zapasy albo amunicja.

Wyznaczono żołnierzy do oczyszczenia terenu. Mężczyźni byli przemęczeni i zdziśnięci, zbyt długo nie zaznali ani chwili prawdziwego wypoczynku. Niektórzy stali się nieostrożni. Uznali, że Hunowie zostawili ich w spokoju. Weszli do starych szwabskich okopów i zapomnieli. Nie myśleli o tym, że w głębokich, dobrze utrzymanych podziemnych korytarzach wojna trwa. W niektórych była elektryczność. Pompy wypompowywały wodę. Piecyki wciąż trzymały ciepło.

– Pomóżcie nam z grzebaniem zmarłych.

Takie polecenie usłyszeli Jack i pozostali żołnierze, kiedy tylko dotarli na miejsce. Armitage chciał odmówić, ale oczywiście nie mógł. To był jego obowiązek, nawet jeśli zaciągnął się tylko po to, żeby zajmować się mułami i końmi.

W pobliżu znajdował się kanał Izery. A także most, ale gdy się do niego zbliżyli, Jackowi zrobiło się niedobrze od smrodu. Ziemia wyglądała jak

ciemnozielone bagno, sadzawka z koszmaru, pełna zatopionych ciał ludzi i koni, dyszli wozów i kół od dział. Szlak holowniczy był częścią frontu i niegdyś składał się z szeregu ziemianek. Jednak od tamtego czasu Niemcy odkryli, gdzie znajdują się umocnienia. Pociski przebiły schron, w którym kryło się pół tuzina brytyjskich szeregowców.

Trzeba było zejść do dziury, wymacać drogę w dół po drabinie oblepionej szlamem, w który zmienili się żywi niegdyś ludzie. Żołnierze wynieśli, co zdołali, a na dnie okopu znaleźli mężczyznę. Najwyraźniej siedział z bronią na kolanach, kiedy uderzył pocisk. Broń przeszła jego pierś na wylot zgrabnie jak dzida. Miał tylko lekko zdziwiony wyraz twarzy.

Właśnie to utkwilo mu w pamięci. Coś się otworzyło, rozwiązało ciasno splątane kłębki wspomnień. Przywołało rzeczy, o których z całych sił pragnął nie myśleć. Sądził, że sobie z nimi poradził, że osiągnął sukces. Że zniknęły.

Ale po tym, jak zobaczył leżącego w ziemiance człowieka, wszystkie obrazy wróciły. Dziko jak pędzące konie pod Monchy rzucały się przed niego, padały na jego ścieżkę.

*

Louisa podeszła bliżej. Powinien wstać i ją ostrzec.

„Nie podchodź tu, nie podchodź”.

Nie chciał, żeby zobaczyła, co ludzie sobie nawzajem robili. Pragnął, żeby została tam, gdzie była, bezpieczna i delikatna, chroniona przez miejsce, które nigdy jej nie zraniło.

Potańczał oczy. Jego ręce kiwały się i powiewały jakby pomarszczone, jak wiatr poruszający wodą. Bardzo dziwne uczucie. Zdumiewające. Zmarszczył brwi i położył dłonie z powrotem na kolanach. Przyglądał się im. Nie przypominały tych, które znał. Były zupełnie inne – blade, wiotkie, bezbarwne.

Tamtego lata drugiego dnia urlopu minął pola i zszedł nad wodę. Przekroczył most. Rzeka była płytka, a na jej dnie błyszczały piaskowiec, granit i żyłki żelaza. Jasne, spokojne sadzawki. Kiedy znalazł się po drugiej stronie mostu, zaczął biec. Zostawił za sobą całe tamto życie, przed nim było wszystko, co się liczyło. Pobiegł w górę ścieżką pomiędzy drzewami,

przez las, gdzie słońce przeświecało przez wysokie gałęzie.

Wyszedł z zagajnika w miejscu, gdzie zaczynało się wrzosowisko, a stary kamienny mur otaczał zewnętrzne granice Rutherford. Miał pewnie ze dwieście lat, gdzieniegdzie był zarośnięty, a w innych miejscach zadbane. Jack zauważył, że z braku dozorczy grunty wokół posiadłości nabrały dzikiego charakteru, jakby chciały uciec przed uwagą ludzi i wrócić do stanu, w jakim się znajdowały, zanim wybudowano rezydencję.

Milę dalej stał domek.

To było ich miejsce. Przez te dwa lata dach mocniej się zapadł, a zaniedbany ogród jeszcze bardziej przypominał las. Przez trawę przebijało zaledwie kilka zdziczałych kwiatów o jasnych barwach. Drzwi, które pobielały przez lata, były otwarte.

Przeszedł przez próg, a ona wstała, żeby go powitać.

Dwa lata wcześniej tylko ją całował. Przede wszystkim siedział z nią, szczęśliwy, że może, że ona w ogóle tu jest. Zadowalało go, że może jej słuchać, milczeć z nią. Teraz bardzo długo się obejmowali.

– Jack – powiedziała. – Nie mówmy o tym, jak jest. Porozmawiajmy o przyszłości.

Och, wymyślili taką piękną historię.

Mieli w niej własny dom na wsi, podobny do tego. Były tam pola i konie. Kupiliby konia podobnego do Waclawa. Kilka koni. Mieliby małe gospodarstwo. Jack obiecał, że Louisa nie musiałaby pracować ani sprzątać jak inne kobiety. Żyłaby tak samo jak kiedyś. Najęliby pokojówkę i kucharkę. Dziewczyna zaczęła się śmiać.

– Jakim cudem byłoby nas na to stać?

Nie zastanawiali się nad tym. W ich fantazjach szczegóły nie były istotne. Mieliby duży piernat. Drewnianą podłogę. Kuchenne palenisko i ogień. W zimie by buzował, ogrzewał dom i ich. Oczyma wyobraźni widział, jak Louisa siedzi przed kominkiem albo w oknie sypialni, gdzie na parapecie kuli się powojnik.

To był uroczy obrazek.

Nie próbowali tam wtargnąć. Nie starali się zmienić przyszłości w teraźniejszość. Zgodzili się, że trzeba poczekać, aż wszystko się wydarzy.

Gdyby powiedział o tym któremukolwiek z żołnierzy, pewnie by go wyśmiał.

– W tym ołówku brakuje ołowiu. Nic dla niej nie zostało.

Uśmiechnął się do siebie. Pewnego dnia Louisa zostanie jego żoną. Wciąż sobie to powtarzał.

Wiedział, że to tylko historia, wymyślona bajeczka.

Ale tak bardzo chciał w nią wierzyć.

*

Dziewczyna się zatrzymała.

Spojrzała na niego, podniosła rękę i go przywołała. Jack wstał. Stawiał jedną nogę za drugą najlepiej, jak potrafił. Louisa szła w stronę linii kolejowej, oglądała się przez ramię, żeby się upewnić, czy on wciąż za nią idzie. Próbował przyspieszyć, ale na niewiele się to zdało. Ziemia kołysała się pod nim i bujała, jakby znajdował się na pokładzie statku.

Dotarła do miejsca, w którym czekały konie, jak ustawione w rządęk cierpliwe posągi. Przed nimi toczył się ostrożnie mały pociąg z otwartą platformą. Był pusty, wracał po towar. Przed końmi w szeregu stali ludzie. Niektórzy nawet w niezłym stanie.

Jeden miał rękę amputowaną przy łokciu. Wołał oficera. Śmiał się z czegoś, szczęśliwy, że wyjeżdża. Niemal histerycznie upojony. Dostał bilet powrotny do ojczyzny. Nieważne, że na twarzy miał zakrzepłą krew, a rękaw munduru odwinięty nad brudnym bandażem.

Zauważył idącego w jego stronę Jacka.

– Hej, kolego! – krzyknął. – Patrz, gdzie stawiasz nogi!

Jack starał się uważać. Patrzył w dół, omijał leżących wokół rannych. Widział kątem oka blady skrawek sukienki Louisy, kiedy szła między mężczyznami.

– Nie idź dalej – szepnął. – To za wiele.

Zatrzymał się. Popatrzył na konie.

Takie biedne stworzenia. Tacy biedni chłopcy.

Poszukał wzrokiem Louisy. Stała na końcu szeregu, plecami do niego, przed ostatnim koniem. Zbliżył się do niej. Cały czas miał dziwne uczucie, że płynie. Jak wtedy, kiedy z paniczem Harrym unosili się w rzece. Łapali ważki. Drobne rybki trzepotały się między ich palcami. Wypływali na ciemne głębiny, gdzie rzeka wiała się coraz dalej od domu.

Louisa obejrzała się na niego i zrobiła krok do tyłu.

Wtedy właśnie zrozumiał, że to wszystko tylko sen. Kiedy odzyska przytomność, nie będzie Louisy ani rzeki, mężczyzn ani koni. Obudzi się w szpitalu, gdzie kapelan popatrzy na niego dobrotliwie i poda kolację.

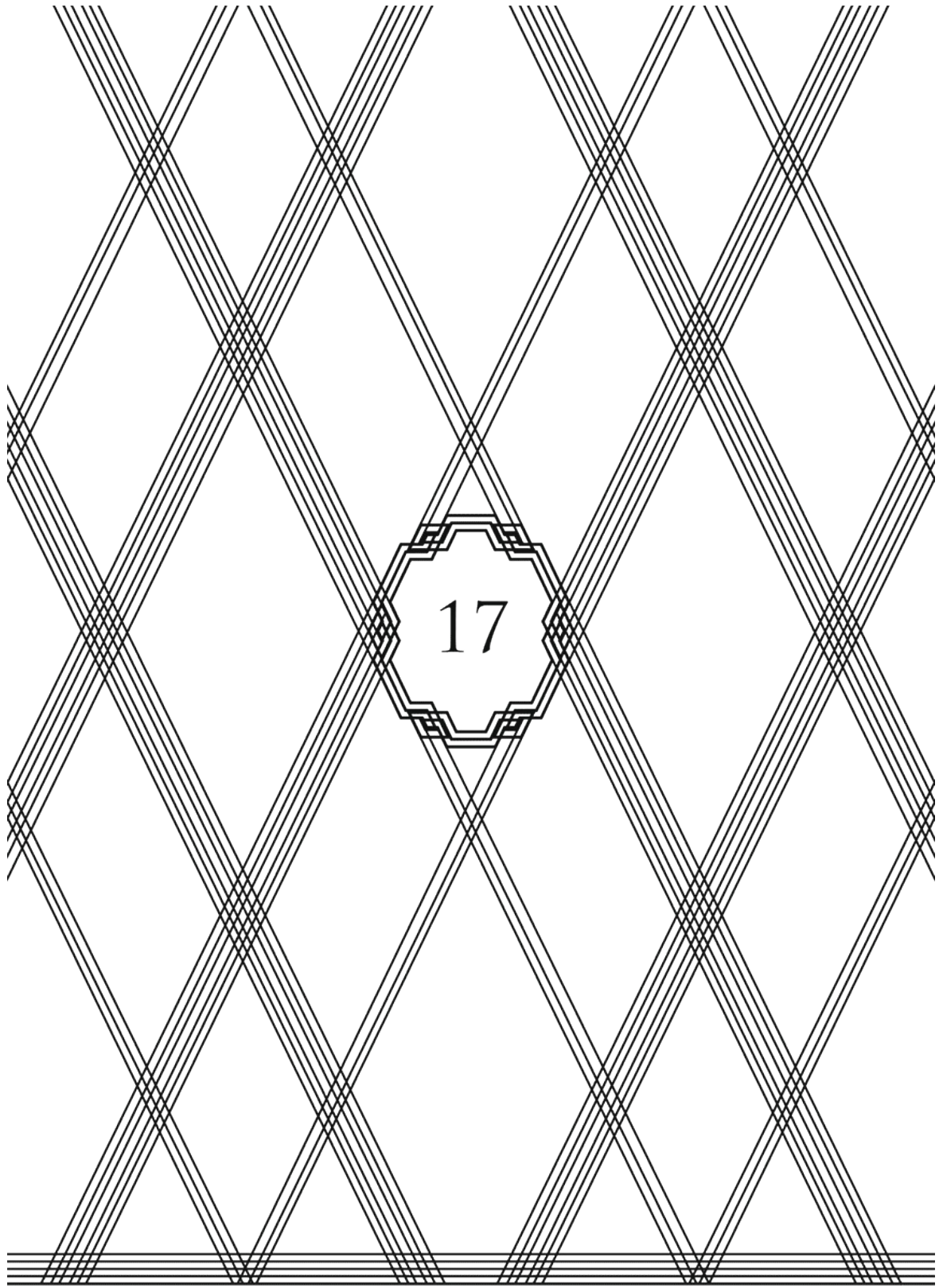
Ale na razie było pięknie. Tylko tego pragnął, od kiedy znalazł się we Francji. Podeszedł do wielkiego szarego shire'a i dokładnie go obejrzał, przesunął rękami po jego grzbiecie i bokach. Był ranny więcej niż raz, Armitage czuł pod palcami porytą bliznami skórę, skurczone ciało. Żebra mu wystawały – koń powoli umierał z głodu. Kiedy Jack go dotknął, zwierzę zaczęło się okropnie trząść. Wydawało się, że nie może przestać.

– Spokojnie, mały – mruknął Jack. – Nie przejmuj się, już dobrze.

Koń odwrócił głowę i popatrzył na niego. Brązowe oczy wciąż wyrażały dawną potulność.

– Witaj, stary przyjacielu.

Jack wtulił twarz w szyję Wacława i przywarł do niego mocno. Czuł na skórze ciepły koński oddech.



Powiadano, że w sierpniu ma zacząć padać, ale ciężko było w to uwierzyć. Późnym rankiem Jenny stała na zewnętrznych schodkach do jadalni w Rutherford. Przeszkłone drzwi tarasowe były otwarte. Nagrzane cegły na ścieżce wzmagaly gorąco, a drzewa w zagajniku po drugiej stronie rzeki, pół mili stąd, wydawały się dryfować w cudownej mgiele.

Gdyby Jenny spojrzala na teren za tarasem, zobaczyłaby park i fragment bukowej alei, szeroki, senny, zielonozłoty krajobraz. Wyszła na zewnątrz pół godziny wcześniej, żeby umyć szyby, i owionął ją zapach róż. Tuż przy drzwiach hortensje niemal przekwitły, fiolet zmatowiał, a liście się zaczerwieniły.

Ale pokojówka nie przychodziła tu dla widoku. Z przyjemnością sprzątała niewielkie biuro należące do lady Cavendish. Znajdowało się ono tuż obok, na końcu korytarza, naprzeciwko gabinetu lorda Cavendisha. Mary mówiła, że właśnie tu pani Octavia czasami cały ranek odpowiadała na listy. Drzwi zostawiała otwarte, dzięki czemu widziała zielone, obite sukmem drzwi, za którymi kryły się schody na dół.

– Kiedyś lubiła mieć oko na wszystko – wyjaśniła Mary. – Nie tylko na nas, chociaż zawsze traktowała służbę odpowiednio sprawiedliwie i uprzejmie. Ale też na dzieci. Panna Dodd opowiadała, że kiedy panicz Harry był mniejszy, jaśnie pani pozwalała mu biegać po korytarzu przy wejściu. Wiecznie czyścili plamy na boazerii. Bawił się w żołnierzy, wyobrażasz sobie? Dziwnie się o tym teraz myśli, w końcu pojechał na wojnę i w ogóle.

Pokój lady Octavii oczywiście był teraz zamknięty. Pokojówki wypolerowały niewielkie francuskie, pięknie inkrustowane biureczko, wytrzepały dywany i odkurzyły ozdoby z miśnieńskiej porcelany: delikatnych pasterzy i blade pastereczki, należące niegdyś do matki lorda Wiliama. Teraz służący przypuszczali, że lady Octavia raczej za nimi nie

przepadała. Nie zabrała ich ze sobą. Ponoć dom w Londynie – tak mówiła panna Louisa – był bardzo nowoczesny. Obrazy malarzy, których lubiła jaśnie pani, tych Francuzów, przewieziono do domu w Chelsea. Starsza córka państwa wspominała, że nazywają się kubistami. Podobno na ścianie sypialni lady Octavii wisiał duży, niebiesko-czerwony obraz autorstwa mężczyzny o nazwisku Picasso.

– Cudzoziemcy – prychnęła Mary.

Mimo wszystko Jenny postanowiła, że będzie specjalnie dbać o ten pokój, chociaż jaśnie pani raczej nie zamierzała do niego wrócić. Pani Nicholson nakryła ją tam na wyglądaniu przez okno później tego ranka.

– Coś ciekawego? – spytała nowa ochmistrzyni.

Jenny się wzdrygnęła.

– Nie, nic, pani Nicholson.

Kobieta podeszła do okna i wyjrzała.

– Tylko mur ogrodu kuchennego za szklarniami – zauważyła. – Wioski w oddali. Podwórze stajenne. Łąki nad rzeką.

Pokojówka poczuła, że się czerwieni.

– Czy już kończą? – spytała pani Nicholson.

– Co kończą?

Gospodyni się uśmiechnęła.

– Nie co, tylko kto.

Jenny nie była do końca pewna, co robić, kiedy pani Nicholson się uśmiechała. Wciąż pamiętała, jak pani Jocelyn reagowała na uśmiech – zamierała na chwilę, po czym uprzejmy wyraz twarzy zniknął i w końcu zaczynała krzyczeć. Ale pani Nicholson była łagodna i bystra. Miała akcent, którego Jenny nie potrafiła do końca zlokalizować. Nie arystokratyczny, ale też nie robotniczy. Nie pochodził z Yorkshire ani z Durham. Ponoć kobieta mieszkała na granicy tych dwóch hrabstw, ale mówiła spokojnie i powoli. Zawsze miała w oku żartobliwy błysk, który wytrącał służbę z równowagi.

– Jenny – spytała teraz – czy spodobał ci się jeden ze strażników więziennych?

– Nie, psze pani. – Poczwała spływający po plecach pot, wywołany poczuciem winy.

– Wyglądają na bardzo młodych.

– Tak. Rzeczywiście.

Pani Nicholson przechyliła głowę.

– Kiedy ostatnio byłaś w Londynie?

– Och... Będą już ze trzy lata.

– Masz tam rodzinę?

– Nie.

– Chciałabyś tam pojechać i być przy jaśnie pani? Jeśli tak, mogłabym spróbować to załatwić.

Jenny wytrzeszczyła oczy.

– Jeśli kogoś obraziłam, to bardzo mi przykro...

Ku jej zdumieniu pani Nicholson położyła jej rękę na ramieniu.

– Nie podskakuj jak spłoszona łania, Jenny. Jestem z ciebie bardzo zadowolona. I z Mary także. Po prostu chcę, żebyście były szczęśliwe. Pomyślałam, że może wyglądasz przez okno, bo jesteś smutna.

– Och, nie, psze pani. – Jenny poczuła, że czerwieni się jeszcze bardziej. Splotła dłonie i wlepiła wzrok w podłogę. – Przepraszam.

– W takim razie bierz się do pracy. Możesz pomóc chłopcu na posyłki zanieść obiad na pole. – Uśmiechnęła się i odwróciła. Bez potrzeby przełożyła książki na biurku. – O ile oczywiście musisz ostatni raz kogoś zobaczyć. Pan March wspominał, że skończyli pracę na polu. Później będą zwozić siano do stodoły.

*

Jenny wybiegła na korytarz, wypadła przez zielone drzwi i poczekała, aż się za nią zamkną. Tutaj, w chłodnym mroku kamiennych schodów prowadzących do kwater służby, zatrzymała się. Serce jej tłukło.

„Mój Boże, jestem do niczego” – pomyślała. Zasłoniła twarz dłońmi. Nie potrafiła ukrywać uczuć. Popatrzyła po sobie, na czerwone od pracy palce, ogryzione do żywego paznokcie. Mary i panna Dodd sobie radziły. Jej przyjaciółka nie pozwalała na głupstwa i odmawiała pomocy. Przełożona pokojówek wydawała się instynktownie wiedzieć, co robić. Ale ona... ją zawsze trzeba było kierować we właściwą stronę. Nic nie mogła poradzić na to, że jest nerwowa. Często starała się ukryć tę cechę. Mary uważała ją za zabawną.

– Czym się tak przejmujesz? – łajała ją raz po raz. – Jeszcze będziesz miała czas na zmartwienia, kiedy ktoś się na ciebie wydrze. Po co martwić

się wcześniej? Wyprostuj się i przestań się obijać.

„Obijać się”. To było jedno z ulubionych wyrażeń Mary. Nie znosiła osób, które „obijały się”, jak Jenny. Cmokała z dezaprobatą, gdy jej koleżanka hałasowała talerzami albo upuściła ściereczkę do kurzu.

– Co się z tobą dzieje? – pytała stanowczo.

„Jak spłoszona łania” – powiedziała przed chwilą pani Nicholson.

Gdyby tylko wiedziały.

Była nerwowa już wtedy, gdy zjawiła się w Rutherford. Lękliwa i niepokorna, wysoka i chuda.

– Same kości – stwierdziła pani Carlisle pierwszego dnia przy śniadaniu. Natychmiast posmarowała jej masłem kawałek chleba grubości cegły. – Zjadaj, trochę się utuczysz. Potrzebujesz siły.

Ale Jenny nigdy nie przytyła. Była teraz równie chuda jak pierwszego dnia, mimo że zjadała wszystko, co pani Carlisle jej wciskała. Nigdy się nie zaokrągli. Patrzyła na swoje odbicie w pociętym cętkami kawałku szkła, który w ich pokoju uchodził za lustro, i wiedziała, że zawsze będzie miała wystające kości, bladą skórę i jasne włosy, które splatała w najściślejszy warkocz. Przy małej, przebojowej Mary wyglądała jak latarnia uliczna. Zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy nie będzie atrakcyjna.

Powiedział jej to pewien mężczyzna w Londynie. W kościele przydzielili jej zadanie. Miała nosić na pocztę monety, które zebrano na tacę. Tylko miedziaki, ćwierć- i półpensówki. Naczelnik urzędu pocztowego łaskawie wymieniał je na szylingi, które Jenny zabierała z powrotem do kościoła. Pastor chował je w zamkniętym pudełku, które trzymał w swoim pokoju.

Naczelnik miał pracownika, chłopaka równie wysokiego jak Jenny. Ale bynajmniej nie chudego. Był on potężny i zawsze przyglądał jej się jak rzeźnik oceniający kawałek mięsa i zastanawiający się, jak najlepiej go pokroić. Przerazał ją i starała się unikać jego wzroku. Pewnego dnia złapał ją, kiedy wracała szybko uliczką, wepchnął w boczną alejkę i przycisnął do ściany. Modliła się, żeby ktoś nadszedł, ale była sama. Chłopak obmacywał ją, a ona wiała się w panice. Wtedy się roześmiał.

– Jesteś tylko workiem kości – wyburczał.

Odepchnęła go, a on pozwolił jej odejść. Zawołał za nią.

– Żaden rozumny gość nie będzie cię chciał!

Pobiegła do kościoła czerwona ze wstydu, z torbą pełną srebrnych monet w zaciśniętej dłoni. Zatrzasnęła za sobą drzwi, gwałtownie wciągając

powietrze.

Harrison przypominał jej tego chłopaka z poczty. Obmacywał ją i traktował z góry. Był obojętny, opryskliwy. Nie umiała go rozgryźć. Ani jego, ani listów przychodzących od niego z Francji. Kiedy powiedzieli jej, że zginął, poczuła tylko zakłopotanie. Tamtego wieczoru poszła do swojego pokoju i próbowała płakać, ale łzy nie chciały płynąć. Wtedy znów pomyślała, że musi być dziwną osobą. Niekochającą i niekochaną.

I wtedy... wtedy. Znów ukryła twarz w dłoniach.

Teraz mężczyzna, którego żadna kobieta nie powinna zauważyć, zwrócił na nią uwagę.

– O Boże – szepnęła do siebie. – Co ja teraz zrobię?

*

Razem z Albertem zanieśli jedzenie na pole.

Pani Carlisle zapakowała je w dwie drewniane skrzynki wyłożone sianem. Pan Armitage upychał mocno trawę.

– Świeże siano zmarnowane na cholernych Niemców – mrucał pod nosem, kiedy czekała. Wazy pełne gulaszu stały obok na stołku. – I po co zrobiła gulasz w taki dzień?

– To resztki – wyjaśniła Jenny. – Warzywa. Właściwie nie ma w nim mięsa. Tylko skórka od boczku. Głównie sos. Pani Carlisle cieszyła się, że może się tego pozbyć.

– A jednak mamy dopilnować, żeby nie wystygło – zauważył i splunął na ziemię z obrzydzeniem. – Strata czasu na pichcenie, strata siana na pakowanie, strata sił na dźwiganie.

– Musimy tylko dostarczyć je do bramy albo zaraz na drugą stronę. Ludzie od nich wszystko zabiorą.

– Ludzie? – Pan Armitage wyprostował się i zmierzył ją wzrokiem. – To jeńcy, nie ludzie.

– Zdaje się, że wszyscy jesteśmy ludźmi, nie zwierzętami – wypaliła. – Jeńcy czy nie.

Gapił się na nią. Wziął się pod boki.

– Zabili tyłu z naszych. Zapomniałaś o tym?

– Nie oni.

– Tacy sami jak oni.

Nie czuła się na siłach, żeby się kłócić. Wiedziała, co chce powiedzieć – że nikt nie ma prawa ich oceniać, bo obydwie strony robią okropne rzeczy. Ale to by bardzo niedobrze zabrzmiało. Tak mówili ludzie, którzy odmawiali służby wojskowej ze względu na przekonania. Tchórze. To było złe, niepatriotyczne. Nawet niegodziwe. Trzymała więc usta zamknięte na kłódkę.

Albert przyciągnął długi wózek na czterech kółkach z platformą. Ustawili na nim skrzynie i ruszyli za podwórze stajni w stronę bramy. Kątem oka Jenny zobaczyła, jak pan Armitage obrócił się na pięcie i ciężko ruszył w stronę domu. Albert zatrzymał wózek, wspiął się na bramę i wychylił.

– Podano żarcie, podano żarcie! – wrzasnął.

Uciszyła go. Albert nie miał zbyt wiele rozumu. Był niezgrabny i zawsze utyłany pyłem węglowym albo ziemią.

– Ja tylko ich wołam – powiedział.

Jeńcy znajdowali się u podnóża zbocza, w pobliżu rzeki. Stali w cieniu pod dębem. Jeden ze strażników coś do nich mówił. Kolejny stał z boku i opierał się o płot, z karabinem przyciśniętym do piersi. Mary twierdziła, że nie powinny się do nich zbliżać ani z nimi gadać, ale ona rozmawiała z Frederickiem, kiedy przyszedł do mleczarni, żeby pomóc przy ubijaniu. Nie za pierwszym czy drugim razem, dopiero za trzecim. Zapytał o jej imię i podał swoje. Wydawał się wypełniać całe pomieszczenie, ale nie było w nim nic groźnego. Przypominał jej konie, które ciągnęły w Londynie wozy z węglem. Łagodne, ociążałe zwierzęta ze smutnym wyrazem pyska.

Kiedy opuszczał farmę po raz trzeci, odwrócił się do niej i uśmiechnął.

Czy to był grzech, myśleć o takim mężczyźnie? O Niemcu? Za czwartym razem, kiedy przyszła do domu wiadomość, że trzeba pomóc przy robieniu masła i śmietany, ku jej ogromnemu rozczarowaniu wysłano lokaja, Hardy’ego, który protestował, że to nie należy do jego obowiązków. Jenny spojrzała na pana Bradfielda. Jego brwi gwałtownie podjechały do góry, kiedy zauważył, że chciała zaprotestować.

– Haaalo! – krzyknął ponownie Albert.

– Słyszeli cię – powiedziała Jenny. – Bądź cicho.

Rzeczywiście, sierżant odwrócił głowę i wyciągnął w górę rękę na znak, że ich zauważył. Czekala jeszcze jakiś czas z duszą na ramieniu i z nadzieją,

że wysłał po jedzenie Fredericka. Zobaczyłaby go chociaż przez chwilę, może coś by do niej powiedział. Ale nikt nie szedł przez pole i po jakimś czasie rozczarowana Jenny ruszyła z powrotem do domu.

*

Powłokła się przez podwórze w stronę chłodnych korytarzy prowadzących do pralni.

Kiedy dotarła w pobliże kuchni, usłyszała głosy. Ze zdziwieniem odkryła, że pani Carlisle, panna Dodd i pani Nicholson stoją wokół siedzącej przy stole Mary.

– Pani March ma dzieci – mówiła kucharka. – Będzie wiedziała, co zrobić.

– Nie chcę tej starej wiedźmy – warknęła Mary. – Na nic się zdała, kiedy... – Zamilkła. – Przy Emily. – Ukryła twarz w dłoniach.

– Co się dzieje? – spytała Jenny.

Pani Carlisle podniosła na nią wzrok. Ręce opierała na biodrach.

– Mary uważa, że nadszedł czas.

– Co? – Jenny podbiegła do koleżanki.

– Nie panikuj – burknęła pokojówka.

Jenny spojrzała na trzy kobiety i zdała sobie sprawę, że żadna z nich nie ma dzieci.

– Co robimy? – spytała.

– Spytałam jaśnie pana, czy możemy posłać po doktora – powiedziała pani Nicholson i ruszyła do drzwi.

– Nie wiem, czy powinniśmy – wystękała Mary. – Może to tylko fałszywy alarm.

– To nie jest fałszywy alarm, jeśli... – Panna Dodd się zarumieniła. – Jeśli odeszły ci wody.

– A tak się właśnie stało, prawda? – spytała pani Nicholson.

– Tak – niewyraźnie potwierdziła Mary, z twarzą wciąż zakrytą rękami, po czym jęknęła przeciągle.

– Doktor pracuje z porządną, zarejestrowaną położną – przypomniała sobie pani Carlisle. – Ale ona chyba mieszka w Richmond. – Rozłożyła ręce. – Kiedyś wszyscy prosili o pomoc panią Mercer. Wciąż może pracować.

Doktor Evans dał jej porządne zaświadczenie, kiedy kilka lat temu zmieniło się prawo. Ale ona nie jest wyszkoloną pielęgniarką ani nic takiego.

Pani Nicholson przez moment się wahała, po czym podjęła decyzję.

– Lepiej dmuchać na zimne. Poproszę chłopaka ogrodnika, żeby pobiegł do wioski albo przynajmniej do stróżówki na końcu podjazdu. Dozorca ma samochód. Może zgodzi się pojechać.

Panna Dodd zakryła dłonią usta.

– Cała rodzina wyjechała do Scarborough, pani Nicholson – szepnęła. – Na wakacje. Każdego roku wyjeżdżają na tydzień. Tam mieszka jej siostra. – Opuściła wzrok. – Przepraszam, że o tym mówię, proszę pani.

Pani Nicholson westchnęła rozdrażniona.

– Mary, kto się tobą opiekował w czasie ciąży?

– Doktor Evans był u mnie dwa razy. Kiedy przyszedł zbadać serce jaśnie pana.

– Rozumiem. Dwa razy w ciągu ośmiu miesięcy? Cóż. – Pani Nicholson wzięła się pod boki. – Kiedy wreszcie kobiety zaczną się traktować lepiej niż psy?! – wykrzyknęła. – O ile mi wiadomo, weterynarz był w zeszłym tygodniu dwa razy u spaniela jaśnie pana.

Pozostałe kobiety popatrzyły na nią ze zdumieniem. Powiedziała to bez złości, ale z dogłębnym przekonaniem. „Jak prawdziwa komunistka” – zwierzyła się później kuzynce pani Carlisle.

Ochmistrzyni podjęła decyzję. Poklepała pokojówkę po ramieniu.

– Poproszę pana Bradfielda, żeby posłał chłopaka. I zaraz spytam jaśnie pana, czy możemy zatelefonować po doktora. Jenny, pomóż Mary przejść do mojego pokoju, kiedy będziemy czekać.

Szybko wyszła. Mary natychmiast opuściła ręce i potoczyła po nich dzikim wzrokiem.

– Nie zabierajcie mnie do jej pokoju. Nie chcę tam być.

– Ale tam jest wygodne łóżko – zauważyła pani Carlisle. – I szeslong, chyba że pani Nicholson się go pozbyła.

– Nie! – wykrzyknęła Mary i powiodła po nich błędnym wzrokiem. – Nie tam.

Pani Carlisle obeszła stół i zaczęła łagodnie podnosić dziewczynę.

– Spokojnie. Musisz się położyć.

– Nie tam, proszę, nie tam – jęknęła Mary.

Ale nie miała siły oprzeć się kobietom, które zabrały ją z kuchni i poprowadziły korytarzem do pokoju pani Nicholson.

*

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że kiedy pani Nicholson weszła do głównej części domu, William Cavendish akurat stał w korytarzu. Najwidoczniej zatrzymał się z poranną gazetą. Podniósł wzrok, kiedy kobieta otworzyła zielone drzwi.

– Och... jaśnie pan. Dzień dobry.

William skinął głową i pytająco uniósł brwi.

– Czy mogłabym wezwać doktora Evansa?

– Źle się pani czuje?

– Wręcz przeciwnie. Ale Mary Nash, pokojówka...

Pan Cavendish najwyraźniej nie miał pojęcia, o kim mowa.

– Mary Nash, wyszła za mąż dwa lata temu... – podpowiedziała gospodyni.

– Och, tak.

– Wydaje mi się, że powinna mieć przynajmniej położną.

William opuścił gazetę.

– Przepraszam, pani Nicholson – powiedział powoli. – Czy to jest moja sprawa?

– Czy mogłabym użyć telefonu, żeby zadzwonić po lekarza? Sprawy zdaje się zaszły za daleko, żeby wystarczyła kobieta ze wsi.

Lord Cavendish zmarszczył czoło i machnął ręką.

– Niech pani robi, cokolwiek uzna za stosowne.

– Dziękuję, proszę pana. – Odwróciła się, żeby odejść.

– I... pani Nicholson.

– Tak?

– Kiedy lady Cavendish ani panny Louisy nie ma w domu, proszę ustalać takie sprawy z panem Bradfieldem. Zapłacę za lekarza, ale nie interesuje mnie, po co on jest potrzebny.

Pani Nicholson stała przez chwilę, po czym skinęła głową na znak, że zrozumiała, i szybko wróciła do drzwi.

*

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak Mary go zapamiętała.

Poza obrazkiem przedstawiającym Elizeusza wskrzeszającego syna Sulamitki. Ta okropna rzecz zniknęła. Mary położyła się na szezlongu i z zabobonnym lękiem dotknęła kretonowego obszycia. Emily Maitland leżała tutaj niecałe trzy lata temu. Było Boże Narodzenie. Na zewnątrz padał śnieg. Och, nigdy nie zapomni tego widoku. Ogień buzujący niemiłosiernie na węglowym palenisku. Obrazek nad gzymsem. Zegar, który tak głośno cykał.

Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała drogi ucieczki. Pani Nicholson zdjęła nie tylko obrazek, ale też wszystkie haftowane serwetki z oparcí krzesel. I okrycia na zagłówki, które pani Jocelyn zawsze krochmaliła tak mocno, że były sztywne jak deski. Nigdy nie położył na nich głowy żaden gość. Ale nowa gospodyni nie zmieniła wystarczająco wiele, żeby odgonić przerażonego ducha z zapadniętymi oczami, który tu przebywał. Matki Sessy. Była taka młoda. Pokojówka, którą panicz Harry życzył sobie uwieść. Biedna Emily.

– Muszę wstać – powiedziała Mary.

Jenny zerwała się na równe nogi.

– Och nie – szepnęła. – Pani Carlisle poszła po herbatę. Posłali do wioski po kobietę. Nie wolno ci się ruszać.

W tej samej chwili Mary doznała okropnego uczucia, że czas zatoczył krąg. Trzy lata wcześniej to ona była na miejscu Jenny. Błagała Emily, żeby się nie ruszała. Złapała dłoń ciężarnej w identyczny sposób, a dziewczyna opowiedziała jej o pudełku, które zostawiła w szklarni, prezencie od panicza Harry'ego. Była to mała bransoletka wysadzana szafirami. Mary wciąż ją miała, ten grzeszny sekret, skalany żalobą, którego nie odważyła się nikomu pokazać. Trzymała ją w zamkniętym pudełku, razem z listami od Davida i zasuszonymi kwiatami z wesela.

– Muszę wstać – powtórzyła. Kiedy zobaczyła panikę na twarzy Jenny, zdołała się uśmiechnąć. – Nic mi nie jest – zapewniła. – Potrzebuję tylko odetchnąć. Chcę wyjść na zewnątrz.

Jenny pomogła jej, chociaż była wyraźnie przestraszona. Minęły kuchnię, ale nigdzie nie dostrzegły pani Carlisle. Przeszły obok pralni i wyszły na

podwórze. Słońce rozgrzewało kamienie. Było okropnie gorąco.

– Za gorąco dla ciebie – zaprotestowała Jenny.

– Nieprawda.

Mary nie potrafiła ująć w słowa ulgi, jaka towarzyszyła jej od momentu, kiedy opuściły pokój ochmistrzyni. W jej wyobraźni pojawiały się przypadkowe obrazy. David w dniu ich ślubu. Jej mąż ściskający dłoń pana Goulda. Kiedy mężczyzna odchodził pośpiesznie w stronę domu, oni objęli się, zdumieni. „Wrócił z martwych” – wymamrotał David.

Jezu Chryste. Znów to samo. Martwi, umierający. Jej siostra na oddziale chorych na błonicę. Szlochający ojciec. Wieści o Harrisonie. Próby odepchnięcia wyobrażeń o tym, co dzieje się we Francji. Czuła jednocześnie gorąco i zimno. Powietrze zdawało się ostre od słońca i mrozu. Upał i lód, śnieg i oślepiająca żółć wrzosowisk, spalonych do sucha latem. Pewnego dnia jechała przez wrzosowiska na małym kucyku za Jackiem Armitage’em, żeby zobaczyć się z siostrą. Wspomnienia tłukły się jej po głowie, każde próbowało wywalczyć pierwszeństwo w niepewnej, wciąż zmieniającej się świadomości.

Zatrzymała się, kiedy poczuła, że ból mija. Niemal widziała jego odejście. Westchnęła, wzięła głęboki oddech i spokojnie wypuściła powietrze. Teraz było o wiele lepiej.

– Weź mnie za rękę – poprosiła koleżankę. – I chodź ze mną.

Przeszły na podwórko stajni przez ogród kuchenny i bramę w murze. Dopiero tam, przy małej furtce, znów złapała ją fala bólu, wrażenie strasznego, nieznośnego nacisku.

– Muszę stąd uciec – wystękała przez zaciśnięte zęby. – Na chwilę.

Usłyszała, jak Jenny gwałtownie wciąga powietrze.

– Ale nie możesz nigdzie iść, Mary! – zaprotestowała. – Och, proszę. Wróć do domu. Nie możesz tu zostać.

Oczywiście, że mogła. „Mam prawo być gdziekolwiek” – pomyślała Mary. Wszędzie, byle dalej od tego, co nadchodziło. Tylko na kilka godzin. Wróci, kiedy będzie gotowa. Czuła nieubłagalność nadchodzących zdarzeń i instynktownie pragnęła uciec. Dziecko nie powinno się urodzić jeszcze przez miesiąc. Miała mnóstwo czasu. Jeszcze cały miesiąc.

– Chcę iść.

I mimo bólu, pociągnęła Jenny za sobą.

*

Jeńcy skończyli pracę na polu o wpół do siódmej.

Frederick żałował, że to już koniec. Skosili cztery duże łąki i przez kilka dni zwozili siano do dużej średniowiecznej stodoły za domem. Na jej widok ogarnęło go zdumienie. Była olbrzymia, miała półokrągły dach i kamienną podłogę. Kiedy patrzył na sklepienie, wydawało mu się, że widzi wnętrze ogromnego statku. Na przeciwległym końcu znajdowało się odgrodzone stanowisko. Stał tam mały, zielony, dwuosobowy samochód sportowy, metz.

Zapewne nie wybudowano jeszcze garaży na auta. Może pojawią się po wojnie. Kiedy jeńcy znosili siano, stodoła zaczęła wypełniać się słodkim zapachem lata. Wiązali je w bele i ustawiali jedne na drugich, jakby budowali wielki zamek. Każdego wieczoru zamykali ogromne drewniane drzwi i każdego ranka ponownie je otwierali, a wtedy owiewała ich ta sama upojna woń.

Marzył, by położyć się na skoszonej trawie i zasnąć. Byłoby to o wiele lepsze niż nocleg w obozie. Nie miałyby nic przeciwko szczyrom. Przyzwyczał się do nich na froncie. Ale nie mógł przestać myśleć o tym, jak byłoby spokojnie. Nikt by nie hałasował. Maszyny by nie huczały. Tylko on i wiekowy budynek, stojące od setek lat kamienie i belki. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek urządzano tu przyjęcia, tańce z okazji żniw albo Bożego Narodzenia. Chciałby to zobaczyć. Na pewno było pięknie.

Najbardziej jednak podobało mu się, że miejsce jest ukryte w zielonym parku, choć jednocześnie ma piękny widok na odległe wzgórza. Gdzieś tam leżało miasto York, stare jak wikingowie, a nawet starsze. Tak mówiono. Ten kraj przypominał mu ojczyznę – jej otwarte przestrzenie i wspaniałe budynki – ale był o wiele piękniejszy. Frederick czuł się tu bezpiecznie. Klimat był zdecydowanie bardziej umiarkowany. W Niemczech lata były gorętsze, robotnicy w południe chowali się w cieniu, jeśli tylko zdołali wyrwać na kilka wolnych chwil. Pamiętał, jak jego matka pociła się i klęła przy pracy. Gospodarstwo otaczało kilka wzgórz, ale w niczym nie przypominały tutejszych ogromnych wzniesień.

Frederick myślał o tym, kiedy jechali na tyle wózka wiozącego ogromną, kołyszącą się stertę siana. Młodszy strażnik szedł obok nich i patrzył wilkiem, gdy oni uśmiechali się do niego. Nagle wózek się zatrzymał

i Frederick usłyszał kobiece głosy.

Zsunął się z wozu, a wraz z nim kilku innych jeńców. Popatrzyli w stronę bramy. Była tam ta dziewczyna, Jenny. Próbowwała odsunąć zasuwkę. Za nią stała druga kobieta, ubrana w biały fartuch, pasiastą suknię i koronkowy czepek. Pewnie pokojówka, jak Jenny, ale znacznie starsza. Wyglądały na wzburzone.

– Zostańcie tutaj – rozkazał sierżant.

Szybkim krokiem przemierzył pole, a kobiety wreszcie otworzyły bramę. Frederick zauważył, że Jenny wykręca dłonie. Była przestraszona. Spojrzała w jego kierunku, po czym złapała strażnika za ramię. Ten potrząsnął głową i wzruszył ramionami. Jenny jeszcze mocniej go ścisnęła, a wolną ręką wytarła oczy.

– Co się dzieje? – spytał mężczyzna obok. – Co mówią?

– Nikogo nie ma w domu – mruknął Frederick. – Potrzebują lekarza.

– Dla kogo?

– Nie wiem.

Czekali, starając się usłyszeć, czego dotyczy rozmowa. Młody strażnik nie wydawał się zainteresowany, grzebał w zębach drewnianą drzazgą. Od strony stajni dobiegł krzyk. Jenny zakryła uszy rękami. Starsza kobieta złapała ją i zaczęła cofać się w stronę dźwięku.

Frederick zrobił krok do przodu.

– Hej, ty – odezwał się strażnik. – Tylko spróbuj.

– Nie uciekam.

– W ogóle się nie ruszaj – ostrzegł go chłopak, zadowolony, że niespodziewanie może pokazać, kto tu rządzi. Machnął w ich stronę karabinem. – Zobaczysz, co się stanie.

– Myślisz, że chcemy uciekać? – spytał Frederick. – Jesteśmy zmęczeni. Nie możemy biec.

– Tylko spróbuj. – Chłopaczek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Frederick popatrzył na niego i na Jenny. Potem ruszył w dół wzgórza w stronę bramy.

– Hej, ty!

– Zastrzel mnie – burknął jeńiec.

Sierżant obejrzał się przez ramię.

– Wracaj – ostrzegł. – To nie twoja sprawa.

Jenny patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Puściła strażnika

i pobiegła. Kiedy znalazła się przy Fredericku, była zdyszana, a po twarzy spływały jej łzy.

– Pomocnik ogrodnika pobiegł do wioski po akuszerkę, ale ona nie przyszła. Doktora nie ma w domu. Nikogo nie możemy znaleźć, a Mary jest... na podwórzu stajni. Nie możemy jej podnieść, a kiedy próbujemy, ona mówi... że nie wejdzie do domu. Coś jest nie tak...

– Kto to? – spytał Frederick.

– Mary. Nie pamiętasz? Widziałeś ją kiedyś.

– Ta pani, która... – Nie znał angielskiego słowa. Z całych sił starał się zrozumieć Jenny. Ale mówiła tak szybko, że słowa wydawały się przekręcone. – Mów powoli, proszę.

Popatrzyła na niego żałośnie.

– Dziecko.

Strażnik znalazł się obok.

– Przepraszam, że rozmawiam z ta pani – wyjaśnił Frederick. – Ale ona jest ta pani, której pomagam do pracy.

Sierżant zmarszczył brwi.

– Jesteś rolnikiem, prawda? – spytał.

– Tak, mamy gospodarstwo.

– Bydło?

– Mamy...

– Krowy. Macie zwierzęta?

– Tak, sir.

– Cielaki?

– Nie wiem...

– Porody, człowieku! Mieliście porody.

Nagle Frederick zrozumiał, o co mu chodzi.

– Och, nie. Tego nie robię.

– Nie?

– Nie umiem. – Frederick spojrział w stronę stajni, gdzie powietrze znów przeszył okropny krzyk bólu. – Z ludźmi, sir. Z kobietami.

Sierżant popatrzył na niego, a potem na Jenny.

– Pokaż nam – powiedział.

Ku przerażeniu wszystkich Mary klęczała teraz w pobliżu wejścia do pustej stajni. Czołgała się, a za nią stała śmiertelnie przerażona panna Dodd.

– Ona mnie nie słucha – zaczęła lamentować, gdy Jenny i dwaj mężczyźni zbliżyli się do niej. – Pani March tu była, ale Mary ją skłęła. Poszła po koce. Krzyczały na siebie...

– Zróbcie coś – błagała mężczyzn Jenny. Uklęła koło przyjaciółki. – Co chcesz robić? – spytała łagodnie. – Jesteś na podwórzu. Porozmawiaj ze mną. Co próbujesz zrobić?

Mary opuściła głowę i wydała z siebie niemal nieludzki jęk bólu, który zmienił się w straszliwy krzyk.

– O mój Boże! Dobry Boże w niebiosach! – zawodziła panna Dodd.

Frederick odwrócił się.

– Może kobieta idzie po mydło i woda. Żeby dać jej... coś do robienia – cicho poprosił sierżanta.

Ten się zgodził. Poprosił starszą pokojówkę, żeby przyniosła balię.

– Chyba że ktoś inny ma ją przynieść?

– Ja pójdę – panna Dodd pobiegła przed siebie.

Dwóch mężczyzn przyglądało się Mary i Jenny.

– Masz dzieci? – spytał Frederick strażnika. – Znasz to?

Starszy mężczyzna zbladł.

– Nie widziałem, jak się rodziły. To nie zajęcie dla mężczyzny.

– Ale dla mnie tak? – spytał Frederick.

– Lepsze niż nic.

– Jestem lepszy niż nic?

Jenny skoczyła na nogi.

– Przestańcie się kłócić! – wrzasnęła. – Pomóżcie mi przynajmniej zanieść ją do stajni.

Jak wielkie, niezgrabne, sześciorekie stworzenie zdołali zabrać Mary ze słońca i wnieść ją do stajni. Na podłodze leżało trochę piasku i siana. Przez podwórze przebiegła pani March. Jej mąż z trudem dźwigał za nią wielką emaliowaną miskę i blaszany termos. Na ramieniu miał zawieszony ręczniki. Kiedy dotarli do drzwi stajni, ogrodnik spojrzął na Mary.

– Niezły bajzel – zauważył lakonicznie.

– Daj mi to – warknęła pani March. Zmierzyła sierżanta i Fredericka spojrzeniem, które samego diabła zatrzymałoby w miejscu. – Wy też stąd idźcie – poleciała.

– Wezwano nas, psze pani – zaprotestował strażnik.

Wyszli z powrotem na słońce i odwrócili się plecami do drzwi. Pan March po prostu wzruszył ramionami.

– Dziwaczka, niestety – powiedział i ruszył z powrotem przez podwórkę.

Spojrzeni po sobie zdziwieni, ale się nie odezwali. Słyszeli, jak za drzwiami pani March protestuje przeciwko czemuś, co mówiły dziewczęta, i nakazuje Jenny potrzymać to czy tamto. Wszystko to przy akompaniamencie jęków Mary. Nagle dobiegł ich rozpaczliwy krzyk.

– Zabierzcie ją! – wrzeszczała rodząca jakby przyduszonym głosem. – Ona zabiła Emily! Zabiła ją!

Minęła minuta. Rozległy się kolejne jęki i przekleństwa – te ostatnie ze strony pani March. Nagle stara kobieta wypadła na podwórze, spocona i czerwona na twarzy.

– Urodziłam piątkę dzieci – poinformowała. Wytarła twarz fartuchem. – Nigdy się tak nie awanturowałam.

– Co się stało? – spytał sierżant.

Pani March wzruszyła ramionami.

– To chyba poród pośladkowy. – Wzruszyła ramionami i skrzyżowała ręce na piersiach. – Zabiłam Emily! – prychnęła. – Też mi coś! Dziecko urodziło się za wcześnie, a dziewczyna krwawiła. Nie mogliśmy nic poradzić. Biedulka, była chuda jak szkapa. Tamtego wieczoru zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Ponieważ żaden z nich nie wiedział, o czym mowa, milczeli. W końcu strażnik zapytał cicho:

– Pośladkowy? Co to znaczy?

– Że dziecko jest na odwrót. Musi przyjechać lekarz.

– Idzie kobieta z wioski.

– Masz na myśli Mercer? Ona się nie nadaje. Jest po siedemdziesiątce. Nie da rady.

– A pani da?

– Może bym dała, gdyby mnie do siebie dopuściła. – Kobieta spojrzała pod nogi. – Chociaż mam wrażenie, że coś jest nie tak.

– Z dzieckiem? – spytał Frederick. Z trudem tłumaczył sobie zdania, ale dobrze widział wyraz twarzy kobiety.

– Pewnie jest duże – powiedziała pani March. I szeroko rozłożyła ręce. – Wydaje się bardzo duże.

Wewnątrz stajni krzyki Mary zmieniły się w łkanie.

– Co zrobimy? – spytał sierżant.

– Nic nie możemy zrobić. Musimy czekać na lekarza.

– Przeniesiemy ją do domu?

Żona ogrodnika uśmiechnęła się ponuro.

– Powodzenia, chłopcy – odwróciła się i z powrotem weszła do stajni.

*

Czekali.

Czekali, a słońce powoli zachodziło. Na podwórko zakradły się cienie. Pozostałych jeńców zaprowadzono do stodoły, gdzie pilnowali ich młodszy żołnierz, pan March i jedyny pomocnik, jaki mu jeszcze został. Patrzyli na ospałych jeńców z przerażeniem, jakby spodziewali się, że lada moment zostaną przez nich obezwładnieni. W pewnym momencie starszy sierżant poszedł sprawdzić, co się dzieje. Pilnujący wyraźnie woleliby być gdzie indziej, więc doszedł do wniosku, że czas wracać.

– Muszę zaprowadzić ich z powrotem do obozu – wyjaśnił. – Dochodzi siódma. Rozkaz to rozkaz.

Jenny wybiegła ze stajni i błagała, żeby zostali.

– Wciąż moglibyśmy przenieść ją do domu, jeśli ból na chwilę odpuści.

Sierżant łagodnie odciągnął ją na bok.

– Posłuchaj, kochanie – powiedział. – Mam tu trzydziestu ludzi, a twoi koledzy wyglądają, jakby mieli wpaść w pieprzoną histerię, jeśli któryś ze szwabów choćby podrapie się po tyłku. Wybacz mi. Musimy wracać do obozu.

– A nie możecie zostawić Fredericka? Mówił pan, że mógłby coś zrobić.

– Na niewiele się przydaje, prawda? Nawet gdyby potrafił pomóc.

– Ale położna ani lekarz nie przyszli. Nie wiem, co zrobimy – szepnęła Jenny i wybuchnęła płaczem tak żalosnym, tak rozdzierającym, że sierżant westchnął. Popatrzył na Fredericka.

– Powiedz, co myślisz.

– Ja myślę?

– Tak, do diabła, człowieku. Co ty myślisz. – Wskazał głową stajnię.

Frederick popatrzył na sierżanta i Jenny. Przyglądała mu się bezradnie,

wyraźnie zagubiona.

Powoli podszedł do drzwi.

Pani March kuciała na podłodze obok Mary i trzymała jej głowę na kolanach. Dziewczyna leżała na kocach, a jeden przykrywał jej brzuch.

– To bez sensu – powiedziała żona ogrodnika.

Już nie krzyczała ani nie przeklinała. Wyglądała, jakby coś wysała z niej resztę energii. Panna Dodd i pani Nicholson stały obok siebie, trzymając się za ręce. Obok na podłodze w miskach znajdowały się woda i mydło.

Frederickowi przypominał się ojciec. Wydarzyło się to może rok albo dwa przed jego śmiercią. Odległe wspomnienie z wczesnego dzieciństwa. Było lato, tak samo jak teraz. Pamiętał takie samo łagodne światło. Pobiegł szukać ojca, który całą noc spędził w oborze. Dzień dopiero się zaczynał, niebo miało barwę matowego różu i złota, na ziemię padało kolorowe światło. We wspomnieniach widział własne, drobne stopy między plamami światła i cieniem.

Obora przypominała tę szopę. Może była trochę większa, mieściła jeszcze dojarnię. Nie mieli zbyt wielu zwierząt. Nie było ich na nie stać. Ale wystarczało im mleka na śmietankę, a od czasu do czasu również na masło i ser. Serownia mieściła się w niewielkim, chłodnym pomieszczeniu, na wpół wkopanym w płytką skarpe za budynkami gospodarczymi. Obok płynął niewielki strumień. Mały Frederick znał już imiona wszystkich krów. Pamiętał ich olbrzymie brzuchy, silne oddechy i pyski, które opuszczały w poszukiwaniu jego twarzy.

Tego ranka śmiertelnie zmęczony ojciec stał oparty o ścianę obory, a u jego stóp leżał nieżywy cielak. Frederick w nocy pomagał, aż przyszła matka i zażądała, by położył się spać. Był pewien, że rano zobaczy nowo narodzonego cielaczka. Tak bardzo się cieszył. Przecież wykonał polecenie ojca i włożył rękę do wnętrza krowy. Poczł zarys niezwykle szczupłego kopytka, a tuż za nim pyszczek z gładkim noskiem. Ale teraz nie było żywego zwierzęcia. Na sianie leżało tylko martwe ciało. Wyciągnięto je z matki na siłę, żeby uratować chociaż ją. Miało połamane nóżki.

– Nie zdążyłem na czas – powiedział ojciec. – Nie byłem dość szybki.

Teraz Frederick uklęknął. Czuł się okropnie. Wszystko do niego wróciło. Gdyby oni tylko wiedzieli. Widział wiele żywych porodów, pomagał przy nich, ale przed oczami stał mu w tej chwili jedynie martwy cielak. Odetchnął głęboko, starając się przegonić tę wizję. Jenny wstała, żeby

zrobić mu przejście, a jej dłoń przelotnie dotknęła jego dłoni.

Mary patrzyła nieprzytomnie. Jej oczy były pełne łez, a twarz miała upiornie bladą.

– Mary – wyszepnął. – Witaj.

Przez moment panowała idealna cisza.

– Mary – odezwał się ponownie – czy mogę zobaczyć? Pozwolisz? Proszę.

Pani March zeszywniała z oburzenia. Ale popatrzył na nią i kobieta od razu się rozluźniła. Odwróciła twarz.

Podniósł mydło i umył ręce. Popatrzył po zgromadzonych kobietach. Ta w czarnej sukience odwzajemniła spojrzenie.

– Proszę – powiedział. – Ty mi pomożesz.

Zrobiła to. Frederick czuł, że wszyscy na niego patrzą, ci w stajni i ci na zewnątrz. Postarał się skoncentrować, uspokoić. Przede wszystkim zapanować nad rękami. Spojrzał na leżącą przed nim biedną kobietę i wróciło upiorne wspomnienie innych cierpiących, zwłaszcza chłopca ze złamanym kręgosłupem. Gdzie to było?

W pobliżu Pilkem.

Tamtej nocy jego dowódca pił. Frederick widział to po jego oczach, czuł w oddechu. Przyszedł do niego o trzeciej nad ranem, zataczając się. Frederick stał na warcie.

– Chcę, żebyś tam wyszedł – oznajmił dowódca.

– Gdzie? – spytał Frederick.

Nie rozumiał, o co chodzi.

Oficer machnął ręką w stronę brytyjskiego frontu.

– Idź i znajdź ich. Powiedz mi, gdzie są.

– Ależ oni są tutaj. Czterdzieści jardów stąd. Widzieliśmy ich wczoraj.

– A może gdzieś poszli? – spytał oficer z okropnym uśmiechem. – Skąd wiesz? Okłamujesz mnie?

– Nie. Muszą tam być.

– Nie wiesz tego na pewno, prawda? Nikogo nie widać. Idź ich poszukać.

– Tam? – powtórzył Frederick. Strach paraliżował każdą komórkę jego ciała. – Ale co mam zrobić? Jak mogę iść?

– Dostałeś taki rozkaz, więc musisz – odparł mężczyzna. – Jak my wszyscy.

– Ale to niemożliwe, prawda?

– Właśnie tak – potwierdził oficer. Wciąż upiornie się szczerzył. – Zabawiaj mnie. Dokonaj niemożliwego.

Frederick wciąż się wahał. Nagle poczuł na czole lufę pistoletu.

– Odmawiasz wykonania bezpośredniego rozkazu?

– Nie. – Frederick wziął garść ziemi i potarł nią twarz, żeby stworzyć coś w rodzaju kamuflażu. – Ależ skąd.

Za brytyjskimi umocnieniami panowała cisza, ale on czuł na sobie spojrzenie żołnierzy. Wydostał się z okopu i szedł krótkimi, sztywnymi krokami. Na początku kuczał i pełzał. Potem usłyszał okropny dźwięk, odgłos wycelowanej w plecy broni. Nie ruszał się wystarczająco szybko. Zaczął biec, zgięty niemal wpół. Potykał się i ślizgał, a tak naprawdę szukał leju po bombie. Czegokolwiek, co pozwoliłoby mu ukryć się przed nieuchronną śmiercią, która zachodziła go z przodu i z tyłu. Cały czas próbował zgadnąć, gdzie dokładnie są Brytyjczycy. Ciężko się biegło w ciemnościach. Potykał się o ludzkie szczątki. Modlił się o lej po pocisku. Dobry Boże, przecież tyle ich było. Zamiast tego znalazł się na niewielkim wzniesieniu i nagle pojął, jak doskonale jest widoczny. Usłyszał przed sobą wołanie. Zamarł.

– Hej, szwabie! – zawołał głos. – Szwabie!

Nie mógł odpowiedzieć. Pomyślał o matce i o tym, co ona robi, kiedy przeczyta list. Dowódca raczej nie każe odzyskać jego ciała, więc Frederick po prostu zniknie.

– Szwabie!

Widział tylko gwiazdy. Spojrzał w górę i czekał. Niebo rozświetlały masy gwiazd.

Kolejne głosy. Wyglądało na to, że o nim rozmawiają. Spodziewał się, że zaraz dostanie od własnego oficera kulkę w plecy, ale nic się nie stało. Może tamten już zapomniał o nim i o swoim szaleńczym rozkazie. Brytyjczycy znów go wołali, przybyło głosów. Skupili na nim uwagę. Nagle zaczęli strzelać.

Z ziemi posypały się pociski. Ostrzeliwali teren bezpośrednio przed nim, z premedytacją go nie zabijając. Próbowali zmusić go do ruchu. Sprawdzić, co zamierzał. Cóż, pomyślał, miał plan umrzeć szybko i bez zamieszania. Wciąż nie ruszał się z miejsca.

Ostrzał się nasilił, ale wciąż go nie trafiali. I wtedy z niezrozumiałych przyczyn jego ciało zaczęło tańczyć, kołysać się, trząść. Chwiał się, potykał,

wymachiwał rękami. „Niech już będzie po wszystkim” – pomyślał. Głosy się podniosły, usłyszał krzyki, a potem drwiny. Wtedy puścił broń, a kiedy leciała w dół, zrozumiał, że już nigdy w życiu niczego nie utrzyma.

Tamtego ranka wzięto go do niewoli. Poleciał prosto przed siebie. A raczej jego ciało pobiegło wprost do brytyjskiego okopu. Czyjeś ręce złapały go, a on upadł. Ktoś po nim przeszedł i wrzucono go na bezpieczny teren. Sporo o nim mówili i śmiali się. Nie przeszkadzało mu to. Uratował go zabawny, dziwny taniec na ziemi niczyjej, przywodzący na myśl marionetkę w teatrzyku. Rozśmieszyło ich trzęsące nim przerażenie.

*

Ponownie popatrzył na leżącą przed nim na podłodze kobietę.

„To nie jest Pilkem. To nie jest Pilkem” – myślał.

Położył delikatnie ręce na brzuchu Mary.

– Przepraszam – wymamrotał. – Proszę to wybaczyć. Ale...

Tak delikatnie, jak tylko zdołał, ponownie namydlił rękę. Bardzo spokojnie, powoli, spróbował wymacać dziecko. Mary ledwie się ruszała. Po chwili poczuł pod palcami malutkie ramię, a potem główkę. Poród nie był pośladowy, ale za malutkim ciałkiem znajdowało się coś jeszcze.

Wziął głęboki wdech. Bał się, że zrobi krzywdę kobiecie i dziecku, był przerażony własną niezdarnością. Obawiał się zdradzieckich, niezgrabnych dłoni, które robiły, co chciały. „Zachowaj spokój” – nakazał sobie w myślach. „Nie myśl o rękach. To nie miejsce ani czas”.

– *Mein Gott* – wyszeptał.

– Co się stało? – cicho spytała pani Nicholson.

Zmarszczył brwi, ale nie odpowiedział. Zamknął oczy. Wyczuwał drugie ramię, kolejną stopę. Malutkie paluszki nie reagowały na dotyk. Klatka piersiowa była tak krucha. Przesunął palcem po żebrach. Wydawały się drobne jak u ptaszka. „To nie jest duże dziecko” – pomyślał. Zagiął palec wokół zwiniętego sznurka pępowiny i pomacał dalej. A tam...

– Mamy dwa – stwierdził. – Są dwa.

– Niemożliwe! – zaprotestowała pani March.

Nie usłyszał jej.

Bliźnięta. Zamarły w walce o to, by się urodzić, utkwily w zbyt małej

przeestrzeni. Przez ciało kobiety przeszedł okropny dreszcz, a on poczuł, we własnym ciele i krwi, ten prastary imperatyw, miazdząca potrzebę. Żeby żyć i oddychać. Niemal położył się na podłodze i przesuwając palcami obok pierwszego dziecka. Mary się poruszyła.

– Proszę ją trzymać, żeby leżała tak samo – poprosił.

Kolejne dziecko. Jeszcze jedna pępowina. Wszystko poplątane jak kłębek sznurka. Bardzo łagodnie poruszył małym ramieniem i rączka zwinęła się w piąstkę, cofnęła. Przesunęła się druga pępowina. Poczucił szarpnięcie, opór.

– No chodź – wymruczał. – Chodź i zobacz świat.

Mary nagle się obudziła, zaczęła krzyczeć i wzdychać. Omiótł go jej oddech, gorący jak ogień. Słyszał, że pani March coś mówi, ale kobieta u jego boku milczała. Dzięki Bogu. Potrzebował ciszy. Spokoju. Pokoju w wielkim świecie, dobry Boże. Tylko pokoju.

– Chodź, maluszkule – szepnął. – *Kommen jetzt mit mir, kleiner lieber ein...*

Wszystko stało się nagle. Pępowina się ześlizgnęła. Drugie malutkie ciało na moment się cofnęło, a pierwsze przygniotło mu dłoń. Postarał się ją wyciągnąć, wyprostować palce, odsunąć własne ciało tak daleko, jak mógł, i wtedy, w jednej cudownej chwili, jego palce i dziecko razem ruszyły w stronę światła. Zanim zrozumiał, co się dzieje, malutkie ciało leżało w dłoniach jego i kobiety obok. Rozległy się podniesione głosy, a on podniósł dziecko do góry. Złapał głęboki wdech i się roześmiał. Poklepał je delikatnie, a ono krzyknęło. Tak głośno! Wspaniały, gromki, przesywający, błogosławiony krzyk. Chwilę później, po trzydziestu, czterdziestu sekundach, dokonał się kolejny cud. Urodził się drugi syn Mary.

Frederick usiadł, oszołomiony. Nagle otoczyły go kobiety, nosiły ręczniki, owijały dzieci. Długie włosy Jenny dotknęły jego twarzy, ktoś poklepał go po plecach. Spojrzał na dziewczynę, a ona w zamieszaniu objęła go za szyję i pocałowała w policzek. Nie wiedział, czy ktokolwiek to zauważył, i nie obchodziło go to.

– Nie odchodź stąd – szepnęła do niego natarczywie. – Obiecuj, że nigdy stąd nie pójdziesz.

Odrobinę się odsunęła, opuściła ręce i spojrzała na niego.

– Obiecuję – powiedział. – Tak, obiecuję.

Potem nagle zdał sobie sprawę, że ma przykurczone nogi, i w niemal zabawnej, natychmiastowej reakcji poleciał do tyłu. Jenny wyprostowała

się, uśmiechnęła i pobiegła, żeby pomóc pozostałym. Frederick leżał na plecach, ociekając potem. Patrzył w sufit, kiedy pojawiła się nad nim twarz sierżanta.

– No, kolego – uśmiechnął się szeroko mężczyzna. – Przyjechał lekarz. Stoi za tobą. Lepiej późno niż wcale, co? Może wyślemy go z powrotem do domu?

*

Było już niemal ciemno, kiedy pani Nicholson cicho zapukała do drzwi salonu.

Usłyszała stłumioną odpowiedź, więc weszła do środka. William Cavendish siedział w jednym z dużych foteli pod oknem. Czytał książkę. Spojrzał na nią pogodnie.

– Została mi po ojcu – powiedział cicho.

Zrobiła krok do przodu.

– Słyszałam, że jaśnie pan był przyrodnikiem, botanikiem.

– Tak, to prawda. I wspaniałym człowiekiem. Bardzo za nim tęsknię.

Czekała, aż zamknie książkę i spojrzy na nią. Na stoliku obok niego znajdowały się szklaneczka whisky i list.

– Prosił pan, żebym przyszła, sir.

– Słyszałem, że dramat już się skończył.

– Zabraliśmy na razie matkę i dzieci do pokoju dzieciennego. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Uniósł dłoń i przywołał ją gestem, wskazał fotel obok swojego.

– Czy podoba się pani Rutherford? – spytał, kiedy usiadła.

– Ogromnie.

– Sprawy na dole mają się dobrze?

– Kilkoma wciąż trzeba się zająć.

– Tak. Niech pani robi, co pani uzna za stosowne. To miałem na myśli wcześniej. Daję pani wolną rękę. Konsultacje ze mną nie mają sensu. Nigdy nie byłem zaangażowany w domowe sprawy.

– Tak, oczywiście – zgodziła się gospodyni. – Ale, jeśli wolno mi powiedzieć... Chodzi o służbę. Jest nas dramatycznie mało.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Może pojedę do agencji. Do Richmond. Do domu potrzeba odpowiedniej służby, mam na myśli wyszkolonych ludzi, a tych jest niewiele. Ale mamy szansę na znalezienie pomywaczek i kucharek. Może kogoś ze wsi. Biedna pani Carlisle z trudem daje sobie radę.

– Proszę robić, co trzeba. Zatrudnić, kogo pani chce. Proszę się nie przejmować kosztami.

– Dziękuję, sir.

– A co do lokaja... – zamilkł. Podniósł list i popatrzył na niego smętnie.
– Co do lokajów i ogrodników... – powtórzył. – Zapewne w ciągu kilku tygodni Hardy, niestety, zostanie powołany. Poprosiłem pana Bradfielda, żeby zwrócił się do większych szpitali i popytał o ludzi szukających zatrudnienia po zwolnieniu ze służby. Wiele rezydencji otworzyło podwoje dla rekonwalescentów. Zapewne znajdą się przyzwoici ludzie z odpowiedniej klasy, którzy nie mogą zająć się ciężką pracą manualną ani precyzyjną pracą biurową czy w fabrykach, a których można by przyuczyć do pracy tutaj.

– To bardzo miło z pana strony – skomentowała pani Nicholson. – Chodzi o rannych na wojnie, tak?

– No właśnie. – William odwrócił na chwilę głowę. – Jaśnie pani zatrudnia tego rodzaju osoby w Blessington, w nowym warsztacie. Pomyślałem, że możemy wprowadzić podobną zasadę.

Gospodyni się uśmiechnęła.

– Praktyczne rozwiązanie, o ile mogą się poruszać i chcą pracować.

Popatrzył na nią.

– Ma pani krewnych w armii?

– Nie, sir.

– Żadnych dzieci, siostrzeńców, kuzynów?

– Nie. Byłam jedynaczką, córką jedynaków.

– Cóż za nietypowa sytuacja.

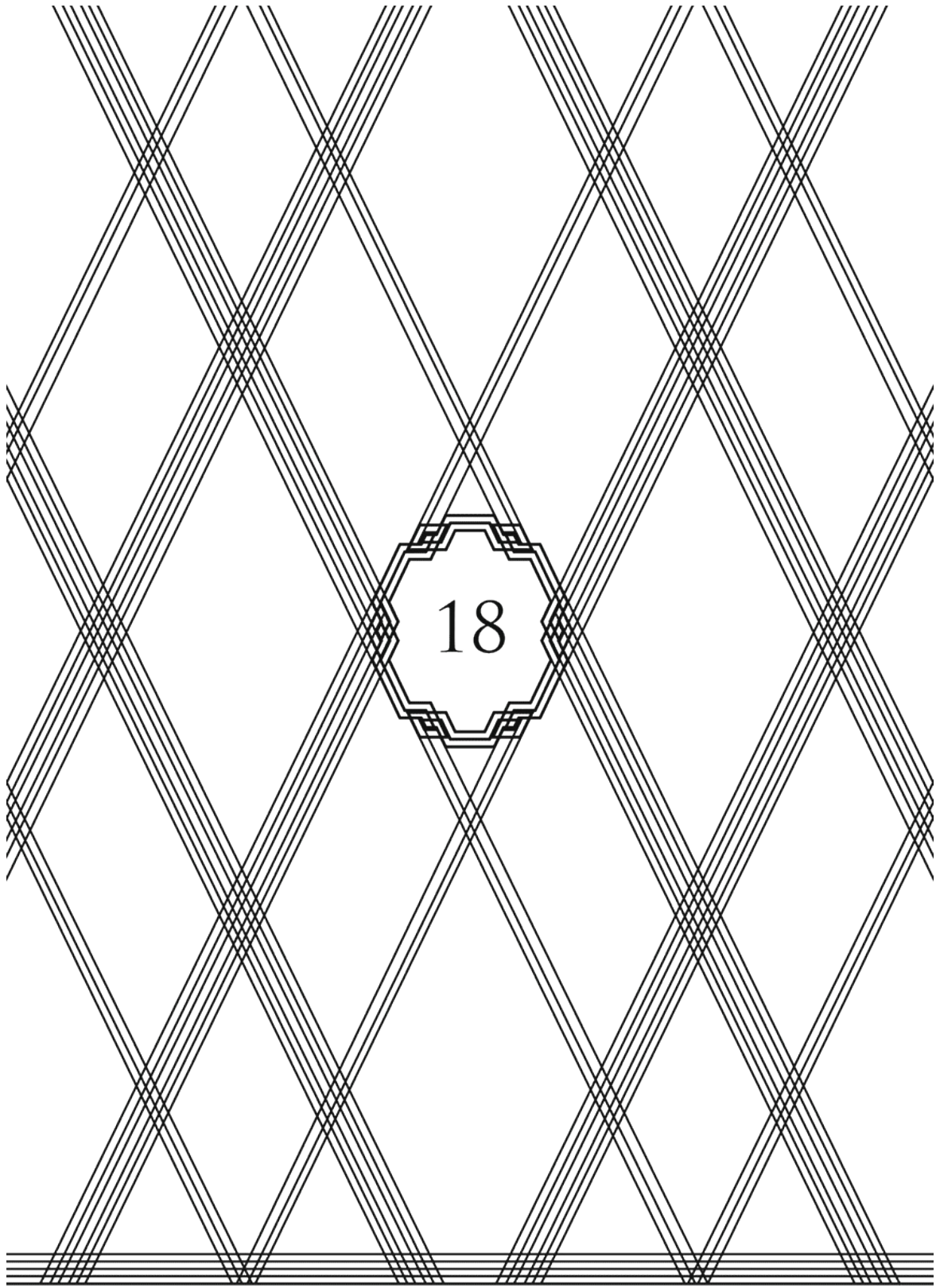
Wzruszyła minimalnie ramionami.

– I szkoliła się pani na pielęgniarkę...?

– Przez krótki czas. Ojciec zostawił dla mnie rentę, żebym mogła się uczyć. Obawiam się, że to się sprzysięgło przeciwko mnie. Gdybym miała naprawdę dobre wyniki w nauce, ale nawet wtedy... – zauważyła, że William jej nie słucha.

Zamilkła, a on popatrzył na nią.

- Nasz chłopak jest w Korpusie Lotniczym, wie pani.
- Tak, słyszałam.
- Wkrótce wraca do domu. W ciągu kilku dni.
- Och, to bardzo dobre wiadomości – ucieszyła się. – Przypilnuję, żeby wszystko było gotowe.
- Tak, tak... – William zamilkł. Powoli pokiwał głową. Podniósł list. – Przyszedł godzinę temu. Nie jest to telegram, jak pani widzi. Czyli na szczęście to nie najgorsze wieści. Ale naczelnik poczty zauważył, że wiadomość w pewien sposób nas dotyczy. Dostała go matka Nasha, w wiosce.
- Nasha? – powtórzyła pani Nicholson. – Ma pan na myśli... męża Mary?
- Tak. – Podał jej kartkę, a ona ją przeczytała. Kiedy skończyła, znów na niego popatrzyła. W kominku dogasał żar i w pokoju zrobiło się ciemno. – Nie piszą, gdzie jest – zauważyła. – „Ranny”. To nam niewiele mówi.
- Rzeczywiście.
- Podawała mu list, ale William pokręcił głową.
- Nie, proszę go zatrzymać. Kiedy uzna pani, że Mary ma dość sił, by go przeczytać, proszę jej go dać.
- Pani Nicholson skinęła głową i złożyła wiadomość.
- Zastanawiam się, czy będzie mógł wrócić do domu – powiedziała. – Czy będzie w stanie.
- Rzeczywiście – niemal szepnął William. – Rzeczywiście.



Przepłynęli Kanał Angielski bez żadnych niespodzianek, za co John Gould był nadzwyczaj wdzięczny losowi. Za każdym razem, gdy widział statek, port albo ocean, myślał o irlandzkim miasteczku i tłumie przemoczonych rozbitków z podkrążonymi oczami. „Lusitania” wracała do niego w koszmarach.

Kiedy transportowiec pełen rannych powoli wypływał z Hawru, John z trwogą obserwował znikające w popołudniowej mgłę wybrzeże Francji. Nie spuszczał oka z kilwatern, szerokiej linii na ciemnym morzu, i modlił się, żeby nie śledziły ich łodzie podwodne. Po obu stronach płynęły statki przypominające zaledwie szare smugi. Ich obecność sprawiała, że nie mógł się uspokoić. Postanowił, że całą noc spędzi na pokładzie i będzie przemierzał go w tę i z powrotem, kiedy tylko okaże się to możliwe. Zejście pod pokład zbyt mocno przypominałoby o koszmarze, który nigdy go nie opuszczał.

Pamiętał to okropne wrażenie spadania, gdy zanurzał się pod gładką powierzchnię morza. Pamiętał ciało, które przepłynęło obok i pociągnęło go za sobą. Pamiętał, jak wspinał się na reling z dwunastoletnim Josephem Petheridge'em i mówił mu, żeby płynął ze wszystkich sił. O dziwo, pamiętał nawet wirowanie wody pod stopami, kiedy szykowali się do skoku, zimny strumień wlewający mu się do butów. Od zwykłego życia do nieuchronnej śmierci w zaledwie kilka sekund.

Ale potem mógł przypomnieć sobie dopiero twarze na nabrzeżu i pomalowane na zielono ściany pensjonatu. Siedział w pokoju, patrzył przed siebie i drżał. Słowa wydawały się zbyt ciężkie w jego ustach, dosłownie oniemiał. Żołnierze we Francji wiele razy opowiadali podobne historie. Po przeżytych wstrząsach człowiek stawał się sztywny, poruszał się jak automat. Świat wydawał się nienaturalny, sztuczny, jak podejrzany teatrzyk, gdzie można było patrzeć, obserwować, czuć na skórze dotyk

ciepła i zimna. Ale nic w środku. Nie można też było mówić, tylko się trząść. Całymi dniami. Tygodniami.

Noc wydawała się nie mieć końca. John poszedł na dziób i zmrużył oczy, starając się dostrzec światła Anglii. Dzieliło ich od lądu zaledwie kilka mil, ale miał wrażenie, że tysiące. Sądził, że jeszcze kiedyś wróci do Francji, choć miał nadzieję, że dopiero po zakończeniu wojny. Obiecał sobie, że zrobi coś, by pozyskać pomoc finansową z Anglii i Ameryki, chociaż Anglicy już racjonowali produkty. Nie mógł przestać myśleć o dzieciach i ich nędznych podarunkach, o tym, jak były szczęśliwe, kiedy dał im cukierki. Wspominał mężczyzn i ich obojętne twarze. I konie. Powinno się coś zrobić dla koni.

– Są tam nie tylko konie – wyjaśnił mu Harry, kiedy dzień wcześniej zbliżali się do Hawru sztabowym autem. – Inne zwierzęta też. Jedna eskadra miała maskotkę, małego liska. Uwielbiał latać, naprawdę. Opierał się o deskę rozdzielczą i podnosił uszy. Pewien kurier woził na tylnym siedzeniu owczarka collie, to zdaje się francuska rasa, psy gospodarskie. Zwierzak trzymał na jego ramionach przednie łapy. I są jeszcze psy-pośłańcy...

– Tak, wiem – odparł John.

Nie lubił myśleć o czworonogach przeskakujących okopy albo leżące na ziemi kable telefoniczne. Nie chciał wspominać zwierzaka, którego widział w obozie rezerwy, z zabandażowanymi łapami poparzonymi gazem musztardowym. Albo gołębi pocztowych, jeszcze dziwniejszych i w jakiś sposób przejmujących w swojej kruchości, zamkniętych w pudełkach za ukośnymi siatkami. Przenosiły wiadomości znacznie szybciej, niż robił to człowiek.

– Świat zwariował – poklepał Harry’ego nieuważnie po ramieniu.

Chłopak patrzył na pola zalane letnim deszczem i więcej się nie odezwał.

Potem, kiedy dotarli do portu, Cavendish nagle oznajmił, że nie wsiądzie z Johnem na pokład.

– Zostałem wezwany do czwartego pułku – oznajmił.

– Naprawdę? Kiedy?

– Dostałem wiadomość.

– Ale kiedy? Przegapiłem coś?

– Dostałem wiadomość – powtórzył zawzięcie Harry. Lekko podniósł głos. – Nie ma o czym dyskutować.

– Masz jechać do Nieuwpoort? – spytał cicho John.

Harry tylko podniósł palec do ust i się uśmiechnął.

– W takim razie musimy się rozdzielić – stwierdził Gould, kiedy wysiadali z pociągu. – Masz załatwiony jakiś transport?

– Tak.

John wyciągnął rękę.

– Powodzenia. Wracaj szybko, dobrze? Rodzice na ciebie czekają.

– Nie będzie mnie tyle ile trzeba. – Harry dotknął daszka czapki, po czym szybko zniknął w tłumie.

Wreszcie noc dobiegła końca. Nad morzem wstał świt i w oddali pojawiło się Dover.

– Najdroższy Boże, dziękuję ci z całego serca – wyszeptał John. Postawił kołnierz płaszcza. Wstydził się swojej ulgi.

W porcie ludzie biegali jak szaleni między maszynami. Stał w kolejce, w rękę trzymał gabardynową torbę podróżną. Pokazał paszport.

– Amerykanin, co? – spytał policjant, który pilnował cywili, żeby nie tamowali ruchu wojskowych ciężarówek.

– Pociąg do Londynu? – spytał John w odpowiedzi.

Dotarł na stację i wepchnął się do pociągu. Stał w korytarzu. Odstąpił swoje miejsce jakiemuś majorowi, szaremu na twarzy ze zmęczenia. Mężczyzna zasnął zaledwie po minucie, jeszcze zanim pociąg ruszył ze stacji. Miał wściekłą minę. „Gniewa się nawet przez sen” – pomyślał John. Ciekawe, co sprawiło, że był taki zły. On sam czy inni? Niecierpliwość, strach? Może to, że znalazł się na angielskiej ziemi. Tak, w tym też tkwiło źródło dziwnej złości. Anglia była taka zwyczajna, niezmieniona, spokojna. Wywoływało to frustrację i nieracjonalną irytację.

Podróż do Londynu trwała wiele godzin. John w końcu usiadł na podłodze i również zasnął. Od czasu do czasu przechodzący pasażerowie stukali go butami albo potykali się o niego. Pociąg szarpał do przodu albo całkowicie się zatrzymywał. John niejasno wyczuwał zapach oleju, słyszał dudnienie, echo i przypadkowe strzępy cudzych rozmów. W ogóle nie śnił. Czuł się po prostu wdzięczny za brudną podłogę, odgłos kroków i mieszanię głosów. Oznaczały, że wraca do domu. Skulił się pod płaszczem, oparł o torbę i od czasu do czasu sprawdzał, czy jego notatnik wciąż tam jest. Wyczuwał jego kształt przez materiał bagażu.

Pociąg zatrzymał się na Charing Cross o ósmej rano. John wyszedł w jasność i potarł zmęczoną twarz. Spojrzał na bogato zdobiony monumentalny krzyż, postawiony na cześć Eleonory Kastylijskiej i odtworzony w epoce wiktoriańskiej. Była to kopia trzynastowiecznego drewnianego posągu, który uległ zniszczeniu w czasie wojny domowej. Jego biała, kamienna kopia stała tutaj przez ponad pięćdziesiąt lat. Octavia opowiedziała o tym ukochanemu w trakcie jednego z pierwszych wspólnych spacerów po Londynie. Krzyż wzniesiony na cześć królowej, żony.

– Wyobraź sobie, że fundujesz podobny prezent, a on stoi osiemset lat – zadumała się Octavia.

John uśmiechnął się i pocałował jej dłoń w rękawiczce. Zamilkli i spojrzeli sobie w oczy.

– Zastanawiam się, czy ktoś będzie o nas pamiętał za osiemset lat? – rozmyślała.

– Rutherford będzie o tobie pamiętać.

– Och, wątpię w to.

– Dlaczego nie? Jak nazywa się w Anglii żonę, która zbłądziła? Czarnym koniem? Tak zapiszesz się w historii.

– Mój Boże – roześmiała się. – Czyż to nie okropne? – Przechyliła głowę i przyglądała mu się z zamyśleniem. – Nie będą cię znali – powiedziała cicho. – Nikt nie zrozumie dlaczego.

– Ty mnie znasz. Tylko to się liczy. – Ponownie spojrzał na krzyż. – Czy powinienem wnieść pomnik na twoją cześć? Dać zlecenie rzeźbiarzowi, kupić kawałek ziemi i go postawić? Mężczyźni mogliby przychodzić i cię wielbić.

– Och, John! – Znów się zaśmiała.

Ale kiedy odchodzili, ponownie obejrzała się przez ramię.

– Musiał ją bardzo kochać – szepnęła.

Nagle Johnem zawładnęło przemożne pragnienie zobaczenia Octavii.

Stanął na chodniku po przeciwnej stronie głównego placu i fontann, ale wkrótce porzucił nadzieję na złapanie taksówki. Mimo wczesnej pory panował duży ruch, londyńczycy spieszyli załatwiać sprawunki, a wojskowe pojazdy kluczyły pomiędzy cywilnymi autami, powodując chaos. Konie, furgonetki, autobusy i piesi – wszyscy walczyli o miejsce na szerokiej drodze.

Pomyślał, że może zawrócić, zejść pod ziemię i pojechać metrem, ale nie

mógł się na to zdobyć. Do domu miał tylko dwie mile. Postanowił pójść piechotą. Ruszył normalnym krokiem w stronę Buckingham Palace Road, wzdłuż The Mall. Pałac błyszczał w świetle poranka. W połowie ulicy John skręcił do cudownie zielonego parku St James. Wszedł na most. Gdzieś po drugiej stronie był spokój i jedyna rzecz, jaka się dla niego na tym świecie naprawdę liczyła. Przyspieszył kroku. Minął ogrody Grosvenor, Eton Square i Sloane Square. Uderzyło go, że są tak luksusowe, wytrąciło go to z równowagi. Wydało mu się niesprawiedliwe. Świat szedł w niewłaściwym kierunku. Londyńczycy kochali swoje trawniki i ogrody. Były tak cenne i tak bardzo nie na miejscu w porównaniu do krajobrazu po drugiej stronie kanału.

Zauważył, że drży. Z premedytacją skierował myśli na inne tory. Ogarnęło go coś w rodzaju paniki, zawładnęło nim poczucie straty. Zaczął biec. Zanim się zorientował, pędził Royal Hospital Road jak opętany, nieświadomy spojrzeń mijanych przechodniów. Minął szpitalną kaplicę zbudowaną z czerwonych cegieł, kątem oka zauważył błysk łukowato sklepionych okien i drzewa czereśniowe, ciężkie od ciemnozielonych liści późnego lata. Świat wirował wokół niego. Płuca bolały go z wysiłku.

Rączki torby zaczęły ślizgać się w jego dłoni. Mięśnie nóg dawały mu się we znaki. Czuł spływający po szyi zimny strumyk wywołanego paniką potu. „Nie będzie jej” – myślał w kółko. „Z jakiegoś powodu jej nie będzie. Coś się stało i teraz jej nie ma”. Kiedy wbiegał do Chelsea Physic Garden, nagle ogarnęło go przekonanie, że już nigdy jej nie zobaczy, została uprowadzona, kiedy on patrzył w innym kierunku, wchłonięta przez obcą przestrzeń.

Uderzał stopami o ciche chodniki, mijał domy z piaskowca, beżowe i blade. Nagle zobaczył rzekę i rosnące nad nią drzewa. Był już niemal na miejscu, a kiedy wreszcie dostrzegł dom, musiał się zatrzymać. Nie mógł złapać tchu. Serce waliło mu w piersi, w uszach szumiało. Wreszcie pozbierał się i szybko ruszył w stronę bramy domu, do drzwi. Zapukał w nie mocno, bo nie mógł znaleźć kluczy.

Otworzyła Milly. Uśmiechnęła się szeroko.

– Och, sir! Witamy w domu.

– Dziękuję, Milly. – Rzucił torbę, strząsnął z ramion płaszcz i stanął u podnóża schodów. Bał się zapytać. – Czy jest lady Cavendish?

– Tak. Oczywiście. – Pokojówka zmarszczyła w zdumieniu czoło. – Pani...

Ale on nie słyszał dalszych słów. Popędził po schodach, przesadzając po dwa stopnie naraz, przebiegł przez półpiętro i otworzył na całą szerokość drzwi do sypialni.

Octavia siedziała na łóżku. W ręku trzymała filiżankę herbaty, obok leżała otwarta gazeta.

Stał przez chwilę w drzwiach i przyglądał się ukochanej. Potem sięgnął po najbliższe krzesło i usiadł, nie spuszczać jej z oczu. Przez chwilę również mu się przyglądała, po czym odstawiła filiżankę, zeskoczyła z łóżka i podbiegła do niego.

– Och, John. Kochanie, co się stało?

John zaczął się niepohamowanie śmiać. Trząsł się z ulgi.

– Nic, moja miła. Absolutnie wszystko w porządku.

*

W Rutherford Louisa zaszła przed śniadaniem do pokoju dziecięcego.

Na końcu długiego korytarza łączącego wszystkie sypialnie zatrzymała się i spojrzała na podobiznę matki. Portret Octavii wisiał nad szeroką klatką schodową. Nie dało się wejść do domu i nie spojrzeć na nią, jak stoi na tle Rutherford, ubrana w obszerną satynową suknię. Louisa często ostatnio myślała, że spojrzenie matki wydaje się nieobecne. Kiedy dorastała, sądziła, że malarz w ten sposób uwiecznił jej brak pewności siebie. Teraz wydawało jej się, że Octavia tak naprawdę patrzyła w upragnioną przyszłość albo widziała przed sobą miejsce, do którego nie mogła pójść. Dłonie na kunsztownej, rzeźbionej poręczy fotela nie leżały swobodnie, lecz były zaciśnięte. Dziwne. Wcześniej tego nie zauważyła.

Odwróciła się i ruszyła korytarzem. Z pokoju ojca nie dobiegał żaden dźwięk, a wszystkie pozostałe były oczywiście puste. Dom coraz bardziej zaczynał przypominać mauzoleum. Sanktuarium. Od czasu do czasu wchodziła do pokoju Harry'ego. Patrzyła na modele statków i głupiutki historyjki obrazkowe z czasów, kiedy był chłopcem. W szafie wisiał komplet szkolnych mundurków, których matka dotychczas nie wyrzuciła. Znajdowała się tam też toga z Oksfordu, świadectwo kilku krótkich miesięcy spędzonych na uniwersytecie. Louisa uśmiechnęła się do siebie. Harry wyjątkowo nie nadawał się na studenta. Próbował oczywiście

dopasować się do formy, którą dla niego przygotowano, ale prędzej czy później wyrwałyby się na wolność, czy wojna by nadeszła, czy nie.

Wyszła z pokoju Harry'ego i otworzyła drzwi, za którymi kryły się prowadzące na trzecie piętro wąskie schody. Ta część domu wydawała się bardziej tętnić życiem, zwłaszcza od kiedy przeniesiono tu Mary i jej dwóch synów. Umieszczono ich w dodatkowym pokoju dziecięcym, potrzebnym w czasach, kiedy w domu mieszkała zarówno opiekunka, jak i guwernantka. Louisa weszła do niego teraz na palcach, żeby nie przeszkadzać.

Mary spała, ale sądząc po chuście zawieszanej na fotelu do karmienia, wstawała w nocy przynajmniej raz. Louisa zakradła się do łóżeczek dziecięcych, stojących obok kominka, pod wielkim obrazem przedstawiającym królową Wiktorię. Bliźnięta leżały w swoich kołyskach. Małe aniołki. Miały zmierzwione, ciemne włoski i w każdym calu przypominały Mary. Wyglądały tak uroczo. Ciężko było uwierzyć, że nieustannie krzyczą i płaczą.

– Co za głosy! Ależ para płucek! – wykrzyknęła niania Sessy ostatnim razem, kiedy Louisa z nią rozmawiała. A potem dodała z odrobiną nagany: – Panna Cecilia równie dobrze mogłaby wcale nie spać, biorąc pod uwagę, co się dzieje za ścianą.

Louisa zignorowała tę uwagę. Wiedziała, że Sessy jest bardzo zainteresowana nowymi mieszkańcami Rutherford. Poza tym dziewczyna też doskonale się bawiła, przygotowując pokój dla Mary. Gdy tylko usłyszała wieści, osobiście kupiła zasłony i dywany, jasnoczerwony koc, osłonę do kominka, miski i mały serwis do herbaty, komodę z przewijakiem, pościel i ręczniki. Właściwie to wykupiła połowę zawartości sklepu dziecięcego w Richmond. Wiedziała, że wywoła tym poruszenie wśród służby. Były to rzeczy, które bardziej wypadałoby sprezentować dziecku we własnej rodzinie. Ale nie obchodziło jej to. Ani ojca. „Rób, co musisz” – ciągle ostatnio powtarzał. Właśnie to robiła.

Opuściła pokój najciszej, jak zdołała, i weszła do większego pokoju dzieciennego. Ku jej radości Sessy nie spała. Stała w łóżeczku i testowała wytrzymałość drewnianych barierek, delikatnie nimi potrząsając. Przyglądała się też zasuwkom, które przytrzymywały ścianki kojca. Louisa wzięła ją na rękę.

– Ależ jesteś słodka – powiedziała do dziewczynki. – Chodź ze mną.

Zostawiła wciąż śpiącej niani karteczkę z wiadomością i złapała komplet

ubranek. W swoim pokoju ubrała dziecko w kombinezon, wełniany płaszcz i małe skórzane buciki.

– Ś-adanie – zażądała Sessy, jakby dopiero oprzytomniała.

– Za chwilę – obiecała Louisa. – Na dole czeka na ciebie niespodzianka.

Dziewczynka popatrzyła na ciotkę z uwagą. Zwróciła do niej twarzyczkę, tak bardzo podobną do twarzy Harry’ego. Miała jasną cerę i regularne rysy, jednak jej usta często przybierały uparty wyraz, który równie łatwo zmieniał się w uśmiech.

Poszły na dół przez wielki dom, wyszły przez przeszklone drzwi jadalni i ruszyły ścieżką do otoczonego murem ogrodu. Promienie słońca dopiero kładły się na szczycie muru, skąpały go w złotym świetle. Szły między grządkami, na których gęsto rosły ciemnozielone rośliny, ciężkie od rosy. Wyszły przez furtkę i dotarły do stajni. Panowała cisza, nawet tutaj. Louisa na moment przystanęła, wciągnęła w płuca świeże, poranne powietrze. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak Jack idzie w jej stronę. „Wracaj do domu” – pomyślała. „Proszę, wróć”.

Sessy zaczęła wiercić się w jej ramionach. Louisa otworzyła oczy, postawiła bratanicę na ziemi i mocno złapała ją za rękę.

– Nie uciekaj – poprosiła. – Musisz iść ze mną. Coś zobaczysz.

Podeszły do stajni, w której stał koń Williama do polowań. Ogier był lekko zdenerwowany, ale Louisa go zignorowała. Niespodzianka czekała za drzwiami następnego boksu. Spokojnie otworzyła ich górną część i ponownie posadziła sobie Sessy na biodrze.

– Popatrz – szepnęła. – To dla ciebie. Tylko dla ciebie.

Dwa lata wcześniej wysłała Jacka, żeby znalazł dla Sessy małego kuczka. Jej bratanica miała wtedy zaledwie siedemnaście miesięcy i Jack uważał, że to nie najlepszy pomysł. „Jest jeszcze brzdącem” – zauważył. Ale Louisa nalegała. Poszedł szukać kuczka w stajni pani Hallett. Jednak koni nie było, zostały tego dnia zarekwirowane. Ani jeden nie został dla Sessy.

Od kiedy Jack wyjechał, pisał do niej o losie koni na wojnie. Dawał do zrozumienia, że cierpią, ale nie rozwodził się nad tym. Louisa z dużą przenikliwością czytała między wierszami. Słyszała udrękę chłopaka w każdym napisanym i nienapisanym słowie. Uznała, że jeśli Rutherford i mężczyznę w rodzaju Jacka ma czekać wspólna przyszłość, trzeba ponownie coś w nich rozniecić, pielęgnować, dać im powód do życia. Nowy początek. Obmyśliła więc plan. Znalazła dla Sessy konia, którego nikt im

nie odbierze.

W przegrodzie stała miniaturowa wersja zwierzęcia, które Jack kochał najbardziej. Oczywiście daleko mu było do rozmiarów shire'a. Mimo wszystko bardzo przypominał Waclawa. Był identycznie umaszczone – szary, z białymi kopytami. Miał spokojne, inteligentne spojrzenie i ładnie ukształtowaną głowę, biorąc pod uwagę jego drobną posturę. Był to miniaturowy kuc szetlandzki. W siodlarni znajdowały się również dopasowana rozmiarem uzda, wodze, a także urocze, niewielkie siodło.

– Mały – zauważyła Sessy, na której koń wyraźnie nie zrobił wrażenia.

– Tak, kochanie, jest bardzo mały – zgodziła się Louisa. – Ale dla ciebie idealny. Widzisz? Patrzy na ciebie. Nakarmimy go? Może zostanieie przyjaciółmi?

Sessy wyrwała się na ziemię. Louisa otworzyła drzwi. Koń przestąpił kilka razy z nogi na nogę.

– Nie wpychaj się, bo go przestraszysz – ostrzegła Louisa.

Ale niepotrzebnie się martwiła. Kucyk opuścił głowę, a Sessy uwiesiła mu się na szyi i zaczęła dziko obcałowywać.

– Mały! – zaśpiewała.

– Jak go nazwiemy?

– Dzidziuś!

– Nie, nie Dzidziuś. Byłoby mu przykro. Jest całkiem dorosły.

– Kruszyńka.

– To raczej imię dla dziewczynki.

– Tomcio Paluch.

Louisa się uśmiechnęła.

– Idealnie – zgodziła się. – Wiedziałam, że coś wymyślisz. Niech będzie Tomcio Paluch.

„Proszę, Jack” – pomyślała. „To nie Waclaw. Załedwie skromny dodatek pod wieloma względami. Ale mam nadzieję, że i tak go polubisz”.

*

Jakieś piętnaście minut później zobaczyła, że na podwórze wychodzi ojciec Jacka.

Szedł bardzo powoli. Nie miał marynarki. Spojrzała na niego raz, potem drugi, bardziej uważnie. Josiah był typowym człowiekiem z Yorkshire. Mówił mało i zazwyczaj parł zdecydowanie do przodu z pochyloną głową. Nieczęsto się odzywał i rzadko wpadał w złość. Wydawał się twardy, ale tak naprawdę był łagodny. Nie znosił, gdy zadawano mu pytania. Teraz wyglądał, jakby się zgubił. Zatrzymał się i wpatrywał w ziemię.

– Josiah! – zawołała Louisa. Nie doczekała się odpowiedzi. – Panie Armitage!

Wtedy ją usłyszał. Podniósł wzrok, ale się nie poruszył. Zabrała Sessy od kucyka i zamknęła drzwi do boksu, mimo że miała protestowała. Przeszły szybko przez podwórze.

– Panie Armitage – powtórzyła. – Czy wszystko w porządku?

– Naprawdę nie wiem – odparł. – Nie mam pojęcia.

Zaskoczył ją. Josiah wiedział wszystko. Nie był arogancki, wręcz przeciwnie, miał ogromne doświadczenie. Nie udawał, że zna się na świecie poza Rutherford, ale to nie należało do jego obowiązków. Wiedza, którą posiadał, była absolutna i dokładna. Królował w swoim niewielkim świecie. Jednak tego poranka patrzył na nią jak zagubiony chłopczyk.

– Czy mogę pomóc? – spytała. – Co się stało?

– Naprawdę nie wiem, panienko. – Przeczesał nieuważnie włosy palcami. – Chodzi o list.

List. Nagle poczuła na plecach zimny pot. Lodowatą falę strachu.

– Z Francji? – spytała. – Chodzi o Jacka?

Miała wrażenie, że Josiah Armitage całe wieki przeszukuje najpierw jedną kieszeń, a potem drugą. Wreszcie wyciągnął charakterystyczną bladobrazową kopertę i podał dziewczynie. Poczuła ubezwładniającą ulgę. To nie było okropne, oficjalne oświadczenie z ministerstwa. Wewnątrz znajdowała się cieniutka, złożona kartka. Sprawdziła podpis na dole.

– To kapelan wojskowy – powiedziała cicho. – Píše o Jacku.

– On nie może wrócić! – wykrzyknął nagle Josiah. – Nie w ten sposób.

– Przepraszam... w jaki?

– Co on tu pisze. Nerwica.

– Nie wiem, co to znaczy, Josiah.

– Jest do bani, poprzestawiało mu się we łbie! – Stary mężczyzna potarł oczy i dosłownie zakrył pięściami twarz. Louisa nigdy nie widziała, żeby okazywał jakiegokolwiek emocje, a co dopiero płakał.

– Musi chodzić o coś innego. Po prostu jest wykończony.

– Wiem, co ten księżulo ma na myśli! – wybuchnął Josiah i opuścił ręce.

– Mózg mu się zlasował, jak reszcie! Wróci na miękkich nogach, o byle co będzie się przewracał. Jak ten Kessington, co go musieliśmy odesłać do matki.

– Och, nie – szepnęła. – To nie może być to.

– Inaczej nie odsyłają ich z powrotem. Muszą być do niczego, upadać. Zdrowi nie wracają.

Louisa próbowała przeczytać list, ale słowa wirowały jej przed oczami. W końcu ponownie spojrzała na stajennego. Wyglądał na udręczonego, więc łagodnie położyła rękę na jego ramieniu.

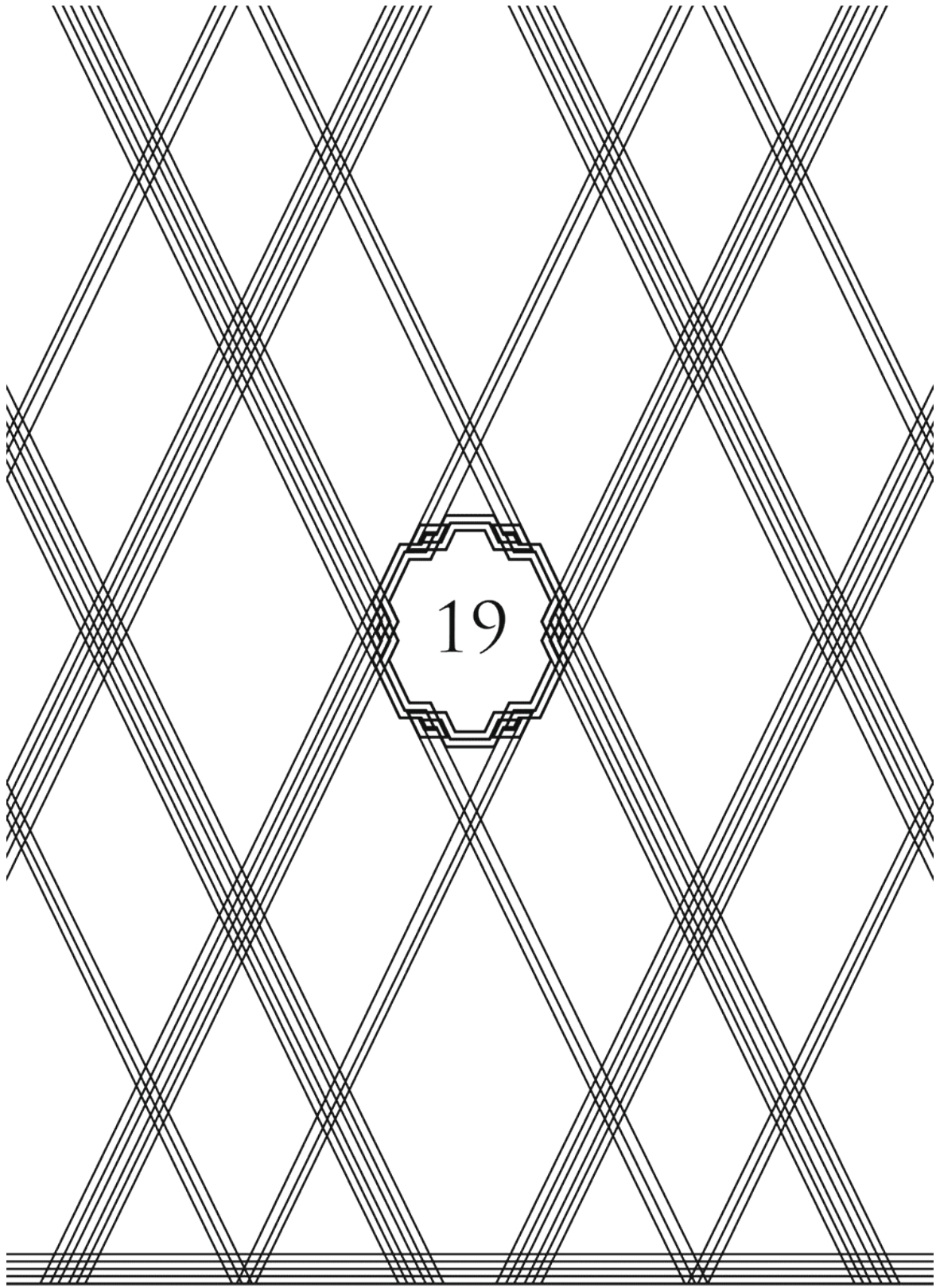
– Czy mogę pokazać list ojcu? – spytała. – Czy bardzo by się pan gniewał? Może on coś poradzi. Rozumie pan... dowie się więcej. Jakoś pomoże.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią, wyraźnie niepewny, czy powinien zdradzać, jaki spotkał go wstyd. W końcu wymamrotał:

– I tak prędzej czy później się dowie.

Z tymi słowami się odwrócił.

Popatrzył na dom, nieobecny spojrzeniem ogarnął podwórze. W końcu ruszył w stronę łąk. Powłóczył nogami, jakby przybyło mu pięćdziesiąt lat.



Popołudniowe słońce przeświecało przez zasłony i padało na łóżko.

Octavia nie spała, leżała z głową opartą na miękkich, wielkich poduchach. Obejmowała Johna. Zaczął się kręcić i w końcu otworzył oczy. Przez króciutką chwilę na jego twarzy pojawił się niezwykle wyraz, mieszanina rezygnacji i żalu. Potem się uśmiechnął.

– Długo spałem?

– Sześć godzin.

Zmarszczył brwi i usiadł.

– Przepraszam, kochana.

– Nic się nie stało

John odwrócił głowę, ale nie puścił jej ręki.

– Jesteś głodny? – spytała.

Przeczesał dłonią włosy.

– Nie bardzo. Opowiedz, co się tutaj działo.

– Najpierw zadzwonię po coś do jedzenia. A przynajmniej po herbatę.

Minęło pół godziny, zanim skończył jeść przyniesiony posiłek. Siedział przy małym stoliku i wyglądał na ulicę. Nie rzucił się na jedzenie, raczej je rozgrzebał.

– Sądząc po twojej minie, we Francji było okropnie – zagadnęła Octavia.

Nie odpowiedział.

Wstała, owinęła się szlafrokiem i usiadła naprzeciw niego.

– Mam wiadomości. Dostałam list od Harry’ego. I Louisa dzwoniła dziś po południu. Żałuję, że Harry z tobą nie wrócił. Mam dla niego bardzo dobre wieści. Chciałby je usłyszeć.

– Od Harry’ego – powtórzył.

– Tak, list przyszedł z Poperinge. – Uśmiechnęła się i wyjęła kopertę z kieszeni szlafroka. – Nadano go trzy dni temu.

– Rzeczywiście, byliśmy tam wtedy.

– Dostał rozkaz wyjazdu na belgijską granicę – wyszeptała. – Miałam nadzieję, że wróci z tobą do domu. Tak zrozumiałam.

John odsunął tacę z talerzem.

– On też tak mówił. Dopiero kiedy trzydzieści sześć godzin temu znaleźliśmy się w pobliżu Hawru, oznajmił, że wróci do Anglii później.

– O ile później?

– Kochanie, nie wiem. – Zmarszczył brwi. – W ogóle o tym nie wspominał w Poperinge. Z jego słów wynikało, że wraca ze mną.

– Ale jak mogą go tam trzymać? – spytała Octavia uniesionym głosem. – Jest chory. Tak wynikało z twojego listu z zeszłego tygodnia.

– Nie wiem. Ale kiedy człowiek dostaje rozkaz... niewykonanie go równa się sądowi polowemu.

– Nie mają prawa wydawać mu rozkazów! – wykrzyknęła Octavia. Odłożyła list na kolana ze złością. – Och, John, to nie twoja wina. Wiem o tym. Oczywiście, że nie – westchnęła. – Natychmiast mu odpisałam. Hetty de Ray dokonała jednego ze swoich cudów. Pamiętasz Hetty... Oczywiście, że tak! – wykrzyknęła na widok jego niepewnej miny. – Duża kobieta, głośna, jej mąż pracuje w Whitehall.

– Ach, tak. Jak mógłbym zapomnieć groźną Hetty.

– Właśnie. Dowiedziała się czegoś o Caitlin de Souza. Harry tak nalegał, żebym spróbowała ją odnaleźć. Mąż Hetty ma przyjaciela... Och, wciąż ją słyszę, jak mówi: „Zna kogoś, kto zna kogoś, kto zna kogoś, kochanie!”, kiedy martwiliśmy się o Harry’ego. – Octavia uśmiechnęła się szeroko. – Jest w Harrogate, wyobraź sobie. Nieomal krzyknęłam, kiedy znalazłam po powrocie telegram od Hetty. Rutherford jest zaledwie kilka mil dalej. Byłam tuż obok.

– Dzięki Bogu. Harry będzie przeschęśliwy. Dlaczego Harrogate? To okropnie daleko od Londynu.

– Jest na rekonwalescencji w wiejskiej rezydencji, udostępnionej rannym na wojnie pielęgniarce.

– Rannym? Jak?

– Nie znam szczegółów. Kontakty Hetty nie są nieograniczone. Kiedy Harry wróci, możemy tam pojechać. Napisałam do niego. Do Poperinge. Oczywiście wiem, że list może nie dotrzeć, ale to była taka dobra wiadomość, że i tak go wysłałam. Przez kilka dni wyobrażałam sobie, jak mu o tym mówię. – Westchnęła ze zmęczenia. – Tak bardzo bym chciała,

żeby wrócił z tobą. Jaki się wydawał?

John obawiał się tego pytania.

– Po prostu ten sam stary Harry.

– Jest szczęśliwy? To znaczy, na ile to możliwe w jego sytuacji.

– Tak, kochanie. Jest spokojny. Może nawet pogodzony.

– Och – westchnęła. – To już coś, jak sądzę. – Zamyśliła się. – Pogodzony z czym?

– Wiesz. Z wojną. Jej okropnością.

– Tylko tyle?

– Tak.

– Pisał, że chodzi o zwiad. Czy to nowy teren dla oddziałów?

– Tak mi się wydaje.

Octavia uniosła głowę.

– Powiem ci coś weselszego. Mary Nash urodziła w domu bliźniaki. W Rutherford.

– Dobry Boże!

– Czyż to nie wspaniale? Louisa umieściła je w pokoju obok Sessy. Podobno są upiornie głośne.

John się uśmiechnął. – David będzie zadowolony.

– William zadzwonił do mnie i powiedział, że David jest ranny. Wróci do domu i zobaczy synów. Czyż to nie wspaniałe? Wiadomości płyną w obie strony. Dzięki Bogu za sprawną pocztę wojskową. – Rozsiadła się wygodniej i mocniej owineła szlafrokiem. – Mary mówiła pani Carlisle, że David jest gdzieś nad morzem. Myślisz, że w tym samym miejscu, co Harry? Ile bitew może rozgrywać się na wybrzeżu?

– To tajna akcja, tak mi się wydaje – mruknął z roztargnieniem. – W miejscowości Nieuwpoort.

– Akcja? Masz na myśli prawdziwą bitwę? Jakaś ofensywa? Ale Harry nie jest w to zaangażowany?

– Nie, ależ skąd – pospiesznie zaprzeczył John.

Niemal słyszał kłamstwo we własnym głosie. Wiedział, że Harry'ego ciągnęło do Nieuwpoort. Nie potrafił oprzeć się syreniemu śpiewowi. Może dostał rozkaz, a może nie. „Przeklęty chłopak” – pomyślał mimowolnie. Popatrzył na Octavię.

– Kochanie, w wielu miejscach dzieją się różne rzeczy. Harry nawet nie musi jechać na front. Jest doradcą.

Nie odpowiedziała. Popatrzyła na niego stanowczo. Wyglądała, jakby chciała zadać mu kolejne pytania, ale w końcu zrezygnowała.

– Powiedz, co porabiałaś – poprosił John.

– Pojechałam do Rutherford, zobaczyć się z Williamem – odparła. – Byłam też w przedzalni i spotkałam się z Ferrowem. Zaplanowaliśmy otwarcie warsztatu, w którym będziemy produkować wykończone towary. Eleganckie drobiazgi. Ranni będą mogli tam pracować. Sprawy szybko się toczą. Poprosiłam Louise, żeby nadzorowała prace w czasie mojej nieobecności.

– I zrobi to?

– Mam nadzieję. Ona... hmm, ma pewien problem. Nie wiem, jak sobie z nim poradzić. Ale to nieistotne.

– Czy z Williamem wszystko w porządku?

– Tak mi się wydaje. Znalazłam nową ochmistrzynię. Przyjechała od Kentów. William chyba ją polubił.

– To dobrze. A Louisa...

– Tak. – Octavia zmarszczyła brwi, przyłożyła na chwilę rękę do czoła i się uśmiechnęła. – Moje córki zachowują się... nie wiem, jak to określić. Tajemniczo. Dziwnie.

– Jak to?

– Kochanie, to naprawdę zdumiewające. Ale mam nadzieję, że to tylko chwilowe. Charlotte odeszła od Michaela.

– Co ty powiesz.

Octavia uniosła brew.

– Nie dziwi cię to? Nie szokuje?

– Nigdy nie byłem do końca przekonany. Wiesz o tym.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że ją do czegoś zmusiłam?

Uśmiechnął się lekko.

– Czy mówiłem coś podobnego? – spytał. – Kiedykolwiek? Czy sama to sobie wmówiłaś?

Octavia otworzyła usta, ale w końcu nic nie powiedziała. Zamyśliła się.

– Czy ją zmusiłam? Nie – zdecydowała się wreszcie. – Ale cieszyłam się. Michael wydawał się taki miły.

– Dokąd odeszła?

– Mieszka w pobliżu, z przyjaciółką. Christine. Artystką.

– Tą, która była na twoim kiermaszu artystycznym w Rutherford?

– Tak. Miała namalować portret Charlotte i Michaela.

– I zrobiła to?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

John pochylił się i wziął ją za rękę.

– To okropne. Chciałabyś, żebym poszedł zobaczyć się z Michaeliem?

– A cóż dobrego może z tego wyniknąć? Ona uparcie twierdzi, że do niego nie wróci. Nie wiem, co robić. Napisałam do Williama, ale nie odpowiedział. Wydaje mi się, że musi czuć się podobnie jak ja.

Patrzyli na siebie. John myślał o Christine. Pamiętał jej spojrzenie, takie bezpośrednie.

– W duchu są identyczne – przyznał cicho. – Christine i Charlotte.

– Tak samo dziwaczne – zgodziła się Octavia. – Nie można tolerować takich wybryków u mężatki, John. Naprawdę. Nie, jeśli w przyszłości chcą prowadzić przyzwoite życie, bez problemów.

Wciąż trzymał ją za rękę.

– Zastanawiam się, co dzisiaj oznacza „przyzwoite życie” – szepnął. – Wszelkie życie powinno być dla nas święte.

– To nie znaczy, że mamy rezygnować z norm, ideałów.

Spojrzał na nią.

– A ty w co wierzysz, Octavio?

– Że wszyscy powinni być szczęśliwi.

– Jak należałoby to osiągnąć?

– Poprzez... – zamilkła. – Wolność.

– Wyboru?

Zmarszczyła czoło.

– Ale nie przez niszczenie dobrych rzeczy.

– Dobrych dla społeczeństwa?

– Masz na myśli nas?

– Wybrałaś miłość nad towarzystwo.

– Ale Charlotte nie uciekła w poszukiwaniu miłości czy przyjaźni. Wręcz odwrotnie, uciekła od nich. A przynajmniej od przyrzeczenia, jakie w tej kwestii złożyła. – Octavia zwiesiła głowę. – Chcę przede wszystkim, żeby Charlotte była szczęśliwa.

– A czy teraz wydaje się szczęśliwa?

– Bardzo.

– Z Christine.

– Tak. – Octavia zaczęła z roztargnieniem porządkować tacę ze śniadaniem. Potem zamarła. – Szczęśliwsza niż widziałam ją od bardzo dawna.

– Szczęśliwsza niż w dniu swojego ślubu?

– Cóż, wtedy człowiek zawsze jest trochę zdenerwowany.

– A widziałaś Christine?

– Podobno przyszły tu razem, kiedy mnie nie było. – Uśmiechnęła się. – Teraz, kiedy jesteś już bezpieczny w domu, wybiorę się z wizytą do Christine. Porozmawiam z nimi. Może ona namówi Michaela i Charlotte, żeby się dogadali.

– Octavio – powiedział cicho John.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. Pochyliła się w jego stronę, wzięła go za rękę i popatrzyła w oczy.

– Co takiego?

– Może przyjaźń Christine jest dla Charlotte ważniejsza od jej małżeństwa.

Octavia zaprotestowała.

– Ależ to absurdalne! Och, przyjemnie jest mieć przyjaciółkę, ale mąż...

– Ona nie chce swojego męża. A my nie powinniśmy jej pouczać w kwestii świętości związku małżeńskiego czy słuszności pozostawania w nim.

– No dobrze – poddała się Octavia. – Ale była blisko z Michaelem. Podziwiała go.

– Kochanie – szepnął John. – Podziwiałaś Williama? Wciąż darzysz go respektem?

– Nadal go szanuję, tak. Wiem, że wykonał dla kraju wspaniałą pracę.

– Jak Michael.

– Tak.

– Dlaczego zatem odeszłaś od niego?

– Ależ John. Znasz odpowiedź na to pytanie.

– Powiedz mi.

Patrzyła na niego zdumiona.

– Ponieważ zakochałam się w tobie.

– I to sprawiło, że wszystko inne przestało być ważne, prawda? – powiedział łagodnie. – Konwenanse. Instytucje. Cudze opinie. W niepamięć idzie szacunek czy podziw dla męża, prawda? Może powinno być inaczej.

Ale tak się dzieje.

– Rzeczywiście.

– Musimy być z ukochaną osobą. Nie wyobrażamy sobie innego życia. Dzięki niej jesteśmy szczęśliwi.

– Tak...

– Promiennie szczęśliwi, kochanie.

– Ale... – Wciąż na niego patrzyła. I nagle dotarła do niej prawda. Zrozumiała, do czego zmierzał. – Och, nie możesz myśleć...!

– Pamiętasz, jak rozmawiały na kiermaszu artystycznym? Przez cały pobyt Christine nie można było ich rozdzielić. Po jej wyjeździe Charlotte nieustannie o niej mówiła. Sama stwierdziłaś, że Charlotte wydaje się zauroczona tą kobietą. Twoje słowa, kochanie. Zauroczona.

– Miałam na myśli, że jest zafascynowana. Oczarowana. Z pewnością nie było między nimi... – Wyraźnie chciała powiedzieć „nic więcej”, ale tego nie zrobiła. Zawahała się zakłopotana.

– Wspominałaś, że Christine wybrała się po ślubie do pokoju Charlotte.

– Ależ to niemożliwe! To tylko przyjaźń. Nic więcej. Z pewnością...

– Promiennie szczęśliwa, kochana. Sama tak mówiłaś. Szczęśliwsza niż w dniu swojego ślubu.

– Ale w takim razie po co przyjęła oświadczyzny Michaela?

– Cóż, na to pytanie nie znam odpowiedzi – przyznał. – Ale może była to ostatnia próba postąpienia w sposób uznawany w towarzystwie za normalny. Chciała przez to przejść, stać się taka jak inni. Ale okazało się to wbrew jej naturze. Wbrew prawdziwym uczuciom.

Octavia ze zdumienia otworzyła usta. Nie była głęboko wstrząśnięta ani oburzona. Nawet nie pełna dezaprobaty. Może inni ludzie potępiliby podobne zachowanie. Osoby z poprzedniego pokolenia. Octavia była inna, wiedział o tym. Nie miała uprzedzeń, nie była zadufana ani wymagająca. Ale mimo wszystko nie rozumiała. Nigdy nie spotkała się z czymś podobnym.

John wstał i łagodnie pociągnął ją do góry. Przytulił.

– Kochanie – Pocałował Octavię w policzek, wciągnął wspaniały zapach jej włosów. Zamknął oczy, gdy wszystkie wydarzenia, których był świadkiem w ciągu ostatnich kilku tygodni, chciały wedrzeć się w jego myśli. – Na świecie istnieje tyle gorszych rzeczy niż zakochanie się w niewłaściwej osobie. Kto jak kto, ale my doskonale o tym wiemy.

*

Dzień dobiegał końca bez niespodzianek.

Kolację zjedli w domu. Woleli własne towarzystwo od hałasu miasta. Po posiłku wyszli do ogrodu i siedzieli obok siebie. Powoli nadchodził wieczór. Przez jakiś czas milczeli. Cienie wydłużały się i wokół nich drzewa zmieniały się w ciemne kontury, między którymi błyskały pierwsze gwiazdy.

W końcu Octavia położyła głowę na ramieniu ukochanego.

– O czym będziesz pisał w tym tygodniu? – spytała.

– Mój Boże – Westchnął. – Jest tyle tematów. Tak wiele spraw, o których nie chcę pisać ze strachu, że zranię rodziny żołnierzy.

– W takim razie o czym? O czymś osobistym?

– Sporo myślałem o uroczystościach żałobnych i grobach. Jak to zorganizować, kiedy już wszystko się skończy. Odnalezienie zmarłych jest logistycznym koszmarem. Wielu z nich zwyczajnie zniknęło.

– Ceremonia dla zaginionych?

– Tak, sądzę, że to byłoby stosowne. Poza tym są też konie. Ten temat pewnie spodobałby się Jackowi Armitage'owi. Racje żywnościowe są małe. Niektóre zwierzęta dosłownie umierają z głodu. Człowiek czuje bezsilność, wściekłość...

Octavia nagle wstała i uderzyła się ręką w czoło.

– Och, zapomniałam ci powiedzieć!

– O czym?

– Dzwoniła Louisa z wiadomością, że Jack wraca do domu. Jego ojciec bardzo się zdenerwował, bo Jack ma nerwicę frontową. Louisa rozmawiała dziś z Williamem. Chcą skontaktować się z kapelanem, który napisał list do Josiaha. Podobno Jack pracował przy transporcie rannych i się załamał...

– Przykro mi to słyszeć. Jack to dobry człowiek.

– Tak, ale posłuchaj, kochanie. Nie można go było oddzielić od koni, z którymi pracował. Po prostu nie chciał ich opuścić. Oto twoja historia. Lojalność ludzi wobec koni. Jak możemy ich wspierać. – Złapała go za ramię. – Muszę ci jeszcze coś powiedzieć o Louisie, ale to może poczekać do jutra. Zastanawiałam się po jej telefonie... Może zaczęlibyśmy

gromadzić pieniądze, założyli fundusz? Zbieralibyśmy na racje żywnościowe dla koni na wojnie. Kiedy Jack wróci do domu, będzie mógł wziąć w tym udział.

John uniósł jej rękę do ust i się uśmiechnął.

– Przejdiesz przez Piccadilly, waląc w bębenek i trzymając tacę?

– Oczywiście. Na wojnie jest milion koni. Część z nich należała do nas.

Do Rutherford.

– Widzę cię oczyma wyobraźni. To bardzo uroczy obrazek.

– Nie chcę być urocza, John. Chcę coś zrobić.

Gould przeciągnął się i pomógł Octavii wstać. Ruszyli ścieżką, a kiedy dotarli do domu, zatrzymali się na chwilę, żeby popatrzeć na światła w środku. Jasne kolory, lśniące srebra, żywe barwy na obrazach, bladoczerwone i różowe kwiaty w wazonach przy kominku.

– Gdzie nadano list? – spytał John. – Ten od kapelana?

– Louisa nie wspomniała.

– A co z końmi? Z tymi, od których nie można było oddzielić Jacka?

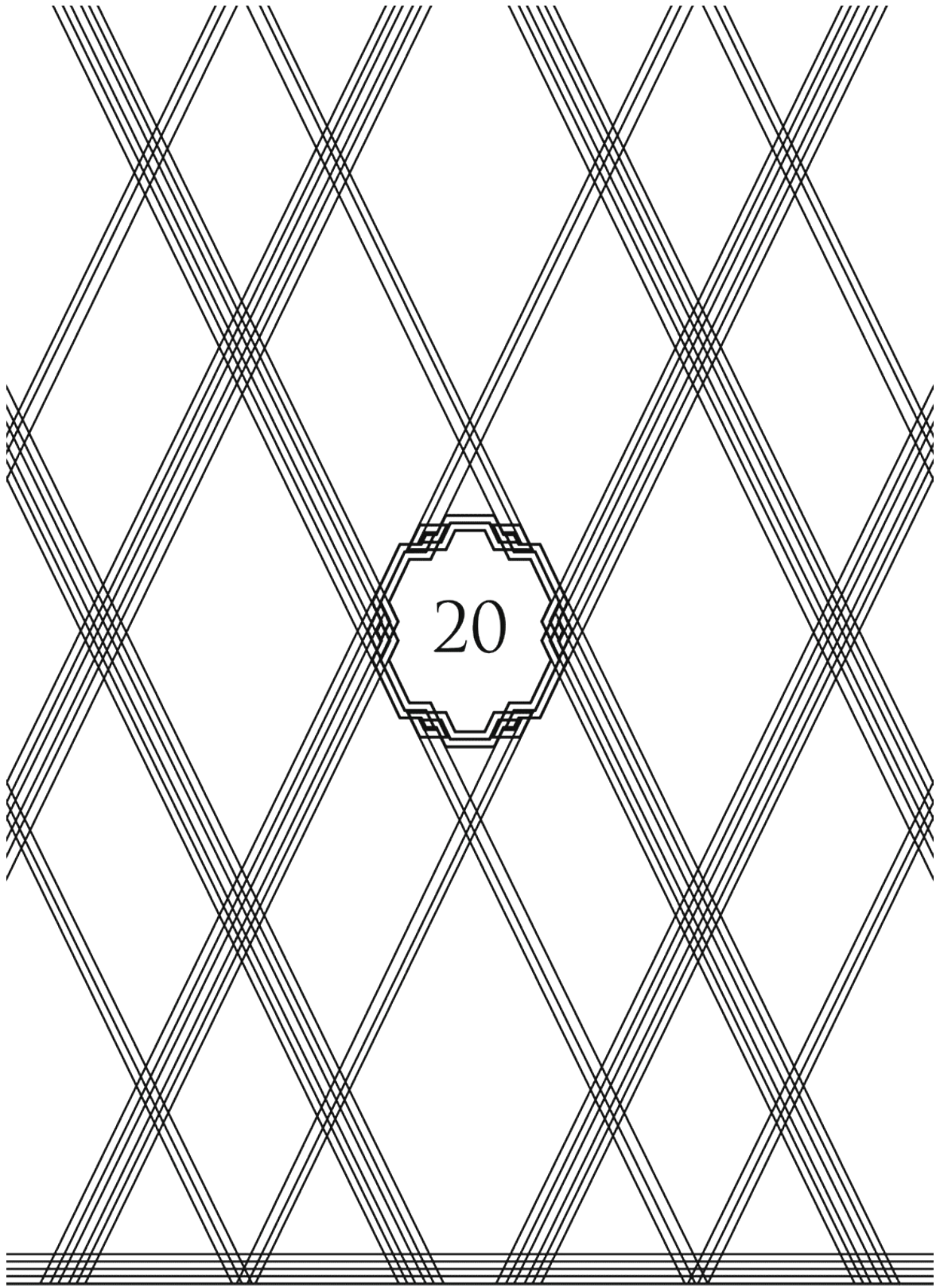
– To były konie pociągowe. W zbyt złym stanie, żeby mogły ciągnąć działa artyleryjskie.

– Może by tak przywieźć jednego z powrotem. Użyć go w kampanii. Zastanawiam się, czy dałoby się to zorganizować.

– Byłoby wspaniale – zamyśliła się Octavia. Po chwili dodała cichutko: – Nie mogę przestać myśleć o tym, że Jack nie chciał się z nimi rozstać.

– To smutne.

– Tak – zgodziła się Octavia. Powoli otworzyła drzwi do domu. – I takie do niego podobne.



Był wspaniały dzień.

Motocykl pędził ścieżką. Podskakiwał na każdym wyboju i kamieniu. Wibracje sprawiały Harry'emu ból. Każde uderzenie czuł w prawej nodze jak ukłucie ostrego szpikulca. Ale mało się tym przejmował. Kurier okazał się wariatem, jechał jak dzikus. Ryczał i przeklinał z silnym akcentem z Glasgow. Wiózł Harry'ego wbrew wszelkim przepisom i Cavendish był mu za to wdzięczny. Śpiewali na cały głos żołnierską piosenkę. „Z flaszki sobie chlapiemy, ten świat jest pełen kłamstw, za zmarłych wypijemy, na następnego przyszedł czas”.

To spodobało się Szkotowi. Harry objął go, kiedy noga zaczęła mocniej boleć. Kurier chrząknął w proteście.

– Albo to, albo spadnę – krzyknął mu Harry do ucha.

– W takim razie spadaj, pozbędę się balastu – usłyszał w odpowiedzi.

Najpierw zobaczyli wybrzeże, dopiero potem lotnisko. Piękna, stalowoszara i błękitna linia migotała za płaskim lądem. Mgła nad kanałem. Harry znał tego rodzaju niebo. Można było wystartować w słońcu i wznieść się ponad chmury, a tam zamiast spodziewanego błękitu zalegała warstwa brązowych oparów. Często się zastanawiał, czy to wyziewy milionów eksplodujących pocisków. Ktoś na ostatnim posterunku mówił ponuro o zastępach czarnych dusz, patrzących z góry na świat. Oczywiście dostał w łeb za takie gadanie. Czarne dusze, też coś. Co za łajdak.

Chociaż, w snach... od rozstania z Gouldem, Harry dużo śnił. Wszyscy spodziewali się jego powrotu, więc denerwował się swoim kłamstwem. We śnie widział opuszczoną stację kolejową, puste tory. Odludzie. Wtedy dostrzegał, że to stacja w pobliżu Rutherford. Tory wyglądały na nieużywane. Pomiedzy podkładami wybujała trawa. Zielsko zarosło dziury w chodniku na peronie. Mech wisiał na barierkach i dachu. Natura odzyskiwała cały teren, nawet drogę za stacją. Budził się spocony

i zastanawiał, dlaczego wyobraźnia podsuwa mu takie rzeczy.

Ścieżka nagle zmieniła się w przyzwoitą, choć wąską drogę wzdłuż brzegu. Od czasu do czasu mijali niewielkie kamieniste plaże, wąskie paski kamieni pomiędzy wodą a płaskim, wciąż przesiąkniętym wodą gruntem. Mijali karłowate topole i wierzby. Drzewa ukształtowały się w nieustającym wietrze w niemal poziome linie. „Co za rozwiany kraj” – pomyślał Harry.

Zamknął oczy i wciągnął w płuca słone powietrze. Słyszał, jak fale rozbijają się o kamienie. Pomyślał o wierszu Matthew Arnolda, którego uczono go w szkole. Coś o plaży. O kamieniach i o dźwięku, jaki wydawały uderzające w nie fale. Czy chodziło o plażę w Dover? Uważał, że to dziwne, bo nigdy nie widział w Dover plaży. Pewnie musiała jakaś być. Podobna do tych w Sussex, głęboka, kamienista półka schodząca w dół, aż do wody. Jak w Pevensey, gdzie przybił do brzegu William Zdobywca. „Z brzegu Francji co pewien czas błyska latarnia i znów gaśnie; angielskie urwiska...”[4]

Nagle dopadła go olbrzymia tęsknota za domem. „Angielskie urwiska...” Powinien był zgodnie z poleceniem pojechać do domu. Zgodnie z rozkazem. Wyglądało na to, że stracili go z oczu. Może kiedy zjawi się w Nieuwpoort, znów go namierzą. Wejdzie na lotnisko, a dowódca powie: „Cavendish? Cavendish?! Ty draniu, co ty tu robisz? Wynoś się stąd, do diabła. Wracaj do Anglii. Wyraźnie tu napisali, że masz jechać do domu...”

Ale wszyscy zachowywali się dziwnie, w trudny do opanowania sposób. Weźmy na przykład Churchilla. Wczoraj Harry po raz pierwszy od wielu dni czytał gazetę. Zamieszczono w niej artykuł o dawnym Pierwszym Lordzie Admiralicji. Wykopano go z rządu, po czym został mianowany podpułkownikiem w Szóstej Królewskiej Szkołcockiej Kompanii Strzelców Wyborowych. Ale nie na długo. Teraz znów wrócił do rządu i klepał rutynowe kłamstwa. Dostał pozwolenie na powrót do Londynu, kiedy oznajmił, że ma naglące obowiązki względem społeczeństwa. Harry uważał to za bardzo zabawne, a kurier podzielił jego opinię.

– Czytałem o Churchillu – zaczął pasażer, kiedy zatrzymali się, żeby nabrać wody dla dymiącego, spowitego oparami motocykla.

– Ach, tak. Rzeźnik z Gallipoli – brzmiała odpowiedź. – W majtasach dziwek pełno jest naglących obowiązków.

Harry musiał się roześmiać.

– Nie dlatego wrócił. To dobry gość.

– Naprawdę? – warknął kurier. – Może wrócić tutaj i mieć pilne obowiązki. Królewska Szkocka Kompania straciła na Plug Street pół batalionu.

– Jest pilotem – powiedział cicho Harry.

– Ach, naprawdę?

– W czasie urlopu zabierał samoloty z powrotem do Anglii. Tak napisali w artykule. Mówił, że podróż statkiem trwa zbyt długo.

– I w powietrzu był znacznie bezpieczniejszy – dodał kurier. – Ale to tylko moje zdanie. Moja opinia.

Artykuł sprawił, że Harry wpadł na pewien pomysł. Kiedy ta myśl raz się pojawiła, nie mógł się od niej opędzić. Churchill zabrał samolot z powrotem do Anglii. Maszynę, której potrzebowali. Jeśli on, Harry, pojedzie do Nieuwpoort niezgodnie z rozkazami, równie dobrze może zadośćuczynić za swoje zachowanie. Może polecieć z powrotem do Anglii.

Wziąłby samolot z konserwacji. Przeważnie remontowanym samolotom niewiele brakowało. Zazwyczaj miały tylko kilka dziur po kulach. Jeśli zapalały, jeśli mechanizm był nienaruszony, mógł zabrać maszynę od inżynierów zajmujących się konserwacją. Poderwać go do góry. Potem dopadłby jakiegoś nieszczęsnego szwaba i przy okazji zwiększył liczbę trafień. Miał na koncie dziewiętnaście zestrzeleń. Zawsze uważał, że to brzydka, nieokrągła liczba. Mógłby na pożegnanie zestrzelić dwudziestego. Dopiero wtedy wróci do domu. Skoro Churchill mógł tak zrobić...

Dochodziła dziewiąta, kiedy dotarli na prowizoryczne lotnisko.

Wyglądało jak nędzny obóz. Poły namiotów wydymały się na wietrze w miejscach, gdzie poluzowały się kołki. Przypominało to dzień prania, pościel łopoczącą na silnym wietrze. Wokół biegali ludzie i próbowali zrobić z tym porządek. Harry czuł zapach gotowanego śniadania. Trawę pokrywała gruba warstwa rosy. Samoloty stały w trzech długich rzędach, jak dziewczyny, które czekają na zaproszenie do tańca. Harry zsiadł z motocykla, podziękował kurierowi i przeprosił, że był dla niego ciężarem.

– Nie mogę przecież pogonić oficera – Uśmiechnął się mężczyzna i uścisnął Harry'emu dłoń.

Cavendish patrzył, jak kurier biegnie w stronę najbliższego budynku. Kiedyś była tu farma i część zabudowań wciąż stała. W jednym dostrzegł wewnętrzną ścianę pomalowaną na jasnożółty kolor. Identyczny jak w salonie w domu matki w Londynie. Harry'emu podobały się wnętrza

urządzone przez matkę, znacznie weselsze niż ponure pomieszczenia, które wolał ojciec. William kojarzył mu się z ziemistymi barwami – brązowym, ciemnozielonym. Harry był bardziej podobny do matki. Jasny niebieski. Kolory lata. Żółty i różowy. Brzoskwiniowy i łososiowy. To radosne wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy. „Uratuję coś z tego bałaganu” – pomyślał. Stworzy z Caitlin mały, uroczy dom. Może naprawdę pojedzie do Teksasu? Tam wszystko będzie lepsze. Cichsze i mniej skomplikowane.

Widział siebie nad innym oceanem, inną plażą. Ponoć plaże w Kalifornii były fantastyczne. Chciałby je zobaczyć, zwiedzić całe wybrzeże. Może popływać w ciepłej wodzie. To by mu wyśmienicie zrobiło na bolące nogi. Właśnie odbudowywano San Francisco, miasto pełne optymizmu. Mógłby tam oddychać świeżym powietrzem. Zero duszącej, opresyjnej arystokracji, zero miazdzącego poczucia odpowiedzialności.

Zadecydował, że spędzi tam kilka lat. Opuści stary kraj na rzecz nowego. Gould poradzi mu, co robić. Jak być Amerykaninem. Stał w słońcu i śmiał się do siebie. Może przez jakiś czas pozwoli sobie na bycie chłopcem. Nigdy nie miał ku temu okazji. Tylko w trakcie tych dzikich dni w Londynie po śmierci Emily, kiedy zżerało go poczucie winy z powodu tego, jak ją potraktował.

Nie. Zacznie od nowa. Czyż nie po to istniały wojna i pokój? Walczyło się o drugą szansę, inną perspektywę. O pozbycie się wszystkiego, co stare i przedawnione. Mógł się tym zająć, wykuć coś lepszego, podjąć wyzwanie. Za jakiś czas przywiózłby ich z powrotem do Rutherford. Przykład Churchilla pokazywał, że nie można dać się skrepić cudzym zasadom. Z pewnością mógł od nowa napisać własną historię. Zacząć od początku. Polecieć.

Patrzył przed siebie z roztargnieniem. Z budynku wyszedł kurier i zaczął przyzywać go gestem. Koło niego stanął oficer z rękami opartymi na biodrach. Kręcił głową na boki z widoczną przesadą, niemal jakby występował w pantomimie. Potem uniósł rękę i machnął na Harry’ego.

Kurier minął go, idąc w przeciwnym kierunku.

– Wracasz od razu? – spytał Harry.

– Tak – odparł. – Ale przynajmniej nie jestem na pana miejscu. Powodzenia.

Dowódca dywizjonu okazał się bardzo młody, może nawet młodszy od

Harry'ego. W dzisiejszych czasach ciężko było stwierdzić. W przeciwieństwie do przybysza prezentował się nadzwyczaj porządnie i czysto. Obejrzał od stóp do głów zaniedbany strój Cavendisha, żeby podkreślić swoją wyższość w tej kwestii.

– Lepiej chodź pan ze mną – odezwał się w końcu.

Weszli do pokoju dziennego, który równie dobrze mógłby znajdować się w Sussex. Tapicerowana kanapa, wiktoriańska gablotka z wypchanymi zwierzętami. Kolibry. Harry patrzył na nie w zdumieniu. Jak coś takiego przetrwało? Przejmujący obrazek. Czterdzieści lub pięćdziesiąt kolibrów na zawsze zamkniętych z rozłożonymi skrzydłami na tle namalowanego akwarelami nieba. Obok pudełka ze szklaną kopułą stał okrągły wiejski stół nakryty obrusem. Białym. Harry rozejrzał się po pomieszczeniu. Zasłony. Nakręcany gramofon. Biblioteczka. Stos magazynów. Fotografia w ramce przedstawiała przystojnego mężczyznę z dwoma małymi synkami i matką w skromnym bretońskim nakryciu głowy. Zastanawiał się, gdzie teraz była ta kobieta, gdzie byli oni wszyscy. Mogli dopiero co wyjść za próg.

– Usiądź – polecił oficer.

Harry opadł na najbliższy fotel. Tak odwykł od luksusu, że niemal natychmiast zachciało mu się spać.

– Musisz być z siebie bardzo zadowolony.

– Zadowolony? – odparł lakonicznie Harry. – Ależ skąd.

– Dostałem wczoraj telefon, że mogę się ciebie spodziewać.

A to ci niespodzianka.

– Naprawdę?

– Z ostatniego posterunku, w którym byłeś.

– Ach.

Cóż. Powiedział kapitanowi, że nie chce eskorty podczas jazdy przez niebezpieczny teren. Minenwerfery grzmociły kilka mil na wschód. Harry spuścił wzrok na dywan.

– Takie tłuczenie się po kraju bez ładu i składu bardzo przypomina mi dezercję.

Na te słowa Harry się wyprostował.

– Cofniesz pan to – zażądał. – Nie mogę zdezerterować z posterunku, z którego zostałem zwolniony. Mogłem najwyżej nawiać ze statku szpitalnego, ale wątpię, żeby liczyli pasażerów. To nie wycieczkowiec. Nie mają listy pasażerów.

– Zapewne na to właśnie liczyłeś.

– Na nic nie liczyłem.

– Dobry Boże, Cavendish, co ty sobie wyobrażasz? – krzyknął nagle oficer, czerwony na twarzy. – Traktujesz to jak wakacje! Dostajesz rozkaz, żeby wracać do Anglii, a zamiast tego hulasz po całym kraju. Czy ty tu do diabła robisz?

– Słyszałem o akcji.

– I pomyślałeś, że wpadniesz się pogapić?

– Przyjechałem obserwować.

– Tu nie ma czego obserwować, do cholery! Nikt o ciebie nie prosił.

Harry przez kilka chwil patrzył pod nogi. Potem bardzo powoli pochylił się do przodu.

– Zapewne jestem solą w oku Korpusu Lotniczego. – Każde słowo wymawiał starannie. – Ale nie skonfiskowałem żadnego pojazdu, żeby tutaj dotrzeć. Jestem w drodze do portu, choć przyznaję, że jadę dziwnym pojazdem. Jeśli nie potrzebujecie mojej rady, radośnie ruszam dalej.

– Rady! – Mężczyzna popatrzył na niego. Wyraźnie próbował poskładać fragmenty łamigłówek o nazwie „Harry”, ale odkrył, że nie tworzą sensownej całości.

– Zgodnie z rozkazami jadę do Hawru – dodał Harry. – Jeśli mnie tu nie chcecie, niech i tak będzie.

– Jesteś zatraconym głupcem – stwierdził oficer.

– A ty jesteś bezczelny – wykrzyknął Harry. – Nie jesteś ode mnie wyższy rangą, więc będę wdzięczny, jeśli zatrzymasz idiotyczne uwagi dla siebie.

– Napiszę raport do centrali.

– Koniecznie w trzech egzemplarzach – poradził mu Cavendish. – Ty cholerny gryzpiórku.

Z trudem wstał z fotela i wyszedł, ignorując wzywającego go do powrotu mężczyznę.

*

Kiedy znalazł się na zewnątrz, podszedł do samolotów.

Oczywiście oficer miał rację. Harry niechętnie to przyznawał, ale taka

była prawda. Gdyby wszyscy zachowywali się tak jak on, wojna byłaby przegrana. Dowództwo musiało kontrolować miejsce pobytu swoich ludzi, a oni powinni trzymać się razem i zachowywać jak zespół. Harry podejrzewał, że odrobinę swobody zawdzięcza tylko swojej chorobie. Może, mimo blefów i pogrózek, pozwolą mu zostać w korpusie.

Tak naprawdę okropnie go to martwiło: że z powodu choroby albo niesubordynacji zostanie zmuszony do odejścia. Próbował przekonać sam siebie, że nie wyrzucą doświadczonego żołnierza. W końcu ilu ich jeszcze żyło? Jednocześnie tyrada, której przed chwilą wysłuchał, świadczyła o tym, że powinien się pilnować.

Spojrzał tęsknie na brytyjskie myśliwce BF2. Świeżaki dostarczone do Arras. W większości zostały zestrzelone jako pierwsze podczas tak zwanego krwawego kwietnia. To była dla nich lekcja. Nauczyli się właściwie ich używać. Harry nie wiedział, ilu mężczyzn zginęło w trakcie tej nauki. Zgadywał, że w tamtym miesiącu długość życia pilota wynosiła około dwudziestu godzin, sądząc po stratach w jego oddziale. Dwadzieścia godzin, na miłość boską. To nienormalne. Z drugiej strony, nic nie było normalne. Westchnął.

Popatrzył na szereg stojących maszyn i zauważył na końcu nowe dwupłatowce Sopwith. Nie latał dotychczas żadnym. Podobno trzeba było trzech miesięcy, żeby się przyzwyczaić do tych drażliwych maszyn z silnym przechyłem na prawo. Zastanawiał się, jakie to uczucie szybować na wysokości dziewiętnastu tysięcy stóp z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę. Podobno tyle wyciągały. Dziewiętnaście tysięcy stóp! To prawie w niebie. Całkowita wolność. Leciały szybciej niż ptaki, cięły niebo na pół.

Popatrzył na nie i przypomniał sobie hulaszczą niewinność dawnych czasów. W lecie 1914 roku nikt by nie zgadł, że użyją tych cudownych zabawek w czasie wojny. Pierwsi piloci, przed 1912 rokiem, wylatali ponad milion mil i zginęło tylko stu czterdziestu. Zazwyczaj w okolicznościach, których według naukowców dało się uniknąć. Zbyt głęboko nurkowali, następował wybuch paliwa albo obsługa techniczna była niewystarczająca. Czasem chodziło o zwykłą lekkomyślność, chęć popisania się przed gapiącym się tłumem.

Tak czy inaczej, bawili się doskonale. Nawet kiedy po raz pierwszy leciał nad Kanałem Angielskim, włosy stawały mu dęba z nadmiaru adrenaliny, a nie ze strachu o własne życie. Zawsze głęboko wierzył w swoje

umiejętności. Ojciec zdziwiłby się, gdyby to usłyszał. W powietrzu Harry stawał się doskonale spokojny. W pierwszych dniach wojny ta cecha sprawiła, że wyszedł cało z wielu tarapatów. Teraz tylko patrzył z ziemi i mówił pilotom, żeby uważali tak samo jak on.

– Trzymajcie cię mocno i nie śpijcie – powtarzał.

Chodziło mu o to, że powinni zachować czujność, nie dać się wyprowadzić z równowagi. Żadnego chełpienia się, wulgarnego języka w stosunku do obserwatora albo pogardy dla wroga. Żadnych popisów. Nie teraz. Już nie.

Podszedł do najbliższego samolotu i położył rękę na kadłubie. Maszyna była w trakcie remontu. Pod skrzydłami widniały świeżo namalowane koła.

– Pomóc panu, sir?

Rozejrzał się. Człowiek z obsługi naziemnej podszedł do niego i przyglądał mu się badawczo. Harry się przedstawił.

– Był dzisiaj w powietrzu?

– Wczoraj, sir.

– Nad Nieuwpoort?

– Tak. Jest pan tu od dawna?

Harry zastanawiał się, czy mężczyzna uwierzyłby, że trzy lata temu był jednym z pierwszych. On i Harvey-Kelly. Hubert Harvey-Kelly, który teraz dowodził w Vert Galant. Harry podniósł rękę do czoła. „Nie, to nieprawda” – pomyślał. Huberta już tu nie było. Wystartował podczas bitwy o Douai w kwietniu. Krwawym kwietniu. Przyjechał szef, Trenchard, żeby z nim porozmawiać. Hubert nie powinien był lecieć, miał umówione spotkanie. Trenchard czekał na jego powrót. Ale pilot nie wrócił. Został zestrzelony przez albatrosa, trafnie nazwanego zwiastunem śmierci.

Harvey-Kelly nie żył. Leefe Robinson, uhonorowany Krzyżem Wiktorii, został złapany. Albert Ball, ten as przestworzy, zginął siódmego maja. Tak samo jak wielu innych. Harry ponownie popatrzył na stojącego obok mężczyznę.

– Od stu lat, a może dwustu. Ale proszę się mną nie przejmować – powiedział pogodnie. – Wkrótce jadę do domu. Żeby mnie poskładali.

– Poskładali, sir?

– Obrażenia kolana.

– Ach. W takim razie powodzenia.

Obaj zamilkli. Gdzieś na wschodzie rozpoczął się atak artyleryjski.

Początkowo dudnił jak odległy piorun. Dźwięk toczył się w ich kierunku.

– Baterie nadbrzeżne i ostrzał marynarki – wyjaśnił mechanik. – Na linii Izery są Australijczycy.

– Nieźle tłuką.

Mechanik skinął głową.

– Gdzie pan wsiada na statek, sir?

– W Hawrze.

– Przyjechałem stamtąd. Port jest teraz zaminowany. Od czasu „Salty” sytuacja się skomplikowała.

Harry właśnie odwracał się w stronę farmy. Teraz zatrzymał się, zaniepokojony.

– „Salty?” – powtórzył. – Statku szpitalnego?

– Właśnie. Trzeba zachować ostrożność. Zatonęła na szlaku handlowym. W kwietniu. Wpadła na minę. Znalazła się pod wodą w dziesięć minut. Płynąca obok łódź trafiła na kolejną i też poszła pod wodę. Może pan to sobie wyobrazić? Pieprzeni Niemcy.

– Zatonęła? – powtórzył Harry.

– W Kanale Angielskim, jakieś półtorej mili od brzegu.

– Co się stało z ludźmi na pokładzie?

– Wielu członków załogi utonęło. Około osiemdziesięciu. W porcie opowiadali, że był straszny hałas. Statek zatonął błyskawicznie. Ale nie był pełen. Wracali z transportem leków.

– Pielęgniarki?

– I służby medyczne.

– Pielęgniarki...

– Wiele się uratowało. Utonęło dziewięć. W pobliżu portu postawiono pomnik ku czci służb medycznych. Widziałem go, kiedy odwiedzałem znajomego. Utkwił mi w pamięci. Pielęgniarki, lekarze i zapasy leków. Nawet nie żołnierze. Flaki się wywracają. Naprawdę.

Harry patrzył na niego w milczeniu. Nie mógł wydusić ani słowa. W końcu mężczyzna wcisnął na głowę czapkę gestem pożegnania.

– Przepraszę pana – powiedział.

– Tak. Oczywiście...

Harry patrzył za odchodzącym.

Zamknął oczy i wsłuchał się w dudniące na wschodzie pioruny.

*

W Londynie Charlotte i Christine od kilku godzin nie spały.

Przy drzwiach leżała spakowana torba. Skórzana torba lekarska, którą wyszperały na straganie, bardzo pomarszczona i zniszczona, ale z porządnym, mocnym zamkiem. Tuż przed świtem Charlotte wstała, podeszła do wyjścia i stanęła nad bagażem. Torba, szkicowniki Christine i jej teczka leżały spięte parcianym paskiem. Dziewczyna stała z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, aż usłyszała, że za jej plecami Christine boso idzie w jej stronę. Chwilę później Charlotte poczuła obejmujące ją w talii ramiona.

– Niedługo wrócę.

– Ale co to znaczy „niedługo”?

– Nie wiem, moja droga. To praca.

– Będę za tobą tęsknić. – Charlotte odwróciła się i wzięła Christine za rękę. – Przepraszam – szepnęła. – To brzmi strasznie rzewnie.

– Bo się rozkleiłaś. Straszne nudy. – Malarka się uśmiechnęła. – Co za rozczarowanie. Myślałam, że jesteś znacznie bardziej interesująca.

Wróciły do łóżka, ale nie spały. Leżały i obserwowały wschodzące nad Londynem słońce. W oknach nie było zasłon, a zamiast łóżka musiał im wystarczyć leżący na podłodze materac. Ale dla nich to nie miało znaczenia. Nic go nie miało. Nic i nikt.

– Będę do ciebie pisać – obiecała Christine. – I przesyłać szkice.

– Powiedzieli ci, dokąd jedziesz?

– Ani słowa. Ale jeśli pozwolą mi napisać, dam ci znać.

– Ale nie jedziesz na front.

Christine łagodnie ją pocałowała.

– Myślisz, że *Ścieżki chwały* albo *La Mitrailleuse* powstały przy popołudniowej herbatce?

Nie było odpowiedzi.

W końcu Christine wstała i wyciągnęła rękę.

– Chodź ze mną – poprosiła.

Razem podeszły do sztalug, które wciąż stały na końcu stołu, przykryte materiałem. Christine podniosła tkaninę i opuściła ją na podłogę. Patrzyły na ukończony dzień wcześniej portret.

Charlotte do połowy kryła się w cieniu, a do połowy jaśniała w słońcu. Obraz był podzielony ukośnie. Dolną część wypełniały purpura i szmaragd materiału błyszczącego z nadzwyczajną jasnością. W górnej części wzrok przykuwały nagie, kredowobiałe ramiona Charlotte. Siedziała bokiem i patrzyła przez okno na stalowoszare i niebieskie dachy londyńskich domów oraz płonące niebo. W lewym górnym rogu plecy Charlotte odbijały się w lustrze, wygięte w jedną stronę, jakby miała poderwać się z siedzącej pozycji.

Twarz na płótnie była niezwykle żywa. Rozchylone usta, krótkie proste włosy, ciemne, z odcieniem miedzi. Widoczna ręka nie leżała na kolanach spokojnie, między rozpostartymi palcami prześwitywał pomarszczony materiał. Wyglądało to tak, jakby Charlotte kurczowo trzymała się koloru i życia. W jej oczach, w przechyleniu głowy, w energii palców i dłoni rysowało się coś więcej niż błysk uśmiechu.

Nie rozmawiały o obrazie, nawet teraz. Nie czuły takiej potrzeby. Były doskonały.

W nadchodzących latach w katalogach galerii sztuki nazywano go *La Fille Vert*. Ale jego prawdziwy tytuł był znacznie bardziej osobisty.

Christine zawsze nazywała go *L'Evasion*. Ucieczka.

*

Bez myślenia, bez oglądania się, bez wsłuchiwania w jakikolwiek dźwięk Harry ruszył wzdłuż szeregu samolotów i wsiadł do *sopwitha camela*. Siedział przez kilka sekund, starając się przyzwyczaić do układu sterowania, rozmieszczenia wskaźników. Mogło to zająć minuty, pół godziny, może nawet cały dzień, nie wiedział i nic go to nie obchodziło. W końcu nadbiegł mechanik.

– Zabieram go – oznajmił Harry. – Powiedz im, że to komandor Cavendish.

Mechanik miał wątpliwości, ale był niższy rangą. Razem odpalili silnik. Monter wysiadł i patrzył, jak Harry wyprowadza samolot z szeregu.

Jeśli nawet ktokolwiek chciałby go zatrzymać, Harry wiedział, że nic z tego. Znalazł się w powietrzu w kilka sekund. Zatoczył koło nad

lotniskiem, a świat stał się ziarnistą mapą pod jego stopami. Był sam.

Zastanawiał się z roztargnieniem, jakie to uczucie, przebyć z powrotem dystans do Anglii i Rutherford. Myślał o swoim ojcu. Czy William zdoła nauczyć go żyć samotnie przez resztę życia?

Wiedział, że Caitlin nie żyje. Leżała w grobie w Hawrze, w jednej z tych cementowych mogił, które tak bardzo starali się utrzymywać w porządku, albo w zimnej wodzie w odległości mili od wybrzeża Francji. A może jeszcze gorzej. Była głucha i niema, a jej dusza martwa. Widział to. Widział na bocznicach kolejowych i posterunkach polowych twarze biednych strzelców. Wysłuchiwał ich, ale patrzenie na nich było znacznie trudniejsze. Widział to tysiące razy u członków swojej załogi.

Przyjeżdżali, by służyć. Młodzi mężczyźni, którym ledwie sypnął się pierwszy wąs, niewinni, z dziecięcymi buźkami, tacy ochoczy. Małe dzieci w ubraniach dorosłych. Witał ich, wygłaszał podnoszące na duchu przemówienie, widział ich entuzjazm i żywotność. Mówił: „Doceniajcie drani. Obserwujcie niebo. Jeśli macie choć odrobinę wątpliwości, kwestionujcie uwagi obserwatora. Nie zgrywajcie bohaterów. Po prostu wykonajcie zadanie”.

A oni go słuchali. Naprawdę. Pierwsze pół tuzina razy. Potem z ich twarzy zniknęło światło, blask świeżości i gorliwości. Zastępowała go jakaś obojętność. Ponura determinacja. W końcu zmęczenie. Byli dzielni, ale nic nie rozumieli. Wejście do samolotu przypominało sen, wspinaczkę na stromą górę podświadomości. Nie dało się go z niczym porównać. Kiedy schodzili na ziemię, milczeli albo warczeli w odpowiedzi, wypluwali z siebie pojedyncze sylaby jak serie z karabinów maszynowych. Twarze szarzały i rysował się na nich wyraz zdumienia. Byli zmieszani upadkiem ideałów i poczuciem całkowitej absurdalności walki.

Na wysokości piętnastu tysięcy stóp znajdował się inny świat. Między bogami i żywiołami, bez granic, z wyjątkiem linii narysowanych na ziemi. Obłoki dymu w dole mogły oznaczać setkę zamordowanych. Tylko ciemne chmury świadczyły o tym, że dwie grupy żołnierzy próbują się nawzajem pozabijać. Skrzydłami szarpały prądy powietrzne, ciepłe podmuchy wypychały samolot do góry albo ściągały w dół.

Dni ciągnęły się, przerywane triumfami, poznaczone stratami. Twarze młodych znów się zmieniały. Niektórzy lądowali z pozoru cali i zdrowi, ale godzinę, a czasem kilka dni później zaczęli się trząść, niezdolni do

kontrolowania nerwowych reakcji. Wstyd i zażenowanie mąciły wzrok. Uśmiechnięty rekrut zaledwie sprzed miesiąca zamykał się w sobie.

I najgorsze ze wszystkich. Zniszczona psychika. Jak brzmiało to powiedzenie? Porywać się z motyką na słońce. Nie należało jednak mówić nic podobnego. Gdyby usłyszał to dowódca, mógłby mądrze doradzić miesięczny urlop w ojczyźnie, dłuższy pobyt w szpitalu. W Craiglockhart albo gdzieś. W miejscu, gdzie składają ludzi do kupy. Czasami ci, których odesłano, wracali i sprawiali wrażenie zdrowych. Ale Harry wątpił, by naprawdę można się było z tego wyleczyć. Przypominało to zaklejenie niewidzialnej rany. Powrót na służbę oznaczał udrukę. Taki człowiek prędzej czy później stawał się Ikarem, lecącym zbyt blisko słońca. Wracał na ziemię z płonącymi skrzydłami.

Harry nie przeżyłby podobnego wyrazu na twarzy Caitlin. Z trudem radził sobie z widokiem obojętnych min swoich ludzi. Miał z tym ogromny problem. Także jemu z tego powodu zaczęło brakować czegoś ważnego. Wiedział o tym. Znieczulica z konieczności. Nie potrafiłby spojrzeć jej w twarz ze świadomością, że straciła człowieczeństwo. Że udawała życie.

Samolot z rykiem wznosił się do góry, a on próbował przestać myśleć.

Camel był ultraczuły i nieprzewidywalny. Żeby przestał się wznosić, należało utrzymywać go dokładnie w pozycji lecącej. Harry próbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o nowych sopwithach. Trzymać nos prosto. Opierać się potężnemu szarpaniu wirującego silnika, który chciał ściągnąć maszynę na prawo. Balansować lewym sterem, żeby nie spaść w dół w korkociągu.

Jego przyszłość stanęła pod znakiem zapytania z wielu powodów. Leciał maszyną, której nie znał. Leciał bez pozwolenia w stronę angielskiego wybrzeża. Leciał, nie czując siebie.

„Bądźmy choć my oboje wierni sobie nawzajem, miła! Bo przed nami z pozoru świetny, nowy, nęcący tęczami świat, gościnnie rozwarte marzenia podwoje...”^[5]

Tak kończył się wiersz Arnolda. Przez chwilę Harry wyraźnie przypominał sobie jego treść. Znów miał dziewięć lat i recytował go przed nauczycielem. Zabawne, jakie rzeczy wracały do człowieka z zakamarków pamięci.

Spojrzał na prawo, gdzie kątem oka zauważył szklane odbicie. Ale nic tam nie było, tylko kłębiące się w dole chmury. Wybrzeże Belgii za

Nieuwpoort i w pobliżu Izery wyglądało okropnie. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

„W szturmów, odwrotów dzikim, zmieszany alarmie...”

Widział już niemal wszystko. Większość tego, czego może dokonać samolot. Zastanawiał się, co jeszcze dla nich wymyślą. Podniósł sopwitha wyżej, nad smugę dymu, cienkie pasmo chmur. Czuł się zmęczony, tak bardzo zmęczony, że mógłby zasnąć. Powoli, w chwiejnym pochodzie, wracały do niego poprzednie loty.

Niski przelot nad Passchendale. Miał rozkaz lecieć w tunelu stworzonym przez trajektorię brytyjskich pocisków, wylecieć z chmury ognia i wziąć wroga z zaskoczenia. Pędzili parami. Jego kolega wpadł w tunel, a on za nim z drugiej strony, prosto w piekło na ziemi. Mknął tak nisko, że widział na ziemi szczątki maszyn i ludzi, a nawet drut kolczasty. A gdy przelatywał nad stanowiskiem karabinów maszynowych, widział, jak Niemcy padają na ziemię, żeby się ukryć.

Lot nad wieżą kościelną... Gdzie to było? Wpadł na dziecinny pomysł, by użyć wieży jako tarczy strzelniczej, a Bóg mu odpłacił, umieszczając tam snajpera. Pocisk wpadł przez przednią szybę. Minął Harry'ego o ułamek cała.

Niektórzy piloci roztaczali wokół siebie aurę niezniszczalności. Byli niemal nieludzy. Oczywiście, tak właśnie czuł się człowiek w trakcie pierwszego lotu. Niezniszczalny. Puste niebo zdawało się wypełnione wiecznością. Wchłaniali ją, ale tylko przez moment. Prędzej czy później w oczach każdego pilota pojawiała się to spojrzenie, nieobecne i obojętne, o którym mówili ludzie na ziemi. Żołnierze piechoty patrzyli tak po bombardowaniu, odrętwiali, w szoku. Ale piloci patrzyli w ten sposób, gdy niebo się na nich zwałało. Kiedy zdawali sobie sprawę, że jednak istnieją granice.

Znów coś błysnęło. Harry odwrócił głowę.

Nad nim leciał Niemiec. W chwili, gdy Harry zdał sobie z tego sprawę, usłyszał strzały z broni maszynowej. Seria pocisków uderzyła w samolot. „Dobry Boże, jestem skończony” – pomyślał. Był całkowicie spokojny. Wiedział, że dokładnie po jego siedzeniem znajduje się zbiornik benzyny i że jeżeli pocisk trafi na opary, wybuchnie. Jednak nic się nie stało. Musiał uderzyć w paliwo.

Próbował gwałtownie skręcać, nurkować. Ale bak był pusty. Miał teraz

do dyspozycji tylko zbiornik opadowy na skrzydle, który nie wystarczał, by wzlecieć wyżej, osiągnąć wysokość.

Widział, jak niemiecki samolot zawraca, staje dęba jak koń, zaledwie kilka jardów od niego. Przez sekundę z absolutną jasnością i szacunkiem Harry obserwował jego umiejętności. Rozluźnił ręce na sterach. Spojrzał w dół, na sylwetkę wroga, linię jego skrzydeł. Podziwiał kruchość maszyny, łuk, który rysowała.

Niebo było tak czyste, a ziemia tak mała.

*

Niemiecki pilot wylądował za Peronne godzinę później. Gonił samoloty wroga nad Izerą w tę i z powrotem.

Był umazany olejem i skończyła mu się amunicja. Samolot zadudnił, kiedy dotknął ziemi. Koło się zablokowało, uderzone z dołu odłamkiem. Posadził maszynę w ostrym półkolu. Pospiesznie odłączył stery i wyskoczył na zewnątrz.

Przebiegł przez trawę, ściągnął hełm i stanął na polu w słońcu późnego popołudnia, próbując złapać oddech.

Kiedy składał raport, wspomniał o strąconym sopwithcie. Poklepali go po plecach i pogratulowali mu. W obozie poszedł do łóżka, położył się i zamknął oczy.

Ale wiedział, że nie zaśnie. Nie snem, którego potrzebował. Upragnione zapomnienie nie nadejdzie. Nie zaśnie, bo wciąż będzie wspominał pilota tamtego samolotu. Lecieli w odległości zaledwie kilku stóp od siebie i spojrzał tamtemu mężczyźnie w oczy. Anglik był przystojny, dość młody. Co niespotykane, kierował się w stronę wybrzeża. Sam. Całkiem sam. Nie podjął żadnego działania. Kiedy wreszcie zauważył wroga, nawet nie próbował przed nim uciekać.

Najdziwniejsze ze wszystkiego – i wiedział, że o tym nie zapomni – było spojrzenie Anglika. Popatrzył wprost na niego. I się uśmiechnął. Kiedy sopwith zaczął spadać, jego pilot uniósł rękę w przerażająco zrelaksowanym geście. Samolot zaczął kręcić się w kółko. Niemiec patrzył, jak tamten znika w obłoku brązowego dymu i niemal natychmiast znów się pojawia, przechylony na końcu.

Zatoczył koło i widział, jak niecałe sto stóp nad ziemią zestrzelony samolot gwałtownie wybucha. Pomarańczowy kwiat ognia. Płatki dymu i kurzu po zderzeniu. Czarne łodygi płonącego paliwa. Okropny rysunek palącego się kwiatu w środku zalanego wodą nadmorskiego pola.

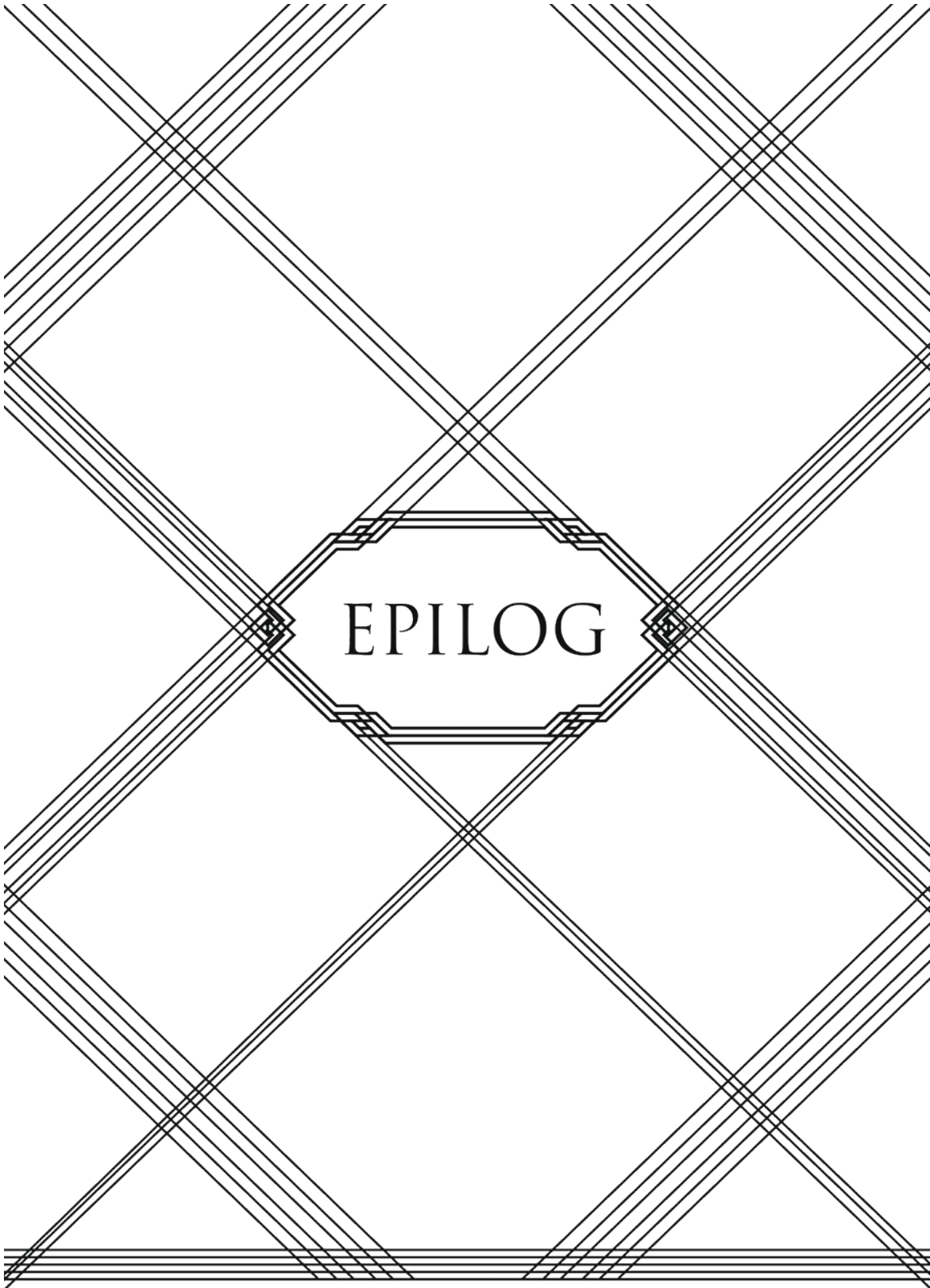
Ten obraz już zawsze będzie mu towarzyszył.

Wszystko przez uśmiech. Anglik się uśmiechał.

I niedbale skinął mu ręką na pożegnanie.

4 Fragment wiersza Matthew Arnolda *Wybrzeże w Dover* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

5 Tu i dalej fragmenty wiersza Matthew Arnolda *Wybrzeże w Dover* w przekładzie Stanisława Barańczaka.



EPILOG

Kiedy pociąg wjechał na stację, sypał śnieg.

Było wcześniej rano, tydzień przed Bożym Narodzeniem. Pociąg pocztowy obsługiwał wioski leżące w dolinie rzeki aż do Rutherford i przeważnie wiózł inny towar, zwykłe dostawy dla rolników. Paszę albo drobny sprzęt. Ale tego ranka przywiózł coś wyjątkowego.

Naczelnik stacji i jego ludzie spędzili godzinę w porannych ciemnościach na odgarnianiu śniegu z peronu. Z dachu zwisały sople, a oni pracowali w jasnym świetle padającym z okien poczekalni. Potem, gdy wreszcie nadszedł świt i usłyszeli, jak nadjeżdża parowy pociąg, postawili gotową rampę obok samochodu strażnika.

Na przyjazd pociągu czekała niewielka grupa ludzi. Panowała atmosfera lekkiej ekscytacji z powodu sławy shire'a. Pisano o nim w gazetach w Londynie i Yorkshire, poza tym w wiosce pojawiło się kilku reporterów – wcześniej nieznanymi gatunek człowieka. Dziennikarze obchodzili domy wokół wiejskich błoni oraz kościoła i pytali, co ludzie wiedzą o Rutherford.

Nie mówiono zbyt wiele. W normalnych okolicznościach może by świętowali, zawiesili dekoracje i flagi. Urządziliby małe spotkanie w wiejskiej świetlicy, zanim zabiorą konia do domu. Ale teraz to wydawało się nie na miejscu. Cieszyli się, że shire wrócił. Kogo by nie ucieszył taki cud? Ale radość z powrotu mieszała się z żałobą. Tylu mężczyzn nie wróciło, a tu proszę, koń, zwykłe zwierzę, uratowano z bagien Francji.

I tak tłum na stacji z mieszanymi uczuciami obserwował, jak do pociągu przystawiono rampę i otwarto drzwi. Kiedy wielki szary shire potknął się, niepewnie próbując zejść po krótkiej pochylni, w lodowatym powietrzu rozległy się westchnienia. Ludzie, którzy znali konia, zanim wyjechał dwa lata wcześniej, byli wstrząśnięci. Boki miał pokryte bliznami. Nawet teraz sterczały mu żebra. Na moment dziwnie zwiesił głowę. Wtedy zdali sobie sprawę, że zwierzę niedowidzi. Potrząsnęło głową, próbując dostrzec coś

wyraźniej.

Szeptali między sobą. Tu i tam padały nazwiska. Słowa uznania. Patrzyli, jak z samochodu wysiadają Amerykanin i fotograf. Pozowali, aż błysk flesza sprawił, że koniowi zadrżały boki. John Gould ujął wodze, a koń poszedł za nim jak dziecko.

Tłum za nimi uformował kolumnę i tak przeszli przez podwórze stacji. Z góry przypominali długą, ciemną nić na tle białego śniegu. Potykali się na mokrych koleinach wyżłobionych przez koła ciężarówki. Przeszli dwie mile, aż wreszcie skręcili w bramę Rutherford. Minęli figurki turkuśników i gołe gałęzie drzew.

Daleko za tłumem szedł samotny mężczyzna. Czekał na stacji, aż zrobi się pusto, i dopiero wtedy wysiadł z pociągu. Podszedł do niego naczelnik i uścisnął mu rękę. Pracownicy kolei patrzyli na niego. Widzieli, jak bardzo się zmienił. Niemal spodziewali się, że się potknie albo przewróci. Ale on trzymał się prosto. Przewiesił torbę przez ramię i powoli ruszył przed siebie, skoncentrowany i zdecydowany.

Dopiero kiedy znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, Jack Armitage zatrzymał się, żeby się uspokoić, wziąć głęboki wdech i rozejrzeć wokół. Dotarł do kościoła. Z wdzięcznością przesunął ręką po kamiennym murze, który otaczał cmentarz. Chwilę czekał, podczas gdy dzwon na wieży kościelnej wybijał ósmą.

Był więc ostatnią osobą, która szła długim podjazdem w stronę domu. Daleko przed sobą widział nad tłumem głowę konia. Wreszcie uśmiechnął się do siebie. Przypomniał sobie te lata, kiedy chodził za Waławem, i zimy podobne do tej, której koń zawdzięczał swoje imię. Urodził się w śniegu, bezlitosnym i niespodziewanym wiosennym śniegu, który spowijał park tygodniami. Pierwsze kroki zrobił na niepoznaczonej śladami połaci bieli pokrywającej łąkę nad rzeką, a imię nadano mu na cześć niezapomnianego zarysu kopyt na ziemi, śladów na śpiącej trawie.

Jack zwolnił, kiedy znalazł się w pobliżu domu.

Tłum zatrzymał się z szacunkiem w pewnej odległości. Zapanowała cisza. Umilkły toczony wcześniej rozmowy. Słyszeć było tylko łagodny szelest dochodzący z terenów parkowych, z pokrytych śniegiem cichych wzgórz i zamarzniętych drzew.

Na schodach domu czekała grupa ludzi.

Jack przyjrzał się im w poszukiwaniu tej jedynej postaci. Najwyraźniej

nie było jej wśród nich. Popatrzył na dom. Zastłony wciąż były zaciągnięte. Minęły już ponad trzy miesiące, ale Rutherford nie zamierzało zdjąć znaku żałoby aż do końca nadchodzącego roku. Do chwili, kiedy szok odrobinę zelżeje, ból stanie się minimalnie bardziej znośny. Aż przyjdzie i minie kolejne lato.

Pan i pani Cavendish stali ramię w ramię. Patrzyli na pochód. Jaśnie pan opierał się mocno na lasce. Jego żona, bo wciąż była jego żoną, chociaż tylko z nazwy, otuliła się płaszczem z kołnierzem tak wysokim, że sięgał jej aż do oczu. Ich twarze przybrały ten sam wyraz. Nawet dzisiaj żałoba sprawiała, że uroda jaśnie pani i spokój jaśnie pana znikły. Wyglądali jak dwoje oszukanych dzieci. Bezradnych i ludzkich, jakby umniejszonych. Było mu ich żal, więc włókł się z tyłu. Czuł się winny, że wrócił do domu. Z pewnością to nie jego pragnęli zobaczyć.

Potem cisza została przerwana. Drzwi za nimi otworzyły się i wyszła przez nie szczupła dziewczyna. To była Louisa, trzymała za rączkę córkę Harry'ego. Dziecko zrobiło to, na co dorośli wyraźnie nie mogli się zdobyć, przynajmniej na początku. Wyrwała się z uścisku cioci i popędziła w dół po schodach. Rzuciła się na Wacława, wyciągnęła w górę rączki, a koń pochylił głowę, żeby na nią popatrzeć. Otoczyły ją obłoczki pary z jego chrap – ciepło życia w zimnym świecie. Dziewczynka zaczęła tańczyć wokół zwierzęcia, a tłum przyglądał się jej, jakby była promieniem słońca przedzierającym się przez ciemności. Kilka osób się uśmiechnęło. Inni podeszli bliżej, głaskali boki konia. W powietrzu rozległy się głosy.

John Gould wszedł po schodach, ale zatrzymał się w połowie drogi. Popatrzył na stojących wyżej ludzi, członków rodziny i służby.

– Przywiozłem ich do domu – powiedział.

Dodał też coś o tym, że wszystko się udało. Jack nie dosłyszał jego słów. Skupił się na czymś innym. Patrzył na Louise.

Przez chwilę stała obok rodziców z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby było jej bardzo zimno. Ona i Jack popatrzyli na siebie bez uśmiechu. Żadne nie uniosło ręki w geście powitania. Ich spojrzenie było głębsze niż cokolwiek innego. Silniejsze niż słowa. I wtedy, kątem oka, Jack zauważył rodziców. Szli w jego stronę. Matka podbiegła w ostatniej chwili. Nie czuł, że upada, ani nawet że tak bardzo zmarzł. Matka krzyknęła, ktoś owinał go płaszczem.

– Chciałem pójść – powiedział.

Po schodach zszedł Bradfield, prowadząc za sobą Hardy'ego i chłopca na posyłki, Alberta. Nieśli gorące napoje. Na tacach leżały gałązki ostrokrzewu i czerwone wstążki. Ktoś wziął jedną i przyczepił do uzdy Wacława. „Czerwone wstążki” – pomyślał zmieszany Jack. Czerwone na tle ziemi, śniegu, dłoni i twarzy. Popatrzył pod nogi, wziął głęboki wdech. Poczł obejmujące go w pasie ramię ojca. Była już niemal Gwiazdka, to wszystko. Czerwień nie miała żadnego dodatkowego znaczenia. Dostał brandy i kawę, która pachniała tak niesamowicie słodko i bogato. W domu przygotowano całe mnóstwo małych ciasteczek i herbatników. Włożył jedno do ust, ale nie mógł go przełknąć. Brandy paliła go w żołądku żywym ogniem. Był nieprzyzwyczajony do alkoholu. Zakręciło mu się w głowie.

Może tylko śniło mu się, że Louisa zeszła po schodach, że podeszła do konia i pogłaskała go po szyi. Szepnęła: „Dobry chłopak”, znajomym, miękkim głosem. Tym samym, którego użyła, kiedy próbowali namówić Wacława, by wszedł do ciężarówki, która wywiozła go daleko stąd. Słodkim i przekonującym. Patrzył na jej dłoń.

To, co wydarzyło się potem, również mogło być snem. Później tego dnia, kiedy gasło już popołudniowe światło. Może to był sen, bo Jack tak długo o tym marzył. Wyobrażał ją sobie, gdy wracał z Francji, przez całą drogę na północ Anglii i gdy jechał powolnym pociągiem pocztowym, który kluczył wśród wzgórz.

Ale kiedy zobaczył ją na podwórzu, jak biegnie mimo śniegu, wiedział.

Wiedział, gdy otworzył drzwi stajni, a ona rzuciła mu się w ramiona i uścisnęła tak mocno, zwróciła do niego twarz, roześmiała i wzięła go za rękę. Kiedy ukryła twarz w jego ramieniu i przebiegł ją dreszcz.

– Wszystko w porządku, Jack. Teraz już dobrze – usłyszał jej słowa.

Nie, to nie był sen. Już nigdy nie będzie musiał znowu marzyć.

Świat nareszcie był prawdziwy.

TYTUŁ ORYGINAŁU *The Gates of Rutherford*
PRZEKŁAD Agata Żbikowska

REDAKTOR PROWADZĄCY Adam Pluszka
REDAKCJA Magdalena Jankowska

KOREKTA Agnieszka Radtke, Jan Jaroszuk

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE GRAFICZNE I TYPOGRAFICZNE Anna Pol
ŁAMANIE Anna Hegman

ZDJĘCIA NA OKŁADCE © Yolande de Kort / Trevillion Images
© Scott Stulberg / Corbis / Profimedia

WARSZAWA 2016
WYDANIE PIERWSZE

ISBN 978-83-65282-49-1

WYDAWNICTWO MARGINESY SP. Z O.O.
UL. FORTECZNA 1A, 01-540 WARSZAWA
TEL. 48 22 839 91 27
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com